

JOHN FLANAGAN

ZWIADOWCY

KSIĘGA 11

ZAGINIONE HISTORIE

The Lost Stories

Tłumaczenie

Jacek Drewnowski

Książkę dedykuję wszystkim fanom „Zwiadowców” na całym świecie, dzięki którym tak miło przeżyłem ostatnie siedem lat. Zamieszczone tu opowiadania to odpowiedź na pytania, które zadawaliście mi przez te lata.

Dziękuję Wam wszystkim.

Spis treści

Spis treści.....	4
Prolog.....	5
ŚMIERĆ	
BOHATERA.....	8
ROZDZIAŁ 1.....	9
ROZDZIAŁ 2.....	10
ROZDZIAŁ 3.....	11
ROZDZIAŁ 4.....	13
ROZDZIAŁ 5.....	17
ROZDZIAŁ 6.....	21
ROZDZIAŁ 7.....	22
ROZDZIAŁ 8.....	24
KAŁAMARZ	
I SZTYLET.....	26
ROZDZIAŁ 1.....	27
ROZDZIAŁ 2.....	29
ROZDZIAŁ 3.....	31
ROZDZIAŁ 4.....	34
ROZDZIAŁ 5.....	38
ROZDZIAŁ 6.....	40
ROZDZIAŁ 7.....	43
WĘDROWCY.....	45
ROZDZIAŁ 1.....	46
ROZDZIAŁ 2.....	48
ROZDZIAŁ 3.....	49
ROZDZIAŁ 4.....	52
ROZDZIAŁ 5.....	55
ROZDZIAŁ 6.....	59
ROZDZIAŁ 7.....	63

<u>ROZDZIAŁ 8.....</u>	<u>66</u>
<u>ROZDZIAŁ 9.....</u>	<u>68</u>
<u>NAPUSZONA.....</u>	
<u>MOWA.....</u>	<u>69</u>
<u>ROZDZIAŁ 1.....</u>	<u>70</u>
<u>ROZDZIAŁ 2.....</u>	<u>74</u>
<u>ROZDZIAŁ 3.....</u>	<u>77</u>
<u>ROZDZIAŁ 4.....</u>	<u>80</u>
<u>ROZDZIAŁ 5.....</u>	<u>82</u>
<u>ROZDZIAŁ 6.....</u>	<u>86</u>
<u>ROZDZIAŁ 7.....</u>	<u>88</u>
<u>KOLACJA.....</u>	
<u>DLA PIĘCIORGA.....</u>	<u>92</u>
<u>ROZDZIAŁ 1.....</u>	<u>93</u>
<u>ROZDZIAŁ 2.....</u>	<u>95</u>
<u>ROZDZIAŁ 3.....</u>	<u>99</u>
<u>ROZDZIAŁ 4.....</u>	<u>101</u>
<u>ROZDZIAŁ 5.....</u>	<u>104</u>
<u>ROZDZIAŁ 6.....</u>	<u>107</u>
<u>TANIEC.....</u>	
<u>WESELNY.....</u>	<u>110</u>
<u>ROZDZIAŁ 1.....</u>	<u>111</u>
<u>ROZDZIAŁ 2.....</u>	<u>116</u>
<u>ROZDZIAŁ 3.....</u>	<u>121</u>
<u>ROZDZIAŁ 4.....</u>	<u>123</u>
<u>ROZDZIAŁ 5.....</u>	<u>126</u>
<u>ROZDZIAŁ 6.....</u>	<u>131</u>
<u>HIBERNIJCZYK.....</u>	<u>133</u>
<u>ROZDZIAŁ 1.....</u>	<u>134</u>
<u>ROZDZIAŁ 2.....</u>	<u>137</u>
<u>ROZDZIAŁ 3.....</u>	<u>140</u>
<u>ROZDZIAŁ 4.....</u>	<u>144</u>
<u>ROZDZIAŁ 5.....</u>	<u>148</u>
<u>WILK.....</u>	<u>151</u>

<u>ROZDZIAŁ 1.....</u>	<u>152</u>
<u>ROZDZIAŁ 2.....</u>	<u>154</u>
<u>ROZDZIAŁ 3.....</u>	<u>156</u>
<u>ROZDZIAŁ 4.....</u>	<u>158</u>
<u>ROZDZIAŁ 5.....</u>	<u>160</u>
<u>NAJWYŻSZY</u>	
<u>CZAS.....</u>	<u>164</u>
<u>URYWEK.....</u>	<u>168</u>

Prolog

Hrabstwo Redman

Republika Stanów Aralanu

(dawniej średniowieczne Królestwo Araluenu)

Lipiec 1896 roku

Profesor Giles MacFarlane jęknął cicho, pocierając obolałe plecy. Robił się zbyt stary, aby przez długi czas kucać i delikatnie usuwać pył z wykopalisk. A wszystko po to, by wydobyć kolejne znalezisko z ziemi, która tak długo je więziła.

Razem ze swoim zespołem natrafił na te ruiny zamku już przed laty. Sporządzili plan trójkątnego obrysu głównych murów - zaiste, niezwykle kształt, jak na zamek. Postrzępiony kikut prastarej wieży warownej wznosił się pośrodku oczyszczonej przez archeologów przestrzeni. Zwalona wieża miała teraz ledwie cztery metry wysokości. Mimo że z budowli zostały tylko ruiny, MacFarlane widział, że niegdyś budziła respekt swoją potęgą.

Pierwszy sezon wykopalisk spędzili na wyznaczaniu zewnętrznych granic zamczyska. W kolejnym roku zaczęli kopać sieć przecinających się rowów, by przekonać się, co kryją ziemia i kamienie nagromadzone przez dwanaście stuleci.

Teraz, w trzecim sezonie, zajmowali się już precyzyjniejszą pracą i zaczęli docierać do prastarych skarbów. Tu sprzączka od pasa. Tam grot strzały. Nóż. Pęknięta chochła. Biżuteria o wyglądzie charakterystycznym dla połowy siódmego wieku wspólnej ery.

Pewnego doniosłego dnia wydobyli granitową tablicę, na której wyrzeźbiono podobiznę odyńca o ostrych kłach. To właśnie znalezisko pozwoliło zidentyfikować zamek ponad wszelką wątpliwość.

- To Zamek Redmont - powiedział wtedy MacFarlane swoim skupionym pomocnikom.

Zamek Redmont. Rówieśnik słynnego Zamku Araluen. Siedziba barona Aralda, znanego jako jeden z najwierniejszych sług legendarnego króla Duncana. Jeśli Redmont naprawdę istniał, to bez wątpienia wszystkie opowieści o jego mieszkańcach znajdowały oparcie w faktach. Z nadzieją wykraczającą poza granice zdrowego rozsądku profesor pomyślał, że być może uda mu się znaleźć dowód na istnienie tajemniczych zwiadowców Araluenu. Byłoby to odkrycie niezwyklej wagi.

Sezon trwał, kopano coraz głębsze rowy, a nikt nie natrafił na znalezisko równie ważne jak granitowa tablica. MacFarlane i jego ludzie musieli się zadowolić przeciętnymi wynikami wykopalisk, takimi jak zwyczajne metalowe narzędzia i ozdoby, ceramiczne skorupy i szczątki naczyń kuchennych.

- Szukali, kopali i machali szczotkami, każdego dnia licząc, że odkryją swojego Świętego Graala. Gdy jednak letni sezon minął, MacFarlane zaczął tracić nadzieję. Przynajmniej jeśli chodzi o ten rok.

- Panie profesorze! Panie profesorze!

Profesor wstał i znowu potarł plecy, usłyszawszy, że ktoś go woła. Jedna z młodych wolontariuszek, uzupełniających opłacaną grupę z uczelni, biegła w jego stronę i machała. Zmarszczył brwi. Na terenie wykopalisk nie należało poruszać się tak nierozważnie. Lekkie potknięcie mogło zniszczyć efekty całych tygodni mozolnej pracy. Potem rozpoznał Audrey, jedną ze swoich ulubienic, i rysy mu złagodniały. Była młoda. Młodzi mieli prawo do lekkomyślności.

Znalazła się przy nim i stanęła, z trudem odzyskując dech.

- Tak, Audrey, o co chodzi? - spytał, odczekawszy chwilę.

Wciąż dysząc, wskazała ręką w dół zbocza, ku rzece Tarb.

- Za rzeką - wysapała. - W gąszczu drzew i krzewów. Znaleźliśmy zarys dawnej chaty. Wzruszył ramionami, nieporuszony tą informacją.

- Była tam wioska - stwierdził. - To żadne zaskoczenie.

Audrey jednak pokręciła głową i chwyciła go za rękę, by poprowadzić w dół wzgórza.

- To daleko za granicą wioski - odparła. - Chata stała samotnie. Musi pan to zobaczyć!

MacFarlane zawahał się. Czekał go długi marsz w dół, a potem jeszcze dłuższy z powrotem na górę. Potem jednak wzruszył ramionami. Pomyślał, że taki entuzjazm, jak u tej dziewczyny, należy wspierać, a nie tępić. Pozwolił, by poprowadziła go krętą ścieżką.

Przeszli po starym moście na drugą stronę rzeki. Wykorzystując każdą okazję do nauki, pokazał Audrey, że podpory po obu stronach są starsze od reszty.

- Część środkowa jest znacznie nowsza - powiedział. - Te mosty projektowano tak, by środkowe przęsło dało się usunąć albo zniszczyć w razie ataku.

Normalnie dziewczyna wsłuchiwałaby się w każde jego słowo. Traktowała profesora jak swojego bohatera. Dziś jednak gorączkowo pragnęła pokazać mu, co znalazła.

- Tak, tak - bąknęła z roztargnieniem, delikatnie go popędzając.

Uśmiechnął się pobłaźliwie, gdy szarpała go za rękaw, odciągając od pozostałości dawnej wioski. Weszli do lasu i musieli podążać trudniejszą, wąską ścieżką między

rozłożystymi drzewami i gęstym poszyciem. W końcu Audrey zbczyła ze ścieżki i, zgięta w pół, zaczęła się przedzierać przez płataninę pnączy. MacFarlane ruszył za nią niezdarnie, po czym zatrzymał się ze zdziwieniem, znalazłszy się na niewielkiej polanie, okolonej starymi dębami i znacznie młodszymi dereniami.

- Jakim cudem to znalazłaś? - spytał, a ona się zarumieniła.

- Oj... bo... eee... potrzebowałam ustronnego miejsca... wie pan... - wyjąkała z zakłopotaniem.

Skinął głową i machnął ręką.

- Nieważne.

Poprowadziła go naprzód. W miejscu, które wskazała ręką, jego wprawne oko dostrzegło charakterystyczny kontur niewielkiej chaty. Budynek w większości już zgnił, ma się rozumieć. Pozostały jednak szczątki pionowych filarów.

- Dąb - stwierdził. - Przetrwa wieki.

Wciąż wyraźnie było widać zarysy pomieszczeń i dzielących je ścian - ślady na wieki wryte w ziemię, mimo że same budowle dawno zniknęły. A płaska, równa powierzchnia klepisk w środku stanowiła świadectwo aż nazbyt oczywiste.

- Z tyłu mogła być stajnia - powiedziała, podświadomie ścisząc głos w tym starożytnym miejscu. - Znalazłam kilka kawałków metalu, część wygląda na sprzączki od uprzęży. I resztki wiadra.

MacFarlane zatoczył powolny krąg, przyglądając się konturowi budynku.

- Inny układ niż w domach w wiosce - powiedział, właściwie do siebie. - Zupełnie inny.

Zrobił kilka kroków, chcąc z grubsza oszacować rozmiary chaty, a potem nagle się zatrzymał.

- Słyszałaś to?

Audrey pokiwała głową, szeroko otwierając oczy.

- Pański ostatni krok. Zabrzmiał tak, jakby pod ziemią była pusta przestrzeń.

Razem opadli na kolana i zaczęli rozgarniać ziemię oraz stertę liści. Dziewczyna poobcierała sobie knykcie i znowu usłyszeli odgłos, świadczący o pustej przestrzeni pod spodem. MacFarlane nigdzie się nie ruszał bez małej, ręcznej łopatkii za paskiem. Teraz ją wyjął i zaczął odrzucać ziemię na bok. Po chwili narzędzie zadudniło o coś twardego - twardego, ale i sprężystego.

Pracując w szybkim tempie i raz po raz sprawdzając, czy podłoże wciąż wydaje ten głuchy odgłos, odsłonił prostokąt o wymiarach mniej więcej czterdzieści na pięćdziesiąt

centymetrów. Audrey nachyliła się i zmiotła resztkę ziemi ze środka. Patrzyli na stare, wysuszone drewno. Z jednej strony osadzono mosiężny pierścień. Profesor delikatnie wsunął pod niego łopatkę i podważył.

Drewniana płyta uniosła się, pękła i rozpadła, odsłaniając wyłożoną kamieniami przestrzeń poniżej.

Przestrzeń, w której stała stara skrzynia z drewna i mosiądzu.

Profesor znowu posłużył się łopatką, by otworzyć wieko. Audrey położyła dłoń na jego ręce, by go powstrzymać.

- Powinniśmy to robić? - spytała. Wiedziała, że normalnie MacFarlane zawsze podejmował wszelkie starania, by ochronić znaleziska przed zniszczeniem.

Popatrzył na nią.

- Nie - przyznał. - Ale nie chcę dłużej czekać.

Wieko otwarło się z zaskakującą łatwością. Mosiężne zawiasy, pomyślał. Gdyby były żelazne, już dawno rozpadłyby się w rdzawy pył. Ledwie powstrzymując entuzjazm, lekko odchylił wieko i zajrzał do środka.

Skrzynia pełna była manuskryptów na pergaminie albo welinie, które teraz stały się kruche i delikatne. Powoli podniósł jedną stronicę. Krawędzie się pokruszyły, ale część środkowa pozostała nietknięta. Pochylił się, by odcyfrować ciasno zapisane słowa. Ostrożnie przestudiował pozostałe strony, podnosząc je z wprawą dbałością i odczytując nazwiska, miejsca, opisy wydarzeń.

Potem delikatnie odłożył rękopisy i odchylił się, siedząc w kucki, z oczami błyszczącymi z podniecenia.

- Audrey - odezwał się - wiesz, co znaleźliśmy?

Pokręciła głową. Jego reakcja bez wątpienia świadczyła, że odkrycie było ważne. Nie, pomyślała, więcej niż ważne: bezprecedensowe.

- Co to jest? - spytała.

MacFarlane odchylił głowę i roześmiał się, wciąż nie mogąc uwierzyć.

- Nigdy nie wiedzieliśmy, co się z nimi stało - powiedział, a gdy przekręciła głowę w niewypowiedzianym pytaniu, wyjaśnił dokładniej. - Ze zwiadowcami. Z Haltem, Willem Treatym i pozostałymi. Kroniki i legendy wspominają o nich tylko do momentu powrotu z wyprawy do Nihon-Ja. Ale teraz mamy to.

- Ale co to jest, panie profesorze?

Roześmiał się w głos.

- To dalszy ciąg tej historii, dziewczyno! Znaleźliśmy *Zaginione Opowieści Araluenu!*

**ŚMIERĆ
BOHATERA**

ROZDZIAŁ 1

To były trzy długie i ciężkie dni.

Will objeżdżał wioski wokół Zamku Redmont. Robił to regularnie, utrzymując kontakt z wieśniakami i ich przywódcami, trzymając rękę na pulsie w bieżących sprawach. Czasami, jak się przekonał, plotki, które wydają się błahe, mogą pomóc w razie przyszłych kłopotów i tarć w obrębie lenna.

Było to rutynowe postępowanie zwiadowców, dla których informacja, choćby na pozór nieistotna, stanowiła element niezbędny do życia.

Teraz, późnym popołudniem, gdy wracał zdrożony do chaty wśród drzew, z zaskoczeniem zobaczył światło w oknach i sylwetkę kogoś siedzącego na małym ganku.

Zaskoczenie ustąpiło miejsca ogromnej radości, gdy rozpoznał Halta. Ostatnio dawny nauczyciel był nieczęstym gościem Willa, bowiem większość czasu spędzał w komnatach, które lady Pauline urządziła dla niego w zamku.

Will zsunął się z siodła i z ulgą rozprostował zmęczone mięśnie.

- Czołem - powiedział. - Co cię sprowadza? Mam nadzieję, że nastawiłeś kawę.

- Kawa gotowa - odrzekł Halt. - Zajmij się domem, a potem dołącz do mnie. Muszę z tobą porozmawiać.

- W jego głosie pobrzmiwało napięcie.

Nadzwyczaj zaciekawiony Will poprowadził Wyrwija do stajni za chatą, rozkulbaczył, oczyścił, po czym dał obroku i świeżej wody. Konik z wdzięcznością trącił łbem jego ramię. Will poklepał zwierzę po szyi, po czym skierował się z powrotem do chaty.

Halt wciąż przebywał na ganku. Na niewielkim stoliku parowały dwa kubki gorącej kawy; Will usiadł na jednym z krzeseł z drewna i płótna, po czym z wdzięcznością pociągnął łyk krzepiącego naparu. Poczuł, jak ciepło rozchodzi się po zmarzniętych, zeszywniałych mięśniach. Nadciągała zima, przez cały dzień wiał zimny, przesywający wiatr.

Wbił spojrzenie w Halta. Siwobrody zwiadowca wydawał się dziwnie niespokojny. I pomimo deklaracji, że musi porozmawiać z Willem, po zwyczajowym powitaniu nie sprawiał wrażenia skorego do rozmowy.

- Masz mi coś do powiedzenia? - ponaglił go Will.

Wyraźnie nieswój, Halt zmienił pozycję na krześle.

Później, z wyraźnym wysiłkiem, zaczął mówić:

- Powinieneś o czymś wiedzieć - oznajmił. - Powinienem być powiedzieć ci o tym już dawno. Ale po prostu... chwila nigdy nie wydawała się odpowiednia.

Ciekawość Willa narastała. Nigdy nie widział Halt'a w tak niepewnym nastroju. Czekał, dając mentorowi czas na poukładanie myśli.

- Pauline uważa, że pora, bym ci powiedział - dodał Halt. - Podobnie Arald. Oboje wiedzą od jakiegoś czasu. Może więc powinienem po prostu... mieć to za sobą.

- Czy to coś złego? - spytał Will, a jego rozmówca pierwszy raz od kilku minut spojrzał prosto na niego.

- Nie jestem pewien - odrzekł powoli. - Możesz tak uznać.

Przez chwilę Will zastanawiał się, czy chce usłyszeć, co starszy zwiadowca ma do powiedzenia. Potem, widząc zmieszanie na jego twarzy, zrozumiał, że - na dobre czy na złe - nauczyciel musi zrzucić ten ciężar z piersi. Gestem dał mu znak, by kontynuował.

Halt milczał jeszcze przez kilka chwil, po czym znowu zaczął mówić.

- Zaczęło się podczas ostatniej bitwy z siłami Morgaratha na wrzosowiskach Hackham. Przełamaliśmy ich frontalny atak i zmuszaliśmy ich do odwrotu. Ale skupili się na prawym skrzydle, gdzie znaleźli słaby punkt w naszych liniach...

ROZDZIAŁ 2

Wrzosowiska Hackham

Panie! Kłopoty na prawej flance!

Duncan, młody król Araluenu, usłyszał wołanie posłańca poprzez straszliwy bitewny zgiełk. Szczęk broni i tarcz, krzyki i szloch rannych i konających, wykrzykiwane rozkazy dowódców, przyzywających żołnierzy, nieartykułowane wrzaski samych wojowników, tnących, dżgających i pchających nieubłaganego wroga - wszystko to tworzyło niemal ogłuszającą mieszaninę dźwięków.

Duncan zadał kolejny cios warczącemu wargalowi i poczuł, że miecz trafia w cel; warkot ustąpił miejsca grymasowi zdziwienia, gdy stwór zrozumiał, że umiera. Władca cofnął się, wyłączając się z bitwy, sprawiał też wrażenie, że i myślami jest daleko.

Młody rycerz ze Szkoły Rycerskiej w Araluenu szybko zajął królewskie miejsce w szyku, a jego miecz już zataczał śmiercionośny łuk, by ciąć linię wargalów, tak jak kosa tnie wysoką trawę.

Duncan odpoczywał przez chwilę, wsparty na mieczu, ciężko oddychając. Pokręcił głową, by się otrząsnąć.

- Panie! Prawa flanką... - znowu zaczął posłaniec, lecz król machnął ręką, by go uciszyć.

- Słyszałem - oznajmił.

Minęły trzy dni od bitwy na wrzosowiskach Hackham, podczas której na tyły armii Morgaratha spadł niespodziewany atak, prowadzony przez zwiadowcę Halta. Nieprzyjaciel był w pełnym odwrocie. W zasadzie Morgarath powinien się poddać. Dalszy opór oznaczał po prostu coraz więcej ofiar po obu stronach. Ale buntowniczy lord nigdy nie dbał o życie innych. Wiedział, że został pokonany, ale nadal chciał zadać jak największe straty Duncanowi i jego ludziom. Skoro już mieli zwyciężyć, postanowił się postarać, by słono okupili ten sukces.

Stratami w swoich oddziałach niezbyt się przejmował. Traktował swych żołnierzy jak maszyny do zabijania i zamierzał dalej atakować wojska królewskie, poświęcając setki istnień - ważne, że przeciwnik także tracił ich setki.

Przez trzy dni cofał się zatem na południowy wschód, aby osiągnąć ziemie, które

sprzyjały stoczeniu kilku zacieklej i krwawych bitew. Dobrze wybrał miejsce na swoją ostatnią obronę. Była to wąska równina wbijająca się pomiędzy dwa strome wzgórza. Niedawny deszcz zmiękczył grunt, przez co Duncan nie mógł rzucić do boju konnych. To piechota musiała zmagać się z wargalami w ciężkim, żmudnym, rozpaczliwym boju.

A w umyśle króla wciąż czaiła się myśl, że wystarczy jeden jego błąd, łut szczęścia Morgaratha, by armia wargalów znowu przejęła inicjatywę. W bitwie fortuna to kapryśna pani, a wojnę, którą miał nadzieję zakończyć na wrzosowiskach Hackham, wciąż mógł przegrać na skutek bezmyślnego rozkazu albo błędnie przeprowadzonego manewru.

Impet, pomyślał. W takich sytuacjach był bardzo ważny. Utrzymanie tempa miało kluczowe znaczenie. Należało bezustannie podążać naprzód. Spychać tamtych w tył. Wahanie, nawet chwilowe, mogło oznaczać oddanie inicjatywy wrogowi.

Zerknął w lewo. To skrzydło, złożone głównie z oddziałów z Norgate i Whitby, wspartych przez żołnierzy z kilku mniejszych lenn, mocno parło naprzód. Pośrodku armie z Araluenu i Redmont odnosiły podobne sukcesy. Tego się spodziewał po czterech największych lennach w królestwie, tworzących trzon jego wojsk. Pochodzący z nich rycerze i żołnierze byli świetnie wyszkoleni i zdyscyplinowani.

Lecz prawa flanką zawsze stanowiła słaby punkt. Tworzyły ją lenna Seacliff, Aspienne i Culway, a ponieważ wszystkie trzy miały mniej więcej tę samą wielkość, brakowało tam silnego przywódcy. Wiedząc o tym, Duncan przydzielił generalne dowództwo mistrzowi sztuk walki Normanowi z lenna Aspienne. Był to doświadczony dowódca, zdolny połączyć tak różne oddziały w jedną siłę.

Posłaniec odezwał się znowu, jakby czytał w myślach władcy.

- Mistrz Norman umiera, panie. Wargal przebił się przez nasze linie i przeszył go włócznią. Norman przeszedł na tyły, lecz wątpię, by zostało mu wiele życia. Mistrzowie Patrick i Marat nie są pewni, co dalej robić, a Morgarath to wykorzystał.

Oczywiście, pomyślał Duncan, Morgarath z pewnością rozpoznał chorągwie mniejszych lenn na tym skrzydle i przewidział, jakie zamieszanie może wywołać wyeliminowanie dowódcy. Gdy to już się udało, wódz buntowników bez wątpienia wysłał na prawą flankę jeden ze swoich elitarnych oddziałów uderzeniowych.

Znowu impet, pomyślał król. Tyle że tym razem ów impet działał przeciwko niemu. Popatrzył z uwagą na walkę toczącą się na prawym skrzydle. Zobaczył, że wojsko przestało posuwać się naprzód, dostrzegł, że jego ludzie robią pierwsze niepewne kroki w tył. Potrzebował dowódcy, który opanuje tam sytuację, i to szybko. Kogoś, kto nie będzie się wahał. Kogoś o charyzmie pozwalającej zebrać oddziały i znowu poprowadzić je naprzód.

Rozejrzał się dookoła. Jego wybór padłby na Aralda z Redmont. Lecz Araldem zajmowali się uzdrowiciele. Bełt z kuszy trafił go w nogę i do końca bitwy nie można go było brać pod uwagę. Młody podwładny Aralda, mistrz Rodney, zajął jego miejsce i walczył jak wściekły, gnając siły Araluenu naprzód. Był tu potrzebny.

- Potrzebują dowódcy... - powiedział do siebie Duncan.

- Ja pójdę - odezwał się spokojny głos za jego plecami.

Król obrócił się i popatrzył w ciemne oczy Halta, zwiadowcy. Gdy szarża konnicy rozbiła armię wargalów, Halt przedarł się do punktu dowodzenia, szukając następnego zadania. Czarna broda i nieprzycięte włosy w większej części skrywały jego rysy, lecz oczy kryły w sobie pewność i determinację. Ich właściciel nie należał do ludzi, którzy sprzeczałiby się o przywództwo czy wahali, co należy zrobić. On działał.

Duncan skinął głową.

- No to ruszaj. Niech znowu pójda naprzód, bo przegramy. Powiedz Patrickowi i Maratowi...

Nie dokończył. Halt uśmiechnął się ponuro.

- Oj, już ja im powiem - zapewnił. Następnie wspiął się na małego, kudłatego wierzchowca, który stał przy nim, i pogalopował na prawe skrzydło.

ROZDZIAŁ 3

Kopyta Abelarda dudniły głucho na miękkim gruncie wrzosowisk Hackham, w miarę jak koń przybliżał się do źródła kłopotów. Teraz, z mniejszego dystansu, Halt widział, że natarciu wargalów przewodzi jeden z oddziałów specjalnych Morgaratha. Walczący w nim byli więksi od innych, dobrani z uwagi na rozmiar, siłę i dzikość.

Nie dbali o własne straty, prac naprzód. Maczugi, topory i ciężkie dwuręczne miecze unosiły się i opadały, zataczając szerokie łuki.

Żołnierze z aralueńskiej armii padali przed tym nacierającym klinem.

Halta wciąż dzieliło od nich czterdzieści metrów i wiedział, że przybędzie za późno. Linia aralueńskiego wojska ugięła się pod naporem. Lada chwila mogła się skruszyć, jeśli zwiadowca nie podejmie działań.

Ściągnął cugle i zatrzymał Abelarda.

- Spokojnie - powiedział. Mały koń stał jak skała, nie zwracając uwagi na przerażającą kakofonię bitewnego zgielku i okropną, metaliczną woń świeżej krwi.

Halt odczepił łuk i stanął w strzemionach. Po chwili zaczął strzelać. W powietrzu świstały już trzy strzały, zanim pierwsza trafiła wargala, który prowadził nacierający klin. Halt wybrał do bitwy swój najmocniejszy łuk o maksymalnym dziewięćdziesięciofuntowym naciągu. Celny zasięg takiej broni sięgał czterdziestu metrów. Ciężka strzała o czarnym drzewcu przebiła zbroję ze wzmocnionej skóry i brązowych płyt, powalając bestię na miejscu. Dwie kolejne błyskawicznie dosięgły celu i uśmierciły dwóch wargalów. Śmiercionośne strzały śmigały jedna po drugiej, gdy Halt opróżniał swój kołczan, demonstrując budzącą grozę celność.

Mierzył w wargalów na czele klina, więc gdy padali, tamowali ruch następnych. Zwykły łucznik nawet nie próbowałby strzelać w ten sposób. Gdyby chybił, mógłby posłać strzały w plecy aralueńskich żołnierzy, którzy walczyli z wargalami.

Halt nie był jednak zwykłym łucznikiem. On nie chybiał.

Gdy skończyły mu się strzały, znowu pognął Abelarda naprzód. Dotarłszy na tyły linii walczących, zeskoczył z siodła i pobiegł dołączyć do żołnierzy. Po drodze zatrzymał się, odrzucił płaszcz i podniósł okrągłą tarczę, leżącą w trawie - technika obrony z użyciem dwóch noży na nic by się nie zdała przeciwko ciężkiej broni wargalów. Wahał się przez chwilę, patrząc na miecz, leżący obok wyciągniętej ręki poległego rycerza. Nie nawykł jednak

do takiej broni, więc porzucił pomysł, by się nią posłużyć. Przyzwyczyił się do swojej saksy, a jej ciężka, ostra jak brzytwa klinga doskonale nadawała się do walki na krótkim dystansie. Wyciągnął nóż i biegł naprzód, przepychając się między żołnierzami.

- Naprzód! - krzyknął. - Za mną! Odeprzemy ich!

Żołnierze rozstępowali się przed nim, aż znalazł się na przedzie, przed wielkim warczącym dowódcą oddziału wargalów. Był tylko trochę wyższy od Halta, lecz miał potężne barki i pierś, więc ważył zapewne dwa razy więcej. Halt zobaczył, że czerwona paszcza otwiera się i potwór obnaża kły na widok nowego wroga. Nabijana kolcami maczuga zatoczyła poziomy łuk w jego kierunku. Pochylił się, robiąc unik, i znalazł się pod nią, po czym natychmiast się wyprostował i pchnął saksę, zatapiając ją głęboko między żebrami bestii.

Zobaczył miecz, zbliżający się z lewej, zablokował cios tarczą, po czym kopniakiem zepchnął z ostrza saksy olbrzymiego wargala, aż konający potwór runął jak długi.

- Naprzód! - zawołał znowu, tnąc klingą gardło innego wargala i skacząc naprzód. Uniknął kolejnego miecza i dwa razy dźgnął przeciwnika przed sobą, po czym odepchnął go na bok, gdy ten w agonii zgiął się w pół. Wargalowie byli nadzwyczaj silni. Byli też jednak niezdarni, a Halt dysponował szybkością i refleksem węża. Uchyłał się, machał bronią, zadawał cięcia i pchnięcia, torując sobie drogę. Poczul teraz, że ktoś podąża za nim, usłyszał inny głos, który powtarzał jego krzyki.

- Dalej! Naprzód! Odeprzeć ich!

Załamanie nieprzyjacielskiego ataku, spowodowane deszczem strzał Halta i jego nagłym pojawieniem się, gdy parł naprzód i przejmował inicjatywę, tchnęło w aralueńskich żołnierzy nowego ducha. Ruszyli za Haltem i jego niezidentyfikowanym towarzyszem, znowu posuwając się naprzód.

Zwiadowca przystanął na chwilę, by się obejrzeć. O krok za sobą, nieco po lewej, zobaczył przysadzistego sierżanta, uzbrojonego we włócznię. Na jego oczach sierżant pchnął włócznię i przebił wargala, który zaskrzeczał przed śmiercią. Mężczyzna uśmiechnął się do Halta.

- Idź, idź, zwiadowco! Wchodzisz mi w drogę!

Za nim nadciągali inni, tworząc teraz własny klin i wbijając się coraz głębiej w szeregi wargalów.

Halt znowu patrzył przed siebie. Ruszył na niego wargal z toporem wzniesionym do śmiertelnego ciosu. Włócznia sierżanta wystrzeliła w przód nad ramieniem zwiadowcy, trafiła napastnika w krtań, uśmiercając wroga na miejscu.

- Dzięki! - zawołał Halt, nie oglądając się. Ruszyło na niego dwóch kolejnych wargalów. Odskoczył w bok, unikając pchnięcia mieczem pierwszego, poczuł, że jego stopa obraca się, trafiając na rękę martwego wroga, i runął na ziemię.

Drugi wargal zamachnął się na niego pałką, a to potknięcie zapewne uratowało Haltowi życie. Pałka ledwie trafiła go z boku, zamiast strzaskać czaszkę bezpośrednim uderzeniem. Oszołomiony, upadł na ziemię, a saksa wypadła mu z dłoni. Próbował wstać, ale tarcza na lewej ręce krępowała mu ruchy. Jak przez mgłę uświadomił sobie, że nieprzyjaciel z pałką stanął na tarczy i uniemożliwiał mu powstanie. Podniósł wzrok, wciąż zamroczony, i zobaczył, że pałka znowu się unosi.

Zatem to koniec, pomyślał. Zastanawiał się, czemu tak obojętnie godzi się ze swoją śmiercią. Może cios w głowę go spowolnił. Patrzył i czekał z fatalistycznym spokojem na uderzenie pałki.

Wtedy ujrzał nad sobą rozbłysk światła, odbitego od grotu włóczni, która zagłębiła się w pierś przeciwnika. Siła pchnięcia odrzuciła stwora w tył. Wydał z siebie ochryply okrzyk bólu i padł, znikając Haltowi z oczu. Sierżant żwawo przyskoczył do leżącego zwiadowcy, wyciągnął broń ze zwłok wargala i stanął w rozkroku, by chronić Halta przed następnymi atakami. Znowu zadał cios włócznią i jeszcze jeden wróg cofnął się w pośpiechu. Po chwili na drzewce broni spadł topór i ciężki żelazny grot zawirował w powietrzu, pozostawiając sierżanta tylko z dwuipółmetrowym jesionowym drągiem.

Haltowi kręciło się w głowie i miał mroczki przed oczami. Cios w głowę bez wątplenia nie pozostał bez efektu. Kończyny zwiadowcy osłabły i brakowało mu sił, by się podnieść. Scena przed jego oczami zdawała się rozgrywać w zwolnionym, sennym tempie.

Sierżant popatrzył na pozbawioną grotą włócznię, wzruszył ramionami, po czym zakręcił ciężkim jesionowym drzewcem i roztrzaskał je o hełm innego wargala. Trzymając teraz drzewce obiema rękami niczym długi kij, uderzył drugiego wroga, wbijając koniec kija głęboko w jego brzuch.

- Uwaga! - Halt próbował krzyknąć ostrzegawczo, lecz wydał z siebie coś na podobieństwo ochrypłego krakania. Dostrzegł trzeciego wargala, który przycupnął, skryty za towarzyszami, szykując do ciosu miecz o ząbkowanym ostrzu.

Jeden z rannych wargalów złapał drzewce, wytrącając sierżanta z równowagi, i klinga miecza wystrzeliła naprzód niczym atakujący wąż. Z trafionego boku sierżanta popłynęła czerwona krew. A jednak się nie zachwiał. Wyszarpnął swoją broń z uścisku przeciwnika, a potem, robiąc zamach jak do rzutu włócznią, pchnął nią na wprost, trafiając tępym końcem stwora, który go zranił, prosto między oczy.

Wargal wrzasnął i upadł, przykładając dłonie do rozbitego czoła i upuszczając miecz. Sierżant w jednej chwili złapał broń i odrzucił na bok drzewce. Ze zdumiewającą prędkością chlastał na prawo i lewo, zadając duże, cięte rany kolejnym dwóm nieprzyjaciołom. Jeden padł tam, gdzie stał, a drugi obrócił się i runął na swoich towarzyszy, obalając dwóch na ziemię. Sierżant sparował pchnięcie krótkiej żelaznej włóczni z prawej. Druga wystrzeliła z lewej i trafiła go w udo. Popłynęło więcej krwi. A jednak walczył dalej. Zabił uzbrojonego we włócznię wargala z niemal pogardliwą łatwością. Potem zaczął wymachiwać mieczem na wszystkie strony, zbierając śmiertelne żniwo wśród wrogów, którzy znaleźli się w jego zasięgu. Pchnięcie nożem rozcięło mu bok. Zignorował ranę i ranił właściciela noża zamaszystym ciosem.

Wtedy Halt zobaczył coś, czego się nie spodziewał.

Gdy zakrwawiona postać ruszyła naprzód, wnosząc i opuszczając miecz, zadając cięcia i pchnięcia, wargalów ogarnęła fala strachu.

Doborowa jednostka uderzeniowa Morgaratha, która dotąd nie obawiała się nikogo oprócz konnych rycerzy w zbrojach, cofnęła się z przerażeniem przed krwawiącym, śmiertelnie groźnym mężczyzną z mieczem.

A wtedy żołnierze Araluenu poczuli w sercu nową odwagę i ruszyli naprzód w ślad za sierżantem. Był poważnie ranny, ale walczył dalej, aż minął go tłum towarzyszy, którzy atakowali podupadłych na duchu wargalów, wydając triumfalne okrzyki.

Przez chwilę sierżant stał wśród pustej przestrzeni, która powstała na polu bitwy. Potem, gdy drugi szereg araluńskich wojowników przeszedł obok niego, by wesprzeć pierwszy, a linia nieprzyjaciół załamała się i zaczęła chaotycznie cofać, wypełniając powietrze chrapliwymi, nieartykułowanymi wrzaskami, kolana ugięły się pod nim i opadł na ziemię.

Zgiełk bitwy oddalił się, cofając się niczym fala odpływu, i Halt w końcu zdołał uwolnić rękę z tarczy, wciąż przygwożdżony do ziemi martwym ciałem wargala. Spróbował dźwignąć się na nogi, ale ten wysiłek go przerastał. Z bólem podpełzł więc do leżącego sierżanta po trupach wargalów, których tamten ubił.

Pomimo ran mężczyzna wciąż oddychał i z wysiłkiem odwrócił głowę, gdy Halt się doń zbliżył. Zdobył się na słaby uśmiech.

- Pokazaliśmy im, zwiadowco, prawda?

Halt ledwie usłyszał te słowa, a jego własny głos był ochrypły, gdy odpowiedział:

- Owszem. Jak cię zwą, sierżancie?

- Daniel.

Halt ścisnął jego przedramię.

- Trzymaj się, Danielu. Dasz radę. Uzdrowiciele nadejdą lada chwila.

Starał się wlać w swoje słowa tyle otuchy, ile się tylko dało. Lecz sierżant pokręcił głową.

- Dla mnie już za późno. - Nagle jego spojrzenie stało się natarczywe. Próbował się podnieść, ale opadł z powrotem.

- Leż spokojnie - powiedział mu Halt, lecz Daniel dźwignął głowę i nachylił się w jego stronę.

- Moja żona... - zdołał wyjąkać. - Moja żona i dziecko. Obiecuj, że... - Zakaszłał i krew popłynęła mu po brodzie.

- Zaopiekuję się nimi - zapewnił zwiadowca. - Ale nie martw się. Niedługo ich zobaczysz.

Sierżant pokiwał głową i opuścił ją z powrotem. Zrobił przeciągły, urywany wdech. Potem najwyraźniej się uspokoił, a jego oddech stał się spokojniejszy, jakby obietnica Halta uwolniła jego umysł od wielkiego ciężaru.

Wtedy Halt usłyszał w pobliżu głosy i kroki. Czyjeś ręce obróciły go łagodnie i po chwili patrzył na zatroskane twarze dwóch sanitariuszy, którzy położyli przy nim nosze. Wykonał słaby gest w kierunku Daniela.

- Mnie nic nie jest - powiedział. - Najpierw weźcie sierżanta.

Bliższy z sanitariuszy zerknął na Daniela i pokręcił głową.

- Nic nie możemy dla niego zrobić - stwierdził. - Nie żyje.

ROZDZIAŁ 4

Halt się obudził.

Przez kilka chwil zastanawiał się, gdzie się znajduje. Leżał na plecach i widział nad sobą płócienny dach dużego namiotu. Słyszał cicho poruszających się wokół ludzi, którzy rozmawiali stłumionymi głosami. Gdzieś, w pewnej odległości, jęczał jakiś mężczyzna. Spróbował obrócić głowę, ale nagły ruch wywołał falę takiego bólu, że aż stęknął.

Uniósł rękę do czoła i poczuł gruby bandaż. Pamięć zaczęła mu wracać.

Bitwa z wargalami. Przypominał ją sobie... Przypominał sobie uderzenie pałki, która trafiła go w bok głowy... To właśnie ono musiało stanowić przyczynę pulsującego bólu, który teraz odczuwał. Przypominał też sobie sierżanta. Jak on się nazywał? Dawid? Nie! Daniel. Daniel uratował mu życie.

Potem ogarnął go smutek, gdy wróciły do niego słowa noszowego. Daniel nie żył.

Jak długo tu był? Pamiętał, że stracił przytomność, gdy sanitariusze układali go na noszach. Miał wrażenie, że stało się to ledwie kilka minut temu. Spróbował się podnieść i znowu ukłuł go ból za oczami. Ponownie stęknął i tym razem w polu jego widzenia pojawiła się twarz, która na niego patrzyła.

- Ocknąłeś się - stwierdził sanitariusz. Wyciągnął dłoń i położył ją na czole Halta, sprawdzając temperaturę. Wyraźnie zadowolony, że nie stwierdził gorączki, lekko dotknął bandaża, upewniając się, że wciąż mocno trzyma.

- Jak... długo... - Głos uwiązał rannemu w obolałym, suchym gardle. Medyk przytknął mu do warg kubek zimnej wody, ostrożnie uniósł jego głowę i pozwolił mu się napić. Woda smakowała cudownie. Zwiadowca przełknął i zakrztusił się; kaszel znowu wywołał ból głowy, więc zamknął oczy.

- Widzę, że ciągle odczuwasz skutki bitwy - odezwał się sanitariusz. - Uzdrowiciele powiedzieli, że nie ma ciężkich obrażeń. Po prostu musisz jeszcze poleżeć kilka dni, by ból ustąpił.

- Jak długo... tu jestem?

Tamten wydał wargi.

- Policzmy. Przynieśli cię przedwczoraj wieczorem, czyli jakieś trzydzieści sześć godzin.

Trzydzieści sześć godzin! Leżał tu nieprzytomny przez półtorej doby! Nagle poczuł

zimny dreszcz lęku.

- Wygrał? - spytał. Pamiętał, że wargalowie cofnęli się w obliczu ataku Daniela, ale to mógł być odosobniony epizod. Sanitariusz uśmiechnął się, przytakując.

- O tak. Morgarath ze swoimi bestiami został doszczętnie pobity. Niektórzy nazwali to nawet pogromem. Ponoć miałeś w nim swój udział?

Zadał to pytanie z ciekawością, jakby chciał usłyszeć jak najwięcej o bitewnych wyczynach Halta. Lecz zwiadowca go zbył.

- Ciągle jesteśmy pod Hackham? - spytał.

- Tak. Konnica ściga wroga, ma się rozumieć. Ale reszta wojsk nadal jest tutaj. Choć już niedługo. Wkrótce odejdą.

- Dokąd?

- Rozejdą się. Wojna się skończyła. Żołnierze wrócą do swoich gospodarstw i rodzin. Nareszcie.

Do gospodarstw i rodzin. Te słowa wywołały w umyśle Halta kolejne wspomnienie. Daniel mówił o swojej żonie i dziecku. A on obiecał, że im pomoże. Teraz jednak zdał sobie sprawę, że nie ma pojęcia, gdzie szukać rodziny sierżanta, a skoro armia naprawdę została zdemobilizowana - może jej nigdy nie znaleźć. Bez namysłu usiadł i przewiesił nogi przez skraj łóżka, po czym skulił się, przeszyty dojmującym bólem. Sanitariusz próbował go powstrzymać.

- Proszę! Leż, zwiadowco! Musisz odpocząć.

Halt jednak chwycił jego przedramię i stanął przy łóżku, choć wciąż się chwiało. Kilka razy zamrugnął powiekami. Ból nieco zelżał. Ale nie ustąpił.

- Nie mam czasu - powiedział. - Przynieś mi coś na ten ból głowy. Muszę się dowiedzieć, gdzie on mieszkał.

Przypomniał sobie, że grupa żołnierzy, których miał pod komendą, pochodziła z Seacliff, Aspienne i Culway. Ci, którzy go otaczali, gdy przedzierał się przez przednie szeregi, nosili na tunikach godło z czarnym borsukiem. Ten sam symbol widział na stroju Daniela. Nie miał pojęcia, jaka jednostka używała tego herbu, więc skierował się do namiotu dowództwa i do królewskiego Mistrza Sztuk Walki.

Gdy dotarł na miejsce, okazało się, że mistrza nie ma. Oczywiście, kierował pościgiem, który pędził Morgaratha i wargalów na południowo-wschodni kraniec królestwa. Był za to jego sekretarz, który prowadził dokumentację strat, uzupełnień i awansów. Na widok Halta podniósł wzrok i posłał mu ciepły uśmiech. Cała armia słyszała o dokonaniach

Halta podczas bitwy.

- Dzień dobry, zwiadowco - powitał gościa.

Potem zauważył zakrwawiony bandaż i zobaczył, że przybyły chwieje się na nogach i wyciąga rękę, by oprzeć się o blat.

- Dobrze się czujesz? - spytał z niepokojem. Wstał i popędził poszukać zydła dla Halta. Zwiadowca usiadł z wdzięcznością. Kilka razy zamrugał powiekami. Wciąż miał zamglony wzrok. Liczył, że mu przejdzie. Nie wyobrażał sobie strzelania z łuku przy tak słabym widzeniu.

- To tylko ból głowy - stwierdził. - Potrzebuję pewnych informacji. Objąłem dowództwo na prawym skrzydle pod koniec bitwy...

- Rzeczywiście - przytaknął z serdecznością sekretarz.

- Całe wojsko o tym słyszało.

- Był tam pewien żołnierz. Sierżant imieniem Daniel. To on poprowadził natarcie, kiedy leżałem na ziemi. Czy ktoś podał jego nazwisko? Albo ma informacje o miejscu jego zamieszkania?

Urzędnik jednak pokręcił głową.

- Nie mam pełnego spisu. Każdy pododdział zajmuje się swoimi ludźmi. Do której jednostki należał?

- Nie jestem pewien. Nosili znak z czarnym borsukiem.

Sekretarz zmrużył na chwilę w skupieniu oczy, po czym oblicze mu się rozjaśniło.

- Z czarnym borsukiem? To kompania kapitana Stanton z lenna Aspienne. Obozuje na północ stąd, na niewielkim wzgórzu. Stanton został poważnie ranny, zanim przejąłeś jego ludzi. Odwieziono go z powrotem do Zamku Aspienne. Ale jego starszy sierżant powinien ci pomóc.

- Dziękuję za odpowiedź. - Halt wyszedł z namiotu. Zatrzymał się na chwilę i spojrzał na północ. Na małym wzgórzu w odległości kilkuset metrów dostrzegł kilka namiotów, rozstawionych wokół sztandaru. Z tej odległości nie rozpoznawał kształtu na fladze, ale widział jego czarną barwę. Skierował się w tamtą stronę.

Zgodnie ze zwyczajem sztandar oznaczał pozycję namiotu oficera dowodzącego. Gdy Halt podszedł bliżej, stwierdził, że miał rację. Na fladze widniał czarny borsuk. Zwiadowca przystanął przy otwartym wejściu. Namiot dowódcy był większy niż zwykle, czteroosobowe, które stały dookoła. Pracował tu dowódca i jego sztab, namiot pełnił więc zarazem funkcję gabinetu dowodzenia. Tylną część oddzielono parawanem - mieściła się tam kwatery kapitana. Teraz oczywiście świeciła pustkami. Przy stole z przodu siedziała jednak zwałista

postać, marszcząc brwi nad kartką papieru. Był to starszy mężczyzna, lekko szpakowaty i rozsiewający wokół charakterystyczną aurę doświadczenia i autorytetu - bez wątpienia sierżant, o którym wspomniał sekretarz. Podniósł wzrok po wejściu Halta i popatrzył na płaszcz zwiadowcy oraz na bandaż na jego głowie.

- Wygląda na to, że widziałeś wojnę z bliska - stwierdził i wyszczerzył się.

Halt pozwolił sobie na słaby uśmiech.

- Tylko jedną. Tę samą, co ty. Próbuję ustalić adres domowy jednego z waszych ludzi.

Sierżanta o imieniu Daniel.

Twarz tamtego stężała i ze smutkiem pokręcił głową.

- Daniel? Dobry był z niego żołnierz. Niestety, straciliśmy go w ostatniej bitwie.

- Wiem. Tuż przed śmiercią uratował mi życie.

Starszy mężczyzna spojrział na Halta ze zwiększonym zainteresowaniem.

- A - powiedział. - To ty jesteś tym zwiadowcą, tak?

- Wstał zza stołu i wyciągnął rękę. - To dla mnie zaszczyt. Nazywam się Griff.

Zwiadowca poruszył się niespokojnie. Nie lubił znajdować się w centrum uwagi. To nie było w jego stylu. Wolał dyskretnie podążać przez życie i w miarę możliwości nie rzucać się w oczy. Uścisnął jednak dłoń tamtego.

- Jestem Halt - przedstawił się.

Griff gestem zaprosił go na krzesło i sam także usiadł. W zamyśleniu wyduł wargi.

- Chyba niewiele mogę ci powiedzieć. Mobilizacja wojska odbywała się w pośpiechu, a Daniel był nowy w tym lennie. Razem z żoną przeprowadził się z Norgate niedługo przed wybuchem wojny. - Wskazał stertę papierów i zwojów rozrzuconych na stole, który służył za biurko. - Nie mieliśmy czasu na zapisanie wszystkich szczegółów o żołnierzach przed wymarszem. Próbuję to teraz uzupełnić.

- Możesz mi powiedzieć cokolwiek na jego temat? - spytał Halt.

- Miał gospodarstwo, zdaje się, gdzieś w południowo-wschodniej części Aspienne. Ale nie mam pojęcia, gdzie dokładnie.

- Miał w kompanii jakichś przyjaciół, którzy mogliby coś wiedzieć?

Starszy sierżant kręcił głową, jeszcze zanim Halt dokończył pytanie.

- Możliwe. Chociaż jako sierżant trzymał się pewnie trochę z dala od innych żołnierzy. Spróbuj popytać. Dowodził szóstą drużyną. Znajdziesz ją o jeden szereg dalej, w połowie zbocza.

- Jestem wdzięczny - rzekł Halt. Wstał na nogi i znowu się skrzywił, gdy ból przeszył mu czoło. Położył dłoń na blacie, by nad sobą zapanować, i Griff popatrzył na niego z troską.

- Powinieneś wstawać i chodzić? Nie wyglądasz zbyt dobrze.

Zwiadowca pokręcił głową... i natychmiast tego pożałował.

- Nic mi nie będzie - zapewnił. - To tylko lekkie oszołomienie. Świeże powietrze lepiej mi służy niż duszny namiot uzdrowiciela.

- To prawda. - Griff z rozczarowaniem popatrzył na formularze i dokumenty na swoim biurku, jakby liczył, że same się wypełnią, kiedy on rozmawiał.

- Cóż... Przykro mi, że nie mogłem bardziej pomóc.

Halt podniósł rękę na znak podziękowania.

- Przydaje się każda, nawet najdrobniejsza informacja.

Ruszył między rzędami schludnych namiotów, przechodząc między dwoma z nich, by dotrzeć do kolejnego szeregu. Mniej więcej dziesięć metrów dalej dostrzegł tabliczkę, zawieszoną na drzewcu włóczni i oznaczoną cyfrą 6. Popatrzył na kolejne pięć namiotów i ujrzał podobną tabliczkę, tym razem z numerem 7. Pięć namiotów, w każdym czterech ludzi - drużyna liczyła łącznie dwadzieścia osób. Przy założeniu, że wszyscy przeżyli, a wiedział, że to nieprawda. Trzej żołnierze leniuchowali na słońcu przed pierwszym namiotem. Podnieśli wzrok, gdy padł na nich cień. W ich oczach czaiła się podejrzliwość, ale Halt już do tego przywykł, odkąd wraz z Crowleyem zreformował Korpus Zwiadowców. Oficerowie i sierżanci cenili wartość, którą ten korpus wносił do armii, ale zwykli żołnierze czuli się nieswojo w obecności odzianych w szarość i zieleń postaci. Wiedział o krążących szalonych plotkach, że zwiadowcy uprawiają czary.

- Dzień dobry - powiedział beznamiętnym tonem.

Tamci skinęli głowami, wyciągając szyje, by przyjrzeć się przybyłemu. Siedzieli na niskich stołkach. Jeden łątał rozdarty kaftan, drugi strugał patyk nożem, trzeci zaś żuł powoli kawałek suszonej wołowiny. Z miejsca, w którym stał Halt, wyglądało na to, że mięso wygrywa w tym starciu. Zwiadowca wskazał wolny stołek, stojący nieco dalej.

- Mogę dołączyć do was na kilka chwil? - spytał.

Mężczyzna łątający kaftan skinął głową.

- Czemu nie? - odparł głosem, w którym nie było słyhać ani zachęty, ani sprzeciwu.

Jego żujący wołowinę towarzysz wbił spojrzenie w Halta i zmarszczył brwi z wyrazem zrozumienia na twarzy.

- Znam cię... - powiedział z namysłem, próbując odszukać wspomnienie w swojej głowie. - Brałeś udział w bitwie! - stwierdził. - Napierali na nas i nagle zjawiłeś się ty, ruszyłeś naprzód, chlastałeś wargalów i krzyczałeś, żebyśmy szli za tobą. Świetnie się spisałeś. Świetnie! - Odwrócił się do pozostałych. - Widzieliście go? Najpierw położył

przynajmniej tuzin tamtych ze swojego łuku, potem rzucił się między nich, ciął i pchał. A spójrzcie na niego! Ledwie większy od młodego chłopaka.

Halt uniósł brwi na te słowa. Nie był najpotężniejszym z mężczyzn, ale wiedział, że żołnierz trochę przesadza. Widział jednak, że nie chciał go obrazić, więc puścił tę uwagę mimo uszu.

- Wasz sierżant mi pomógł - powiedział i tamci z zapalem przytaknęli.

- Prawda! Ruszył na nich, kiedy upadłeś. Chyba też zabił ich z tuzin!

Zwiadowca uśmiechnął się bez słowa. Ten człowiek miał skłonność do przesady.

- Wykonał znakomitą robotę - przyznał.

Żujący wołowinę odwrócił się do kolegów.

- Widzieliście go?

Obaj pokręcili głowami.

- Byliśmy trochę dalej, z prawej - odparł ten, który łątał kaftan. - Widzieliśmy tylko, że szereg już się łamał i lada chwila mógł przejść do odwrotu, a potem znowu ruszył naprzód. A później to wargalowie uciekali.

Pytanie jednak było retoryczne, a żujący wołowinę pragnął ciągnąć swoją opowieść.

- Załatwił czterech albo pięciu włócznie. Potem jeden z nich odciął jej grot, a on używał jej jak pałki, kręcił nią i przewracał ich niby kręgle. Potem złapał miecz i zabił ośmiu czy dziewięciu, zanim go dopadli. - Spojrzał na Halta, chcąc uzyskać potwierdzenie. - Widziałeś to, zwiadowco! Jak sądzisz, ilu zabił?

- Przynajmniej ośmiu - odrzekł Halt. Nie widział powodu, by zaprzeczać słowom mężczyzny. Atmosfera stała się nagle znacznie serdeczniejsza niż przedtem. - Chciałem się czegoś o nim dowiedzieć - oznajmił. - Wiecie może, gdzie mieszkał?

Doznał zawodu, widząc, że na trzech twarzach maluje się znajomy już wyraz niepewności.

- Przykro mi - powiedział żołnierz, który wychwalał czyny i odwagę Daniela. - Był nowy w jednostce i w okolicy. Szybko awansował.

- Zgadza się - dorzucił drugi, odkładając załatany kaftan. - Przypadł do gustu kapitanowi, który prawie od razu mianował go sierżantem. Zdaje się, że miał jakieś doświadczenie wojskowe w Norgate, zanim przybył do Aspienne.

- Awansował tak szybko, że w sumie nie mieliśmy czasu go poznać - odezwał się ten, który strugał patyk. - Chyba coś wspominał o jakimś gospodarstwie...

Ucichł, niepewny swojej wiedzy. Zapadło krępujące milczenie. Halt zaczął podnosić się ze stołka, sądząc, że jego starania, by odnaleźć rodzinę Daniela, znowu spełzną na niczym.

Ale mężczyzna, który pierwszy przemówił i żuł suszoną wołowinę, najwyraźniej podjął decyzję.

- Powinieneś spytać Korda i Jerrela - podsunął. - Mogą coś wiedzieć.

- O ile ci powiedzą - wtrącił żołnierz, który naprawił swój kaftan.

Zwiadowca spoglądał to na jednego, to na drugiego.

- Jak rozumiem, nie przepadacie za tymi dwoma?

Trzej żołnierze wymienili spojrzenia. W końcu odpowiedział mu ten, który uprzednio wspominał dwa imiona:

- To kłamcy i oszuści. Grają w kości i na początku próbowali zaprzyjaźnić się z Danielem, zapraszając do gry i dając mu fory. Podejrzewam, że pozwolili mu wygrać w kości, żeby wkraść się w jego łaski. Ale szybko przejrzał ich plan i musieli harować, jak inni. Więc dali sobie spokój.

- Dlaczego sądzicie, że będą wiedzieć, gdzie mieszkał? - spytał Halt i znowu zapanowała niezręczna cisza. W końcu przemówił żołnierz strugający patyk.

- Zawsze chcieli wiedzieć, gdzie każdy mieszka. Pytali wszystkich, skąd pochodzą, co robili w domu. Nic nie udowodnię, ale podejrzewam, że prowadzili zapiski. Planowali wrócić po wojnie i okradać ludzi.

- Zwłaszcza tych, którzy zginęli w bitwie - dodał ciężko ten od kaftana. - Wiedzieli, że osierocone rodziny będą łatwą zdobyczą. Zrobiliby coś takiego, bez dwóch zdań. Pewnie wiedzą, gdzie znaleźć gospodarstwo sierżanta.

- Cała sztuka w tym, żeby ci powiedzieli - stwierdził żujący wołowinę, a pozostali pokiwali głowami.

Halt potoczył wzrokiem po niewielkim kręgu twarzy, widząc niesmak wobec dwóch hien o imionach Kord i Jerrel.

- Jak z nimi pogadać? - spytał.

Ten od kaftana uniósł brwi.

- Zagraj z nimi w kości - odparł. - Ale bądź przygotowany na porażkę.

ROZDZIAŁ 5

Szeregowy Jerrel z kompanii czarnego borsuka pracował nad dwiema kośćmi. Pierwszą skończył wcześniej, a teraz już niemal uporał się także z drugą. Chciał spiłować ostre rogi, lekko je zaokrąglając, by miała tendencję do przekręcania się na określoną stronę i pokazywania szóstki częściej, niż nakazywałoby zwykle prawdopodobieństwo. Metoda nie była tak skuteczna, jak umieszczanie w środku ciężarków. Ale zaokrąglenie rogów zwiększało szanse na zwycięski rzut.

W kieszeni miał parę obciążonych kości, starannie przygotowanych tak, by wypadały na nich głównie jedyńka i dwójka. Ale stosowanie ciężarków było niebezpieczne, bo usunięcie wszelkich śladów tego, że umieszczono je w środku, wymagało czasu. Drugą parę skonfiskował mu kilka dni temu przechodzący oficer. Teraz musiał uciec się do zaokrąglenia rogów. Trzeba było mieć dwie pary przerobionych kości, by oskubać nową ofiarę. Za pomocą pierwszej należało wzbudzić zainteresowanie, pozwolić wygrać kilka pierwszych prób. Następnie, gdy nieszczęśnik sądził, że dopisuje mu szczęście, proponowało się podniesienie stawki. A kiedy już się zgodził, wystarczyło podmienić kości, by wyrzucił przegrywającą liczbę oczek.

Cień padł na wejście do namiotu i Jerrel pospieszenie wetknął pod koc kości oraz pilnik. Wejście do namiotu było przez chwilę przesłonięte i do środka wkroczył mężczyzna. Jerrel podniósł wzrok i zmarszczył czoło. Przybysz miał przewieszony przez ramię chlebak, przewiązany był pasem, do którego przytroczył miecz w pochwie. Miał na sobie żołnierski mundur z czarnym borsukiem na lewej piersi. Rozejrzał się po wnętrzu namiotu, zobaczył pustą pryczę i rzucił na nią swoje rzeczy.

- Kim jesteś, do diabła? - spytał Kord. Leżał z tyłu na swojej pryczy po przeciwległej stronie namiotu, a w jego głosie pobrzmiwało wyraźne niezadowolenie. Razem z Jerrelem cieszyli się, że mają namiot tylko dla siebie. Koledzy, którzy z nimi kwaterowali, zginęli albo odnieśli rany w bitwie. Teraz wyglądało na to, że miał do nich dołączyć ktoś nowy.

- Nazywam się Arratay - oznajmił nieznajomy. - Przenieśli mnie z drugiej drużyny. Starszy sierżant powiedział, że mam sobie znaleźć pryczę tutaj.

Był niski, o lekkiej budowie, lecz szerokich ramionach i wydatnej klatce piersiowej. Brodę i włosy miał zmierzwione i niechlujne. Głowę otaczał mu szorstki bandaż.

Włosy nad bandażem były czarne, a oczy poniżej - ciemne i przenikliwe. Jak u

drapieżnego ptaka, pomyślał Jerrel. Potem uśmiechnął się drwiąco na tę myśl. Bardziej prawdopodobne, że tamten sam padnie ofiarą drapieżników, czyli jego i Korda, gdy tylko uda się dokończyć te kości. Tak czy inaczej nie chciał, by nowy zamieszkał z nimi w namiocie.

- Znajdź sobie pryczę gdzie indziej - powiedział krótko. - Tu jest pełno.

- Jest was tylko dwóch - odrzekł rozsądnie Arratay, rozglądając się po namiocie.

- Słyszałeś - rzucił Kord. - A teraz się stąd wynoś.

Arratay wzruszył ramionami.

- Skoro tak mówisz...

- Mówię - odparł Kord - więc idź.

Znowu wzruszając ramionami, przybysz wziął swoje rzeczy i wyszedł z namiotu. Jerrel posłał uśmiech Kordowi. Łatwo poszło, pomyślał. Po chwili twarz mu spochmurniała, gdy usłyszał donośny głos przed namiotem.

- Ej, ty! Ratataj, czy jak się tam nazywasz! Dokąd się wybierasz? Kazałem ci znaleźć pryczę w namiocie czterdziestym trzecim, prawda?

- Ale jest pełny, starszy sierżancie - odparł Arratay.

- Akurat!

Kord i Jerrel wymienili zrozpaczone spojrzenia, słysząc ciężkie, nadciągające kroki. Po chwili poła tkaniny odchyliła się i wejście wypełniła zwalista sylwetka starszego sierżanta Griffa.

- Jak ten namiot jest pełny, to moja ciocia ma wąsy! Właż tutaj! - Zgromił wzrokiem obu mieszkańców namiotu. - Zróbcie miejsce! - ryknął.

- Tak jest, starszy sierżancie - powiedział ponuro Jerrel. Kord zdobył się tylko na mruknięcie. Gdy Arratay znowu wszedł do środka, Griff stanął przed nim, by zagrozić mu drogę, wziął się pod boki i przyjął agresywną postawę.

- A co do ciebie, Ratataj, zamelduj się w kuchni i przez resztę dnia szoruj garnki i kubły na śmieci. Może następnym razem będziesz pamiętał, żeby robić, co mówię!

- Tak jest - odrzekł niski mężczyzna. Opuścił wzrok, nie patrząc tymczasowemu dowódcy w oczy. Ale wykonał obraźliwy gest w kierunku pleców starszego sierżanta, gdy ten już wychodził. Potem odwrócił się do Jerrela i Korda, wzruszając ramionami.

- Przepraszam za to - powiedział.

Jerrel i Kord popatrzyli po sobie, po czym ten pierwszy wstał, wziął torbę przybysza i położył ją na pustej pryczy.

- Nic nie poradzisz. Griff umie się dać we znaki. Lepiej idź do tej kuchni, bo znowu się do ciebie przyczepi.

- Dostrzegł spojrzenie Korda. Gdy tylko nowy wyjdzie, przeszukają jego rzeczy i sprawdzą, czy ma coś, co warto ukraść. Kord od niechcienia pokiwał głową. Myślał o tym samym.

Arratay westchnął i odwrócił się. Gdy był już przy wejściu, Kord zawołał za nim:

- Jak już skończysz robotę, może miałbyś ochotę na partyjkę w kości?

Arratay uśmiechnął się i odrzekł:

- Byłoby fajnie.

Kord wyrzucił ręce w górę w geście udawanej rozpacz.

- Znowu zwycięski rzut! Skąd się bierze twoje szczęście, Arratay?

Drobny żołnierz uśmiechnął się radośnie, zagarniając wygraną. Miał trzy udane rzuty z rzędu i na niskim stoliku, przy którym siedziała cała trójka, piętrzył się budzący respekt stos monet.

- Pewnie mam po prostu dobry dzień - odparł, pchając do przodu kolejny zakład i potrząsając kośćmi w kubku. Zagrzechotały, po czym wyrzucił je na stół.

- Znowu dwie szóstki! - stwierdził Jerrel. - Nie do wiary! - Spojrzał na towarzysza. - Chyba mamy w namiocie zawodowca. - Kord posępnie pokiwał głową, ale Arratay tylko się roześmiał.

- Nie, chłopaki. To tylko czyste życie i czyste sumienie. Chcecie podnieść stawkę? - Zadał to pytanie od niechcienia, ale dostrzegł szybkie, ukradkowe spojrzenie, które wymienili mężczyźni. Kord zgodził się po krótkim, fałszywym wahaniu.

- No, może to szaleństwo, ale czemu nie? Będziemy mieli szansę częściowo się odegrać.

- Wcześniej wygram od was wszystko - uśmiechnął się Arratay. Położył przed sobą kolejną stawkę, poczekał, aż tamci wyrównają, i znowu rzucił. Tym razem wypadło jednaście, ale i tak było to automatyczne zwycięstwo.

- Czy umiesz wyrzucić cokolwiek innego niż piątki i szóstki? - spytał Jerrel.

- Nie, kiedy się rozgrzeję. - Arratay znowu się uśmiechnął. Ale jego oczy zwięzły się, bo tym razem, zamiast pozwolić mu wziąć kości, Kord je podniósł i mu podał.

Dokonał podmiany, pomyślał Halt. Wziął kości, umieścił je w kubku, potrząsnął i rzucił.

Dwaj pozowali wydali ironiczny okrzyk, gdy ukazały się jedyńka i dwójka.

- Trzy! - stwierdził Jerrel. - Nareszcie!

Gra była prosta. Jedenaście i dwanaście automatycznie zapewniały wygraną. Liczby

dwa i trzy przegrywały. Żaden inny wynik się nie liczył. Uczestnik rzucał po prostu tak długo, aż wygrał albo przegrał. Halt skrzywił się, gdy tamci zgarnęli pieniądze, które postawił. Kości przeszły do Jerrela, który wyrzucił sześć. Potem cztery, a potem dwa. Halt odzyskał niewielką część tego, co przegrał po ostatnim rzucie. Kord wziął kości i chwilę się nimi bawił, nim włożył je do kubka.

Znowu je podmienił, pomyślał zwiadowca, a Kord, jak było do przewidzenia, wyrzucił jedenaście, a później dwanaście, wygrywając dwa drobne zakłady, po czym znowu wziął drugi zestaw kości i przegrał. Przed podaniem kości Haltowi zamienili je na te wygrywające. Dwaj oszuści nie chcieli, by Arratay - sądzili, że tak się nazywa - zbyt szybko stracił entuzjazm. Rozgrywka trwała dalej, Halt to wygrywał, to przegrywał, ale wychodził na swoje.

Tamci próbowali poić go winem, które rozsądnie wylewał do starego buta, gdy nie patrzyli. Udawał jednak, że alkohol działa na niego coraz bardziej, mówiąc bełkotliwie i ciesząc się jak głupiec z wygranych.

- Jutro wielki dzień - powiedział, gdy rozgrywka trwała już jakiś czas. - Wyruszamy wcześniej i maszerujemy na południe.

Jego dwaj towarzysze zareagowali na te słowa zaskoczeniem.

- Na południe? - powtórzył Kord. - Czemu na południe? Mieliśmy iść w stronę domu, a potem się zdemobilizować.

Halt pokręcił głową i popatrzył na nich z powagą.

- Już nie. Już nie - powiedział, stukając się palcem wskazującym w bok nosa. - Wargalowie stawiają większy opór od spodziewanego. Morgarath znowu ma nad nimi pełną kontrolę i Duncan potrzebuje dodatkowych ludzi. To my nimi jesteśmy - dodał po krótkiej pauzie.

Widział, że wieści wywarły upragniony efekt. Kord i Jerrel popatrzyli po sobie. Później ten drugi zaczął dalej go wypytywać.

- Gdzie to usłyszałeś?

Halt kciukiem wskazał ogólny kierunek administracyjnej części obozu za swoim ramieniem.

- W kuchni - powiedział. - Kucharze odebrali dostawę dodatkowych racji, żeby je dla nas przygotować.

Teraz obaj oszuści wydawali się głęboko przejęci. Kuchenne plotki stanowiły źródło ważnych informacji dla szarych żołnierzy. I uważano, że często się potwierdzają. Halt, ma się rozumieć, nie słyszał żadnych pogłosek. Liczył jednak, że myśl o natychmiastowym

wymarszu na południe zmusi Korda i Jerrela do działania. Jeśli planowali obrabować gospodarstwo Daniela, sprawy mogły nabrać tempa.

Nachylił się w przód, wbijając zamglone spojrzenie w stół.

- Gdzie te kości? - spytał. - Znowu moja kolej.

- Proszę - powiedział Kord, podając mu kości i kubek. Przed chwilą przegrał ostatni rzut i kolejka przeszła na Halta. Zwiadowca był niemal pewien, że dostał przegrywającą parę. Następne słowa Jerrela potwierdziły jego przypuszczenia.

- Robi się późno. Postawmy wszystko na jeden, ostatni zakład. Co wy na to?

Kord udawał, że ma wątpliwości.

- To zależy od Arrataya.

Halt wzruszył ramionami.

- Czemu nie? Czuję, że moje szczęście wraca.

Wszyscy rzucili pieniądze na środek stołu. Halt sięgnął po metalowy kubek i pociągnął głęboki łyk, największy przez cały wieczór. Potem niezdarnie odstawił kubek i rozlał resztę wina na stół, który nachylił w stronę Jerrela, tak że czerwona strużka pociekła po drewnie na jego kolana. Jerrel odskoczył i zaklął.

- Uważaj! - krzyknął.

- Przepraszam. Przepraszam - tłumaczył się Halt. Lecz w całym zamieszaniu podmienił przegrywające kości na inną parę, którą miał w kieszeni. Przygotował ją po południu, gdy miał siedzieć w kuchni, a były tak wyważone, by za każdym razem wypadła dwunastka.

Potrząsnął kośćmi, coś do nich zamruczał, a potem wyrzucił na stół.

- Masz pe... - zaczął Kord, który już sięgał po pieniądze. Zatrzymał się jednak na widok dwóch szóstek, które zdawały się szczyryć do niego niczym rzędy zębów w maleńkich czaszkach.

- Jak ty... - Jerrel urwał, uświadomiwszy sobie, że lada chwila może się zdradzić. Może i Arratay był pijany, ale nie aż tak.

Halt uśmiechnął się głupawo, po czym zagarnął dwa sześciany ku sobie.

- Szczęśliwe kości! Kocham je! - oznajmił.

Udał, że hałaśliwie je całuje i znowu podmienił swój zestaw na ten przegrywający, który mu podano. Następnie wsunął własne kości do kieszeni, a tamte rzucił na stół i zaczął zbierać wygraną.

- Bez urazy, chłopaki - powiedział. - Jutro dam wam szansę na rewanż.

- Tak. Pewnie. Jutro - odrzekł Kord. Lecz z jego tonu Halt wywnioskował, że jutro nie

będzie żadnej gry. Nie będzie też ani śladu Korda i Jerrela.

Pół godziny później Halt leżał na plecach, ciężko i głośno oddychając przez usta w udawanym śnie. Dwaj jego towarzysze z namiotu rozmawiali przyciszonymi głosami. Czekali, by zyskać pewność, że Arratay głęboko zasnął. Kord sprawdzał kości, turlając je raz za razem i ciągle uzyskując niskie wyniki.

- Nie rozumiem - stwierdził cicho. - To po prostu niemożliwe, że wyrzucił dwanaście tymi kośćmi.

- Uważaj - ostrzegł Jerrel, rzucając szybkie spojrzenie w kierunku Halta. Jego rozmówca jednak machnął lekceważąco ręką.

- A tam, śpi jak kamień - odrzekł. - Widziałeś, ile wypił? Jest nieprzytomny jak but.

Usta Halta zadrgały lekko z rozbawienia. W tym namiocie rzeczywiście jest zalany but, pomyślał. Przez własny głośny oddech z trudem słyszał, co tamci mówią, więc poruszył się, mruknął coś pod nosem i przewrócił się na bok, plecami do nich. Chrapanie ustało, bo nie leżał już na plecach, ale nadal oddychał równo i głęboko. Kord i Jerrel wahali się przez chwilę, ale szybko się odprężyli, gdy stało się jasne, że ich towarzysz się nie obudził.

Kord znowu sprawdził kości. I znowu wyrzucił trójkę.

- Odlóż je - rzucił ze złością Jerrel. - To był przypadek. Pewnie trafiły na szczelinę albo szczerbę w blacie. Poza tym mamy ważniejsze sprawy na głowie.

Jego kolega z ociąganiem wsunął kości do kieszeni.

- Chodzi ci o te plotki o wymarszu na południe?

Jerrel przytaknął.

- Ostatnie, czego chcemy, to wpakować się w kolejną kampanię. Może się ciągnąć tygodniami, a my mamy sprawy gdzie indziej. Jeśli się nie pospieszymy, rodziny mogą przybyć na pomoc wdowom, a wtedy stracimy swoją szansę.

Leżący tyłem Halt mógł sobie pozwolić na gniewny grymas. Rzeczywiście, pomyślał, ci dwaj planują obrabować rodziny żołnierzy poległych w bitwie.

- No to jaki masz plan? - spytał Kord.

Jerrel przez chwilę milczał, po czym podjął decyzję.

- Wyrwijmy się dziś w nocy. Ruszymy godzinę lub dwie przed świtem traktem na północ. Najpierw zajmiemy się gospodarstwem sierżanta. Jest najbliżej.

- Za dezercję grozi nam chłosta - zauważył Kord, lecz Jerrel zlekceważył ostrzeżenie.

- Nie złapią nas. Po ostatnich stratach nie będą nawet pewni, że uciekliśmy.

- Griff będzie wiedział. Coś czuję, że ma nas na oku.

Kord zbył to prychnięciem.

- Griff będzie zbyt zajęty swoją robotą i robotą kapitana, żeby się nami przejmować. Pewnie uzna, że dobrze się stało. A teraz się połóżmy. Musimy wcześniej ruszyć.

- Co z nim? - spytał Jerrel, kciukiem wskazując nieruchomą sylwetkę Halta.

Kord zawahał się.

- Chciałbym walnąć go w łeb i odebrać nasze pieniądze - powiedział. - Ale jeśli go zabijemy, Griff na pewno zwróci na to uwagę. Na pewno wyśle za nami ludzi. Lepiej go zostawmy.

ROZDZIAŁ 6

Halt usłyszał, że tamci wychodzą tuż przed trzecią nad ranem. Byli złodziejami - nawykli do cichego poruszania się. Lecz zwiadowca miał wyczulone zmysły i lekki sen. Nasłuchiwał ich ukradkowych ruchów i niegłośnych kroków, gdy zbierali swoje rzeczy i potajemnie wychodzili w noc. Księżyc wisiał nad niebem już od wielu godzin, a wiatr gnał porozrywane chmury, rzucając pasma cienia, przemykające po bezgłośnym obozie.

Kord i Jerrel bez trudu wymknęli się strażnikom. Ci byli zmęczeni i znudzeni pod koniec trzygodzinnej warty. Poza tym wypatrywali raczej intruzów z zewnątrz niż osób wychodzących z obozu. Plotka, że kompania ma wyruszyć na południe i kontynuować walkę, była wymysłem Halta, który chciał w ten sposób skłonić złodziei do działania.

Zwiadowca odczekał piętnaście minut, by dać tamtej dwójce czas na wyjście poza obręb obozu, a następnie zwinął swój koc i wymknął się za nimi niczym duch. Odebrał swoje ubranie z namiotu dowództwa. Griff czekał przy osłoniętej lampie, rozsiewającej we wnętrzu przyćmiony blask.

- Połknęli haczyk? - spytał.

Halt przytaknął. Zmienił ubranie i postawił na stole ciężką torbę z wygranymi pieniędzmi.

- Możesz to dorzucić do funduszu kompanii - powiedział. Wiedział, że większość żołnierzy składa się na specjalny fundusz, przeznaczony dla rodzin tych, którzy stracili życie na wojnie. Griff podziękował skinieniem głowy.

- Jeśli ich złapiesz, możesz przyprowadzić ich tu z powrotem - rzucił. - Z chęcią zadbam o to, żeby nie było im zbyt przyjemnie.

- O, na pewno ich złapię - odparł zwiadowca. - A wtedy to już od nich będzie zależało, co z nimi zrobię.

Uścisnął dłoń starszego sierżanta i przeszedł na tyły namiotu, gdzie czekał Abelard. Wskoczył na siodło i klusem wyjechał z obozu. Nawet nie próbował się kryć i po drodze okrzyknął się wartownikom.

Znalazł trakt na północ i nieco wstrzymał Abelarda, by szedł stępa. Nie chciał dogonić tych dwóch zbyt szybko. W okutym w płaszcz jeźdźcu pewnie nie rozpoznałby byłego kolegi z namiotu, ale na sam widok zwiadowcy, podążającego tym samym traktem, mogli spanikować i na jakiś czas porzucić swoje plany.

Gdy nadszedł brzask i szarawe światło rozlało się nad okolicą, przyspieszył. Niebawem minął zakręt i dostrzegł dwie postacie, wlokące się drogą kilkaset metrów przed nim. Na szczęście ból głowy i mroczki przed oczami, które mu wcześniej doskwierały, teraz zniknęły i Halt bez trudu poznał obu mężczyzn - wysokiego i żyłastego Korda oraz bardziej krępego, mocno zbudowanego Jerrela. Powstrzymał Abelarda i zjechał z drogi, tak że przesłoniła ich ciemna zieleń drzew.

Kiedy Kord i Jerrel minęli następny zakręt, pogalopował za nimi.

Przez resztę dnia podążał naprzód w ten sam sposób. Gdy światło stało się lepsze, bez trudu odnajdywał ślady dezertarów na pylistej drodze - podkute wojskowe sandały zostawiały wyraźny trop. Został więc nieco dalej z tyłu, a przybliżył się znowu dopiero późnym popołudniem, gdy zaczęło się ściemniać. Z nadejściem zmierzchu dwaj mężczyźni zeszli z traktu, by przygotować nocleg.

Halt spędził noc opatulony płaszczem, oparty o drzewo, obserwując blask ich ogniska. Raz po raz na krótko przysypiał, przekonany, że Abelard go obudzi, gdyby na odległym biwaku nastąpił jakiś ruch. Bładym świtem ocknął się, przemarznięty i odrętwiały. Ognisko zgasło jeszcze przed brzaskiem i unosiła się z niego spiralna smużka dymu. Pół godziny później zobaczył, że dwaj mężczyźni wstali i zaczęli się krzątać. Abelard czekał między drzewami i Halt nie musiał szukać kryjówki. Owinięty płaszczem, był niewidzialny, nawet gdyby spojrzeli prosto na niego. Zaburczało mu w brzuchu, gdy zobaczył, że na powrót rozpalili ogień i poczuł zapach pieczonego boczku. Później pociekła mu ślinka, gdy doszła go woń kawy. Zadowolił się dyskretnym łykiem zimnej wody ze swojej manierki. Była to marna namiastka śniadania.

Tamci dwaj zbierali się do drogi bardzo powoli. Halt poruszył się kilka razy niespokojnie, czekając, aż wreszcie wyjdą na trakt. W końcu spakowali rzeczy i zwinęli obóz, po czym znowu ruszyli na północ. Czekał, aż znikną za następnym zakrętem, po czym poszedł między drzewa, gdzie czekał Abelard. Zacieśnił popręg - na wypadek nagłej konieczności zostawił na noc wierzchowca osiodłanego - po czym wsiadł i powoli pojechał za nimi.

Gdy dotarł do zakrętu, zsiadł z konia i ruszył naprzód, by omieść spojrzeniem dalszy odcinek drogi.

Nie było ich. Ani śladu.

Przez chwilę serce zabiło mu szybciej ze strachu. Ta część traktu ciągnęła się przynajmniej przez trzysta kroków - niemożliwe, by doszli do końca, zanim wyjrzał zza zakrętu. Gdzie się podziarli? Czyżby zauważyli, że ktoś ich śledzi? Może przyczaili się gdzieś

przy drodze i czekali z zasadzką na tego, kto podążał ich śladem. A może wędrowali szybciej, niż ocenił, i znaleźli się już za następnym zakrętem?

Zmusił się do zachowania spokoju. Przyznał przed sobą, że obie teorie są możliwe. Bardziej jednak prawdopodobne, że gdzieś po drodze zbczyli z traktu na jakąś ścieżkę. Znajdowali się teraz w lennie Aspienne i niewykluczone, że gospodarstwo Daniela było już blisko. Znowu wsiadł na Abelarda i uderzył końskie boki piętami.

Kusiło go, by puścić wierzchowca pełnym galopem i sprawdzić, czy rzeczywiście trafi na jakąś odnogę. Ale wtedy narobiłby hałasu i ryzykował, że przyciągnie ich uwagę. Ruszył lekkim klusem po twardej nawierzchni traktu.

Czterdzieści metrów dalej znalazł to, czego szukał. Od głównej drogi odchodziła wąska boczna ścieżka. Wydawała się dość uczęszczana i najwyraźniej istniała już od dłuższego czasu. Popatrzył na nią, ale wiła się między drzewami, a Korda ani Jerrela nie było widać. Gdy jednak przyjrzał się ziemi, dostrzegł znajomy ślad. Prawy but Korda był mocniej znoszony od wewnątrz z powodu nierównej postawy. Na piaszczystej powierzchni ścieżki wyraźnie odcinał się jego odcisk. Zsunął się z siodła i powoli poprowadził Abelarda. Popęłniłby błąd, gdyby niespodziewanie na nich wyskoczył.

Poczuł dym, a potem bogatą, charakterystyczną woń zagrody. Właśnie połączenie zapachów obornika, siana i dużych zwierząt powiedziało mu, że zbliża się do gospodarstwa Daniela. Potem usłyszał dźwięk, który potwierdził ten wniosek.

Gdzieś bardzo blisko rozległ się krzyk kobiety.

ROZDZIAŁ 7

Halt puścił wodze Abelarda i popędził w kierunku zagrody. Wiedział, że koń podąży za nim. Zza drzew dobiegł kolejny krzyk. W pierwszym pobrzmiwały strach i niepokój. Teraz dołączył do nich gniew. Pobiegł szybciej, a saksa i kołczan obijały mu się o biodro i ramię, w rytm uderzeń stóp o ziemię. Poniewczasie zdał sobie sprawę, że byłby w lepszej sytuacji, gdyby znowu dosiadł Abelarda. Jednak ledwie ta myśl przyszła mu do głowy, już wypadł na polanę, gdzie stał nieduży, kryty strzechą dom. Dym sączył się leniwie z komina, kilka krów dreptało niespokojnie w zagrodzie obok budynku.

Rozległ się kolejny buntowniczy okrzyk, potem gniewnie podniesiony głos mężczyzny i dźwięk ciosu.

- Mój mąż was za to zabije! - wrzasnęła kobieta.

- Twój mąż nie żyje! - odparł drwiący głos. - A ty do niego dołączysz, jeśli nie będziesz posłuszna. Ty i dziecko!

Po tych słowach Halt usłyszał krótki szloch kobiety. Dysząc z wściekłości, rąbnął w drzwi domu ramieniem i wpadł do pogrążonej w półmroku izby.

Błyskawicznie ocenił sytuację. Kobieta siedziała w kucki w przeciwległym kącie, blisko paleniska, obronnym gestem ramion otaczając kołyskę. Jerrel stał nad nią z ręką wzniesioną do kolejnego uderzenia, zamarły w bezruchu po tym, jak drzwi trzasnęły na skórzanych zawiasach.

Po jego lewej stronie Kord przetrząsał skrzynię, rozrzucając na wszystkie strony ubrania i sprzęty domowe w poszukiwaniu cennych przedmiotów. Także on znieruchomiał po nagłym pojawieniu się zwiadowcy. Gdy zobaczył ciemną, brodatą twarz, jego mina świadczyła, że poznał przybyłego.

- Ty! - warknął. - Co tu robisz?

Nie czekał na odpowiedź, lecz skoczył na równe nogi, dobywając taniego miecza, który nosił, i rzucając się przez izbę, by zamaszystym cięciem dosięgnąć Halta.

Zwiadowca zareagował instynktownie. Zrobił unik przed dzikim uderzeniem klingi, usuwając się w prawo, a jednocześnie lewą ręką wyciągnął sakse. Unosił duży nóż w pozycji obronnej, gdy impet pchnął Korda na ostrze. Kord z przerażeniem spojrział w dół, gdy ostra jak brzytwa hartowana stal z łatwością przeszła przez pordzewiałe oczka jego kolczugi.

Jęknął i krew popłynęła z jego ust. Oczy zaszyły mu mgłą, a kolana się ugięły. Halt

szarpnięciem wyciągnął nóż z upadającego ciała i obrócił się przodem do Jerrela, który wciąż próbował nadażyć za błyskawiczną sekwencją zdarzeń. Po chwili jego spojrzenie nabrało hardości, gdy dobył swojego miecza i powoli postąpił naprzód. Nie rzucił się pospiesznie na przeciwnika, jak jego towarzysz, tylko szedł, trzymając obnażoną broń przed sobą i kołysał nią, jakby groził niskiemu mężczyźnie.

Kobieta przy kołysce zamarła bez ruchu i z przerażenia szeroko wytrzeszczywszy oczy, obserwowwała rozgrywającą się w izbie scenę.

Jerrel postąpił kolejny krok. Halt przełożył nóż do prawej ręki i ostrożnie się cofnął. Był przekonany, że poradzi sobie z żołnierzem pomimo widocznej różnicy w uzbrojeniu. Wiedział, że dysponujący mieczem wojownicy często lekceważą śmiertelny potencjał saksy. Tak czy owak, był przygotowany, by pozwolić przeciwnikowi zrobić pierwszy ruch i w ten sposób przyciągnąć go na bliższy dystans, w którym walka nożem będzie skuteczna.

Jerrel wykonał pozorowany ruch mieczem. Halt patrzył mu w oczy i, nie widząc w nich zaangażowania, zignorował udawany atak. Widoczny spokój zwiadowcy rozżłościł żołnierza. Halt zobaczył w jego oczach wzbierający gniew.

- Już nie żyjesz, Arratay - wycodził Jerrel przez zaciśnięte zęby.

Zwiadowca uśmiechnął się.

- Już mi to mówiono. A jednak tu jestem.

Cofnął się jeszcze o krok, świadom, że na klepisku za nim leży znieruchomiałe ciało Korda.

Miecz wystrzelił w jego stronę. Tym razem cios nie był pozorowany. Ale Halt odtrącił saksą klingę na bok i oba ostrza zetknęły się na chwilę ze szczękiem. Szybkość i łatwość reakcji przeciwnika sprawiły, że w głowie żołnierza zakiełkowały wątpliwości. Miał dłuższą broń, co dawało mu przewagę. A jednak ten brodaty mężczyzna w dziwnym, nakrapianym płaszczu czuł się najwyraźniej zupełnie swobodnie.

Myślał o tym, gdy Arratay - pod tym imieniem go znał - rzucił się naprzód, uzbrojony tylko w krótką, połyskującą saksę. Jerrel odskoczył w tył z okrzykiem zaskoczenia i zdołał machnąć mieczem w poprzek, w ostatniej chwili niezgrabnie parując cios. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przeciwnik może mieć przewagę. Już chciał rzucić broń i błagać o litość, gdy zdarzyło się coś zupełnie niespodziewanego.

Halt poczuł na lewej kostce żelazny uścisk, który następnie szarpnął go za nogę i zwiadowca runął jak długi na klepisko.

Upadając, odwrócił się i spojrzał w twarz Korda. Oczy zbira wypełniała nienawiść, wargi wywinęte były w grymasie triumfu. Z ostatnim tchnieniem Kord zdołał wyrzucić

zemstę na tym drobnym mężczyźnie, który wszystko im odebrał. Później jego wzrok stał się pusty i uszło z niego życie.

Jerrel, który nigdy nie grzeszył refleksem, zobaczył, że przeciwnik przez chwilę leży przed nim bezradnie. Z okrzykiem triumfu wzniosł obiema rękami miecz, czubkiem skierowany w dół, gotów zagłębić go w rozciągniętym ciele. Halt podjął wysiłek, by wstać, lecz wiedział, że już za późno. Połyskująca klinga zaczęła opadać.

Nagle znikąd pojawiła się jakaś postać, skoczyła na Jerrela, uczepliła się go i przewróciła, wytrącając z ręki napastnika miecz, który zawirował w powietrzu. Halt usunął się w bok, gdy miecz spadł tuż obok niego, a po chwili zrozumiał, co się stało.

Kobieta rzuciła się na Jerrela, wylądowała mu na plecach i wpiła się weń niczym żbik, drapiąc paznokciami jego twarz i oczy.

Złodziej zachwiał się pod jej ciężarem i odwrócił, tak że oboje wpadli na kuchenny stół, wywracając go z hukiem, a potem gruchnęli o ścianę, przebijając się przez ciasno splecione wierzbowe witki, pokryte warstwą błota. Jerrel, niezdolny do uwolnienia się od zawziętej postaci na swoich plecach, obrócił się twarzą do niej, wyciągnął sztylet o ciężkim ostrzu i rozpaczliwie się zamachnął.

Krzyknęła z bólu i zwolniła uścisk, odsuwając się i przyciskając dłonie do strasznej rany w lewym boku. Opadła na kolano, a krew zbryzgała jej ręce i wsiąkła w białą tkaninę ubrania. Po chwili Halt był już przy Jerrelu, chwycił go za rękę ze sztyletem i pociągnął w górę, a jednocześnie dobył noża i wbił go głęboko w ciało złodzieja. Jerrel stęknął z bólu. Wypuścił z ręki ciężki sztylet i przez chwilę podtrzymywał go tylko Halt, ściskający jego prawy nadgarstek. Potem, puszczony przez zwiadowcę, osunął się na kolana i podniósł na przeciwnika oczy pełne zdumienia faktem, że w taki właśnie sposób kończy się jego żywot. Przewrócił się w bok, rękami próbując rozpaczliwie powstrzymać płynącą z rany krew. Halt przez chwilę stał czujnie nad nim, upewniając się, że to naprawdę koniec. Po ostatnim doświadczeniu z Kordem wołał być ostrożny. Następnie, zadowolony, że Jerrel nie zbiera się do kolejnego ataku, szybko ukląkł przy przerażonej kobiecie.

Twarz miała pobladłą i ściągniętą straszliwym bólem. Halt zobaczył, ile krwi straciła, i wiedział, że nie ma szans na przeżycie. Podniosła spojrzenie na nieznanego, który próbował ją uratować i którego to ona uratowała desperackim atakiem na Jerrela. Ujrzała smutek w jego ciemnych oczach i już знаła prawdę. Umierała. Ale jeszcze musiała się czegoś dowiedzieć.

- Mój... mąż... - wyjęczała. - Naprawdę nie żyje?

Zawahał się. Kusilo go, by ją okłamać, pocieszyć. Wiedział jednak, że nie umiałby

skłamać. Skinął głową.

- Tak - przyznał. - Wkrótce będziecie razem.

Zobaczył na jej twarzy nagły wyraz niepokoju, gdy skierowała oczy w stronę kołyski w kącie.

- Nasz syn... - wyksztusiła, kaszląc przy tym krwią. Potem zebrała z trudem ostatnie siły. - Nie zostawiaj go z wieśniakami... nie dadzą mu żyć... jesteśmy tu obcy... przy nich zaharuje się na śmierć...

Halt skinął głową. Daniel i jego żona od niedawna mieszkali w okolicy. Najpewniej nie mieli w wiosce przyjaciół, którzy zaopiekowaliby się niemowlęciem. Chłopiec miał wartość tylko jako pracownik - niemal niewolnik.

- Zajmę się nim - powiedział łagodnie, a kobieta wyciągnęła rękę i zamknęła jego dłoń w zaskakująco silnym uścisku.

- Obiecuj - poprosiła i położyła jego drugą dłoń na swojej.

- Obiecuję.

Przez kilka chwil patrzyła mu w oczy i najwyraźniej odnalazła w nich pociechę. Puściła jego rękę i opadła z powrotem na przesiąknięte krwią klepisko. Znowu się odezwała, ale głos miała tak cichy, że niemal jej nie słyszał. Nachylił się do niej, przybliżając ucho do jej warg.

- Powtórz - poprosił i tym razem rozróżnił wypowiedziane szeptem słowa:

- Na imię ma Will.

- To dobre imię - stwierdził. Lecz ona nie usłyszała. Już nie żyła.

ROZDZIAŁ 8

Pochował kobietę na polance za zagrodą, oznaczając grób kamieniem. Nie znał jej imienia ani nazwiska. Na nagrobku wydrapał prosty napis: „Dzielna Matka”.

Kord i Jerrel nie zasłużyli na godny pochówek. Zniszczyli szczęśliwą, pełną miłości rodzinę, więc zaciągnął ich ciała do lasu i zostawił lisom oraz wronom.

Podczas gdy Halt zajmował się tymi sprawami, niemowlę spało spokojnie w kołysce. A kiedy usiadł w zdemolowanym domu, ściskając kubek z kawą, obudziło się i zaczęło cicho gaworzyć. Zwiadowca z aprobatą zauważył, że nie płacze.

- Pewnie jesteś głodny - zauważył. Wcześniej przygotował sobie miseczkę podgrzanego krowiego mleka i czystą lnianą ściereczkę. Skręcił skraj tkaniny w wąski kształt i zanurzył w mleku, po czym przytknął do ust dziecka. Wargi niemowlęcia otoczyły len i zaczęły ssać. Halt znowu zamoczył ściereczkę w mleku i powtórzył cały proces. Sposób był czasochłonny, ale najwyraźniej się sprawdzał. Mały patrzył na niego dużymi, poważnymi, brązowymi oczami znad nasiąkniętego mlekiem materiału.

- Pytanie brzmi - odezwał się zwiadowca - co mam z tobą zrobić?

Wiedział, że gospodarstwo wróci do barona, który przydzieli je innym dzierżawcom. Chłopczyk nie odziedziczy zatem niczego. Nie mógł go tutaj zostawić, o czym tak rozpaczliwie przypomniawszy jego matka. Nie mógł też sam wychować dziecka. Nie miał ani potrzebnych rzeczy, ani czasu. Jako zwiadowca spędzał długie okresy poza domem i dziecko zostawałoby samo, bez opieki.

Zaświtał mu jednak pewien pomysł. Baron Arald utworzył w Zamku Redmont przytułek, gdzie opiekowano się sierotami po tych, którzy ponieśli śmierć w jego służbie. Było to jasne, radosne miejsce, zatrudniające miłych, pełnych czułości ludzi. Niedawno w zamku pojawiły się nowe dzieci - mała dziewczynka imieniem Alyss i chłopiec, który miał na imię Horace.

Will pozna tam ciepło i towarzystwo. Dorastając, będzie mógł wybrać swoje powołanie. W sumie pomysł wydawał się idealny.

- Sęk w tym - zwrócił się Halt do przyglądającego mu się niemowlęcia - że nie może się wydać, kto cię tam przywiózł. Ludność jest podejrzliwa wobec zwiadowców. Gdyby powiązano cię ze mną, mogliby podchodzić do ciebie jak pies do jeża.

Zwiadowców otaczała aura tajemnicy i niepewności. Dziecku mogło to przynieść

szkodę. Ludzie często bali się tego, czego nie rozumieli, a Halt nie chciał, by ten lęk przeniósł się na malutkiego Willa. Lepiej, jeśli jego pochodzenie pozostanie nieznanne.

- I takie też jest - myślał głośno Halt. - Nie znam nawet twojego nazwiska.

Zastanowił się nad tym. Mógł popytać w okolicy. Ale, jak już wiedział, ta rodzina była tu nowa i miejscowi mogli nie wiedzieć, jak się nazywała. W dodatku musiałby wtedy ujawnić swoje plany co do małego, a nie miał pewności, czy to, co sobie zamierzył, jest całkiem legalne. Will był dzieckiem dwojga poddanych miejscowego barona i zwiadowca nie miał w zasadzie prawa zabrać go do innego lenna.

Z drugiej strony w ciągu swojego życia Halt często nie przestrzegał ściśle prawa. Formalne zawilości budziły w nim niechęć. Zbyt często stawały mu na drodze i nie pozwalały zrobić tego, co należało.

Zanurzył tkaninę w resztkach mleka i przytknął ją do ust niemowlęcia. Will ssął łapczywie, wciąż nie odrywając spojrzenia od zwiadowcy.

- Tak, przytułek to dla ciebie najlepsze miejsce - odezwał się do niego Halt. - I najlepiej, jeśli zachowasz anonimowość. Powiem Araldowi, w zaufaniu, ma się rozumieć. Ale nikt inny nie będzie wiedział. Tylko my dwaj. Co ty na to?

Ku jego zaskoczeniu malec głośno beknął, a potem uśmiechnął się do niego. W odpowiedzi na jego własnej, brodatej twarzy też zagościł cień uśmiechu.

- Uznam to za zgodę - powiedział.

Cztery dni później, zanim pojawiły się pierwsze, zwiastujące świt, szare promienie światła, ciemna postać, niosąca kosz, przekradła się przez dziedziniec Zamku Redmont do budynku, w którym znajdował się przytułek.

Ustawivszy kosz na schodach przed drzwiami, Halt wyciągnął rękę i odsunął koc, zasłaniający buzię niemowlęcia. Przy jego nóżkach położył przygotowaną wcześniej kartkę.

Jego matka umarła przy porodzie.

Ojciec zginął jako bohater.

Proszę, zaopiekujcie się nim. Na imię ma Will.

Maleńka rączka wysunęła się spod koca i chwyciła go za palec wskazujący.

- Przysiągłbym, że podajesz mi rękę na pożegnanie - szepnął Halt. Potem odsunął się delikatnie i pogładził czoło dziecka. - Będzie ci tu dobrze, mały Willu. Po takich rodzicach spodziewam się, że wyrośniesz na kogoś szczególnego.

Rozejrzał się dookoła, nie dostrzegł nikogo, kto by go obserwował, podniósł rękę i załomotał do drzwi przytułku, po czym wtopił się w cienie zalegające na dziedzińcu.

Pracownicy już wstali i zaczęli się krzątać, więc parę minut później usłyszał dźwięk otwieranych drzwi, a po nim zaskoczony okrzyk.

- Ojej, to dziecko! Pani Aggie, proszę tu szybko przyjść! Ktoś zostawił na progu dziecko!

Opatulony płaszczem i skryty w cieniu wysokiego muru. Halt patrzył, jak kilka kobiet wybiega ze środka i wydaje zdumione okrzyki na widok niemowlęcia. Potem zabrały je do środka i zamknęły za sobą drzwi. Przyłapał się na nieznanym swędzeniu oczu i dziwnym poczuciu straty.

- Na razie zegnaj, Willu - szepnął. - Będę miał cię na oku.

Halt znowu doznał tego samego swędzenia, gdy zakończył opowieść. Odwrócił się lekko, by Will nie zobaczył łez, które napłynęły mu do oczu.

- Ale czemu mi nie powiedziałaś przez te wszystkie lata? Czemu twierdziłaś, że moja matka zmarła przy porodzie?

- Myślałem, że tak będzie ci łatwiej - odparł Halt. - Myślałem, że gdybyś poznał prawdę o śmierci swojej matki, stałbyś się zgorzkniały. Poza tym, jak mówiłem, uznałem, że będzie lepiej, jeśli nikt się nie dowie o moim udziale w tej sprawie. Gdybym zdradził, że twoją matkę zamordowano, ludzie zaczęliby pytać. Nie chciałem tego. Chciałem, by cię zaakceptowano.

Will z namysłem pokiwał głową.

- No tak.

Starszy zwiadowca poruszył się niespokojnie.

- Jeszcze jedno...

Will otworzył usta, a potem je zamknął. Czuł, że lepiej pozwolić, by Halt mówił w swoim tempie. W końcu mentor przemówił głosem tak cichym, że ledwie go słyszał.

- Bałem się, że mnie znienawidzisz.

Will aż się wzdrygnął, zdumiony tymi słowami.

- Znienawidzę? Jak mógłbym cię nienawidzić? Dlaczego miałbym cię nienawidzić?

Teraz Halt odwrócił się do niego twarzą i Will zobaczył udrękę w jego oczach.

- Bo byłem odpowiedzialny za śmierć obojga twoich rodziców! - Słowa zabrzmiały gwałtownie, jakby wyrwano je z niego siłą. - Daniel zginął, ratując moje życie podczas bitwy. Potem twoja matka ruszyła mi z pomocą, kiedy walczyłem z Jerrelem. Gdyby się na to nie zdecydowała, ciągle by żyła.

- Ale ty byłbyś martwy - zauważył Will.

Lecz starszy zwiadowca pokręcił głową.

- Może tak. A może nie. Ale nic nie zmieni faktu, że przeze mnie twoja rodzina zginęła, a ja aż do teraz nie potrafiłem ci o tym powiedzieć. Myślałem, że możesz mnie o to obwiniać.

- To nie była twoja wina. Kto mógłby cię oskarżać? Dotrzymałeś obietnicy złożonej mojemu ojcu. Oskarżaj Morgaratha. Oskarżaj wargalów. Albo Korda i Jerrela. To na nich spoczywa wina. A nie na twoich barkach.

Obserwując Halta, Will zobaczył, że barki jego mistrza opadły z ulgą.

- Pauline mówiła, że tak właśnie zareagujesz - szepnął starszy zwiadowca, a Will objął go ramieniem. Czuł się dziwnie, pocieszając mężczyznę, który przez lata tak wiele razy podnosił go na duchu.

- Halt, nie odpowiadasz za śmierć moich rodziców. To było przeznaczenie. Dałeś mi drugą szansę zyskania rodziny. Dałeś mi całe nowe życie. Jak mógłbym cię za to nienawidzić? Poza tym - dodał - wyobrażasz sobie mnie jako rolnika? Poczul, że ramiona mentora zaczynają drgać i przez chwilę bał się, że mężczyzna się rozplacze. Potem z ulgą stwierdził, że to śmiech.

- Nie - odetchnął głęboko Halt. - Z pewnością nie wyobrażam sobie ciebie jako rolnika. Rolnicy to zdyscyplinowani ludzie.

Oboje śmiali się na myśl o Willu orzącym i zasiewającym pola. Po dłuższej chwili młody zwiadowca spoważniał.

- Chciałbym zobaczyć grób swojej matki - oświadczył i Halt skinął głową.

- Zabiorę cię tam.

Później nic już nie mówili i siedzieli w przyjaznym milczeniu, podczas gdy cienie się wydłużały, a słońce w końcu zachodziło.

KAŁAMARZ I SZTYLET

Od autora: Przez lata otrzymałem od czytelników wiele e-maili, w których pytali, co się stało z Gilanem, gdy Halt i Horace udali się do Gallii, by ratować Willa w „Ziemi skutej lodem”. Oto odpowiedź.

ROZDZIAŁ 1

Lenno Araluenu

Droga wzdłuż wybrzeża

Wkrótce po bitwie o Wąwóz Trzech Kroków

Gilan dosiadł konia i spoglądał, jak Halt odjeżdża.

Jego odziana na szaro postać malała w oczach, a w końcu wtopiła się w mglistą mżawkę.

Młody zwiadowca poczuł łyzy pod powiekami. Niecierpliwie potrząsnął głową, by się ich pozbyć. Halt zawsze był ponury i uśmiechał się właściwie tylko od święta. Dzisiaj jednak z jego zachowania aż bił wewnętrzny smutek. Oczywiście, Gilan wiedział, że Halt ostatnio obraził króla Duncana i posprzeczał się z nim, choć zawsze okazywał monarsze najgłębszy szacunek i podziw.

Na skutek tej niesubordynacji został wygnany z królestwa na okres dwunastu miesięcy. Na domiar złego stracił swoją funkcję w Korpusie Zwiadowców.

Te dwa fakty wystarczyłyby, by głęboko wbić ostry sztylet smutku w duszę Halta. Ale Gilan wyczuwał, że prawdziwa przyczyna leży gdzie indziej, w samym zwiadowcy.

- Obwinia się - powiedział do Blaze'a.

Gniady wierzchowiec nadstawił uszu na dźwięk głosu swojego pana.

Niepotrzebnie wysłał Willa do Celtii.

- Uważał, że dobrze robi, trzymając Willa z dala od kłopotów. Poza tym, jeśli kogoś można winić za ten zamęt, to mnie. Nigdy nie powinienem zostawiać Willa i Evanlyn samych w Celtii.

Nie doczekawszy się odpowiedzi od Blaze'a, Gilan zastanawiał się, czy koń zgadza się, że uwięzienie Willa i Evanlyn przez Skandian, a także ich późniejsze uprowadzenie na wilczym statku to naprawdę jego wina. Zakłopotany zerknął na rumaka, po czym doszedł do wniosku, że Blaze wcale go nie oskarża. Pewnie po prostu nie miał nic do dodania.

Zielono-szary płaszcz Halta zlewał się teraz z mgłą, więc coraz trudniej było go dostrzec. Potem dotarł do zakrętu i zniknął z pola widzenia. Gilan jeszcze przez kilka minut wpatrywał się w pusty trakt, po czym ciężko westchnął i skierował Blaze'a w stronę Zamku Araluen.

Kwadrans później dogonił Crowleya. Głównodowodzący zwiadowców prowadził konia stępą, by młodszy mężczyzna mógł go doścignąć. Wymienili posępne spojrzenia; Crowley wzruszył ramionami.

- Nie wiadomo, co powiedzieć, prawda?

Gilan skinął głową. Już teraz odczuwali brak siwobrodego zwiadowcy. W połączeniu z wcześniejszą utratą Willa i księżniczki, ich smutek był podwójny. Zwiadowcy tworzyli zwartą grupę, ale Crowley był najstarszym przyjacielem Halta, a Gilan - jego pierwszym uczniem, przeżywali obecną sytuację silniej niż pozostali.

Obaj przez kilka minut jechali dalej, a ich wierzchowce równały tempo. W końcu przemówił Gilan:

- Chce, żebym wytropił Foldara. - Zastępca Morgaratha najwyraźniej zniknął po ostatniej bitwie, ale zwiadowcy chcieli go za wszelką cenę odnaleźć, by sprawiedliwości stało się zadość.

Crowley skinął głową.

- Przypuszczałem, że może cię poprosić. Mam w zamku akta Foldara. Halt dopilnował, żebym je miał, zanim poszedł obrażać króla po tawernach.

- Był dość metodyczny jak na kogoś, kto działa impulsywnie. Można by niemal przysiąc, że dokładnie wiedział, co robi.

Crowley zerknął z ukosa na wysokiego, młodego zwiadowcę.

- O tak, z pewnością wiedział, co robi. Halt zawsze wie, co robi.

Po powrocie do zamku Gilan przebrał się w suche ubranie. Mieszkał w gościnnej części Zamku Araluen i miał małą, ale wygodną kwaterę w wieży wschodniej. Gabinet i siedziba Crowleya mieściły się w wieży południowej i chcąc się tam dostać, Gilan musiał wrócić na trzecie piętro zamku i przejść na schody w tejże wieży.

Uśmiechnął się, wspinając się po spiralnych stopniach. Jak we wszystkich twierdzach, schody, patrząc od dołu, skręcały w prawo. Chodziło o to, aby praworęczny szermierz, próbujący wdrzeć się wyżej, musiał odsłonić całe ciało obrońcom na górze, podczas gdy oni widoczni byli tylko w części, zza środkowej kolumny schodów. Właśnie dlatego McNeil, mistrz miecza, który szkolił Gilana od jego młodych lat, nakłaniał ucznia do ćwiczenia fechtunku i lewą, i prawą ręką. Lewą ręką Gilan walczył bardzo dobrze. Prawą - wyśmienicie.

Gabinet Crowleya położony był trzy piętra wyżej. Gilan zapukał do drzwi, po czym wszedł na wezwanie gospodarza. Pomieszczenie było przestronne i przewiewne, jak większość komnat w Zamku Araluen. Duże okno wychodziło na rozległą łąkę, która

rozciągała się na zboczu pod zamkiem. W oddali Gilan dostrzegł małą wioskę i równe prostokąty uprawnych pól.

Crowley także włożył suchy strój i siedział teraz wygodnie w dużym, dębowym fotelu pod oknem, czytając meldunek. Na dworze ciągle mżyło, ale wiatr oddalał krople deszczu od budowli. Gospodarz, jak większość zwiadowców, lubił świeże powietrze i światło, powstrzymał się więc od zamknięcia drewnianych okiennic. Zabezpieczenie przed chłodem nadciągającego wieczoru stanowił ogień, buzujący wesoło w kominku naprzeciwko okna.

- Usiądź - przemówił i wskazał drugi dębowy fotel, nie tak duży, jak jego własny. Gilan usłuchał i Crowley podniósł wzrok znad trzymanego w ręce dokumentu, wskazując stertę pergaminowych zwojów, co do jednego przewiązanych czarną nicią i leżących na niskim stoliku pomiędzy nimi.

- Raporty Halta o działaniach Foldara - oznajmił. - Przejrzyj. - Wyciągnął rękę i wyjął gęsie pióro z kałamarza na blacie, naskrobał jakąś notatkę na papierze, a następnie czytał dalej.

Stosik składał się z tuzina zwojów. Każdy opisano nazwą lenna, z którego pochodził raport. Na niektórych widniało także słowo „ZAKOŃCZONE”. Gilan wybrał jeden z nich i rozwinął, by przejrzeć treść.

Tak jak podejrzewał, napis „ZAKOŃCZONE” oznaczał sprawy, które Halt zbadał i które okazały się fałszywymi tropami.

Foldar był znany jako beznamiętny i absolutnie bezlitosny zabójca. W obliczu człowieka podającego się za Foldara wiele osób bez oporu oddawało pieniądze. Z tego powodu pojawiła się cała zgraja oszustów, którzy się pod niego podszywali, wykorzystując jego złą sławę do zastraszania ofiar.

Meldunek, który czytał Gilan, szczegółowo opisywał właśnie jeden z takich przypadków. Zwykły rabuś, przywódca niewielkiej bandy, przybrał tożsamość Foldara i próbował okraść bogatego kupca oraz jego żonę, którzy podróżowali leśnym traktem. Halt wkroczył do akcji, poznawszy plan obwiesia, i fałszywy Foldar odpoczywał teraz w więzieniu.

Właśnie owo rozmnożenie pozorantów doprowadziło do frustracji Halta. Każdy przypadek należało zbadać, każdego przestępcę wytropić i aresztować. To zadanie mogło zająć rok albo dłużej.

Chyba że...

Gilan bezmyślnie postukał się kciukiem po zębach, pobieżnie przeglądając relację z kolejnej sprawy. W głowie kiełkował mu pomysł. Zerknął na Crowleya, wciąż pochłoniętego

lekturą raportu.

- Mogę je zabrać? - spytał.

Dowódca podniósł wzrok. Przez chwilę jego umysł błądził gdzieś daleko. Wreszcie skinął głową, zrozumiawszy pytanie.

- Proszę bardzo - odrzekł. - Im mniej mam tu papierów, tym lepiej.

Gestem wskazał biurko w kącie, zasłane zwojami, kartami papieru i lnianymi kopertami, w których znajdowały się raporty, podania i inne oficjalne dokumenty z całego królestwa. Gilan uświadomił sobie, że to całe stosy papierkowej roboty. Uśmiechnął się ze współczuciem.

- W takim razie cię od nich uwolnię - powiedział. Zebrawszy zwoje, wstał i ruszył do drzwi.

ROZDZIAŁ 2

- W nocy przejrzałem wszystkie papiery - zwrócił się następnego ranka Gilan do Crowleya.

Dowódca uśmiechnął się do niego słabo.

- Wszystkie? Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego. Papiery to przekleństwo mojego życia.

- Taka jest cena wysokiej rangi - powiedział Gilan z uśmiechem. - Za to ci dobrze płacą.

Crowley wbił spojrzenie w rozradowaną twarz młodzieńca.

- Wiesz, niektórzy by uznali, że dla dobra własnej karcery warto okazać współczucie w obliczu kłopotów dowódcy - zauważył. Potem westchnął. - Ale bardzo niewielu spośród tych ludzi szkolił Halt.

Gilan rozważał przez chwilę słowa Crowleya.

- Prawda - przyznał.

Zmierzali przez park ku południowej stronie Zamku Araluen. Crowley często toczył rozmowy ze swoimi zwiadowcami na zewnątrz. Twierdził, że to dobre zabezpieczenie. W zamku nigdy nie wiadomo, kto może podsłuchiwać za ścianą albo za drzwiami. Tutaj nikt nie mógł niezauważenie zbliżyć się na wystarczającą odległość, by coś usłyszeć.

Gilan sądził, że równie duże znaczenie miało zamykanie dowódcy do otwartych przestrzeni i świeżego powietrza. Często słyszano, jak narzekał, że całymi dniami siedzi w czterech ścianach.

- Odkryłeś coś ważnego? - spytał po chwili Crowley.

- Możliwe - odparł Gilan. - Jest jeszcze dziewięć spraw. Siedem z nich to raczej drobnostki, tu jakiś napad, tam wymuszenie. Czasami złodzieje zatrzymywali na trakcie samotnych podróżnych i ich łupili. W innych przypadkach napadali na małe karczmy czy osady na odludziu. W każdej z tych sytuacji zrabowane sumy są stosunkowo niewielkie. Najwyższa to piętnaście złotych rojali. To niewiele więcej niż drobna kradzież i nie wyobrażam sobie, by Foldar się do nich zniżył.

- Piętnaście złotych rojali to sporo, jak na małą karczmę - wtrącił Crowley.

Gilan niecierpliwie pokiwał głową.

- Nie mówię, że dla ofiar to kwoty bez znaczenia. Ale dla Foldara? Drobne łupy.

Pomagał Morgarathowi w zamachu stanu. Ktoś taki nie zważa na podobne sumy.

- A dwa pozostałe lenna? - spytał dowódca. Argumenty Gilana do niego przemówiły. Foldar nigdy nie był drobnym złodziejaszkiem. Nie było przesłanek, które by wskazywały, że mógł się nim stać. Myślał na znacznie większą skalę.

- W jednym tylko przypadku kwota była bardzo duża. Okradziono kupca i sprawcy uciekli ze znaczną liczbą złotych i srebrnych monet.

- To wygląda bardziej obiecująco - stwierdził Crowley.

Gilan jednak zaprzeczył ruchem ręki.

- Skala przestępstwa istotnie bardziej pasuje do tego, co wiem o Foldarze. Ale za to metoda do niego nie pasuje. Kradzieży dokonano w nocy, a kupiec i jego rodzina nic nie słyszeli. Aż do rana nie wiedzieli, że ich ograbiono. Po wyjściu złodziej zamknął nawet za sobą drzwi.

- Rozumiem. Gdyby włamanie było dziełem Foldara, zapewne zabiłby ich we śnie dla samej przyjemności.

- Też tak myślę - przytaknął Gilan.

- A zatem pozostaje jeszcze jedna sprawa - ponaglił go dowódca.

Młody zwiadowca skinął głową.

- Tak jak mówisz. Jeszcze jedna sprawa. Napaść w lennie Highcliff na pilnie strzeżony konwój wozów, wiozących srebro i złoto na zapłatę dla garnizonów w dalszych zamkach. Tak się składa, że w Highcliff nie ma obecnie zwiadowcy. Dotychczasowy odniósł ranę na wojnie i nie jest gotowy, by wrócić do obowiązków.

- Czyli to dla Foldara atrakcyjny teren działań - powiedział Crowley z namysłem.

- Też mi to przyszło do głowy. Tabor napadło piętnastu do dwudziestu ludzi, dobrze uzbrojonych i wyszkolonych. Zginęła połowa strażników. Pozostali uciekli między drzewa. Woźnice nie mieli tyle szczęścia.

- To wygląda na robotę Foldara - stwierdził Crowley.

- Tak właśnie uważam. Dobra organizacja i brutalność napadu to jedno. Poza tym jest spora szansa, że jakiś informator z Zamku Highcliff przekazał wiadomość o konwoju. To miała być tajemnica.

- Właśnie w coś takiego wmieszałby się Foldar - uznał dowódca. - Jaki planujesz następny ruch?

- Pomyślałem, że pojadę do Highcliff i sprawdzę, czy zdołam wymyślić sensowną pułapkę na Foldara i jego informatora. Muszę trochę powęszyć, zanim ostatecznie opracuję jakiś plan.

Crowley pokiwał głową.

- Pomysł wydaje mi się dobry. Doskonale, Gilanie. - Zmarszczył czoło. - Dziwię się, że Halt nie doszedł do tego samego wniosku. Zwykle szybko łączy fakty.

- Też mnie to zastanowiło. Ale pamiętaj, że Halt był rozkojarzony, bo martwił się o Willa. A poza tym skupiał się w pierwszej kolejności na sprawach w pobliżu Araluenu.

- Dzięki czemu miał mnóstwo okazji, żeby nękać Duncana i mnie - dodał Crowley. - Gdyby udał się na zachód, do Highcliff, nie mógłby co drugi dzień ciosać kołków na głowie, żebym tylko pozwolił mu jechać.

- A mnie nic tu nie trzyma, mogę ruszać do Highcliff i zostawić cię z papierkową robotą.

Kąciki ust tamtego wykrzywiły się w dół w grymasie niesmaku.

- A tak, papiery. Nie chciałbyś się zamienić? Zostań tu, wypełniaj formularze i podania, a ja pojedę ścigać Foldara.

Gilan uniósł brwi.

- Masz rację. Nawet nie wziąłbym pod uwagę podobnej możliwości.

- Chyba mógłbym wydać ci taki rozkaz - powiedział Crowley z zadumą i Gilan pomyślał, że to żart tylko w połowie.

- Mógłbyś. A ja pewnie obraziłbym publicznie króla i skazał się na banicję - odparł.

Crowley pokręcił głową.

- Czasami zastanawiam się, czy to był dobry pomysł, pozwolić Haltowi szkolić uczniów. Najwyraźniej uczy ich braku szacunku dla władzy.

- O, uczy nas szacunku dla władzy - odrzekł Gilan z miną niewiniątka. - Tylko uczy nas też, żeby w razie konieczności zanadto się nie przejmować. Ruszę dziś po południu - dorzucił i Crowley skinął głową na znak zgody.

- Im szybciej wyjedziesz, tym szybciej wrócisz - stwierdził. To był sposób myślenia zwiadowców. Nie ma co czekać z założonymi rękami, kiedy jest coś do zrobienia.

- No właśnie. A poza tym lepiej wyjechać, zanim rozkażesz mi zostać.

ROZDZIAŁ 3

Gilan pomyślał, że Zamek Highcliff nosi adekwatną nazwę. Puścił Blaze'a swobodnym kłusem i opadł na siodło, obserwując zamczysko.

Sama twierdza nie miała w sobie nic szczególnego. Była to solidna granitowa budowla z klasycznymi czterema narożnymi wieżami, które łączył zwieńczony blankami mur. Pojedyncza, wyższa wieża wznosiła się pośrodku zamkniętej przestrzeni. Nazwę zawdzięczał zamek miejscu, w którym go zbudowano. Linie brzegową w tej części Araluenu tworzyły strzeliste skalne klify z białej kredy. Twierdzę postawiono na wysokim półwyspie, połączonym z lądem wąskim, krętym skrawkiem lądu o szerokości ledwie dwudziestu metrów. Po obu stronach tego przejścia znajdowały się strome urwiska, sięgające tam, gdzie dudniące morskie fale bezustannie rozbijały się o skały, posyłając w górę słupy piany. Rumowiska kredowych odłamków u podnóża klifów dowodziły, że drogę bez przerwy podkopyje i zwęza nieprzerwany atak fal. Gilan pomyślał, że z czasem połączenie z lądem zniknie, a Zamek Highcliff znajdzie się na wyspie.

Zobaczył patrole na murach. W jednej z wież od strony lądu dostrzegł małą sylwetkę, wspartą łokciami o parapet. Dołączyła do niej inna postać, wyciągniętą ręką wskazując miejsce, w którym Gilan i Blaze stali bez ruchu. Pierwszy strażnik wyprostował się i odwrócił głowę, bez wątpienia wykrzykując słowa ostrzeżenia do kogoś poniżej.

- Zauważyli nas - powiedział zwiadowca do Blaze'a.

Raczej rzucamy się w oczy, stojąc tak na tle nieba.

- Nie próbowałem podkraść się niezauważenie - stwierdził Gilan i Blaze parsknął pogardliwie. Ma to w zwyczaju, pomyślał zwiadowca. Wiedząc, że nie zdoła mieć ostatniego słowa w dyskusji z koniem, pognął go naprzód i wierzchowiec ostrożnie ruszył skalną ścieżką ku początkowi przesmyku, wiodącego do zamczyska.

Znajdowała się tam wartownia, obsadzona dwoma znudzonymi żołnierzami. Gilan okrzyknął się, choć płaszcz zwiadowcy i masywny łuk raczej nie pozostawiały wątpiwości co do tego, kim jest, i starszy rangą wartownik skinął mu głową.

- Zaczekaj chwilę, proszę, zwiadowco - odezwał się.

Głos miał pełen szacunku, nawet ostrożny. Przyczyną tej dwojakiej reakcji była reputacja, jaką cieszył się Korpus Zwiadowców. Trącił łokciem towarzysza.

- Wciągnij żółtą flagę, Nobby - polecił. Drugi żołnierz bez słowa podszedł do

pobliskiego masztu, gdzie Gilan dostrzegł dwie flagi, przymocowane do linek i gotowe do wciągnięcia. Jedna była żółta, a druga czerwona. Nobby wybrał żółtą i wciągnął barwną, prostokątną tkaninę na sam szczyt masztu. Załopotała na silnym morskim wietrze, przyciągając uwagę intensywnym kolorem. Po kilku sekundach nad zamkową bramą pojawiła się odpowiedź w postaci drugiej flagi.

Zapewne, pomyślał zwiadowca, gdyby zidentyfikowano go jako wroga, żołnierze daliby czerwony sygnał. Oczywiście, gdyby był wrogiem, być może nawet nie mieliby na to szansy, ale przypuszczał, że brak flagi potraktowano by tak samo, jak flagę czerwoną. Zapewne przekonanie, że mogą dać sygnał o przyjeździe nieprzyjaciela, podnosiło morale wartowników.

Gdy zbliżył się do zamkowej bramy i opuszczanej kraty, ścieżka znacznie się zwężyła - do bramy mogło ramie w ramie podejść najwyżej czterech mężczyzn.

Delikatnie ściągnął wodze, podjechawszy pod kratę, i Blaze zatrzymał się, a naprzód wystąpił sierżant. Przenikliwe spojrzenie mężczyzny omiotło płaszcz i łuk, ułożony w poprzek siodła. Zauważył też długi miecz, wiszący u lewego boku przybysza, i zmarszczył czoło. Miecze zazwyczaj nie należały do arsenału - Przejedź, zwiadowco - powiedział żołnierz. Gilan dał ręką znak, że zrozumiał, i ściągnął Blaze'a kolanami.

Popuścił wodze, pozwalając, by koń sam go niósł. Przesmyk nie był bardzo wąski, zwłaszcza jeśli przemierzał go pojedynczy jeździec, jednak Gilan miał świadomość stromych urwisk po obu stronach. wiodców.

Gilan z aprobatą pokiwał głową. Wcześniej dwaj wartownicy nie zwrócili uwagi na broń, a jeśli zwrócili, nie przywiązali do tego wagi. Wyciągnął srebrny liść dębu, który nosił na szyi, i nachylił się w przód, by sierżant mógł wyraźnie zobaczyć odznakę.

- Zwiadowca Gilan, tymczasowo oddelegowany do zadań specjalnych - oznajmił.

Sierżant obejrzał amulet, jeszcze raz rzucił okiem na miecz i wreszcie podjął decyzję. Dał znak, by podniesiono pojedynczą sztabę, przegradzającą bramę, a potem odsunął się w bok.

- Przejedź, zwiadowco Gilanie - powiedział. - Kancelaria ochmistrza znajduje się na wprost, na parterze wieży.

Gilan skinął głową i skierował konia naprzód, w cień masywnej bramy. Kopyta zastukały głośno na bruku zamkowego dziedzińca. Gdy zsiadł z wierzchowca, obok zmateriałizował się stajenny.

- Czy mogę zająć się twym koniem, zwiadowco? - spytał.

Gilan zastanawiał się przez chwilę. Zazwyczaj sam troszczył się o wierzchowca.

- Byłoby miło - odparł. - Przebyliśmy długą drogę, więc porządnie go wyczyść i daj porcję obroku.

Stajenny skinął głową i sięgnął do uzdy. Przekazawszy zwierzę, Gilan zwrócił się do niego:

- Idź, Blaze.

Tak pouczony koń odwrócił się i poczłapał za stajennym w stronę drewnianego budynku pod północnym murem, gdzie znajdowały się stajnie. Zwiadowca uśmiechnął się pod nosem. Gdyby nie wypowiedział tych dwóch prostych słów, wierzchowiec stałby równie nieruchomo, jak sam północny mur.

Wszedł do wieży. Parter był przestronny. Pośrodku widniały duże drewniane schody, wiodące na wyższe piętro. W razie ataku można je było spalić albo zburzyć po ucieczce mieszkańców na górę, by nie zostawić napastnikom żadnej drogi. Dostęp na kolejne poziomy zapewniały takie same spiralne schody, jakie zwróciły jego uwagę w Araluenie. Po lewej stronie znajdowała się duża przestrzeń, oddzielona drewnianą ścianą. Gilan domyślał się, że strażnicy mogą tam odpocząć albo zdrzemnąć się po służbie. Po prawej inna ściana odgradzała mniejszy fragment parteru. To musiała być kancelaria ochmistrza, czyli nadzorca zamku. Jako zwiadowca, Gilan mógł po prostu ruszyć na wyższe piętra, gdzie znajdzie kwatery barona. Zgodnie jednak z etykietą powinien najpierw iść do ochmistrza, a nie widział powodu, by z kimkolwiek zadzierać tylko po to, by pokazać, kto tu jest ważny.

Mężczyzna z lekką nadwagą siedział przy dużych obitych mosiądzem drzwiach. Rękawy jego kaftana obszyto czarną tkaniną dla ochrony przed plamami atramentu. Przepisywał długi ciąg liczb z płachty pergaminu do dużego rejestru. Podniósł wzrok na dźwięk butów Gilana na kamieniach posadzki.

- W czym mogę pomóc? - spytał uprzejmie.

Zwiadowca odrzucił płaszcz za ramiona i jeszcze raz pokazał srebrny liść dębu.

- Nazywam się Gilan. Jestem królewskim zwiadowcą - oznajmił. - Chciałbym się widzieć z ochmistrem.

- Oczywiście. Proszę chwileczkę zaczekać. - Urzędnik odłożył pióro i wstał, po czym pospieszył do drzwi, prowadzących do wewnętrznego gabinetu. Zniknął w środku na niecałą minutę, po czym znowu się wyłonił i skinął na zwiadowcę.

- Proszę do środka. Ochmistrz Philip czeka. Przynieść coś do picia?

Gilan zawahał się. Miał za sobą długą jazdę, a morski wiatr przez ostatnie dziesięć kilometrów był lodowaty.

- Kawę, jeśli jest - powiedział.

Urzędnik uklonił się i gestem wskazał mu drzwi.

- Zaraz przyniosę - oznajmił, gdy zwiadowca wchodził do środka.

Ochmistrz był mężczyzną dość posuniętym w latach. Jego długie włosy były zupełnie siwe, a twarz porwana zmarszczkami, chociaż, jak pomyślał Gilan, mógł to być skutek trudów sprawowanego stanowiska, a nie wieku. Gdy przybysz wszedł, mężczyzna wstał zza biurka i wyciągnął rękę na powitanie.

- Witaj w Highcliff, zwiadowco Gilanie - odezwał się. - Tak szacowny gość to zaszczyt.

Te słowa mogły zabrzmieć służalczo, ale Philip wydawał się szczerzy. Miał w sobie jednak coś, co Gilana zaniepokoiło. Wydawał się czuć nieswojo w towarzystwie przybysza. Wskazał zwiadowcy krzesło przed swoim dużym biurkiem.

- Usiądź, proszę. Przykro mi, że byliśmy nieprzygotowani. Baron Douglas udał się na polowanie. Wróci dopiero za kilka godzin. Ale gdybym mógł jakoś pomóc...

- Nie ma pośpiechu - Gilan zbył przeprosiny machnięciem ręki. - Chętnie zaczekam na powrót barona. Tymczasem być może uzyskam tu trochę informacji.

Wypowiadając te słowa, był pewien, że dostrzegł podszyty poczuciem winy strach, szybko zamaskowany przez gospodarza. Jego oczy lekko się zwięziły. Philip bez wątpienia czymś się denerwował. A Gilan już wcześniej podejrzewał, że w zamku zaszył się szpicel, ktoś postawiony na tyle wysoko, że wiedział o niedawnym konwoju i jego trasie.

- Informacji? - powtórzył ochmistrz. Teraz bardziej panował już nad swoimi reakcjami, jego głos i zachowanie wydawały się spokojne. - Na jaki temat?

Rozległo się pukanie do drzwi. Do komnaty wszedł urzędnik, wnosząc tacę z kubkiem kawy. Gilan postanowił nie odpowiadać od razu. Dał tamtemu czas na zastanowienie się, jakich też informacji może poszukiwać. Przyjął kubek, posłodził, po czym pociągnął długi łyk. Skinieniem podziękował urzędnikowi, który wycofał się z pomieszczenia. Gdy drzwi się zamknęły, zwiadowca odwrócił się z powrotem do Philipa.

- Próbuję wytropić człowieka, który nazywa się Foldar - wyjaśnił. - Może o nim słyszałeś?

Twarcz Philipa pociemniała, a nerwowość ustąpiła miejsca gniewowi.

- Foldar? - powtórzył. - Nigdy nie znałem nikogo równie złego. W mojej opinii był gorszy od samego Morgaratha.

Gilan szybko podniósł głowę.

- Znałeś go?

Gospodarz kilka razy kiwnął głową, zanim odpowiedział. Gdy znowu przemówił, jego

myśli wyraźnie błędziły gdzieś daleko.

- O tak. Znałem - potwierdził. - Właściwie znałem ich obu. Byli źli. Pewnie właśnie to przyciągnęło Foldara do Morgaratha. Jak to mówią, ciągnie swój do swego.

- Jak ich poznałeś? - spytał Gilan, zafascynowany. Jeszcze nigdy nie spotkał kogoś, kto osobiście znałby Morgaratha, mimo że cień byłego barona od tak wielu lat wisiał nad Araluenem.

Philip podniósł wzrok, by spojrzeć mu w oczy.

- W Zamku Gorlan - wyjaśnił. - Zacząłem tam szkolić się w służbie jako młodszy zarządca. Oczywiście nie powiedziałbym, że naprawdę ich znałem... Nie w takim sensie, że spędzaliśmy razem czas albo się spotykaliśmy. Ale często ich widywałem w zamku. I to mi wystarczyło. Nie mogłem się doczekać, kiedy opuszczę to miejsce.

- Kiedy to było? - spytał zwiadowca. Udawał tylko uprzejme zainteresowanie, ale wszystkie zmysły aż go świerzbiły. Choć Philip twierdził, że nie mógł znieść byłego porucznika Morgaratha, to przyznał, że znał Foldara w przeszłości. Może to wystarczyło, by bandzior zapewnił sobie jego usługi.

- To musiało być trzy czy cztery lata przed rewoltą Morgaratha - powiedział ochmistrz. - Czułem, że szykuje się coś złego, i nie chciałem brać w tym udziału. Więc odszedłem. Straciłem rok wysługi i trzymiesięczną zapłatę, ale na dłuższą metę dobrze na tym wyszedłem.

Ciekawe, pomyślał Gilan. Mężczyzna miał niewiele powodów do lojalności wobec Morgaratha czy Foldara. Z drugiej strony, mógł być starannie zakamuflowanym agentem, a jego ucieczka z lena Gorlan - chytrze zaplanowanym podstępem. Morgarath był bez wątpienia zdolny do takich przebiegłych, uknutych z wyprzedzeniem forteli.

- Czemu sądzisz, że Foldar jest gdzieś w okolicy? - spytał Philip, przerywając jego tok myślenia.

- Dotarł do nas raport o napadzie na konwój z zapłatą. Ludzi zabito z zimną krwią, złoto skradziono. Nosilo to wszystkie znaki roboty Foldara.

- Tak. Pamiętam - Philip w zamyśleniu pokiwał głową. - To ja wysłałem ten raport. Wtedy nie łączyłem sprawy z Foldarem. Chociaż, jeśli się nad tym zastanowić, jeden z ocalałych mówił, że herszt bandytów nosił czarny płaszcz. Ale powiązanie z Foldarem wydaje mi się mimo wszystko nikłe. Jesteś pewien, że to był on?

- Nie. Ani trochę. Podążam za tropami w całym królestwie. Ten należał do najbardziej prawdopodobnych. Zostanę parę dni, powęszę w okolicy, popytam ludzi, czy widzieli jakieś podejrzane zgromadzenia, przeprowadzę rozpoznanie w lesie. Jeśli gdzieś tutaj przebywa

banda rabusiów, najpewniej ukryła się właśnie tam. Zobaczę, czego się zdołam dowiedzieć.

Pomyślał, że jego słowa brzmią ogólnikowo i wymijająco. Nie wspomniał, że zaczął snuć plan zastawienia na bandytów pułapki. Nie był jeszcze pewien lojalności Philipa. Ten wzruszył ramionami.

- Pewnie niewiele więcej możesz zrobić - zgodził się. - Kto wie? Może coś znajdziesz.

- Tak właśnie myślę - odparł Gilan. Odstawił kubek i wstał z krzesła. - A teraz, gdyby ktoś mógł wskazać mi moją kwaterę, nie będę przeszkadzał w pracy.

Ochmistrz także powstał, po czym odprowadził gościa do drzwi.

- Mój sekretarz pokaże ci pokoje. - Gdy otworzył drzwi, urzędnik podniósł wzrok. - Zabierz zawiadowcę Gilana do gościnnej kwatery na czwartym piętrze - polecił mu Philip. A potem odwrócił się do zwiadowcy. - Przyślę kogoś jak tylko baron wróci z polowania. Na pewno będzie chciał się z tobą natychmiast zobaczyć.

Gościnna kwatera była wygodna i składała się z trzech pokoiów z widokiem na ocean. Gilan pomyślał, że w takiej budowli, tak umiejscowionej, większość pomieszczeń musi mieć widok na ocean. Rześka słona bryza wdzierła się do środka przez otwarte okna, wydymając ciężkie zasłony. Okna miały okiennice, lecz zwiadowca postanowił pozostawić je otwarte. Lubił świeże powietrze i chłód mu nie przeszkadzał.

Rozgościwszy się, zajrzał do stajni, by sprawdzić, jak się miewa Blaze. W innej przegrodzie, blisko wejścia przebywał inny koń, wałach. Przez kilka chwil wziął go w mroku za Blaze'a. Potem usłyszał znajome rzenie i już wiedział, że jego wierzchowiec stoi cztery przegrody dalej.

Stajenny dobrze się spisał i Blaze'owi było wygodnie w suchej stajni. Miał mnóstwo wonnego siana i wiadro do połowy wypełnione owsem. Woda w cebrze zawieszonym na haku była świeża i czysta. Gilan pokiwał z aprobatą głową, poklepał konia po pysku, a potem się odwrócił, akurat w chwili, gdy do środka wszedł zamkowy sługa.

- Ochmistrz kazał powiedzieć, że baron Douglas wrócił. Teraz przyjmie cię, panie.

Douglas miał swoje biuro i kwaterę na trzecim piętrze. Gilan zmarszczył lekko brwi. Ostrożny dowódca urządziłby sobie miejsce dowodzenia wysoko w wieży, a nie na łatwiej dostępnych środkowych piętrach. Douglas zapewne się rozleniwił, pomyślał zwiadowca, i może miał awersję do pokonywania zbyt wielu schodów.

Pierwsze spojrzenie na barona Highcliff utwierdziło go w tym przekonaniu. Douglas odznaczał się znaczną nadwagą. Gilan wiedział, że inni baronowie, na przykład Arald z Redmont, starają się dbać o sylwetkę. Lecz ten nie miał najwyraźniej podobnych potrzeb.

Był wysoki, mniej więcej wzrostu Gilana, a włosy przerzedzały mu się na czubku głowy. Po bokach były za to długie, jakby miały nadrobić zaczątki łysiny. Zwiadowca zgadywał, że w oficjalnych sytuacjach baron mógł zaczesywać je wysoko, by zamaskować przeświecającą różową skórę. Był gładko ogolony, miał mięsiste policzki i osadzone blisko siebie niebieskie oczy. Zwiadowca pomyślał, że nadaje mu to nieco chytrego wyglądu. Potem odsunął tę myśl od siebie. Nie można było winić Douglasa za umiejscowienie jego oczu, tak jak nie można go było winić za łysienie.

Baron mówił nieco zbyt głośno, jakby miał świadomość swojej ważnej pozycji i ciągle starał się ją podkreślać. Prezentował zdecydowanie obcesowy styl bycia, chociaż powstrzymywał się przed prawdziwą niegrzecznością. Żaden rozsądny człowiek nie ośmielał się być niegrzeczny wobec zwiadowców.

- Philip mówił, że twoim zdaniem ten diabeł Foldar zaszył się gdzieś w Highcliff - nawiązał do tematu baron, gdy mieli już za sobą formalności i prezentacje.

Gilan wzruszył ramionami.

- Podążam za różnymi tropami - wyjaśnił. - Istnieje możliwość, że ukrył się tutaj. Philip na pewno wspominał o napaści na konwój sprzed kilku tygodni.

Douglas prychnął.

- To? Nie sądzę, by to był Foldar. Zwykli bandyci, gdyby mnie ktoś pytał o zdanie.

- Pewnie masz rację, panie. Chociaż ochmistrz zgodził się, że ten atak mógłby zorganizować Foldar. Wygląda na to, że znał go przed laty. A ty, panie? Spotkałeś kiedyś tego człowieka?

Douglas wyprostował się.

- Ja? Nie. Nigdy go nie widziałem. I wcale nie chcę zobaczyć. Czemu pytasz? - dodał, nachylając się podejrzliwie.

Gilan od niechcienia machnął ręką.

- Interesuje mnie pełniejszy obraz tego łotra. Im więcej o nim wiem, tym łatwiej będzie przewidzieć jego ruchy.

- W tym nie pomogę - stwierdził baron, a ton jego głosu wskazywał, że ta rozmowa trwa już zbyt długo. - Gdybym mógł coś dla ciebie zrobić, proś. A najlepiej proś Philipa. On jest tu od załatwiania spraw.

- Postaram się nie sprawiać zbyt wielkiego kłopotu - powiedział z uśmiechem Gilan.

Douglas zdecydowanie pokręcił głową. Większość rzeczy robi zdecydowanie, pomyślał zwiadowca.

- To nie kłopot. Absolutnie nie kłopot. - Baron już przestał zaprzętać sobie myśli

Gilanem.

ROZDZIAŁ 4

Czasowa nieobecność miejscowego zwiadowcy, rozmyślał Gilan, mogła wpłynąć na decyzję Foldara, by wybrać Highcliff jako miejsce swoich działań - zakładając, że rzeczywiście tak uczynił.

Od przybycia Gilana minął jeden dzień i jechał teraz przez wieś otaczającą zamek. Była to dobra, bogata ziemia, a większość rolników zajmowała się przede wszystkim hodowlą mlecznych krów. Okolica robiła wrażenie spokojnej, a gdy zatrzymał się na posiłek w małej wiejskiej gospodzie, ludzie wydawali się szczęśliwi i gościnni.

Dzień był słoneczny, dlatego Gilan postanowił usiąść przy stole na zewnątrz. Właścicielką gospody była atrakcyjna, mniej więcej trzydziestoletnia kobieta. Miała przyjazny charakter i uśmiechała się, gdy przyjmowała jego zamówienie. Zauważył obrączkę na palcu jej lewej ręki, ale nigdzie w budynku nie było śladu męża. Gdy wróciła i postawiła przed nim kufel piwa, omiół wzrokiem gospodę.

- Mąż wyjechał? - spytał.

Uśmiech kobiety przygasł, jej oczy wypełnił smutek.

- Zginął na wojnie - oznajmiła.

Gilan przepaszając pokręcił głową.

- Przykro mi - powiedział, żałując, że zadał jej cierpienie. - Nie powinienem pytać.

Wzruszyła ramionami.

- Nie ja jedna zostałam bez męża - stwierdziła. - I tak jestem w lepszej sytuacji niż większość. Przynajmniej mogę prowadzić interes. Niektórym wdowom zostało gospodarstwo, którym muszą się same zajmować, a to nie jest praca dla kobiety. - Znowu się uśmiechnęła, choć nie tak pogodnie jak wcześniej, po czym zmieniła temat. - Więc co cię sprowadza w nasze progi, zwiadowco?

- Proszę, mów mi Gilan - powiedział, a ona wyciągnęła rękę, by ucisnąć mu dłoń.

- Jestem Maeve - przedstawiła się.

Uważnie mu się przyjrzała. Był wysoki i przystojny, z odrobiną humoru, a nawet przewrotności w oczach. Roztaczał też wokół atmosferę pewności siebie. Cichej pewności, a nie arogancji, jak niektórzy inni mężczyźni. Pewnie był od niej o rok czy dwa lata młodszy. Nie była to znaczna różnica wieku i zastanawiała się, czy ma żonę.

- Więc co? - ponagliła, a on przypomniał sobie, o co Pytała.

- A... Pewne drobne sprawy w zamku - odparł niedbałym tonem. - Detale administracyjne, porządkowanie wszystkiego po wojnie. - Przerwał, po czym dodał: - Znasz może Philipa, ochmistrza?

W przeszłości przekonał się, że właściciele gospód są z reguły dobrze poinformowani o lokalnych plotkach. Często chętnie dzielili się swoją wiedzą. Okazało się, że Maeve nie jest wyjątkiem.

Skinęła głową.

- Dobry administrator - powiedziała - o ile jest w stanie trzymać się z dala od kości.

- Hazardzista? - spytał, a ona się zawahała i z namysłem wyduła wargi, zanim odpowiedziała. Lubiła Philipa i nie chciała, by Gilan odniósł co do niego mylne wrażenie.

- Kiedyś tak. Razem z kilkoma miejscowymi kupcami grywał regularnie w karczmie Pod Łabędziem. - Ruchem głowy wskazała jednopiętrowy budynek na dalekim końcu głównej ulicy wioski. - Ale nie widziałam go tam od miesiąca czy dwóch. Chyba sobie przysiągł, że do tego nie wróci. Miał już u innych graczy spory dług. Niektórzy chcieli nawet donieść na niego baronowi Douglasowi, ale przekonał ich, by tego nie robili.

- To by mu zaszkodziło - stwierdził zwiadowca. Jako ochmistrz, Philip odpowiadał za zamkowy skarbiec. Douglas nie czułby się pewnie, gdyby wiedział, że zarządca jego finansów ma hazardowe długi w wiosce.

ugi w wiosce.

- Zgadza się. Nie żeby ktoś tutaj miał dla barona wiele czasu... - Maeve urwała, zrozumiawszy, że mogła się trochę zagalopować.

Gilan uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Poznałem go - powiedział. - Trochę nadęty, prawda?

Wyraźnie się odprężyła.

- Jak mówię, żaden z pozostałych nie uważał, że jest mu winien przysługę. Są mu już winni wystarczająco wiele podatków - dodała ponuro. - Ma dość ciężką rękę, gdy chodzi o nakładanie ich na miejscowych.

Gilan pokiwał głową, zachowując beznamiętny wyraz twarzy. W duchu jednak się uśmiechał. Jeszcze nie spotkał kupca, który by nie uważał, że płaci za wysokie podatki.

- Czyli... ostatnio Philip nie zagląda zbyt często do wsi? - spytał, a Maeve zdecydowanie pokręciła głową.

- Nie do Łabędzia - odparła. Potem zamyśliła się na chwilę. - Ale widziałam go niedawno kilka razy, późną nocą. Mam lekki sen i często siaduję przy oknie, patrząc na ulicę. - Nie dodała, że kiepsko śpi z powodu samotności. Właśnie nocą, gdy nic innego nie

zaprzętało jej myśli, najdobitniej odczuwała stratę męża.

- Dokąd się wybierał? - spytał zwiadowca.

Wahała się przez kilka sekund.

- O ile to był on. Chociaż w sumie jestem pewna, że tak. Nigdy nie widziałam jego twarzy, ale to był jego chód, z głową pochyloną do przodu i zgarbionymi ramionami. Wydawało się, że zmierza do domu Ambrose'a Turnera na końcu ulicy. Myślałam, że to dziwne, bo właśnie jemu był winien najwięcej pieniędzy.

- Udało mu się spłacić dług?

- Nie wiem. Widocznie tak. Raczej nie byłby mile widziany w domu Ambrose'a, gdyby nie spłacił, prawda?

Gilan zmarszczył brwi.

- Racja - przyznał z namysłem.

Maeve, która podczas rozmowy przycupnęła na skraju jego stołu, podniosła wzrok na grupkę klientów, którzy właśnie się pojawili i nawoływali do niej wesoło, wchodząc do gospody.

- Lepiej ich obsłużę - westchnęła. - Twój posiłek niedługo będzie gotowy. Miło się z tobą rozmawiało, Gilanie. Wpadnij jeszcze - dodała. Gdy wypowiadała te słowa, w jej oczach pojawiła się tęsknota.

- Tak zrobię - odparł z uśmiechem. Ale jego mózg pracował, rozważając to, co mu powiedziała. Miał o czym myśleć.

Tego popołudnia powoli wracał konno do zamku, wciąż rozmyślając o zdobytych informacjach i układając sobie fakty w głowie.

Philip był - być może do czasu - nałogowym hazardzistą. Co gorsza, przegrywał i zaciągnął znaczny dług u miejscowych kupców. Było to niebezpieczne połączenie. Jako ochmistrz, miał dostęp do funduszy zamku. Jeśli spłacił dług, a - jak mówiła Maeve - w przeciwnym razie nie byłby raczej chętnie przyjmowany w wiosce, to najprawdopodobniej źródłem pieniędzy był zamkowy skarbiec.

Istniała jeszcze inna możliwość. Hazard czynił z Philipa potencjalną ofiarę szantażu. Gdyby baron dowiedział się o jego nałogu i długach wobec handlarzy, natychmiast by go zwolnił.

A jeśli Foldar odkrył tajemnicę Philipa? Mógł zapłacić za niego należne pieniądze, a potem grozić, że go wyda. Gdy już miał mężczyznę w garści, mógł zrobić z niego swojego informatora w Zamku Highcliff, przekazującego wieści o transportach pieniędzy na wypłaty

albo wpływach z podatków.

Podatki! Termin zapłaty kwartalnego podatku na rzecz króla mijał za tydzień. Czy Philip przekazał Foldarowi informację o ilości pieniędzy, które zostaną przesłane do Zamku Araluen? Albo o dacie wyjazdu i trasie, którą miał obrać wóz?

To mogło tłumaczyć ukradkowe nocne wyprawy do wsi. A jeśli nie odwiedzał Ambrose'a, tylko spotykał się z Foldarem albo z jego agentami? W końcu Maeve nigdy nie widziała go wchodzącego do Ambrose'a, a dom kupca stał na końcu ulicy. Philip mógł równie dobrze mijać całą wioskę i iść dalej na rozmowę z Foldarem.

Z powodu gonitwy myśli omal nie umknęło mu ostrzegawcze parsknięcie Blaze'a i szarpnięcie łbem w lewą stronę. Znowu w pełni czujny, Gilan zerknął w lewo i ujrzał dwie postacie, podnoszące się zza osłony w postaci kłody, leżącej po drugiej stronie strumienia, wzdłuż którego jechał. Zauważył mężczyzn, a ułamek sekundy później - zarejestrował także fakt, że obaj są uzbrojeni w kusze i że z owych kusz mierzą właśnie w niego.

Wyrwał nogi ze strzemion i rzucił się z siodła w bok, skacząc w prawo, by wierzchowiec znalazł się pomiędzy nim a uczestnikami zasadzki. Usłyszał przy swojej głowie dziwne brzęczenie i poczuł, że coś szarpie zaciekle jego płaszcz. Następnie uderzył bokiem o ziemię i przeturlał się, by złagodzić upadek. Jęknął, a potem cicho zawołał:

- Blaze! Panika!

Wierzchowiec zastrzygł uszami, słysząc swoje imię. Potem, na drugie słowo komendy, wykonał bardzo efektowną akcję. Zarżał głośno i stanął dęba na tylnych nogach, przednimi wymachując w powietrzu. Gdy przednie kopyta znowu opadły na ziemię, zatoczył krąg, nie przestając rzeć i parskać. Potem pobiegł kilka metrów w kierunku, z którego przybyli, zatrzymał się, zawahał, i pognał w przeciwną stronę, zataczając szerokie koło i wstrząsając przy tym łbem oraz grzywą.

Był to pilnie ćwiczony manewr, jeden z wielu, które zwiadowcy i ich wierzchowce trenowali od pierwszych spędzonych wspólnie dni. Hałas, ruch, pozorna panika - to wszystko miało odwracać uwagę. Gdy Gilan zeskoczył z siodła i spadł na ziemię, żaden obserwator nie byłby w stanie nie oderwać od niego wzroku, by spojrzeć na miotającego się, stojącego dęba i rżącego konia.

Zwiadowca zyskał czas, by się przeturlać, owijając się przy tym w płaszcz. Uświadomił sobie, że podczas skoku kaptur spadł mu z głowy. Nie miał czasu, żeby włożyć go ponownie, więc gdy się turlał, naciągnął na twarz fałdę płaszcza w charakterze maski. Spoczął na ziemi, patrząc w kierunku, z którego nastąpił atak. Leżał w całkowitym bezruchu, niemal nie oddychając, podczas gdy Blaze najwyraźniej otrząsnął się po nagłym ataku paniki

i zatrzymał się z opuszczonym łbem o kilka metrów od niego.

Zaufaj płaszczowi. Tę mantrę wpajano zwiadowcom przez wszystkie te lata, gdy byli jeszcze uczniami. Gilan postępował teraz zgodnie z tą radą, leżąc bez ruchu w błotnistej trawie, a szaro-zielony wzór na płaszczu sprawiał, że dla każdego oczu był niewidzialny.

Napastnicy znajdowali się w odległości ledwie trzydziestu metrów, oddzieleni głębokim strumieniem. Wyraźnie ich słyszał.

- Gdzie on się podział?

- Trafiłem go. Wiem, że go trafiłem. - W drugim głosie pobrzmiwało podniecenie.

Pierwszy, gdy znowu się odezwał, ociekał złościwością.

- No to gdzie jest? Nie ma po nim śladu.

- Musi gdzieś być. Wiem, że... - Głos umilkł.

Szparkami oczu Gilan obserwował spod płaszcz, jak dwaj mężczyźni wychodzą zza osłony zwalonej kłody i ostrożnie ruszają na brzeg potoku. Starszy z nich, ten złośliwy, popatrzył z powątpiewaniem na ciemną, wartką wodę.

- Przeskocz na drugą stronę i go poszukaj - nakazał, ale jego towarzysz tylko parsknął z oburzeniem.

- Przeskoczyć? Nie ma mowy! Woda ma trzy albo cztery metry głębokości, a ja kiepsko pływam! Sam przeskocz.

Poniewczasie obaj niedoszli zabójcy zorientowali się, że nie załadowali swoich kusz. Zrobili to teraz, stękając z wysiłku, gdy naciągali ciężkie cięciwy. Gilan spojrział na swój łuk, leżący o kilka metrów od niego. W locie puścił broń, bo bał się, że złamie łączysko, jeśli na nie spadnie. Przez chwilę zastanawiał się nad następnym posunięciem. Mógłby wstać i błyskawicznie podnieść łuk. Dwie sekundy zajęłoby mu wyjęcie strzały z kołczana i założenie jej na cięciwę. Kolejne pół sekundy - naciągnięcie, wycelowanie i strzał. Wszystko przy założeniu, że owinięty wokół ciała płaszcz nie utrudni dostępu do kołczana. Bardziej prawdopodobne, że kołczan wraz ze strzałami zaplącze się beznadziejnie w fałdy tkaniny, wydłużając czas potrzebny na strzał o dalsze cenne sekundy.

Nie. Przegapił okazję, gdy stali z nienaładowanymi kuszami. Gdyby przeciwnik był tylko jeden, zwiadowca mógłby zaryzykować. Ale przy dwóch kusznikach w tak małej odległości, zagrożenie było zbyt duże. Już po chwili ulżyło mu, że podjął taką, a nie inną decyzję. Do dwóch głosów przyłączył się trzeci.

- Ej, wy dwaj! Co się dzieje?

Głos zdradzał wykształcenie, ale ton był ostry i wymagający.

Oczy Gilana skierowały się w stronę, z której dobiegał. Nie odważył się przekreślić

głowy. Dostrzegał ciemną postać na samym skraju swojego pola widzenia. Kimkolwiek był ten człowiek, najwyraźniej nosił się na czarno. Po chwili jego tożsamość stała się jasna, gdy obaj kusznicy odpowiedzieli mu na pytanie.

- Tylko sprawdzamy, lordzie Foldar.

Gilan zeszywniał. Czyli Foldar jednak tu jest, pomyślał.

- Sprawdzacie? Co sprawdzacie? Trafiliście go?

Dwaj strzelcy wymienili niespokojne spojrzenia. Potem ten starszy znowu się odezwał:

- Tak. Trafiliśmy, panie. Dostał, bez dwóch zdań.

- No to się upewnijcie! - rozkazał ze złością Foldar.

Mężczyźni znowu popatrzyli nerwowo po sobie. Skoro nie widzieli Gilana, jak mieli się upewnić, że nie żyje? Potem ten starszy wzruszył lekko ramionami.

- Dobrze, panie! - zawołał i uniósł kuszę. Wycelował byle gdzie, trzy czy cztery metry na lewo od zwiadowcy, i nacisnął spust swojej kuszy. Rozległ się charakterystyczny, niemiły trzask zwalnianego mechanizmu, a potem świst i głuchy odgłos, gdy krótki bełt zagłębił się w ziemię.

Gilan doszedł do wniosku, że trwa to już zbyt długo. Blaze wciąż stał kilka metrów dalej. Zwiadowca cicho gwizdnął - był to pulsujący, trzydziwkowy świst, kolejny przygotowany zawczasu sygnał. Choć był cichy, kusznicy po drugiej stronie strumienia usłyszeli go i gwałtownie podnieśli wzrok, niepewni, skąd dobiegł dźwięk.

- Co to było? - spytał ten młodszy. Ale wtedy uwagę znowu zwrócił na siebie Blaze. Podniósł łeb, nadstawił uszu i odwrócił się od Gilana, spoglądając w przeciwnym kierunku, na pobliskie drzewa. Zarżał i ruszył stępą w stronę, w którą patrzył.

- Ktoś się zbliża! - powiedział starszy kusznik. - Zbierajmy się stąd!

Zwiadowca przyglądał się, jak niezdarnie przedzierają się przez leśne poszycie po drugiej stronie strumienia. Usłyszał krótką, gniewną wymianę zdań; zapewniali Foldara, że Gilan nie żyje. Potem ich sylwetki zlały się z drzewami na przeciwległym brzegu.

Zwiadowca odczekał kilka minut, po czym powoli usiadł. Gwizdnął i Blaze przybiegł do niego kłusem.

Jak się spisałem?

- Byłeś nadzwyczajny - pochwalił Gilan. - W sumie się zastanawiam, czy naprawdę nie wpadłeś w panikę.

Blaze parsknął w jego stronę.

Ja, w panikę? Z powodu dwóch nieporadnych kuszników? Czemu ich nie zastrzeliłeś?

- Upuściłem łuk - wyjaśnił zwiadowca i natychmiast tego pożałował.

Koń obrócił łeb, by na niego spojrzeć.

No pewnie.

Mężczyzna wsiadł na wierzchowca i odjechał w zamyśleniu. Kilka kilometrów dalej ubrał swoje myśli w słowa.

- Czemu Foldar wysłał ludzi, żeby urządzili na mnie zasadzkę? To nie najlepszy plan, jeśli nie chce rzucać się w oczy. Ktoś, kto próbuje pozostać niezauważony, nie próbuje zabić zwiadowcy.

Może po prostu nie lubi zwiadowców.

- Niewykluczone. Ale raczej wie, że go ścigam, i próbował mnie uprzedzić.

Skąd miałby to wiedzieć? Chyba że ktoś powiedział mu o tobie. A tylko dwóch ludzi wie, co tu robisz.

- Właśnie - powiedział do siebie Gilan.

ROZDZIAŁ 5

Północ minęła już jakiś czas temu, gdy Philip wyłonił się z okazałego domu na krańcu wioski. Poruszał się ukradkiem, kryjąc się w cieniu, rzucanym przez domy. W prawej ręce niósł duży worek z białego płótna.

Gilan przypatrywał się ze swojego punktu obserwacyjnego w bocznym zaułku, jak ochmistrz mija go w odległości ledwie trzech metrów. Philip go nie zauważył, ale był na tyle blisko, że kiedy przekładał worek z ręki do ręki, zwiadowca usłyszał charakterystyczny brzęk. Pieniądze, pomyślał. I to sporo pieniędzy.

Kiedy ochmistrz się oddalił, Gilan pobiegł lekko na tył zaułka. Trzymając się równoległe do głównej drogi w wiosce, dalej poruszał się biegiem, choć jego stopy nie wydawały na miękkim gruncie niemal żadnego dźwięku. Nim dotarł do skraju wioski, wyprzedził Philipa o jakieś dziesięć metrów.

Ochmistrz szedł powoli, z opuszczoną głową i pochylony pod ciężarem worka. Otoczenie zupełnie go nie interesowało. Spodziewał się, że późną nocą ani on nikogo nie zobaczy, ani nikt nie zobaczy jego. Mimo wszystko Gilan oddalił się pod pewnym kątem i znalazł kryjówkę wśród drzew. Biegł dalej, wciąż wzdłuż drogi, kierując się w stronę zamku i coraz bardziej zwiększając dystans od wlokącej się za nim postaci.

Po zachodzie słońca zewnętrzny posterunek na przesmyku nie był obsadzony. Wartownicy wycofywali się do wnętrza zamku, gdzie opuszczano ciężką kratę, by zagrodzić wejście. Strażnicy wciąż jednak stali na murach i drogę przez cypel mieli jak na dłoni. Gdy jednak Gilan śledził wcześniej Philipa, wychodzącego z twierdzy, widział, jak tamten schodzi niezdarnie kilka metrów w dół zawałonego kamieniami zbocza przy drodze, gdzie między skałami wiła się wyboista i ledwie widoczna ścieżka. Tutaj był skryty przed wzrokiem zamkowych strażników. Teraz zwiadowca poszedł właśnie tą ścieżką, aż znalazł się ledwie kilka metrów od niebosiężnych murów. Potem szybko wrócił wyżej, na poziom gruntu. Przywierając do szorstkiego kamienia, ruszył w lewo, okrążając jedną z narożnych wież. Kilka metrów dalej dotarł do małej furtki, przez którą Philip opuścił zamek.

- Zawsze jest jakieś tajne wejście i wyjście - mruknął wcześniej Gilan, widząc, jak ochmistrz ją otwiera. To dlatego pobiegł przed Philipem. Kiedy tamten wejdzie z powrotem do zamku, na pewno zamknie furtkę na klucz.

Zwiadowca zatrzasnął ją za sobą i przekradł się do wieży na środku. Ukrył się za

krzesłem z wysokim oparciem, skąd miał widok na kancelarię i masywne drzwi do skarbcza, w którym przechowywano pieniądze z podatków.

Przebywał w tym miejscu od kilku minut, gdy drzwi zewnętrzne otworzyły się ze skrzypnięciem i Philip wśliznął się przez nie do wieży. Rozejrzał się dookoła, upewniając się, że nikt go nie obserwuje, po czym pospieszył do drzwi skarbcza. Gilan znowu usłyszał brzęk monet, gdy tamten odstawił worek i zaczął majstrować przy zawieszonych na kółku kluczach.

Kilka minut później wyszedł i zajął się licznymi zamkami w drzwiach skarbcza. Następnie sprawdził, czy są porządnie zamknięte. Odetchnął, zmęczony, przeszedł do swojej kancelarii i wszedł do środka. Gilan wiedział, że prywatna kwatera Philipa znajduje się za gabinetem. Zauważył też, że wychodząc ze skarbcza, ochmistrz nie niósł już worka z pieniędzmi.

- Ciekawe - mruknął pod nosem.

- To duże ryzyko - oświadczył baron Douglas, marszcząc brwi, gdy Gilan wyłuszczył pierwszą część swojego planu. - Zamierzasz wysłać pieniądze na podatek w jednym małym wozie bez eskorty? Nie podoba mi się to.

- Niezupełnie bez eskorty - odpowiedział Gilan. - W końcu będę jechał tym wozem.

Baron nie wydawał się przekonany. Zwiadowca czy nie - jeden człowiek niewiele by zdziałał, gdyby banda Foldara postanowiła zaatakować.

- Rzecz w tym - ciągnął Gilan - żeby Foldar pomyślał, że pieniądze jadą w konwoju, jak zwykle. Wszystko zorganizujemy tak, żeby wyjechał dziesięć minut po małym wozie, z normalną eskortą.

Baron odchylił się na krześle, z powątpiewaniem kręcąc głową.

- Jeśli Foldar postanowi ukraść pieniądze - powiedział - Będzie obserwował zamek. I zobaczy, że mały wóz z tobą wyjechał kilka minut przed dużym wozem i obstawą. Domyśli się, że nie spuściłbyś pieniędzy z oka i zwęszy spisek. Przejrzy twój plan. Nie jest taki głupi.

- Na to właśnie liczę. - Zwiadowca uśmiechnął się. - Bo zaplanowałem podwójny blef. Pieniądze będą tam, gdzie być powinny, w dużym wozie pod eskortą. Więc kiedy Foldar będzie zajęty atakiem na mały pojazd, a przy tym daniem mi szansy, bym go pojmał... prawdziwy wóz z pieniędzmi będzie już bezpieczny wiele mil dalej.

Na chwilę Douglasowi odebrało mowę. Jego usta poruszały się bezgłośnie, gdy układał sobie w głowie pogmatwane efekty działania umysłu zwiadowcy.

- Czyli duży wóz, który ma być wabikiem, będzie naprawdę wioził pieniądze? A tymczasem mały wóz z tobą w środku będzie w istocie wabikiem?

- Zgadza się - potwierdził radośnie Gilan. - Czasami jestem tak przebiegły, że zaskakuję nawet siebie samego.

- Nie chciałbym być w twojej skórze, kiedy Foldar cię dopadnie i zrozumie, że go oszukałeś - uznał Douglas.

- To część planu. Chcę, żeby mnie dopadł. Oszczędzi mi w ten sposób tropienia go.

Douglas pokręcił głową na te słowa.

- Lepiej ciebie niż mnie. Nie chciałbym mieć z nim do czynienia, kiedy jest zły. Te jego oczy wystarczą, żeby człowiek dostał dreszczy. Są zimne i bez życia jak u węża.

- Parę węży w życiu zabiłem - stwierdził Gilan, porzucając niefrasobliwą pozę.

Baron nerwowo potarł podbródek i zobaczył stalowy wzrok młodego zwiadowcy. Uciekł spojrzeniem gdzie indziej i szybko zmienił temat.

- Oczywiście, ludzie zajmujący się załadunkiem będą wiedzieli, w którym wozie są pieniądze. Musimy dopilnować, żeby nie puścili pary z ust.

- Najlepiej zamknąć ich na jeden dzień - podsunął Gilan i Douglas zmarszczył brwi.

- Czy to nie trochę drastyczny pomysł? - spytał.

Zwiadowca zbył ten protest wzruszeniem ramion.

- Nie trzeba zakuwać ich w łańcuchy i wrzucać do lochu. Wystarczy, żeby przez jeden dzień nie mogli się porozumiewać z innymi. Nie możemy ryzykować, że wieść o podwójnym blefie dotrze do Foldara. Wiemy, że gdzieś w zamku jest informator. A w ten sposób tylko my dwaj będziemy znali prawdę.

- No i Philip, ma się rozumieć - dodał baron. - Musi przeliczyć pieniądze i poświadczyć formularze podatkowe. Jego też mam zamknąć?

Gilan zawahał się przez chwilę, po czym odparł spokojnym tonem:

- Nie. Jestem pewien, że Philipowi możemy ufać.

- Ilu masz ludzi w oddziale? - spytał Gilan rudobrodego oracza.

Nazywał się Bran Richards i był dowódcą miejscowych łuczników. Każde lenno w królestwie miało obowiązek utrzymywać w gotowości łuczniczą jednostkę. Jej członkowie, oprócz wykonywania zwykłych zajęć, takich jak oranie pól, zbiory czy mielenie ziarna trenowali przez cały rok. W razie wojny mogli zostać powołani do armii królewskiej i byli gotowi natychmiast stanąć do walki.

- Piętnastu - odparł zagadnięty. - Powinno być osiemnastu, ale trzech straciliśmy na wojnie. Muszę zwerbować trzech nowych rekrutów i niedługo zacząć ich szkolić.

- Hmm. Do moich zamierzeń powinno wystarczyć sześciu. Wybierz sześciu

najlepszych łuczników i czekaj na mnie pojutrze trzy kilometry za miejscem, gdzie trakt i droga nadmorska się rozgałęziają. Jest tam niewielki zagajnik, w którym możecie się schować. Pozostańcie w ukryciu. W sumie może najlepiej, jeśli zajmiecie stanowiska przed brzaskiem.

Bran skinął głową.

- Jak rozkażesz.

Gilanowi zaświtała nowa myśl.

- Jeszcze jedno - dodał. - Powiedz swoim ludziom, że to zwykłe ćwiczenie polowe.

Nie wspominaj, że mam z tym coś wspólnego, dobrze? Właściwie w ogóle nikomu nie wspominaj o naszej rozmowie.

Brodacz przytaknął ze zrozumieniem. Wskazał dzban na stole między nimi. Siedzieli w wygodnym salonie jego domu.

- Jeszcze cydru? - zaproponował.

Gilan jednak pokręcił głową.

- Muszę zachować jasność umysłu - stwierdził. - Mam wiele spraw do załatwienia.

ROZDZIAŁ 6

Obserwator przypatrywał się ze wzgórza, jak powoli, ze zgrzytem unosi się krata, by wypuścić mały, kryty wóz, ciągnięty przez pojedynczego konia. Za pojazdem truchtał wierzchowiec, przywiązany liną. Obok woźnicy siedziała wysoka postać w charakterystycznym płaszczu zwiadowcy. Pod czujnym okiem obserwatora wóz powoli toczył się do rozstaju dróg. Następnie skręcił w lewo, podążając nadbrzeżną drogą.

Okolo dziesięciu minut później z bramy wyjechał drugi wóz, większy od pierwszego i ciągniony przez dwa konie. Za nim wyłoniła się eskorta sześciu uzbrojonych konnych. Ten wóz skierował się w prawe odgałężenie drogi, Wiodące w stronę lasu.

- Tak jak mówił lord Foldar - mruknął do siebie mężczyzna na wzgórzu. Popędził w miejsce, gdzie uwiązany był jego koń, dosiadł go i puścił się galopem. Trzymał się z dala od drogi, dopóki nie wyprzedził powolnego wozu na tyle, by stracić go z oczu. Następnie pognął wierzchowca na trakt i pomknął jak wiatr. W miejscu, gdzie przy skraju drogi leżało zwalone drzewo, ściągnął wodze. Spomiędzy drzew wyłonił się Foldar w swym nieodłącznym płaszczu z czarnego aksamitu z wysokim kołnierzem. Pod spodem nosił kolczugę, także czarną. Lewą rękę mężczyzny zakrywała trójkątna tarcza. Długi miecz spoczywał w pochwie, zamocowanej do łęku siodła.

Jeździec zbliżył się do dowódcy.

- Melduj - usłyszał.

Jeździec zawahał się. Nigdy nie czuł się swobodnie pod spojrzeniem zimnych oczu zastępcy Morgaratha, który rzadko - o ile w ogóle - mrugał.

- Mały wóz wyjechał dwadzieścia minut temu - oznajmił. - Był w nim zwiadowca.

- Ten sam zwiadowca, którego, według twoich zapewnień, zabiliście? - spytał cicho Foldar. Jego pomagier poruszył się niespokojnie w siodle.

- Tak, lordzie Foldar. Przepraszam. Myślałem...

Ale herszt bandytów uczynił ręką nieznaczny gest.

- Przestań paplać. Czy drugi wóz wyjechał?

- Dziesięć minut później, panie. Jedzie górnym traktem w stronę lasu, tak jak przewidziałeś.

Foldar wyszczerzył się z pogardą na tę próbę przypochlebiania się.

- A wabik? - spytał.

- Mały wóz pojechał drogą nadmorską, panie.

Foldar milczał przez chwilę. Pomyślał, że to nędzna próba zmylenia go, chociaż musiał się przed sobą przyznać do podziwu dla zwiadowcy, który sam wsiadł do będącego przynętą wozu. Świadczyło to przynajmniej o pewnej dozie oryginalności. Ale tym bardziej się zirytuje, gdy się okaże, że jego fortel się nie powiódł. Będzie oddalony o całe mile od prawdziwego ataku i nie zdoła interweniować.

- Dobrze - powiedział. - A teraz zjedźmy z drogi, gdzie nas widać.

- Tak, panie - odrzekł potulnie obserwator. Wjechali z powrotem między drzewa, gdzie kilkunastu ciężkobrajnych konnych czekało na rozkazy Foldara.

- Ty, ty i ty - rzucił dowódca, kciukiem wskazując posłańca i dwóch innych mężczyzn.

- Zajmijcie pozycje po drugiej stronie drogi. Kiedy usłyszycie mój róg, od razu atakujcie i róbcie tyle hałasu, ile tylko zdołacie.

Trzej mężczyźni mruknęli pod nosem na znak, że zrozumieli. Gdy już mieli ruszyć, zatrzymał ich.

- Nie pokazujcie się - polecił. Było to bardziej ostrzeżenie niż rozkaz. Potem, gdy odprawił ich ruchem ręki, pojechali zająć pozycje. - Kiedy obstawa będzie zajęta, uderzymy. Tylko czekajcie na mój rozkaz.

Kilku jeźdźców pokiwało głowami. Byli zadowoleni, że nie wybrano ich do pierwszego ataku. Wiedzieli, że Foldar będzie wstrzymywał główne natarcie, dopóki żołnierze z eskorty nie zostaną zajęci walką. Trzej mężczyźni, których wytypował, zmierzają się z dwukrotnie liczniejszym wrogiem i wydawało się mało prawdopodobne, by przeżyli. Wszyscy w ostatnich dniach tak czy inaczej podpadli dowódcy.

Usłyszeli nadjeżdżający konwój, jeszcze zanim go zobaczyli. Kopyta wierzchowców eskorty stukały na twardej, ubitej powierzchni traktu, a oś wozu skrzypiała w przyprawiającym o ból zębów rytmie. Po chwili wóz wraz z obstawą wyłonił się zza zakrętu. Dwóch członków obstawy jechało przed pojazdem, dwóch kolejnych po bokach, a ostatnia dwójka zabezpieczała tyły. Na koźle obok woźnicy siedział jeszcze jeden uzbrojony mężczyzna.

Eskortujący zachowywali czujność, omiatając wzrokiem las po obu stronach drogi. Straż tylna co pół minuty obracała się w siodłach, by nie tracić z oczu drogi za sobą. Foldar spodziewał się, że na tak wczesnym etapie podróży będą czujni, i dlatego wysłał trzech ludzi na przeciwległą stronę drogi, by odwrócić uwagę zbrojnych od głównego uderzenia. Czekał teraz, aż wóz zrówna się z miejscem, w którym wraz z podwładnymi ukrył się wśród drzew. Koń obok niego postąpił o krok czy dwa do przodu, zanim jeździec go wstrzymał.

- Niech cię licho, nie ruszaj się - syknął Foldar, zapamiętując, kto to taki. Bandyta pobladł. Wiedział, że dowódca go nie zapomni, a później spotka go kara. Pomyślał, że po tym napadzie najlepiej będzie zdezerterować z bandy.

Foldar miał niewielki róg z kości słoniowej i mosiądzu, który nosił u pasa. Uniósł go do warg i zawahał się, szacując odległość i prędkość wozu. W odpowiedniej chwili krótko zadął w instrument.

Członkowie eskorty usłyszeli go, ma się rozumieć, usłyszeli też, skąd dobiegł dźwięk. Jak jeden mąż odwrócili się ku drzewom po lewej stronie drogi, opuszczając ręce do rękojeści mieczów. Potem usłyszeli krzyki i nagły tętent kopyt z prawej i zawrócili konie w tamtym kierunku, przez chwilę panowało zamieszanie i jeźdźcy niepewnie kręcili się w kółko. Potem najstarszy rangą wykrzyknął kilka komend i ustawił ich w formacji przy prawym skraju drogi, w samą porę, by stawić czoło napastnikom.

W pierwszej wymianie ciosów atakujący mieli przewagę, wspomagani impetem natarcia i elementem zaskoczenia. Żołnierze ledwie zdążyli ustawić linię obronną, nim bandyci ich dopadli. Jeden z koni eskorty został zwalony z nóg, gdy wpadł na niego rozpedzony wierzchowiec napastnika. Inny obrońca obrócił się, upuszczając broń i łapiąc się za zranione ramię, by powstrzymać nagłe krwawienie po cięciu mieczem.

Gdy jednak początkowa energia natarcia rozproszyła się, bandyci znaleźli się w opresji. Jeden szybko padł, przeszyty mieczem, gdy stanął w strzemionach, chcąc ugodzić dowódcę eskorty. Wtedy zostało dwóch na pięciu i członkowie eskorty szybko otoczyli napastników.

Spomiędzy drzew po prawej stronie drogi Foldar patrzył przez przymrużone powieki, czekając, aż obstawa będzie zupełnie pochłonięta odparciem ataku. Mógł zaatakować wcześniej i zapewne uratować życie dwóch swoich ludzi. Niewiele jednak dbał o ich los, a wiedział, że jego własne szanse powodzenia będą większe, jeśli zaczeka. Teraz, widząc, że w siodle został tylko jeden z jego podwładnych, uznał, że moment jest odpowiedni. Podniósł miecz, a potem machnął nim w przód, wyprowadzając swoich z lasu i szarżując w stronę konwoju.

Tak jak wcześniej rozkazał, nie wydawali żadnych dźwięków. Nie było bitewnych okrzyków ani obelg, a jedynie stłumione dudnienie kopyt na miękkiej trawie.

Foldar zobaczył, że ostatni z trójki, która przypuściła pierwszy atak, opada nagle na siodło z mieczem żołnierza wbitym w bok. Potem, tak jak oczekiwał, eskorta odprężyła się, sądząc, że już po walce. Część chowała miecze, gdy jeden podniósł wzrok i zobaczył galopującą grupę w odległości ledwie dwudziestu metrów. Krzyknął ostrzegawczo i pozostali

znowu odwrócili się w zamieszaniu, zastanawiając się, skąd się wziął ten kolejny atak.

Po chwili, poprzez chaotyczne okrzyki, Foldar usłyszał inny dźwięk: wibrujący, syczący odgłos strzał, opadających łukiem w ich stronę. Ledwie sekundę później rozległy się tępe uderzenia grotów trafiających w cel. Czterech jego ludzi zważyło się z siodła i legło nieruchomo na ziemi. Konie kontynuowały natarcie jeszcze przez kilka metrów, po czym, pozbawione jeźdźców, którzy by je ponaglali, zwolniły i kręciły się bez celu.

Znowu otoczył go zwielokrotniony wibrujący dźwięk i kolejnych dwóch spośród jego ludzi runęło na ziemię. Pozostali ściągnęli wodze, by zmienić kierunek, jak najdalej od wozu i jego obstawy. Foldar także wyhamował swojego konia, szukając źródła tych dwóch morderczych ataków.

I zobaczył je. Sześćdziesiąt metrów dalej spomiędzy drzew wyłoniło się pół tuzina łuczników. Obok dojrzał wysoką postać na koniu, kierującą ostrzałem. Nawet mimo braku charakterystycznego cętkowanego płaszcza rozpoznał młodego zwiadowcę. Zaklął ze złością, zastanawiając się, jakim cudem ten mężczyzna znalazł się tutaj tak szybko i wezwał pod broń oddział łuczników.

Nie było jednak czasu na rozmyślenia. Jego własna drużyna, licząca początkowo dziewięciu ludzi, zmniejszyła się teraz do trzech, a członkowie eskorty, podniesieni na duchu niespodziewaną odmianą losu, zbierali się, by ich zaatakować.

- Uciekajcie! - krzyknął do ocalałych. - Rozproście się! Zbiórka jutro w obozowisku!

Nie czekał, by sprawdzić, czy go słyszeli i czy posłuchali rozkazu. Zawrócił wierzchowca i dźgnął jego boki ostrogami. Koń ruszył i już po chwili przeszedł w cwał, podczas gdy jego pan ciągle bódł go ostrogami i okładał płazem miecza.

Foldar wjechał między drzewa, a potężne zwierzę, miażdżąc leśne poszycie, lawirowało między większymi pniami. Gałęzie śmigły przy głowie i ramionach jeźdźca, co jakiś czas uderzając go boleśnie, bo nie nadążał z unikami. Łzy napłynęły mu do oczu i ledwie widział, dokąd jedzie. Ufał jednak, że koń ominie wszystkie większe przeszkody i przypadł do jego szyi, pochylając głowę, by to hełm przyjmował bezustanne ciosy. Gnał na oślep, dalej bódł wierzchowca ostrogami za każdym razem, gdy poczuł, że ten zwalnia swój szalony pęd.

Po jakimś czasie wypadli spośród cieni pod drzewami wprost w promienie słońca i Foldar podniósł głowę, by ujrzeć rozległe pola, które ciągnęły się przed nim kilometrami. Niski kamienny mur gnał mu na spotkanie i jeździec skierował konia prosto w tamtą stronę, czując, że zwierzę chce zahamować przed przeszkodą. Wierzchowiec zebrał się w sobie, a potem przeskoczył mur. Gdy nad nim szybował, łoskot jego galopu na chwilę ucichł. Wtedy

Foldar usłyszał szybki tętent innych kopyt za sobą.

Koń wylądował na ziemi i rozpęd rzucił Foldarem w przód, nad jego karkiem. Złapał się mocno grzywy, by odzyskać równowagę, omal nie gubiąc przy tym miecza. Gdy znowu siedział jak należy, obrócił się w siodle wypatrując źródła tętentu.

Zobaczył, jak mur, nad którym sam właśnie przeskoczył, pokonuje wierzchowiec ze zwiadowcą swobodnie usadowionym w siodle. Koń lekko zwolnił kroku, ale niemal natychmiast znowu galopował, z łatwością doganiając niezdarnego bojowego rumaka.

Foldar rozejrzał się dookoła. Ze wszystkich stron rozciągała się otwarta przestrzeń. Najbliższe drzewa widniały przynajmniej dwa kilometry dalej. Wiedział, że do nich nie zdąży. Obejrzał się na ścigającego. Zwiadowca był sam, a za jedyną broń miał miecz. Nie było śladu łuku, jaki zwykle nosili członkowie korpusu. Wargi Foldara rozchyliły się w grymasie, który był na poły uśmiechem, a na poły warknięciem. Wiedział, że miecz nie stanowi podstawowego uzbrojenia zwiadowców. On sam był dobrze wyszkolonym, doświadczonym szermierzem, który przez lata uczestniczył w wielu walkach. Jego tarcza wisiała na szelkach, uderzając o boki konia w galopie. Puścił ją, gdy rzucił się do ucieczki. Teraz znowu ją złapał, wsuwając lewą rękę przez pasy i zaciskając dłoń na uchwycie.

Później wyhamował konia, zatoczył półokrąg i dźgnął ostrogami jego boki, by ruszyć do szarży.

Gilan pokiwał do siebie głową, widząc odwrót herszta bandytów. Rzucił swój łuk Branowi, dowódcy łuczników, zanim pognał za Foldarem. Widział, że odziana na czarno postać kieruje się ku gęstwie drzew i stwierdził, że łuk będzie mu zawadzał, gdy Blaze będzie mknął między grubymi pniami i pod nisko zwieszającymi się gałęziami. W dodatku Crowley polecił, by w miarę możliwości pojmać Foldara i przywieźć go na proces. To oznaczało, że zwiadowca musiał zmierzyć się z nim w bezpośredniej walce, a nie strzelać z dystansu. Gdy wielki rumak przybliżył się z łoskotem, Gilan wysunął miecz z pochwy. Poczł, że Blaze spina się pod nim.

- Jeszcze nie - mruknął i wierzchowiec zastrzygł uszami na znak zrozumienia.

Foldar kierował koniem tak, by spotkali się bok w bok. Romboidalną tarczę trzymał poziomo nad łękiem siodła, by osłaniać ciało, a jego długi miecz był wzniesiony, gotowy do uderzenia. Walka była kwestią sekund...

- Teraz! - krzyknął Gilan, chociaż krzyk był całkowicie zbędny. Nagły nacisk jego kolan i szarpnięcie cugli dokładnie powiedziało Blaze'owi, co ma robić.

Wierzchowiec skoczył w prawo, zajmując miejsce przed bojowym rumakiem, zanim

Foldar miał szansę zareagować. Foldar próbował obrócić się w siodle, ale tarcza, trzymana pod pewnym kątem, uniemożliwiła ten ruch, a w tym czasie Gilan i Blaze przemknęli po jego lewej stronie. Foldar szarpnął wodze, które trzymał lewą ręką, ale tarcza znowu mu przeszkodziła. Jego koń przechylił się niezgrabnie i rozpoczął niezdarny zwrot w lewo.

W ruchach Blaze'a nie było nic niezgrabnego. Pod kierunkiem Gilana koń stanął dęba i wykonał piruet niczym tancerz, by niemal zupełnie płynnie zmienić kierunek. Gdy przednie kopyta uderzyły o ziemię, już galopował za przeciwnikiem.

Zbliżyli się do Foldara z tyłu, pod pewnym kątem, od lewej. Jego wierzchowiec dalej próbował zatoczyć krąg, podczas gdy jeździec ciągnął wodze i kłuł okrutnie prawą ostrogą. W rezultacie wielki koń był niespokojny i tracił równowagę, gdy Blaze z pełną prędkością uderzył barkiem w jego bok, pomiędzy siodłem a lewą przednią nogą.

Blaze był przygotowany i napięty, w przeciwieństwie do drugiego konia, który już wcześniej miał problem z równowagą. Niespodziewane uderzenie odrzuciło go w bok, zgubił krok i runął. Jeździec w ułamku sekundy musiał ocenić, czy zwierzę zdoła się podnieść, czy też zostanie pod nim, uwięziony. Wyrwał stopy ze strzemion i odskoczył, lądując na tarczy i przetaczając się, by złagodzić upadek. Koń sunął przez kilka metrów po wilgotnym gruncie, niebezpiecznie wierzgając w powietrzu kopytami. Potem, z zaskoczonym parsknięciem, dźwignął się niezdarnie na nogi i pogalopował dalej.

Gdy Foldar dźwignął się z ziemi, Gilan zsunął się z siodła. Stanął o kilka metrów od herszta bandytów, swobodnie trzymając lekko opuszczony miecz.

- Proponuję, żebyś od razu się poddał - powiedział cicho. - Odłóż miecz.

Tamten parsknął chrapliwym śmiechem.

- Tak proponujesz? - odrzekł. - A ja proponuję, żebyś się odwrócił i sobie poszedł. Jeśli to zrobisz, może daruję ci życie. To ponad twoje możliwości, zwiadowco. Nie możesz się teraz schować za swoim łukiem.

Popełniał poważny błąd. Jego wiedza o zwiadowcach była niedostateczna, a niedostateczna wiedza może być niebezpieczna. Wiedział, że zwiadowcy to mistrzowie łuku. Nigdy nie słyszał o żadnym, którego szkolono by w walce mieczem, dlatego uznał, że w tym starciu ma o wiele większe szanse. Postanowił zabić tego wścibskiego młodzieńca, który popsuł mu szyki. Czekał, by się przekonać, czy Gilan zareaguje. Lecz wysoki zwiadowca milczał.

- Co tu w ogóle robisz? - spytał nagle Foldar. - Widziano cię na drugim wozie, który miał mnie zmylić. Przywiązałeś do niego swojego konia. W jaki sposób dotarłeś tu tak szybko?

Teraz Gilan się uśmiechnął.

- Zmylić? - powtórzył. - A, chodzi ci o mały wóz, który wyjechał wcześniej? Nie miał cię zmylić. Naprawdę wioził pieniądze na podatek. Teraz jest już wiele mil stąd. I wcale nim nie jechałem. To był tylko młody żołnierz w moim płaszczu.

- Ale twój koń...

- Zabawne, prawda? Ostatniej nocy zostawiłem Blaze'a na zewnątrz. W stajni był gniady koń. Pożyczyłem go i uwiązałem do wozu. Były bardzo podobne, chociaż powinieneś zauważyć, że tamten to wałach. Ale z drugiej strony, pewnie nie znalazłeś się wystarczająco blisko.

Foldar zawahał się, uświadomiwszy sobie, że dał się nabrać.

- Mówiono mi... - Urwał gwałtownie.

Ale Gilan już to usłyszał.

- Tak, jestem pewien, że ci mówiono. Mówiono, że pieniądze załadowano na większy wóz. I tak było. Ale ostatniej nocy wszystko pozmieniałem. Zabrałem się za to bardzo późno. Ale nikt więcej o tym nie wiedział. Na pewno nie twój szpicel. A swoją drogą kto to jest?

- Nigdy się nie dowiesz - odparł Foldar. - A nawet gdybyś się dowiedział, w niczym ci to nie pomoże...

Wciąż mówiąc, przypuścił atak. Była to stara sztuczka, obliczona na zaskoczenie przeciwnika. Gilan był jednak doświadczonym wojownikiem. Z łatwością sparował trzy szybkie ciosy nacierającego, nieco tylko ustępując pola. Po pierwszym gwałtownym, szybkim ataku, krążyli wokół siebie ostrożnie, taksując się wzajemnie wzrokiem. Gilan widział, że Foldar to zdolny szermierz. Przewagę dawała mu też wysoka tarcza na lewej ręce. Blokując nią ciosy Gilana i odpychając jego miecz w prawo, mógł potem uderzać swoją klingą, co zmuszało zwiadowcę do szybkich ruchów, by sparować uderzenie. Jeśli zaś sam sparował cios swoim mieczem, zyskiwał następnie możliwość użycia tarczy jako broni ofensywnej. Popychał nią młodego rywala, wytrącając go z równowagi. Tarcza dawała bandycie przewagę i Gilan postanowił, że musi coś na to poradzić.

Przerzucił broń do drugiej ręki.

Przez chwilę zobaczył na twarzy Foldara wyraz zaskoczenia. Potem ubrany w czerń szermierz znowu rzucił się naprzód, celując mieczem w głowę Gilana. Teraz jednak sytuacja się zmieniła. Skoro zwiadowca trzymał miecz w lewej dłoni, Foldar był zmuszony parować uderzenia głównie swoją bronią. Aby użyć tarczy, musiałby przenieść ją na prawo, oddalając zbrojną rękę od nieprzyjaciela. W dodatku ataki Gilana nadchodziły teraz z prawej strony, niechronionej dużą tarczą.

Foldar cofnął się pospiesznie, próbując się przystosować do tej nowej sytuacji, co niezbyt dobrze mu wychodziło. Zwiadowca wysunął z pochwy saksę, ściskając ją w prawej ręce. Po sparowaniu klingi przeciwnika na swoją lewą stronę mógł ruszyć naprzód i podejść bliżej, by dźgnąć ciężką saksą.

Już za drugą próbą, zadał szeroką ranę ciętą, biegnącą przez zebra tamtego, z łatwością rozdzierając saksą kolczugę pod płaszczem. Foldar jęknął z bólu i natychmiast zasłonił się tarczą.

Teraz Gilan miał okazję uderzyć znad głowy, mierząc w hełm tamtego. Nie dał bandycie czasu na posłużenie się mieczem, ale zadał serię błyskawicznych ciosów z góry, zmuszając go do wzniesienia tarczy.

Jedno z uderzeń przełamało obronę, odbijając się od brzegu tarczy i trafiając prosto w hełm. Foldar zatoczył się w tył i opadł na jedno kolano, a jego oddech stał się chrapliwy i urywany.

- Dam ci jeszcze jedną szansę, żebyś się poddał - oznajmił cicho Gilan. - Tylko jedną.

Zwiadowca przeszedł twardą szkołę. Wiedział, że przewyższa Foldara umiejętnościami, nawet gdy walczy lewą ręką. Wiedział też jednak, że pojedykiem w pewnej mierze rządzi przypadek. Wystarczyło się pośliznąć, źle postawić nogę na wilgotnej trawie, żeby skończył się klęską. Wyszkolono go, by dawał przeciwnikowi szansę na kapitulację. Ale tylko jedną.

- Sam się poddaj! - warknął tamten. Rzucił się naprzód z na wpół klęczącej pozycji, lewą nogą odpychając się w kierunku Gilana, a mieczem szukając wysokiej postaci. Zwiadowca przeczuł ten ruch o ułamek sekundy wcześniej. Zobaczył to w oczach Foldara. Uderzył klingę miecza saksą, obracając nadgarstek i odbijając ją w prawo, aż rywal odwrócił się niezdarnie, odsłaniając niechronione plecy i narażając je na spotkanie z mieczem Gilana.

Gdy próbował wstać, poczuł mocne uderzenie między naramienniki. A potem palący ból.

- Aaach... aaach! - krzyknął słabym głosem, wciąż się zastanawiając, co go właśnie spotkało. Poczuł, że miecz wypada mu z dłoni, której nagle zabrakło sił, by go utrzymać. Potem ujrzał trawę, gnającą mu na spotkanie.

Gilan wyciągnął miecz i się cofnął. Foldar leżał na trawie twarzą w dół, a na jego płaszczu wykwitwała plama krwi. Zwiadowca wzruszył ramionami. Crowley prosił, by w miarę możliwości schwytał mężczyznę żywego. Zdaniem Gilana zwrot „w miarę możliwości” nie obejmował narażania własnego życia.

- Może tak będzie lepiej - powiedział do martwego bandyty. Wężę mają skłonność do

uciekania.

ROZDZIAŁ 7

- A zatem Foldar nie żyje. Co za ulga. - Douglas przemierzał swój gabinet w tę i z powrotem, słuchając relacji Gilana z napadu na konwój. - Podjąłeś wielkie ryzyko, przekładając pieniądze do małego wozu i wysyłając go bez ochrony.

Zwiadowca machnął lekceważąco ręką.

- W sumie nie. Byłem pewien, że informator Foldara powie mi o pieniądzach w dużym wozie.

Baron przymrużył na chwilę oczy, napotykać nieruchome spojrzenie Gilana. Później, jak zwykle, odwrócił je, unikając kontaktu wzrokowego.

- Hmm. Tak. Informator. Jakiś pomysł, kto by to mógł być?

- Cóż - powiedział Gilan z namysłem. - Oprócz nas dwóch tylko jedna osoba wiedziała, że ładunek miał się znaleźć w dużym wozie.

- Philip?

Przytaknął.

- Właśnie.

Baron ze smutkiem pokręcił głową.

- Nigdy bym się nie spodziewał! Był przy mnie od lat. Chociaż myślę, że przy dużej pokusie każdy może zejść na złą drogę. - Westchnął głęboko, cała sprawa wyraźnie go brzydziła. - Chyba lepiej będzie go tu sprowadzić.

- Jeśli można - powiedział zwiadowca.

Czekali w milczeniu przez kilka minut, potrzebnych na wezwanie Philipa. Ochmistrz ostrożnie wszedł do pomieszczenia. Spojrzał na zwiadowcę i barona. Ma się rozumieć, wiedział o wydarzeniach, które tego dnia nastąpiły. Był wystarczająco inteligentny, by wyczuć, że jest podejrzewany jako jeden z nielicznych, którzy znali plany co do pieniędzy na podatek.

- Czemu to zrobiłeś, Philipie? - zaczął Douglas głosem pełnym zawodu.

- Panie? - odrzekł niepewnie ochmistrz. Dotąd o nic go nie oskarżono, choć wiedział, że to tylko kwestia czasu.

Gilan podniósł dłoń, by powstrzymać kolejne słowa barona.

- Czy mogę, baronie? - spytał, a Douglas dał znak zgody, by to zwiadowca prowadził przesłuchanie. Odwrócił się z dłońmi splecionymi na plecach, niczym uosobienie

zdradzonego zaufania.

- Philipie - zaczął cicho Gilan - co robiłeś w domu Ambrose'a?

Baron szybko obrócił się znowu w ich stronę z wyrazem zdziwienia na twarzy. Na obliczu Philipa malowało się zaskoczenie, ale wyraźnie wiedział, do czego odnosi się pytanie.

- Ambrose? - powtórzył Douglas. - Kto to, do diabła, jest?

- Bogaty kupiec z wioski - wyjaśnił Gilan. - Philip miał wobec niego dług.

Ochmistrz zwiesił głowę.

- Wiesz o tym? - spytał ledwie słyszalnym głosem.

Baron wystąpił teraz naprzód, zatrzymując się najwyżej o metr od niego, górując nad niższym mężczyzną, który opuścił głowę, nie mogąc spojrzeć mu w oczy.

- Czyli brałeś od Foldara pieniądze za zdradzanie swojego lenna? - powiedział. - Za zdradzanie mnie?

Philip podniósł teraz głowę, a na jego twarzy malowały się udręka i oszołomienie.

- Od Foldara? - zdziwił się. - Nigdy nie brałem pieniędzy od Foldara, panie.

Przysięgam.

- To jak spłaciłeś długi? - spytał gniewnie baron, a głowa tamtego znowu opadła. Otworzył usta, by odpowiedzieć, lecz Gilan go uprzedził.

- Ukradł pieniądze z już zebranych podatków - stwierdził i obaj mężczyźni popatrzyli na niego z zaskoczeniem.

- Co takiego? - spytał baron, o sekundę ubiegając odpowiedź Philipa.

- Nigdy nie chciałem ich zatrzymać. Zamierzałem je oddać! Przysięgam. I oddałem.

- Wiem - powiedział zwiadowca. Popatrzył teraz na barona. - Przez ostatnie miesiące Philip pracował nocami dla Ambrose'a i kilku innych kupców z wioski. Obserwowałem go dwie noce temu. Wrócił z dużym workiem pieniędzy. Włożył go do skarbca. Był to dość charakterystyczny biały worek i widziałem go, kiedy ładowałem pieniądze na wóz. Zacząłem się zastanawiać: skoro planował pomóc Foldarowi w ich zagrabieniu, po co zadawałby sobie trud i oddawał pieniądze, które ukradł wcześniej?

- Ale... co robiłeś dla tych kupców? - spytał zdumiony baron.

Philip znowu wydawał się zawstydzony.

- Pomagałem im przy księgach. Prowadzili byle jaką księgowość i wszyscy płacili wyższe podatki, niż powinni. Pokazałem im, jak je zmniejszyć. Płacili mi za moje usługi, a kiedy zarobiłem już dosyć, oddałem do skarbca pożyczone pieniądze. - Popatrzył błagalnie na Gilana. - Wszystko było w pełni legalne, przysięgam.

Zwiadowca skrył uśmiech.

- Możliwe. Czy było etyczne, to inna sprawa. Można mówić o konflikcie interesów, skoro odpowiadasz za zbieranie podatków. - Odwrócił się do barona. - Rzecz w tym, panie, że Philip nie jest zdrajcą.

- Więc kto nim jest? - spytał Douglas.

Gilan wbił w niego spojrzenie, nie mrugając powiekami. Po kilku sekundach baron opuścił wzrok. Wtedy zwiadowca odpowiedział cichym głosem.

- Ty, panie.

- Ja? Nie bądź śmieszny! - Do jego tonu wróciła buńczuczność. - Czemu miałbym zdradzić lenno i królestwo dla Foldara?

- Z całkiem zwyczajnych powodów, jak przypuszczam. Zapewne zaliczają się do nich pieniądze. Podejrzewam też, że byłeś w zмовie z Foldarem i Morgarathem podczas buntu. Być może Foldar groził, że to ujawni, jeśli mu nie pomożesz. Jestem pewien, że wszystko wyjdzie podczas procesu.

- To niedorzeczne! - krzyknął baron, jakby donośny głos w jakiś sposób dowodził niewinności. - Jak mógłbym porozumieć się z Foldarem? Nigdy go nie spotkałem!

- Tak mówiłeś wkrótce po moim przybyciu - stwierdził Gilan. - A w jakiś czas później powiedziałeś: „Te jego oczy wystarczą, żeby człowiek dostał dreszczy. Są zimne i bez życia jak u węża”. Dziwne słowa, jak na kogoś, kto go nigdy nie widział.

Baron rozejrzał się rozpaczliwie po pomieszczeniu, szukając drogi ucieczki. Jego spojrzenie padło na sztylet, leżący na biurku, i rzucił się ku niemu.

Philip jednak był szybszy. Także skoczył, złapał ciężki kałamarz i rzucił go wraz z zawartością w twarz barona. Ten zatoczył się w tył, trąc oczy dłońmi, by pozbyć się z nich gęstego, czarnego inkaustu.

- Kazałbyś mnie powiesić za swoją własną zbrodnię! - krzyknął Philip.

Baron zdołał w końcu otrzeć oczy na tyle, że widział przynajmniej częściowo. I ujrzał obnażone ostrze miecza zwiadowcy. Gilan uśmiechnął się do niego, lecz w tym uśmiechu nie dostrzegł wesołości.

- Dziś po południu ruszymy do Zamku Araluen - oznajmił. - Szczerze mówiąc, mam nadzieję, że po drodze spróbujesz uciec.

Tym razem Douglas zdołał wytrzymać jego spojrzenie. To, co w nich zobaczył, przyprawiło go o dreszcze. W tym momencie postanowił, że nie podejmie próby ucieczki. Gilan wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kajdanki na kciuki, wykonane z drewna i skóry, po czym rzucił je Philipowi.

- Załóż mu je, dobrze? - poprosił.

Ochmistrz skinął głową, a potem się zawahał.

- Kto będzie tu rządził pod jego nieobecność?

Gilan uniósł brwi.

- Myślę, że na razie ty. Później zobaczymy. Tylko się postaraj, żeby król dostawał z tego lenna jakieś podatki, dobrze?

Philip kilka razy pokiwał głową, zajmując się unieruchamianiem rąk barona za jego plecami przy użyciu kajdanek.

- Oczywiście. Otrzyma wszystko, co mu się należy. - A potem nie zdołał powstrzymać lekkiego uśmiechu. - Ale nie więcej.

- W porządku. - Gilan schował miecz do pochwy i ujął Douglasa za łokieć, popychając go ku drzwiom. Gdy szli do wyjścia, obejrzał się na ochmistrza, który przykląkł, by wytrzeć atrament, który rozlał się na podłogę.

- Słyszałem, że pióro silniejsze jest od miecza - powiedział zwiadowca. - Ale nie miałem pojęcia, że kałamarz może być silniejszy od sztyletu.

WĘDROWCY

ROZDZIAŁ 1

Rzeka Tarbus

Lenno Redmont

Łódź kupiecka była zasadniczo dużą tratwą - płaski pokład ułożono na sześciu wielkich kłodach, które unosiły ją na wodzie. Na środku, osłoniętym plandeką, zgromadzono sterty skór, wełny, worków ze zbożem i mąką oraz tkanin. Nadbudówka zapewniała schronienie niewielkiej załodze. Kapitan stał na platformie sterowniczej przy rufie, trzymając długie wiosło, które służyło za ster. Na łodzi znajdowały się jeszcze cztery inne wiosła, choć w tej chwili tylko dwa z nich były w użyciu, dzięki nim łódź poruszała się nieco szybciej niż powolny nurt rzeki Tarbus. Dodatkowo przy sprzyjającym wietrze można było postawić krótki maszt z kwadratowym żaglem.

Taki sposób dostarczania ładunku na targ przy ujściu rzeki wydawał się najlepszy. Alternatywę stanowiła trzytygodniowa podróż drogą lądową w wozie ciągniętym przez woły. Mimo licznych rzecznych zakoli i meandrów łódź pokonywała trasę w pięć dni. Rolnicy i młynarze z Wensley oraz z kilku innych wsi położonych nad rzeką uważali, że to najwygodniejszy sposób handlowania. Kapitan łodzi płacił im, a potem sprzedawał towary z zyskiem w dole rzeki. Producenci otrzymywali wprawdzie zapłatę poniżej ceny rynkowej, ale oszczędzało im to długiej, żmudnej podróży, w trakcie której ktoś mógł ich w dodatku okraść.

Kradzież należała do niebezpieczeństw, na które narażali się także kupcy płynący łodzią. Ostatnio znacznie wzrosła aktywność rzecznych piratów. W rozmowie z Willem Halt skomentował tę sytuację następująco:

- Wygląda na to, że kiedy tylko ktoś ma dobry pomysł, taki jak ten, inni wychodzą ze skóry, żeby go obrabować.

Łódź zbliżała się do zakola rzeki. Kapitan i wiosłarze wysilali się, by utrzymać masywną tratwę na środku nurtu i ominąć wrzynającą się w rzekę łachę piasku przy lewym brzegu. Łódź ociężale pokonywała zakręt, ustawiona pod kątem do nurtu. Kapitan z wprawą poruszał długim wiosłem, by ją wyprostować, a przy tym nawoływał, by wiosłarze machali swoimi wiosłami w przeciwnych kierunkach - jednym do przodu, a drugim do tyłu - aż w końcu z zadowoleniem stwierdził, że znowu płyną równolegle z nurtem. Wiedział, że jeśli pozwolą tratwie choćby lekko się obrócić, niebawem zacznie kręcić się bez żadnej kontroli.

Wtedy musieliby włożyć jeszcze więcej wysiłku, by przed następnym zakolem ustawić ją w odpowiedniej pozycji.

Gdy łódź znowu płynęła prosto, zawołał do wiosłarzy - swoich dwóch synów - że mogą odpocząć. Znowu manewrowali wiosłami powoli i łagodnie. Nagle spał się, dostrzegłszy jakiś ruch w trzcinach przy prawym brzegu.

- Oswald! Ryan! - krzyknął. - Wiosła! Teraz żwawo!

Ledwie dokończył ostrzeżenie, gdy długa, wąska łódź wychynęła spomiędzy trzcin i skierowała się w ich stronę. Była pełna ludzi - ich liczbę oceniał na co najmniej piętnastu - i napędzało ją osiem wiosel. Wsparł się na sterze, kierując łódź z powrotem ku lewemu brzegowi, podczas gdy jego synowie znowu przyłożyli się do wiosel.

Nie mieli szans umknąć drugiej łodzi. Jedyłą nadzieją było przybicie do brzegu, zanim napastnicy wedrą się na pokład, i ucieczka między drzewa. W ten sposób mogli stracić ładunek, ale nie życie. Załoga tamtej łodzi była uzbrojona po zęby i jak jeden mąż słała pod ich adresem groźby i obelgi.

Przywódca piratów stał na dziobie z długim mieczem w dłoni.

- Ahoj! - krzyknął. - Jeśli będziecie uciekać, zabijemy was wszystkich!

Kapitan tratwy pokręcił głową na tę groźbę. Wiedział, że piraci i tak ich zabiją. W ostatnich miesiącach rzeka wyrzuciła na brzeg ciała niemal tuzina kupców. Ich łodzi i towarów więcej nie widziano.

- Odcinają nam drogę - zawołał, chociaż jego synowie widzieli, co się dzieje, równie dobrze jak on. Szybka Piracka jednostka obrała kurs na ich dziób.

Wtem spod plandeki, przykrywającej ładunek rozległ się cichy głos:

- W takim razie weź swoich chłopców z powrotem na rufę. Powiedz nam, kiedy piraci wejdą na pokład.

Kapitan pokiwał głową.

- Oswald! Ryan! Zostawcie to i wracajcie do mnie!

Dwaj muskularni wiosłarze nie potrzebowali dodatkowej zachęty. Porzucili rozkołysane wiosła w dulkach, wspięli się z powrotem na platformę i sięgnęli po nabijane ćwiekami pałki, które leżały na podorzędziu. Bez wiosel, które by ją pchały, łódź ponownie zaczęła się powoli obracać, mimo iż kapitan pracował sterem, ciągnąc w lewo, wyciągając go z wody i znowu ciągnąc w lewo, by ją naprostować.

Piraci zbliżyli się już na kilka metrów, ich łódź płynęła bardzo szybko. Herszt przykucnął, gotów skoczyć na tratwę. Łódź napastników uderzyła z ukosa, trąc o szorstkie drewno i ustawiając się równolegle. Wtedy przywódca piratów dał susa na pokład, krzycząc

na swoich, by poszli w jego ślady. Pół tuzina ludzi ruszyło za nim, czekając na swoją kolej, by wskoczyć na tratwę.

- Wchodzą! - zawołał kapitan. Wtedy ktoś odrzucił na bok część plandeki zasłaniającej ładunek i z kryjówki pod nią wyłoniło się dwóch mężczyzn, odzianych w szaro-zielone stroje.

Obaj trzymali potężne łuki ze strzałami na cięciwach.

- Królewscy zwiadowcy! - krzyknął ten po lewej. - Rzućcie broń i poddajcie się!

Przez chwilę herszt piratów zaniemówił. Stał jak wryty na widok dwóch zwiadowców. Potem jego umysł zaczął pracować bardzo szybko. Razem ze swoimi ludźmi został przyłapany na działalności pirackiej. Karą było powieszenie - z pewnością dla niego, jako przywódcy. Mógł podjąć tylko jedną decyzję. Warknął coś wściekle i niezrozumiale pod nosem, po czym odwrócił się, by krzyknąć do swoich ludzi:

- Dalej! Zabić ich! Zabić ich wszystkich! - Rzucił się przez pokład ku dwóm postaciom w płaszczach.

- Nie na taką odpowiedź liczyłem - stwierdził cicho Halt. Naciągnął cięciwę, wymierzył i strzelił, zanim pirat zdołał zrobić kolejny krok.

Ciężka strzała o czarnym drzewcu ugodziła mężczyznę w sam środek piersi, odrzucając go w tył. Na krawędzi tratwy wpadł na tych, którzy próbowali podążyć za nim. Wąska piracka łódź zakołysała się niebezpiecznie, gdy mężczyźni cofali się i przewracali. Jeden wypadł za burtę. Inni runęli w tył, prosto na wioślarzy. Wybuchło straszliwe zamieszanie. W końcu ktoś przejął dowodzenie.

Wizja starcia ze zwiadowcami i ich sławną umiejętnością szybkiego, celnego strzelania, była czymś zupełnie innym niż zabijanie bezbronnej załogi tratwy.

- Zabierajmy się stąd! - krzyknął do sternika. Potem wydarł się na wioślarzy, którzy próbowali wygramolić się spod martwych ciał swoich towarzyszy. - Wiosłować, niech was licho! Wiosłować! Zabierajmy się stąd!

Stopniowo na łodzi piratów zapanował porządek. Halt odwrócił się do dwóch wioślarzy na tratwie i kciukiem wskazał piracką łódź.

- Łapcie ich! Szybko!

Łodzie zaczęły oddalać się od siebie. Piracki sternik machał sterem w przód i w tył, by odpłynąć. Oswald i Ryan porzucili niepotrzebne już pałki i pognali na dziób. Oswald chwycił trójzębny hak na linie, zostawiony wcześniej w gotowości, zakręcił nim nad głową i puścił.

Halt pomknął przez szybko powiększającą się przestrzeń między łodziami, ciągnąc za sobą mocną konopną linę. Ze szczękiem spadł na nadburcie przy rufie pirackiej łodzi; Oswald

natychmiast szarpnął linę, aż ostre metalowe zęby wbiły się w drewno, a łódź rzecznych rabusiów ponownie zaczęła zbliżać się ku tratwie.

Tymczasem Ryan wyrwał jedno z długich wiosł z dulki. Podczas gdy jego brat przyciągnął łódź napastników, on sam zablokował ich piórem wiosła i odepchnął, zatrzymując piratów w pułapce trzy metry od tratwy.

Halt i Will ruszyli na dziób. Stanęli tam, grożąc przestępcom swoimi długimi łukami.

- Przeciąć linę! - zawołał przywódca. Widząc, że żaden z jego ludzi nie chce się ruszyć w obawie przed strzałami, wyciągnął zza pasa ciężki sztylet i skierował się w stronę haka.

Łuk Willa zadrgał. Rozległo się znajome granie cięciwy i szurgot drzewca strzały o łączysko, po czym sternik wyprężył się ze strzałą na boku. Will strzelał tak, by zranić go w ramię. W ostatniej chwili mężczyzna poruszył się, odsłaniając żebra.

Podniósł przerażony wzrok na młodego zwiadowcę, gdy zdał sobie sprawę, co się właśnie stało. Sztylet stuknął o deski pokładu, po czym sternik runął w bok. Nogi utknęły mu pod wiosłem, a ciało wypadło za nadburcie i łódź niebezpiecznie się przechyliła. Potem jeden z członków załogi uwolnił nogi trupa i przerzucił je przez burtę. Łódź znowu się wyprostowała, a zwłoki sternika popłynęły z prądem. Woda wokół nich stopniowo czerwieniała.

- Wyrzućcie broń za burtę! - rozkazał Halt.

Przez chwilę nikt nie reagował. Zwiadowca uniósł łuk i nagle noże, pałki, toporki i miecze zaczęły z pluskiem lądować w brunatnej wodzie rzeki.

- Oswaldzie, przywiąż tę linę - nakazał Halt i kupiec szybko zamocował linę od haka. Zwiadowca nawet na chwilę nie odwrócił wzroku od piratów. Teraz gestem wskazał piaszczystą łachę przy lewym brzegu.

- Do wiosł! - polecił piratom. - Zaholujcie nas na tę łachę!

Napędzana siłą sześciu wiosł piracka łódź zaczęła się obracać w stronę brzegu. Gdy lina się naprężyła, łódź zaczęła poruszać się wolniej, ciągnąc obładowaną tratwę. Na sygnał Halta, Oswald i Ryan zajęli miejsca przy swoich wiosłach, by zapewnić dodatkowy napęd.

Gdy Halt poczuł, że dno szoruje o piach, wskoczył do głębokiej po kolana wody, a Will poszedł w jego ślady. Dwa łuki wciąż wymierzone były w piratów.

- Wyjść z łodzi - nakazał starszy zwiadowca. - Położyć się na piasku twarzami w dół. Kto zrobi ruch, który mi się nie spodoba, zostanie zastrzelony.

Załoga przez chwilę się wahała. W końcu mieli przeciwko sobie tylko dwóch łuczników. Potem jednak odezwał się zdrowy rozsądek. Stracili broń, a ci dwaj łucznicy byli zwiadowcami. W przeciągu dziesięciu sekund każdy z nich mógł wypuścić cztery czy pięć

strzał. Dwóch rabusiów już padło trupem, a pozostałym przy życiu to się nie uśmiechało. Powoli i z ociąganiem zaczęli wychodzić na brzeg, po czym kładli się na piasku twarzami w dół.

- Ręce na plecy - nakazał Halt, a gdy piraci usłuchali, zawołał załogę tratwy.

- Ryan, Oswald, zwiążcie ich, proszę.

Dwaj bracia z radością spełnili polecenie. Mocno związali napastników kawałkami sznura, który przygotowali zawczasu, a jako że na co dzień pływali po rzece, znali węzły, które trudno było poluzować.

- A teraz przywiążcie wszystkich do jednej długiej liny - powiedział Halt. - Nie chcemy, żeby któryś próbował uciec.

Kapitan tratwy rzucił im długi, ciężki sznur, a bracia szybko przywiązali do niego skrępowanych mężczyzn. Potem wciągnęli jeńców na pokład swojej tratwy i nie bawiąc się w subtelności, posadzili na deskach.

- Trzy kilometry stąd w dół rzeki jest miasteczko z garnizonem - oznajmił starszy zwiadowca. - Tam odstawimy tych przyjemniaczków na proces. Tymczasem możemy się wszyscy odprężyć i cieszyć się przyjemnym rejsem po rzece Tarbus.

- Oprócz nas - odparł Ryan, wracając na swoje miejsce przy wiosle. Uśmiechał się jednak od ucha do ucha. Zachwycał go widok unieszkodliwionych piratów. Społeczność rzecznych kupców nie była zbyt liczna, trudno więc było skutecznie się bronić. Ostatnimi czasy piraci odebrali życie kilku jego przyjaciółom.

- Tak - przyznał Halt, także się uśmiechając. - Oprócz was.

ROZDZIAŁ 2

- Szkoda, że nie wszystkie nasze misje kończą się tak szybko jak ta - zauważył Halt.

Było to następnego dnia. Dostarczyli piratów do garnizonu w Claradonie, po czym wynajęli wioślarzy, by zabrali ich z powrotem w górę rzeki piracką łodzią. Odebrali Wyrwija i Abelarda ze stajni, w której zostawili oba wierzchowce przed rzeczonym rejssem, i ruszyli do domu.

- Prawdę mówiąc, spodziewałem się, że będziemy tygodniami pływać w górę i dół rzeki, zanim piraci połkną haczyk - stwierdził Will. - A tu tylko cztery dni. Mieliśmy szczęście.

- Tak. Nie byłem zachwycony pomysłem chowania się pod tą duszną plandeką przez parę kolejnych tygodni - przyznał Halt. - Ale wygląda na to, że istotnie czasami los nam sprzyja.

Jechali powoli główną ulicą Wensley, odpowiadając na pozdrowienia przechodniów. Większość mieszkańców witała ich przyjaźnie. Will dostrzegł jednak kilku takich, którzy na widok zwiadowców zareagowali zaskoczeniem, po czym pospiesznie się oddalili. Uśmiechnął się.

- Najwyraźniej niektórzy są zdziwieni, że tak szybko widzą nas z powrotem - odezwał się. - Ciekawe, co kombinowali.

Halt uniósł brwi.

- Jestem pewien, że dowiemy się w ciągu kilku dni. Zawsze znajdują się ludzie, którzy chcą wykorzystać naszą nieobecność.

Ponieważ rozprawa z piratami była wewnętrzną sprawą lenna Redmont, nie zawracali głowy Gilanowi, by ich zastąpił. Halt był jednak zwiadowcą wystarczająco długo, by wiedzieć, że nawet w spokojnej wiosce, takiej jak Wensley, znajdzie się pewna liczba drobnych złodziejasków, hazardzistów i naciągaczy, którzy zawsze chętnie skorzystają z wyjazdu jego i Willa.

Dotarli do odgałęzienia drogi, wiodącego do niewielkiej chaty wśród drzew i Will wskazał ruchem głowy górujący na wzgórzu zamek.

- Od razu jedziesz do zamku?

Halt zawahał się, popatrzył na słońce i stwierdził, że do końca dnia zostało jeszcze parę godzin.

- Nie. Pojadę do chaty. Mogę zacząć pisać meldunek dla Crowleya.

- Dobrze, że ty, a nie ja - powiedział radośnie Will. Pomyślał, że funkcja młodszego zwiadowcy ma swoje atuty. Halt przez kilka sekund patrzył na niego bez uśmiechu. Will niespokojnie poruszył się w siodle. Takie spojrzenie Halta nigdy nie zwiastowało niczego dobrego.

- Po namyśle - rzekł powoli starszy zwiadowca - myślę, że wolę wylegiwać się na słońcu i kazać napisać raport tobie. Podpiszę go... po naniesieniu licznych poprawek.

- Może żadne poprawki nie będą potrzebne - zasugerował niepewnie Will, a Halt uśmiechnął się do niego.

- O, jestem pewien, że znajdę masę błędów.

Will już miał coś odpowiedzieć, gdy usłyszeli za sobą tętent galopujących kopyt. Obaj obejrzeni się i zobaczyli Alyss w odległości mniej więcej stu metrów. Jechała od strony wioski i szybko się przybliżała.

- Ktoś się cieszy, że wcześniej wróciłeś - zauważył Halt z lekkim uśmiechem, błąkającym się w kącikach ust. Lubił Alyss i cieszył się z relacji, którą nawiązała z Willem.

Will też się uśmiechnął na jej widok. Pięknie siedzi na koniu, pomyślał. Długie jasne włosy rozwiewały się za nią w bardzo atrakcyjny sposób. Potem, gdy znalazła się bliżej, nie dostrzegł cienia powitalnego gestu czy uśmiechu i wtedy jego własny uśmiech zbladł.

- Coś jest nie tak - stwierdził. Halt doszedł do tego samego wniosku. Zatrzymali się i zawrócili konie, podczas gdy ona zatrzymała swoją siwą klacz.

- Will! - wykrzyknęła udręczonym głosem. - Tak mi Przykro! Ebony zaginęła!

ROZDZIAŁ 3

- Zaginęła? Jak to zaginęła? - spytał Will. Już gdy wypowiadał te słowa, uświadomił sobie, jak nedorzecznie brzmią. Informacja Alyss mogła znaczyć tylko jedno.

- Nie ma jej. Od trzech dni. Wysłałam z chaty, bo musiałam jechać na spotkanie do zamku. Bardzo mi przykro, Willu. Powinnam była zabrać ją ze sobą. Ale pomyślałam...

Wyciągnął rękę i dotknął dłoni Alyss, by ją uspokoić. Widział, że zbiera jej się na płacz.

- Nie miałaś powodu tego robić - powiedział. - Sam często zostawiałem ją w chacie samą.

Gdy on i Halt wyruszyli ścigać piratów, Alyss tymczasowo przeniosła się do chaty, by dotrzymać suce towarzystwa, a także codziennie karmić ją i poić. Ale, ma się rozumieć, Will wiedział, że Alyss będzie miała obowiązki, które zaprowadzą ją do zamku. Ebony nie była szczeniędem. Na pewno cieszyła się z towarzystwa, ale można było ufać, że nie oddali się od domu, gdyby Alyss musiała ją zostawić na godzinę czy dwie.

- Może wybrała się do lasu - zasugerował Halt. Lecz Will pokręcił głową.

- Nie zrobiłaby tego. Jest nauczona zostawać, kiedy jej się tak każe. - Znowu popatrzył na dziewczynę. - Kiedy ją ostatnio widziałas?

- Trzy dni temu, tak jak mówiłam. Dostała jeść rano i poszłam z nią na spacer do wioski. Potem dostałam wiadomość, że potrzebują mnie w zamku. Zostawiłam Ebony na ganku i powiedziałam, że ma czekać. Wróciłam po dwóch godzinach, a jej nie było. Na początku myślałam, że może pogoniła za czymś do lasu, więc poszłam jej szukać. Wołałam, ale przepadła jak kamień w wodę.

- A w wiosce? - spytał Will. - Ktoś ją widział? Gdyby istniała możliwość, że Ebony dokądś poszła, nie dotarłaby dalej niż do Wensley. Wieśniacy ją polubili i parę razy sama szukała ich towarzystwa.

Alyss pokręciła głową.

- Pytałam, ale nikt jej nie widział. Tak mi przykro!

Will zaniepokoił się. Na początku sądził, że znajdzie się jakieś proste wytłumaczenie nieobecności suki. Lecz zdenerwowanie Alyss okazało się zaraźliwe. Zwykle zachowywała spokój i opanowanie, nawet w najtrudniejszych sytuacjach. W Willu narastało podejrzenie, że ta sprawa ma drugie dno, coś, o czym Alyss jeszcze mu nie powiedziała.

O ile Ebony nie spotkał jakiś wypadek, jej przeciągająca się nieobecność mogła tak naprawdę mieć tylko jedną przyczynę.

- Ktoś musiał ją zabrać - stwierdził. Jedno spojrzenie na twarz Alyss upewniło go, że właśnie tego się obawiała. - O co chodzi?

Gdy odpowiadała, po policzkach popłynęły jej łzy.

- Grupa podróżnych przejeżdżała przez okolicę...

- Podróżnych? - przerwał jej Will. - Jakich podróżnych?

- Włóczęgów. Na jedną noc rozbili obozowisko pod Wensley, a potem ruszyli dalej. Nawet nie wiedziałam, że przybyli, dopóki nie zaczęłam pytać o Ebony. Byli tutaj w dniu, w którym zniknęła.

Włóczęgami nazywano wędrowców, którzy przemierzali kraj wozami ciągniętymi przez konie. Nie mieli stałego domu, lecz obozowali przez dzień czy dwa w pobliżu wiosek, dopóki miejscowi ich nie przepędzili. Zwykle podróżowali w dużych grupach rodzinnych - matki, ojcowie, wujowie, ciotki i dzieci. Najczęściej byli muzykami i kuglarzami, którzy dostarczali wieśniakom rozrywki, by zarobić na chleb. Na pierwszy rzut oka wydawali się urzekający i malowniczy. Na ogół jednak, gdy przebywali w jakiejś okolicy dłużej niż dwa dni, zaczynały ginąć różne rzeczy: ubrania, drobne kosztowności, czasem kura czy kaczka.

Włóczędzy pochodzili z kontynentu, z okolic rozciągających się na południowy wschód od Toscano. Przez wieki rozprzestrzenili się po zachodnim świecie i nabrali zwyczaju cyklicznych podróży. Pojawiali się, zostawali parę dni, ruszali dalej i przez kilka lat ich nie widziano. Później pewnego dnia wracali. Stanowili zamkniętą, tajemniczą grupę. Byli czarnowłosi i mieli smagłą cerę. Młode kobiety często olśniewały urodą, a mężczyźni odznaczeni zapalczywością i kłótlivością, zarówno wobec siebie nawzajem, jak i w odniesieniu do ludzi z zewnątrz.

Will pamiętał na temat włóczęgów jeszcze jedno. Słynęli z silnych więzi, łączących ich ze zwierzętami - końmi, mułami i psami - chociaż paradoksalnie często źle je traktowali. Jeśli Ebony została porwana przez taką właśnie grupę, powinien ją jak najszybciej odzyskać.

- Ruszam za nimi - zdecydował. - Nie będą jechać szybko i powinienem ich dogonić za dzień albo dwa.

Zaczął obracać łeb Wyrwija, ale Halt wyciągnął rękę i złapał za uzdę.

- Poczekaj chwilę - powiedział. - Jeśli zabrali ją włóczędzy, to nie radzę się tam pakować z żądaniem, żeby ją oddali.

- Co ty pleciesz? Chcę odzyskać psa, i to już.

Ale Halt pokręcił głową.

- Z włóczęgami trudno się porozumieć - stwierdził. - Nie cierpią obcych i mają wprawę w zacieraniu śladów. W ukrywaniu się są niemal tak dobrzy, jak my. Jeśli zechcą schować Ebony, ciężko ci będzie ją znaleźć. A jeśli do nich dotrze, że ukradli psa zwiadowcy, zacznie jej grozić niebezpieczeństwo.

- Jakie niebezpieczeństwo? - spytał Will.

- Niewykluczone, że zechcą ją zabić, by pozbyć się dowodów - wyjaśnił Halt.

Will odchylił się w siodle, szeroko otwierając usta.

- Zabić? - powtórzył.

Halt przytaknął skinieniem głowy.

- Słusznie czy nie, włóczędzy przez wiele stuleci byli źle traktowani. To wykształciło u nich bardzo defensywny sposób myślenia. Jeśli sobie uświadomią, że mają kradzionego psa, który stanowi własność zwiadowcy, pomyślą, że prawo ciężko ich ukarze...

- Bo tak zrobię! - stwierdził ostro Will.

Halt jednak uniósł dłoń, by go uspokoić.

- O ile ją znajdziesz. A dla nich najbezpieczniej będzie się jej pozbyć. Zabiją ją i zakopią. Albo wrzucą do rzeki. Zrobią wszystko, żebyś nie znalazł jej w ich obozowisku. Nie możesz podejmować takiego ryzyka.

- Mówisz, że powinno im to ująć na sucho? - spytał niepewnie młodszy zwiadowca.

- W żadnym razie. Jedź za nią. Ale ostrożnie. Bądź subtelny. Niech nie wiedzą, że jesteś zwiadowcą ani że szukasz zaginionego psa.

Will usiadł, rozmyślając nad słowami towarzysza z zafrasowanym wyrazem twarzy. Po krótkiej chwili odezwała się Alyss:

- Pojadę z tobą.

Odruchowo pokręcił głową.

- Nie.

Zacisnęła usta w cienką linię.

- Czuję się odpowiedzialna za to, co się wydarzyło. Chcę pomóc.

- Myślę, że to może być dobry pomysł - wtrącił Halt i oboje odwrócili się w jego stronę, Will z zaskoczeniem, a Alyss z wdzięcznością.

Starszy zwiadowca ciągnął:

- Mogą być mniej podejrzliwi wobec młodej dziewczyny niż wobec sprawnego mężczyzny w wieku poborowym. Może i są sprytni, ale mają jedną słabość. Widzą w kobietach obywateli drugiej kategorii i nie mają pojęcia, jak sprawna i groźna jest młoda kurierka. Myślę, że Alyss może się łatwiej dowiedzieć, gdzie jest suka.

- A nie w ich obozowisku? - spytała Alyss.

Halt wydał wargi.

- Możliwe. Ale... mają skradzionego psa. Jest cenny i mogą się spodziewać, że pojawi się szukający go właściciel. Obstawiam, że będą ukrywać Ebony raczej gdzieś blisko swojego obozu, dopóki nie oddalą się na dobre. Jeśli spróbujesz ich śledzić i dowiedzieć się, gdzie ją trzymają, mogą cię zauważyć. Dopóki nie oddalą się wystarczająco od Redmont, zachowają czujność. Z drugiej strony, wątpię, żeby przejmowali się Alyss. Tak jak mówiłem, nieszczególnie poważają kobiety.

Była jeszcze jedna kwestia, z której podniesieniem Halt się ościagał. Will był już wystarczająco przejęty. Ale im dłużej starszy zwiadowca się zastanawiał, tym większą miał pewność, że musi ją poruszyć.

- Powinieneś wiedzieć o wólczech coś jeszcze - powiedział. - Często szkolą psy do walk.

- Do walk? - powtórzył Will niemal szeptem. - Jak to?

- Szkolą je, żeby walczyły z innymi psami. Potem organizują walki i ludzie stawiają pieniądze. Albo spotykają się z innymi grupami wólczechów i wystawiają najlepsze psy przeciwko sobie. To złe, okrutne i absolutnie niezgodne z prawem, i także z tego powodu starają się ukrywać psy.

- To okropne - wyjąkała Alyss, pobladła jak papier.

Halt pokiwał głową.

- Wiem. Ciężko to zrozumieć, tym bardziej że słyną z miłości do zwierząt. Ale takie są fakty.

Will przemyślał wszystko, co usłyszał od towarzysza i teraz pokręcił głową.

- Zabieranie Ebony nie miałyby dla nich sensu, Halt. Nie jest zbyt duża i z całą pewnością nie ma w sobie agresji. Nigdy nie zrobią z niej psa do walk.

Halt zaczerpnął głęboko powietrza. Uznał jednak, że Will powinien dowiedzieć się najgorszego.

- Nawet z najlepszego psa można zrobić dziką bestię, jeśli się go źle traktuje. Dlatego to ważne, żebyś znalazł ją jak najszybciej.

ROZDZIAŁ 4

Dwie godziny później para wyruszyła z ponurymi minami.

Idąc za radą Halta, Will zdjął zielono-szary płaszcz, który naznaczał go jako zwiadowcę. Płaszcz został schowany w zwiniętym kocu. Łuk i strzały znalazły się w płóciennym pokrowcu, przytroczonym do siodła Wyrwija.

Także Alyss się przebrała, zdejmując charakterystyczną białą szatę kurierki. Zamiast niej włożyła prostą zieloną sukienkę z domowej tkaniny i brązowy wełniany płaszcz. Taki dobór kolorów był celowy. Miały pomóc jej wtopić się w tło lasu, przez który będą podróżowali.

Dochodzenie przeprowadzone we wsi i niektórych samotnych gospodarstwach powiedziało im, że włóczędzy ruszyli na południe. Przemieszczali się konwojem pięciu wozów w towarzystwie koni, psów i kóz. Żaden z miejscowych, którzy widzieli ich na trakcie, nie zauważył z nimi czarno-białego psa pasterskiego. Żaden nie dostrzegł też psów, które wyglądałyby na używane do walk, ale w tym akurat nie było nic dziwnego.

- Skoro walki psów są nielegalne - zwrócił się Will do Alyss - nie trzymaliby na widoku takich zwierząt. A Ebony została przecież skradziona. I ją by schowali.

Mimo że włóczędzy mieli trzy dni przewagi - i jeszcze sporą część czwartego - Will spodziewał się, że szybko ich dogonią. W końcu kiedy widywał takie grupy w drodze, zawsze poruszały się w tempie niewiele szybszym od marszu. Gdy jednak pod koniec drugiego dnia zapytał o nich w mijanym właśnie gospodarstwie, dowiedział się, że wozy przejechały dwa dni wcześniej. Zdziwił się i podzielił tą wiedzą z Alyss.

- Spytałam o włóczędów lady Pauline, kiedy pojechałam do zamku po swój sprzęt podróży - odparła kurierka. - Przez lata miała z nimi trochę do czynienia. Powiedziała, że podczas wędrówki zwykle przez pierwsze dni forsują tempo, zwłaszcza jeśli coś ukradli. Dzięki temu są już poza okolicą, zanim kradzież zostanie odkryta.

- To ma sens - stwierdził Will. Podniósł wzrok na niebo. Słońce prawie zachodziło i zostało jeszcze tylko pół godziny dziennego światła.

- Zgodzisz się, żebyśmy jechali jeszcze kilka godzin po zmroku? Spróbujemy znaleźć jakieś domostwo, żeby przenocować, zamiast po ciemku rozbijać obóz.

- Nie mam nic przeciwko temu - odparła. Podzielała niecierpliwość Willa, który chciał jak najszybciej dogonić grupę. W umysłach ich obojga dominowała teraz obawa, że Ebony

może w każdej chwili stanąć naprzeciwko zacieklego psa, którego nauczono walczyć.

Księżyc wzeszedł wkrótce po zmierzchu, oblewając okolicę bladobłękitną poświatą. Jechali w ciszy, aż około dziewiątej wieczorem ujrzeli światło w oknie niedużego domu gospodarskiego.

- Lepiej zatrzymajmy się tutaj - poradziła Alyss. - Rolnicy wcześniej chodzą spać. Jeśli będziemy dłużej zwlekać, będziemy musieli ich obudzić. Możliwe, że to im się nie spodoba.

Miała rację. Gdy zbliżyli się do zabudowań przy wtórze wściekłego szczekania dwóch psów, powitał ich gospodarz, który podszedł do drzwi z lampą w ręce. Miał już na sobie nocną koszulę i było jasne, że szykuje się do snu.

- Czego chcecie? - spytał podejrzliwie. Z uwagi na ujadające psy Will i Alyss stanęli na zewnątrz ogrodzonego podwórza.

- Jesteśmy podróżnymi - zawołał w odpowiedzi Will. - Moja siostra i ja szukamy kwatery na noc. Chętnie zapłacimy za fatywę.

Rolnik zawahał się. Wizja zapłaty wyraźnie wydała mu się atrakcyjna.

- Zsiądźcie z koni i podejdźcie. Niech na was spojrzę - powiedział.

Will zeskoczył z wierzchowca, a Alyss poszła w jego ślady. Zwiadowca przystanął z ręką na skoblu furtki i ruchem głowy wskazał dwa psy.

- Czy te psy są niegroźne? - spytał, a mężczyzna przytaknął.

- Owszem, chyba że nakażę im co innego. Siad, jeden z drugim! Cicho! - krzyknął nagle i czworonogi natychmiast usiadły. Szczekanie ustało, lecz dalej cicho skamlały, jakby prosiły o pozwolenie, by rozszarpać intruzów na strzepy.

Will i Alyss powoli weszli na podwórze. Will z pewnym rozbawieniem zauważył, że kurierka ustawia się tak, by to on znalazł się między nią a psami. Te poruszyły się, a ich ciała aż drgały z napięcia, gdy obcy podeszli bliżej. Gospodarz jednak w pełni nad nimi panował.

Mężczyzna podniósł lampę wyżej. Gdy byli o trzy metry od niego, zawołał, by się zatrzymali.

- Wystarczy - powiedział. Przyglądał im się przez kilka chwil. Will zauważył, że trzyma lampę w lewej ręce. W prawej, przy ciele, dzierżył ciężką, nabijaną kolcami pałkę. Za jego plecami Will dostrzegł inną poruszającą się sylwetkę, a potem usłyszał męski głos, który zadał jakieś pytanie. Zapewne brat albo starszy syn.

- Wyglądają w porządku - odpowiedział gospodarz przez ramię. - Para młodych ludzi. Wydają się zupełnie nieszkodliwi.

Alyss uśmiechnęła się na te słowa. Will miał młodą twarz o niewinnym wyglądzie. Ale nazwanie go nieszkodliwym było tak dalekie od prawdy, że chciało się śmiać.

Niewykluczone, że był najniebezpieczniejszym człowiekiem, na którego rolnik kiedykolwiek spojrzał.

- Nie możemy zaprosić was do domu - stwierdził mężczyzna. - Jest nas tu sześcioro.

- Stodoła wystarczy - odparł Will. - Chcemy mieć tylko dach nad głową. Chyba zanosi się na deszcz.

Gospodarz spojrzał na niebo i nabrał powietrza.

- Ano - potwierdził. - Przed wschodem słońca będzie padać, jak nic. Wezmę od was siedem miedziaków za nocleg. I nie możemy was nakarmić - dodał szybko. - już jedliśmy i zgasiliśmy ogień przed nocą.

- Nie szkodzi. Mamy swoje jedzenie. - Will otworzył sakwę przy pasie i zaczął w niej gmerać. - Zabrakło mi miedziaków. Zamiast tego dam srebrną koronę.

Jedna korona miała wartość dziesięciu miedziaków, ale był gotów zapłacić więcej za schronienie na noc. Gospodarz postawił lampę na ziemi i wyciągnął rękę, pstrykając palcami.

- No to umowa stoi, srebrna korona.

Will zrobił krok naprzód. Jeden z psów, krępy i łaciaty, zadrzał i zaskamlał. Zwiadowca zauważył, że choć pies rzekomo siedział, mięśnie miał tak napięte, że jego zad był uniesiony kilka centymetrów nad ziemią. Czworonóg wyszczerzył zęby i warknął, gdy Will podawał monetę. Rolnik obejrzał ją i z zadowoleniem pokiwał głową.

- Dobrze. Rano moja żona da wam śniadanie za te trzy dodatkowe miedziaki. I nie rozpalajcie w stodole ognia. Żadnych świec ani ognisk. Od wewnątrz na drzwiach jest lampa, ale nie ruszajcie jej stamtąd. Światła będzie dosyć.

- Dziękujemy - powiedział Will. I wtedy odezwała się jedna z jego stałych potrzeb. - A czy mogę rozpalić ognisko tam, na dworze? Chciałbym zrobić kawę.

Gospodarz mruknął na znak zgody.

- Byle daleko od stodoły. I pamiętaj, że psy całą noc będą na podwórzu. Jak spróbujesz podejść do domu, to cię dopadną.

- Nie zapomnę - zapewnił Will.

Mężczyzna znowu mruknął.

- W takim razie życzę dobrej nocy. Śpijcie dobrze. - Machnął ręką, dając im znak, by opuścili podwórze.

- Wzajemnie - odrzekł Will. Oboje z Alyss wrócili do furtki, wyszli i starannie zamknęli ją za sobą. Gospodarz, zadowolony, że znaleźli się za płotem, zatrzasnął drzwi. Usłyszeli zasuwanie ciężkiego rygla od środka. Dwa psy zostały przed progiem. Położyły się na ziemi, opierając nosy na łapach, i patrzyły, jak przybysze prowadzą swoje konie do

stodoły.

Zdrożeni po wielu godzinach ciężkiej podróży, spali jak susły. Will obudził się raz po północy, słysząc miarowe bębnienie deszczu o dach. Naciągnął koc pod brodę, zadowolony, że stodoła chroni ich przed pogodą, po czym znowu zapadł w sen. Słuchanie deszczu miało w sobie coś kojącego, gdy człowiekowi było ciepło i sucho pod kocem.

Było już widno, gdy obudził się znowu, słysząc pianie koguta, a potem gdakanie kur na podwórzu. Deszcz ustał, ale w powietrzu unosił się rześki zapach wilgoci.

W świetle dnia gospodarz pokazał swoją przyjaźniejszą twarz. Jego żona podała im sycące śniadanie. Will z uśmiechem popatrzył na sterty jajek, boczku, ziemniaków i chleba.

- Rolnicy dobrze jadają - skomentował.

Alyss uniosła brwi.

- To dlatego, że pracują ciężiej od ciebie.

Zanim wyruszyli, spytali, czy rodzina widziała w okolicy jakiś ślad włóczędzów.

- Dwa dni temu - odpowiedział od razu gospodarz. - Chcieli obozować u nas, ale ich przegnałem. Różne rzeczy często giną, kiedy włóczędzy są w pobliżu.

- Wiem - rzekł Will. - Mnie zginął pies.

Rolnik z namysłem podrapał się po nosie.

- Ano, wyobrażam sobie. Nie traciłbym czasu, tylko jechał za nimi. Obóz włóczędzów to nie jest dobre miejsce dla psa.

Nie rozwinął podjętego tematu, ale zwiadowca nie miał wątpliwości, do czego odnosi się ta uwaga. Alyss i Will pożegnali się i dwie godziny po wschodzie słońca byli już na trakcie. Tym razem wyraźnie zwiększyli tempo. Przez dwadzieścia minut jechali klusem, potem zsiadali, by jakiś czas iść obok koni, a później znów popędzali wierzchowce. Co godzinę robili dziesięciominutowy odpoczynek. Nie zatrzymali się na obiad, tylko podczas jazdy pogryzali suszoną wołowinę i owoce, a także twardy chleb.

Wysilek się opłacił. Gdy o zachodzie słońca zatrzymali się w małym siole, odkryli, że włóczędzy wyprzedzają ich już tylko o dzień. Zapłacili za nocleg w kuchni jednego z większych domów, w osadzie nie było bowiem gospody. Zjedli i wcześniej się położyli, a potem, przed brzaskiem wyruszyli w drogę.

Gdy słońce wzeszło, a z wilgotnej trawy zaczęły się wznosić smużki pary, Wyrwij gwałtownie wstrząsnął grzywą.

Dzisiaj ich dogonimy. Czuję to w kościach.

Will zawahał się, zerkając z ukosa na Alyss. Nie miał pewności, jak by zareagowała,

gdyby zaczął rozmawiać z koniem.

- Śmiało, odpowiedz mu, jeśli chcesz - powiedziała ze wzrokiem utkwionym w dal.

Spojrzał na nią z zaskoczeniem.

- Słyszysz go?

Z uśmiechem pokręciła głową.

- Nie. Ale Paulina mówiła mi, że wy, zwiadowcy, rozmawiacie z końmi... i rzucacie takie ukradkowe spojrzenia, jeśli ktoś może was usłyszeć.

- A. - Nie wiedział, czy teraz powinien odpowiadać Wyrwijowi. Ich komunikacja była bardzo prywatną sprawą.

Nie musisz mi odpowiadać.

- No to w porządku - rzucił. Taką odpowiedź zarówno Wyrwij, jak i Alyss mogli potraktować jako skierowaną do siebie. Przez kilka kilometrów jechali dalej w milczeniu, a kurierka skrywała uśmiech.

ROZDZIAŁ 5

Włóczędzy zmierzali dalej na południe. Will i Alyss znaleźli pozostałości ich wczorajszego obozowiska w otwartym polu, w pewnej odległości od skraju drogi. W miękkim poboczu odcisnęły się ślady kół wozów, a na trawie widniały czarne kręgi, tam, gdzie włóczędzy rozpalili ogniska. Will zsiadł z konia i dotknął popiołu.

- Zimny - stwierdził. - Nadal są daleko przed nami.

Było jednak oczywiste, że ich doganiają. Może, tak jak sugerowała Alyss, włóczędzy zwalniali, zostawiwszy daleko w tyle miejsce kradzieży. Will skinął głową. Istniała taka możliwość.

Wczesnym popołudniem trzeciego dnia niemal wpadli na tabor. Jechali długim, płaskim odcinkiem drogi, a gdy minęli zakręt, zobaczyli obozowisko ledwie paręset metrów przed sobą. Pięć dziwnych wozów o zakrzywionych dachach stało na otwartej przestrzeni, tworząc nierówny czworokąt, wyznaczający granice obozu. Między nimi przemieszczali się ludzie, a z kilku ognisk wzbijały się w powietrze spiralne smugi dymu. Gdzieś ktoś grał na cytrze. Muzyka w natrętnej molowej tonacji miała poruszający, dziwnie cudzoziemski rytm.

Alyss w pierwszym odruchu chciała wstrzymać konia, ale Will dostrzegł ruch jej dłoni na cuglach i powstrzymał ją w samą porę.

- Jedź - polecił. - Nie chcemy, żeby myśleli, że ich szukamy. Pojedziemy do tej wioski na wzgórzu.

Pośród drzew widniały dachy niewielkiej wsi. Z kominów unosił się dym. Will zlustrował obozowisko włóczędów, gdy mijali je stępa. Widział kilka psów, ale żaden nie miał charakterystycznego, czarno-białego ubarwienia Ebony. Jeden zaszczekał bez przekonania, za co został nagrodzony kopniakiem przez przechodzącego obok włóczęgę. Zaskamlał i wbiegł pod wóz.

- Powinieneś na nich patrzeć? - spytała Alyss. - To nas nie zdradzi?

Will pokręcił głową.

- Gdybym ich ignorował, wyglądałoby to bardziej nienaturalnie - stwierdził. - Przywykli, że nieznajomi się na nich gapią. Gdybyśmy patrzyli przed siebie, mogliby nabrać podejrzeń.

Rozróżniał teraz więcej szczegółów. Konie, które ciągnęły wozy, zamknięto w niewielkiej zagrodzie, otoczonej pospiesznie wzniesionym drewnianym ogrodzeniem w

postaci długich belek, ułożonych na podporach w kształcie litery X. Z jednej strony trzy zapracowane kobiety pochylały się nad dużą balią. Gdy patrzył, jedna z nich wstała, wyjęła jaskrawą koszulę i rozwiesiła ją na sznurze między dwoma drzewami. Wisiało już na nim kilka mokrych koszul i parę sztuk bielizny. Potem zajęła się praniem kolejnej rzeczy.

- Dzień prania - zauważyła Alyss.

- Zdaje się, że mogą tu zostać dłużej - stwierdził Will. - Nic dziwnego. Przemieszczali się szybko, odkąd opuścili Wensley. Pewnie postanowili odpocząć.

Czterech mężczyzn siedziało wokół ogniska na niskich stołkach, podając sobie butelkę z ręki do ręki. Popatrzyli na dwoje przejeżdżających powoli podróżnych. Nawet z tej odległości młodzi jeźdźcy widzieli ich nieprzyjazny wzrok.

- Wygląda na to, że goście nie są tu mile widziani - zauważył zwiadowca.

Minęli już koczowisko i okazaliby przesadne zainteresowanie, gdyby odwrócili się w siodłach, żeby jeszcze mu się przyjrzeć. Lecz Will zapamiętał już cały rozkład taboru.

- Spodziewałabym się, że rozłożą się bliżej drzew - zauważyła Alyss. Obóz z każdej strony otaczało kilkaset metrów otwartej przestrzeni. - Wtedy byłoby lepiej osłonięci.

Jej towarzysz pokręcił głową.

- Obozowanie na otwartej przestrzeni sprawia, że nikt nie zbliży się niezauważony - wyjaśnił. - Halt miał rację co do tych ludzi. Niełatwo ich będzie oszukać.

Postanowił wcześniej, że tej nocy wróci do obozowiska na rekonesans. Teraz jednak nabrał obaw. Jeśli włóczędzy byli tak sprytni, jak mówił Halt, trudno będzie zbliżyć się na tyle, by usłyszeć coś przydatnego, mimo że był wprawnym zwiadowcą. W dodatku kręciły się tam te przekłete psy. Nocą na pewno wałęsały się po koczowisku, wyczulone na dziwne dźwięki i zapachy. Psy mogą bardzo utrudnić życie uczciwemu intruzowi, pomyślał chłodno.

W wiosce na wzgórzu była mała karczma, ale brakowało gospody z prawdziwego zdarzenia. Oberżysta jednak urządził w stajni miejsce dla podróżnych, a Will i Alyss cieszyli się, że kolejną noc mogą spędzić opatuleni kocami na posłaniach z siana. A dzięki temu, że nie nocowali w głównym budynku, Willowi łatwiej będzie wymknąć się i zbadać obóz włóczędzów.

Najpierw coś zjedli, a potem wrócili do stajni, rzekomo po to, by się położyć. Gdy zwiadowca szykował swoje rzeczy, zaskoczyła go Alyss, wchodząc do przegrody, która służyła mu za sypialnię. Miała na sobie ciemne obcisłe spodnie i czarną, sięgającą ud kurtkę, spiętą w talii pasem. U boku kurierki wisiała pochwa z ciężkim sztyletem, na ramiona Alyss narzuciła ciemnobrązowy płaszcz.

Było oczywiste, że zamierza mu towarzyszyć, i Will już otwierał usta, by wyrazić

sprzeciw, lecz podniosła rękę, by go powstrzymać.

- Idę - oznajmiła po prostu. - Pomyśl, co mówił Halt. Logiczne, że to ja nawiążę kontakt z włóczęgami. Powinam wiedzieć, w co się pakuję.

- Tak - przyznał Will - ale...

- Nie będę próbowała podchodzić blisko - zapewniła. - Zostawię to tobie. Ukryję się pod osłoną drzew i spróbuję zobaczyć, ile się da. Potem możesz przekazać mi szczegóły.

Will zawahał się. Uświadomił sobie, że jej słowa mają sens. I mógł na niej polegać, że nie zrobi nic pochopnie. Rażno pokiwał głową.

- W porządku. W drogę.

Unikali głównej drogi, przemykając zaułkiem do bocznej dróżki, która biegła równoległe do niej i wychodziła z wioski. Gdy znaleźli się poza niewielkim skupiskiem zabudowań, dróżka urwała się nagle i dalej szli przez otwarte, niedawno skoszone pole. Skraj lasu znajdował się ledwie pięćdziesiąt metrów od nich.

Ich buty chrzęściły cicho na ściernisku, gdy spieszyli w stronę obozowiska włóczęgów. Przez ostatnie pół kilometra trzymali się osłony i maskującego cienia drzew, aż dotarli do miejsca, z którego widzieli już tabor.

W dwóch krańcach obozowiska płonęły ogniska, a okna w najbliższych wozach rozświetlał blask lamp. W pozostałych było ciemno. Wokół jednego z ognisk siedziały trzy postacie - dwóch mężczyzn i jedna kobieta.

- Zostań tutaj - szepnął Will do ucha Alyss. - Spróbuję podejść bliżej.

Skinęła głową, a on wykradł się zza drzewa, za którym się schowali, czołgając się po wysokiej, wilgotnej trawie. Miał przed sobą kilka krzewów i drzew, których mógł użyć dla osłony, i pełzł powoli, czasami czekając w jednym miejscu kilka minut, dopóki chmura nie zaczęła sunąć po niebie, rzucając plamy poruszającego się cienia.

Był pięćdziesiąt metrów od obozowiska, gdy jeden z psów podniósł łeb i niepewnie zaszczekał. Zwiadowca zamarł w miejscu. Usłyszał, że jeden z włóczęgów przyzywa psa, a potem jęczy z wysiłkiem, wstając z miejsca, by wytężyć wzrok w ciemność.

- Widzisz coś, Jerome? - spytała kobieta.

- Ogień zbyt jasno świeci.

- Pies coś usłyszał, inaczej by nie szczekał - powiedziała. W odpowiedzi mężczyzna prychnął lekceważąco.

- To głupi pies. Pewnie usłyszał borsuka albo łasicę.

- Może lepiej to sprawdź - zaproponowała, na co on zareagował gniewem.

- Może sama idź! Skoro masz taki dobry pomysł, to się tym zajmij.

- Nie jestem mężczyzną - odparła. W jej głosie brzmiała obronna nuta i Will przypomniał sobie, jak Halt mówił o lekceważącym podejściu włóczędzów do kobiet. - To nie dla mnie.

- Właśnie, kobieto. Twoja robota to sprzątanie, gotowanie, cerowanie ubrań i siedzenie cicho. Więc radzę ci zająć się teraz tym ostatnim!

- Idę się położyć - oznajmiła ze złością w głosie.

Jej mąż popatrzył za odchodzącą.

- Te kobiety! - powiedział z niesmakiem. - Masz szczęście, że nie jesteś żonaty, Jerome.

- Jakbym nie wiedział - odparł z trudem włóczęga imieniem Jerome. Na próbę potrząsnął butelką, stwierdził, że jest pusta i odrzucił ją na bok. Jego towarzysz ziewnął i przeciągnął się.

- No, też pójdę już spać - oświadczył po kilku chwilach. Podniósł się i chwiejnym krokiem podążył w kierunku wozu, do którego weszła wcześniej jego żona, potknął się na schodkach, a potem zatrzasnął za sobą drzwi.

Najwyraźniej, pomyślał Will, nie była to jedyna butelka, którą opróżnili tego wieczoru.

Już tylko jeden mężczyzna wpatrywał się w ogień, więc zwiadowca nie miał szans podsłuchać nic więcej. Powoli cofnął się od obozu i po cichu wrócił między drzewa, gdzie czekała Alyss.

- No? - zagadnęła niecierpliwie.

Wzruszył ramionami.

- Nie usłyszałem zbyt wiele rzeczy, które by się nam przydały - stwierdził. - Ale Halt miał rację w kwestii ich podejścia do kobiet. Wygląda na to, że nie powinny mieć własnego zdania na żaden temat.

- To co zrobimy? - spytała.

Wahał się przez kilka chwil.

- Musimy się więcej o nich dowiedzieć - powiedział w końcu. - Co robią. Jak się zachowują. Jakie czynności wykonują rutynowo. - W zamyśleniu przygryzł wewnętrzną stronę wargi. Doskonale pamiętał ostrzeżenie Halta, że włóczędzcy to trudny cel. Nie mógł pozwolić sobie na błąd, dzięki któremu domyśliliby się, że ktoś ich śledzi.

- Wrócimy jutro i będziemy ich po prostu obserwować przez kilka godzin. Zobaczymy, czy mają jakąś słabość, którą da się wykorzystać. Na razie wracajmy do karczmy. Przydałby mi się kubek kawy na rozgrzewkę.

Nisko pochyleni, oddalili się po cichu, wracając między drzewa. Gdy już nie widzieli światła obozowiska przez gęstwą pni, wstali i przyspieszyli kroku.

Z powrotem w wiosce wśliznęli się niezauważenie do karczmy. Pora była późna, ale kilkunastu klientów wciąż piło i toczyło głośne rozmowy. Trzej mężczyźni siedzieli przy stoliku blisko szynkwasu i grali w kości.

Gdy Will i Alyss czekali na kawę, kurierka obserwowała przebieg gry bez przesadnego zainteresowania. Jeden z graczy wygrał właśnie sporą sumę i zgarniał ją do siebie, gdy zdał sobie sprawę z jej spojrzenia. Podniósł wzrok i uśmiechnął się do niej. Miał w końcu dobry humor - a Alyss była nadzwyczaj piękna.

- Dobry wieczór, ślicznotko - zagadnął. - Chyba przyniosłaś mi szczęście. Może z nami usiądziesz?

Uśmiechnęła się do niego. Mówił przyjaznym tonem, a nie mogła oczekiwać dworskich manier od prostego robotnika rolnego.

- Niestety, nie - odparła. - Mój chłopak mógłby poczuć się samotny.

- Też może do nas dołączyć - odezwał się jeden z pozostałych graczy. - Zawsze chętnie witamy przybyszów... i ich pieniądze.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem i Will też się do nich uśmiechnął.

- Raczej nie, panowie. Moja sakiewka i tak jest zbyt chuda.

- Nie lubisz hazardu? - spytał trzeci mężczyzna przy stoliku i Will pokręcił głową ze smutnym uśmiechem.

- Obawiam się, że lubię aż za bardzo. Stąd chuda sakiewka.

Te słowa wywołały współczujący rechot graczy. Aż za dobrze znali ten stan.

- Szkoda - powiedział ten, który odezwał się pierwszy. - Miałbyś szansę wygrać spore pieniądze w niedzielę. Będą wa...

Zanim jednak dokończył zdanie, jeden z pozostałych złapał go za nadgarstek.

- Wystarczy, Randell! - powiedział pospiesznie. - Nie trzeba o tym rozpowiadać całemu światu!

- Co? O... nie! Wybacz! - Mężczyzna zdawał się zaskoczony tym ostrzeżeniem. Opuścił oczy pod spojrzeniem Willa. - Zapomnij, że coś mówiłem - bąknął.

Jego kolega uśmiechnął się przeproszająco.

- A, Randella czasem ponosi, młodzieńcze. Nie zwracaj na niego uwagi. Najmniejszej uwagi.

- Oczywiście. - Will rozłożył ręce na znak, że zrozumiał. Przyniesiono im kawę i skorzystał z okazji, by zakończyć pogawędkę. - Dobranoc panom - powiedział, po czym

razem z Alyss odwrócili się w stronę stołu na tyłach pomieszczenia. Przechodząc między krzesłami i stołami, usłyszał jeszcze kilka słów rozmowy graczy w kości.

- Zwariowałaś, Randell? - spytał trzeci z mężczyzn. Wyraźnie starał się mówić cicho, ale ekspresyjność jego słów sprawiła, że dotarły do czujnych uszu Willa. - Nie mówi się obcym o... - Powstrzymał się, po czym dokończył: - Wiesz, o czym.

- Przepraszam! Przepraszam! - Był to głos Randella, skruszony z powodu swojej nieuwagi. - Tak czy siak, nic się nie stało i wydają się niegroźni. Nie to, co...

Dalszy ciąg utonął w cichym gwarze rozmów. Will i Alyss usiedli, po czym wymienili znaczące spojrzenia. Kurierka uśmiechnęła się do niego.

- Śmieję się - poleciła. - Śmieję się głośno. Już.

Zdziwiony, odchylił głowę w tył i parsknął śmiechem.

Poszła w jego ślady, a potem czule dotknęła jego dłoni i pociągnęła łyk kawy. Wciąż uśmiechnięta, przemówiła cichym głosem:

- Nie chcę, żeby myśleli, że rozmawiamy o tym, co się przed chwilą stało.

Pokiwał głową z szerokim uśmiechem. Czuł się dziwnie, prowadząc poważną rozmowę z radosnym grymasem przyklejonym do twarzy. Alyss jednak była doświadczona w tego typu fortelach i pozwolił, by kierowała sytuacją.

Nachyliła się ku niemu i z czułością przeciągnęła dłonią po jego policzku.

- Spróbujmy sprawiać wrażenie, że toczymy raczej romantyczną rozmowę - powiedziała.

Skinął głową, wciąż uśmiechnięty, i delikatnie ujął jej dłoń, muskając ją wargami.

- Co o tym wszystkim sądzisz? - spytała, po czym nieśmiało rozejrzała się po wnętrzu, jakby się zawstydziała, że ktoś mógł widzieć tę demonstrację uczuć. - Uśmiechaj się dalej - zganiała go, zobaczywszy, że jego brwi marszczą się w zamyśleniu. Pospiesznie przybrał właściwy wyraz twarzy.

- W niedzielę coś ma się wydarzyć. Coś związanego z hazardem i szansą na duże pieniądze.

- Tak - potwierdziła, kokieteryjnie odgarniając włosy na bok. - To coś nadzwyczajnego. Co ci to mówi?

Wiedział, że ich myśli podążają w tym samym kierunku.

- Walki psów - stwierdził. - Dlatego włóczędzy zostaną tu dłużej. W niedzielę przeprowadzą gdzieś w lesie walki psów.

- W niedzielę - powtórzyła. - Mamy trochę czasu.

- Niewiele - odparł. Zniknęły już wszystkie pozory, uśmiechy i czułości. - Nadal nie

wiemy, jak znaleźć Ebony. Jutro musimy zakasać rękawy.

ROZDZIAŁ 6

Niedługo po wschodzie słońca wrócili na swoje nocne stanowisko obserwacyjne i nie spuszczała z oka obozu włóczęgów. Przez kilka godzin nie działo się nic niezwykłego. Włóczędzy zajmowali się zwyczajnymi, codziennymi czynnościami, takimi jak rozpalanie ognisk, szykowanie śniadania, sprzątanie, naprawa sprzętów czy cerowanie ubrań.

Nieco później, z jednego z wozów wyłonił się Jerome, mocno zbudowany mężczyzna, którego widzieli nocą. Nosił koszulę w jaskrawy wzór, opadającą poniżej bioder, o szerokich, obszernych rękawach, spiętych w nadgarstkach skózanymi bransoletkami. Koszulę ścisnął ciężki skórzany pas; Will dostrzegł rękojeść długiego noża w pochwie, przypiętej przy lewym boku. Stroju dopełniały czarne spodnie oraz wysokie do kolan buty z brązowej skóry. Zwiadowcę bardziej zainteresował duży płócienny worek w ręce mężczyzny. Gdy zszedł po schodkach ze swojego wozu, dwa z obozowych psów podbiegły do niego na ugiętych łapach i próbowały obwąchać worek. Rzucił w ich stronę przekleństwo i uciekły.

- Jak myślisz, co jest w worku? - spytał cicho Will.

Alyss, która leżała obok, owinięta brązowym płaszczem, popatrzyła na niego.

- Sądząc po zainteresowaniu tych psów, można by przypuszczać, że mięso.

- Też tak myślę - stwierdził. Zauważył też brązowe plamy na płótnie, prawdopodobnie zaschniętą krew.

Jerome poszedł na drugą stronę obozowiska, po czym odwrócił się i zaczął wołać w kierunku wozów:

- Petulengo! Gdzie, do licha, jesteś, chłopcze?

- Idę, Jerome! - zawołał wysoki głos. Drzwi jednego z wozów otworzyły się z trzaskiem i młody chłopak, na oko najwyżej dwunasto- lub trzynastoletni, zbiegł ze schodków, po drodze wciskając koszulę w spodnie. Miał oliwkową cerę i długie ciemne włosy, które żółta opaska powstrzymywała przed opadaniem na twarz.

- Następnym razem bądź gotów, kiedy mówię - upomniał go Jerome. Najwyraźniej nie należał do tych, którzy łatwo wybaczą. - A teraz trzymaj się za mną - nakazał i ruszył w kierunku drzew po przeciwnej stronie otwartej przestrzeni. Chłopiec musiał na wprost biec, by za nim nadążyć, i trzymał się o kilka kroków z tyłu.

- Zaczekaj tu i miej oko na wszystko - powiedział Will.

- Pójdę sprawdzić, dokąd poszedł nasz przyjaciel Jerome.

Łatwiej było to powiedzieć, niż wykonać. Zwiadowca musiał zatoczyć szeroki łuk, by trzymać się z dala od taboru, a potem dojść drogą do skraju odległego zagajnika. Mimo że stracił przez to sporo czasu, po wejściu między drzewa był pewien, że szybko natrafi na trop Jerome'a.

Mylił się. Bez trudu odnalazł trop chłopca. Ale Petulengo nie został ze swoim starszym towarzyszem. Szedł za nim w pewnej odległości, zacierając ślady mężczyzny, który krętym szlakiem podążał przez las. Szedł takim zygzakiem, że nie dało się określić celu tego marszu, a w dodatku istniało spore zagrożenie, że Petulengo dostrzeże Willa.

Chłopiec był niebezpiecznie czujny. Kilka razy, gdy zwiadowca spowodował jakiś cichy dźwięk - a nie dało się iść w zupełnej ciszy - ciemna głowa podnosiła się gwałtownie i rozglądała, więc Will musiał zamierać w bezruchu, zamaskowany przez swój płaszcz, a także umiejętność absolutnego zastygania w miejscu.

Petulengo trzymał się tak daleko w tyle za Jerome'em, że Will ani przez chwilę nie widział krzepkiego włóczęgi. Musiał się zadowolić śledzeniem chłopca. Po krótkim czasie uświadomił sobie, jak skuteczny był taki system. Chłopiec bez wątpienia wiedział, dokąd zmierza jego starszy towarzysz, mógł więc zostać daleko za nim i skutecznie wzbudzić frustrację każdego obcego, który mógłby próbować go tropić - tak jak Will.

Po dziesięciu minutach zwiadowca musiał się przyznać do porażki. Najzwyczajniej w świecie nie mógł ryzykować, że zostanie zauważony, bo Ebony mogłyby przypłacić to życiem. Pełen goryczy, wrócił okrężną drogą w miejsce, z którego Alyss obserwowała obóz. Po wyrazie jego twarzy poznała, że mu się nie powiodło. Wskazała koczowisko.

- Myślę, że znaleźliśmy wejście - stwierdziła.

Will podążył wzrokiem za jej palcem i zobaczył postać, której wcześniej nie zauważył. Była to stara kobieta, odziana w brudne łachmany, o długich, siwych, potarganych włosach. Chodziła po obozie, zgięta niemal w pół, zabierając kawałki drewna na opał ze sterty na środku i roznosząc je do poszczególnych ognisk.

Po wykonaniu tego zadania, napełniła wiadro wodą z dużej beczki, przymocowanej do jednego z wozów.

Stało się jasne, że nie jest nikim więcej niż pomiotłem, wykonującym ciężkie prace w obozie. Jeśli któryś włóczęga znalazł się w pobliżu, w najlepszym razie nie zwracał na nią uwagi albo rzucał w jej stronę przekleństwo. Jeden z mężczyzn szturchnął kobietę w tył głowy. Uciekła, upuszczając wiadro i rozlewając wodę. Na jej piskliwy krzyk protestu mężczyzna zareagował beznamietnym rechotem. Gdy się pochyliła, by podnieść wiadro, kopnął je, aż się od niej odturlało. Ruszyła za nim z uniesioną instynktownie ręką, by osłonić

się przed kolejnym ciosem, jęcząc i pochlipując.

W tej samej chwili drzwi z jednego z wozów otwarły się z łoskotem i kobieta, przynajmniej dwadzieścia lat młodsza od siwej staruszki, zaczęła na nią krzyczeć:

- Hilde! Przynieś tu tę wodę, ale już! Co ty wyprawiasz? Nie leń się!

Hilde zaskamlała coś w niezrozumiałej odpowiedzi i mężczyzna, przez którego rozlała wodę, także na nią warknął. Pokuśtykała z powrotem do beczki z deszczówką by ponownie napełnić wiadro, ścigana surowymi obelgami i poleceniami młodszej kobiety.

W obozie włóczęgów Hilde zajmowała najniższy z najniższych szczebli hierarchii, była ostatnim popychłem.

Will zmarszczył brwi, patrząc na Alyss.

- Nie rozumiem, jak to miałoby nam pomóc.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Kiedy cię nie było, słyszałam, jak jeden włóczęga kazał jej przynieść więcej drewna. Poczekamy, aż wyjdzie z obozu. Później pójdziemy za nią, a ja zajmę jej miejsce.

- Chyba żartujesz! - oburzył się Will. Popatrzył na zgarbioną postać staruszki, która teraz, utykając, wracała do wozu z wiadrem pełnym wody, a potem na Alyss, szczupłą, piękną i młodą. - Nie sądzisz, że mogą zauważyć drobną różnicę w wyglądzie?

- Myślę, że w ogóle nie zauważają tej kobiety - odparła z powagą. - Nie widzą w niej człowieka, tylko sprzęt, coś, co można kopnąć, szturchnąć albo przekląć, kiedy ma się na to ochotę. Nie zapominaj, że szkolono mnie, jak się przebierać w razie potrzeby. Jeśli wetrę sobie we włosy popiół i ziemię, jeśli będę kuśtykać, jak ona, nie sądzę, by zauważyli różnicę. Zwłaszcza jeśli zamienię się z nią ubraniami. - Lekko się wzdrygnęła. - Na to akurat nie czekam z utęsknieniem.

Will znowu przyjrzał się utykającej, mruczającej pod nosem postaci.

- Naprawdę myślisz, że zdołasz się pod nią podszyć?

Alyss skinęła głową.

- Gdyby była jedną z nich, na pewno by mi się nie udało. Ale oni nawet na nią nie spojrzą. A ludzie widzą to, co spodziewają się zobaczyć. Często mi to powtarzałeś.

Przez kilka sekund milczał, a ona naciskała dalej.

- W ten sposób znajdę się wewnątrz obozowiska. Będę mogła podsłuchać ich rozmowy, a przy odrobinie szczęścia dowiem się, gdzie trzymają Ebony. Albo, jeśli Jerome i chłopiec pójdą do lasu, ruszę za nimi. Istnieje szansa, że nie zwrócą uwagi na zbierającą drewno Hildę. A ty możesz mnie śledzić z pewnej odległości. Będziesz się trzymał poza zasięgiem wzroku, dopóki się nie dowiemy, gdzie ukryli Ebony.

- Nie jestem pewien - powiedział z wahaniem Will. - To się może udać. Ale ryzyko jest duże...

- Chcę je podjąć. Co mogą mi zrobić? W końcu będziesz wszystko obserwował z lasu, na wypadek, gdyby mnie zdemaskowali. I szczerze myślę, że to nasza jedyna szansa, by odnaleźć Ebony.

- Niech pomyślę... - zastanawiał się Will. Wiedział, że na miejscu Alyss nie wahałby się, tylko wcielił plan w życie. Naraziłby jednak zarówno Alyss, jak i Ebony, i nie potrafił podjąć tej decyzji.

- Lepiej myśl szybko - odparła. - Wychodzi z obozu.

Podniósł wzrok. Hilde człapała w stronę lasu z siekierką w ręce i dużym koszem na drewno, przewieszonym przez ramię. Zmierzała w kierunku oddalonym o jakieś pięćdziesiąt metrów na północ od miejsca, w którym się ukrywali.

- W porządku - zdecydował. - Zróbmy to.

Łatwo było znaleźć Hildę. Odgłos siekierki niósł się po lesie, gdy rąbała znalezione drewno na mniejsze kawałki. Will i Alyss przemykali między drzewami, gdy kobieta coraz bardziej oddalała się od obozowiska. Gdy poczuli, że są już w bezpiecznej odległości, Will po cichu wyszedł przed nią z gęstwiny. Wydało jej się, że młody mężczyzna w zielono-szarym płaszczu zmaterializował się nagle z powietrza. Krzyknęła ze strachu i zatoczyła się w tył z jedną ręką uniesioną przed twarzą. Will rozpoznał ten gest. Starsi ludzie stosowali go, by odegnać urok, który nazywali „złym okiem”.

Zauważył także, że nie wykonała żadnego ruchu, by bronić się lub zagrozić mu siekierką, trzymaną w drugiej ręce. Jej instynkt samoobrony został stępiony przez czas spędzony wśród włóczęgów.

- Spokojnie, Hilde - powiedział cicho. - Nie zrobię ci krzywdy.

- Kim jesteś? Skąd znasz moje imię? Nie zrobiłam nic złego! - wymamrotała, wciąż uciekając przed nim spojrzeniem. Zerknął na Alyss, ukrytą między drzewami, i ruchem dłoni pokazał, że potrzebuje pomocy.

Alyss ujawniła swoją obecność i Hilde cofnęła się na jej widok.

- W porządku, Hilde - przemówiła kurierka łagodnym głosem. - Nie zrobimy ci krzywdy. Chcemy ci pomóc.

Być może obecność drugiej kobiety dodała staruszce pewności siebie. Powoli opuściła rękę, którą osłaniała twarz. Nachyliła się, chcąc z bliska popatrzeć na Alyss, która uśmiechnęła się, by dodać jej otuchy. Wiele osób twierdziło, że uśmiech Alyss to widok

godny uwagi, a teraz najwyraźniej podzielał kojąco na staruszkę.

- Kim jesteście? - spytała.

- Nazywam się Alyss, a to mój przyjaciel Will - oznajmiła dziewczyna, wskazując młodego zwiadowcę. Hilde zerknęła na niego i na jej twarz powróciła cała podejrzliwość i lęk. Alyss szybko mówiła dalej: - Powiedz, czemu włóczędzy są wobec ciebie tak okrutni?

Will uświadomił sobie, że to jest właściwe podejście. Natychmiast stawiało Alyss po stronie Hilde. Staruszka pociągnęła nosem, ocierając go poszarpanym końcem rękawa.

- Okrutni? Ano. Biją mnie. Przeklinają i kopią. A ja staram się dla nich jak najlepiej, ale jestem już stara. Nie ruszam się tak szybko, jak kiedyś. Próbuję, ale jestem zbyt wolna i mnie biją.

- Ale czy nie jesteś jedną z nich? - spytała kurierka. Wzięła ją delikatnie za rękę i Hilde popatrzyła na nią przez załzawione oczy, których kolor zdawał się wypłukany przez sędziwy wiek.

- Jedną z nich? Nie, jestem Gallijką. A przynajmniej byłam. Po śmierci mojego męża wioska już mnie nie potrzebowała. Chcieli gospodarstwa, rozumiecie. Wyrzucili mnie z niczym. Zostawili na pewną śmierć. Włóczędzy mnie przyjęli. Na początku byłam wdzięczna, ale po pewnym czasie zaczęłam żałować. Może łatwiej byłoby umrzeć niż żyć. Jestem z nimi już od... - Urwała i w jej oczach pojawił się wyraz niepewności. - Nie wiem, jak długo.

- Czemu zostałaś przy nich? - spytał Will i teraz spojrzała na niego. Najwyraźniej uznała już, że skoro jest przyjacielem Alyss, to nie ma się czego obawiać z jego strony.

- A dokąd miałabym iść? - spytała. - Nikt nie chce staruszki. Mogłam zostać z włóczęgami albo głodować. - Nagle zaniósła się chrapliwym śmiechem, w którym nie było wesołości. - Nie, żeby dobrze mnie karmili. Dostaję tylko resztki, to, co nie nadaje się dla psów.

Alyss i Will wymienili spojrzenia.

- Dla psów - powtórzyła Alyss. - Psów z obozu?

- Ano. Tych też. I jeszcze dla in... - Umilkła z błyskiem przestachu w oczach. - Tak, dla psów z obozu - poprawiła się szybko.

Z dużym wysiłkiem Will powstrzymał się przed ponownym skierowaniem wzroku na towarzyszkę. Obojętnie odwrócił spojrzenie, jakby nie zauważył zająknięcia Hilde.

- Dlaczego nie uciekniesz? - spytała kurierka.

Kobieta popatrzyła na nią tak, jakby pytanie było zupełnie szalone.

- Jak? Dokąd miałabym pójść? Nic nie mam. Gdybym spróbowała uciec, przyszliby po mnie i zaciągnęli mnie z powrotem. Jestem stara i nie umiem szybko biegać. Nic nie mogę

zrobić. Jestem skazana na włóczęgów i muszę jakoś z tym żyć.

Jej głos był ciężki świadomością, że nie uniknie swojego losu.

- Hilde - powiedziała powoli Alyss - gdybyś mogła opuścić włóczęgów, chciałabyś tego?

- No pewnie! - odparła z zapalem kobieta. Potem znowu dopadła ją rzeczywistość. - Ale jak? Nie mogę uciec. I co bym robiła, gdyby się udało? Nie, głupotą jest samo myślenie o tym.

- Pomożemy ci - wtrącił Will, a ona popatrzyła na niego podejrzliwie.- Dlaczego mielibyście mi pomóc?

- Powiedzmy, że mamy z tymi włóczęgami rachunki do wyrównania - wyjaśnił.

Zawahała się. Pomysł ucieczki od obecnego życia wydawał się atrakcyjny.

- Ale co bym robiła? - spytała.

Tym razem odpowiedziała jej Alyss.

- Mam przyjaciółkę, właścicielkę jadłodajni. Na pewno mogłabyś dla niej pracować. Byłoby ci znacznie łatwiej niż teraz i nikt by cię nie kopał ani nie przeklinał.

- Ale musiałabyś pracować - uprzedził Will.

Zwróciła wzrok na niego.

- Nie boję się pracy - odparła. - Nie spodziewam się jałmużny. Ale gdybym dostała skromną zapłatę, coś do jedzenia i ciepły kąt do spania... byłoby jak w niebie.

- U Jenny na pewno najesz się do syta - zapewnił Will. - Jest świetną kucharką.

- Na razie damy ci trochę pieniędzy - powiedziała Alyss - a Will może cię zabrać do innej wioski, żebyś na nas zaczekała. Mamy konie, więc wywiezie cię na tyle daleko, że będziesz bezpieczna.

Hilde ciągle nie była zdecydowana.

- Ta wasza przyjaciółka na pewno da mi pracę?

Alyss ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Jeśli ją poprosimy. Tak. To będzie lekka praca i dobre życie, Hilde. Żeby przypieczętować umowę, możesz wziąć tę moją sukienkę.

Na te słowa kobieta szeroko otworzyła oczy. Sukienka była dość prosta, ale uszyta z wełny dobrej jakości, miękka i ciepła w dotyku. A w dodatku bez łąt, czysta i w znacznie lepszym stanie niż łachmany, które nosiła.

- Ale w co ty się ubierzesz? - spytała.

Alyss wskazała podartą spódnicę, bluzę i chustę staruszki.

- Wymienię się z tobą.

Hilde zmarszczyła brwi, zdumiona tym pomysłem.

- Czemu chcesz to włożyć?

Dziewczyna pozwoliła sobie na cień uśmiechu.

- Wierz mi, wcale nie chcę. Ale to konieczne, jeśli chcemy zrobić to, co zamierzeliśmy.

ROZDZIAŁ 7

Mimo że Will już wcześniej widział zdolność Alyss do przebieranek, był zdumiony jej przemianą. Skróciła włosy, by miały podobną długość jak u Hilde, a potem wtarła w nie ziemię i popiół, przez co zmatowiały, poszarzały i splątały się. Jej twarz stała się ciemniejsza, pomarszczona i zmęczona, zdawało się, że wiekiem. Tylko z bliska potrafił stwierdzić, że to efekt umiejętnego makijażu. Alyss, jak każda kurierka, nigdy nie podróżowała bez zestawu do malowania się i kamuflowania. W tym zawodzie było to jedno z najważniejszych narzędzi pracy.

Ale największe wrażenie wywierał sposób, w jaki przejęła język ciała starej kobiety. Obserwowała ją uważnie przez cały ranek i teraz dokładnie naśladowała skuloną, służalczą postawę Hilde. Poruszała się tak samo, garbiąc się i utykając, powłócząc nogami, ze spuszczonym wzrokiem. Fakt, że staruszka nigdy nie nawiązywała kontaktu wzrokowego z którymkolwiek włóczęgą, działał na ich korzyść. Ale nawet gdyby Alyss to zrobiła, zwiadowca był pewien, że nie zauważą podmiany.

Na dodatek miała na sobie poplamione, znoszone ubranie Hilde, które dopełniało całego obrazu. Uśmiechnęła się do Willa, wyłaniając się zza krzaków, za którymi się przebierała. Wcześniej unikała zakładania na siebie łachmanów tak długo, jak to było możliwe.

- Ten element podoba mi się najmniej - powiedziała.

Z kolei Hilde była zachwycona nową zieloną sukienką. Paradowała po niewielkiej leśnej polanie, mrucząc do siebie z podziwem. Will domyślał się, że nigdy w życiu nie miała tak dobrego ubrania.

- A teraz - powiedziała Alyss - proponuję, żebyś zawiózł ją do tej wioski, przez którą przejechaliśmy wczoraj rano. Zostaw ją w gospodzie i wracaj tutaj. Tymczasem ja zajmę jej miejsce w obozie.

Will jednak pokręcił głową.

- Zrobię to w nocy - odrzekł. - Najpierw chcę mieć pewność, że twoje przebranie zda egzamin. Hilde i ja będziemy cię obserwować z lasu, żeby zobaczyć, czy wszystko w porządku.

- Nic mi nie będzie - zapewniła.

- Nie ma pośpiechu z zabieraniem stąd Hilde. Jeśli nabiorą się na twoje przebranie, nie

będą jej szukać.

Alyss uśmiechnęła się. Było jej miło, że Will przejmuje się jej bezpieczeństwem, mimo absolutnej pewności, że będzie umiała doskonale odegrać swoją rolę. Wyciągnęła umazaną brudem rękę i dotknęła jego dłoni.

- Masz rację. I będę się lepiej czuła, wiedząc, że patrzysz.

Pewność Alyss miała mocne podstawy. Kilka minut później dziewczyna pokuśtykała z powrotem do obozu, obładowana opałem, którego nabierał Will, podczas gdy ona się przebierała - i żaden z włóczędzów nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

Dzień mijał, a oni od czasu do czasu do niej krzyczeli, wysyłając ją do jakiejś ciężkiej, nieprzyjemnej pracy, której nie chcieli wykonać sami. W kilku sytuacjach, gdy celowo opóźniała wykonanie ich poleceń, karali ją kopniakami i uderzeniami w głowę. Naśladowała reakcje podpatrzone u Hilde - kuliła się, kwiliła z bólu i strachu, próbowała zasłaniać głowę zgiętymi rękami.

Był to mistrzowski występ. Will wszystko obserwował, podczas gdy Hilde drzemała nieco głębiej w lesie, i usta zaciskały mu się w cienką linię za każdym razem, gdy ktoś uderzał Alyss. Zapamiętał, którzy włóczędzy to robili. Gdy będzie po wszystkim, pomyślał ponuro, odpłaci im za te beztrosko rozdawane ciosy.

Gdy minęło popołudnie, dotarło do niego, że Alyss spełniła swój plan, i stopniowo zaczął się odprężać. Obudził Hildę, gdy zapadał zmierzch. Staruszka od lat nie zaznała tak długiego, nieprzerwanego odpoczynku i budziła się z ociąganiem.

- Jak pani sobie radzi? - spytała.

Uśmiechnął się.

- Doskonale. Włóczędzy nie mają pojęcia, że zniknęłaś. Chcesz zobaczyć?

Ostrożnie poprowadził ją między drzewami, aż ukucnęła w cieniu, przyglądając się, jak Alyss kuśtyka po obozowisku i roznosi drwa na ogniska, a potem je rozpala, by można było przygotować wieczorny posiłek. Hilde była zafascynowana obserwacją swojego alter ego przy pracy. Raz, gdy jeden z włóczędzów rzucił w Alyss kawałkiem drewna i trafił ją w nogę, skrzywiła się ze współczuciem. W końcu Will dotknął jej ramienia i cofnęli się między drzewa, gdzie uwiązane były konie. Szła, utykając, zgarbiona i niezdarła. Po chwili jednak spojrzała na niego z cieniem uśmiechu na pomarszczonej twarzy.

- Na szczęście nie zauważyli, że nie jest taka ładna jak ja - powiedziała i zarechotała. Will przystanął, by na nią spojrzeć, i uniósł brwi.

- Uważasz, że jesteś od niej ładniejsza? - spytał z niedowierzaniem.

Znowu zarechotała.

- No pewnie. W końcu mam nową piękną sukienkę!

Pomyślał, że na to nie ma odpowiedzi.

Alyss spędziła ciężką noc, trzęsąc się pod jednym z wozów, owinięta zniszczonym kocem Hilde. Starala się nie myśleć o małych stworzonkach, które bez wątpienia dzieliły z nią koc, ale rano pokrywały ją czerwone ugryzienia i drapała się żałośnie.

- To wszystko część przebrania - powiedziała sobie.

Przepytała Hildę o to, jakie zadania będzie musiała wypełniać. Nosiła wodę i drewno, karmiła kozy i kury z wiadra na pomyje i szorowała garnki piaskiem i wodą. Kobiety włóczęgów niechętnie gotowały, a jeszcze bardziej niechętnie zmywały.

Od czasu do czasu mężczyźni lub kobiety wzywali ją by wykonywała jakieś inne nieprzyjemne prace - czyściła buty ubrudzone krowimi lub psimi odchodami albo trzepała dywany z wozów.

Około jedenastej zobaczyła, że ten chłopiec, Petulengo, podchodzi do wozu Jerome'a i stoi przed nim wyczekująco. To była okazja, na którą czekała. Pognała do wozu, pod którym spała, i wzięła wielki kosz na drewno. Gdy to robiła, usłyszała, że drzwi wozu Jerome'a otwierają się z hukiem, a potem na schodkach zadudniły ciężkie kroki. Rzuciła ukradkowe spojrzenie w jego stronę. Znowu niósł ciężki, zaplamiony krwią worek. Znowu musiał odganiać od niego obozowe psy.

Skinął głową, zobaczywszy, że Petulengo już przyszedł.

- Masz szczęście - stwierdził. - Nie lubię czekać.

Chłopiec nic nie powiedział, tylko ruszył za zwałistym mężczyzną. Zmierzali w tę samą stronę, co poprzedniego dnia. Alyss, z koszem przewieszonym przez ramię, kuśtykała powoli z tyłu. Wiedziała, że choć Petulengo pilnuje, by żaden obcy nie szedł za Jerome'em, Hilde będzie postacią znajomą i niebudzącą obaw. Istniała szansa, że chłopiec nie zwróci na nią w ogóle uwagi i Alyss uda się odkryć, gdzie Jerome ukrył Ebony. A podczas gdy ona będzie śledziła dwóch włóczęgów, Will z kolei będzie śledził ją, trzymając się w bezpiecznej odległości. Poprzedniego dnia opracowali taki właśnie plan.

A przynajmniej tak sądziła.

Opuściła okolice wozów, kierując się z grubsza w tę samą stronę, co Jerome i chłopak, gdy nagle zatrzymał ją piskliwy głos.

- Hilde! Dokąd to, ty beużyteczna starucho?

Była to jedna z młodszych kobiet w obozie. Przechylała się przez barierkę na tylnej

platformie swojego wozu, przeganiając Alyss gestami dłoni. Klnąc pod nosem, kurierka stanęła i podniosła kosz, by pokazać go tamtej.

- Idę nazbierać drewna, pani! Już nam się kończy!

Kobieta zastanowiła się nad tą odpowiedzią. Przez chwilę Alyss myślała, że wezwie ją z powrotem do obozu. W końcu jednak tylko skinęła głową.

- Jak już tam będziesz, nazbieraj borówek! - zawołała. - I to dużo. Camlo chce, żebym zrobiła wino z borówek, a mnie ich zabrakło!

Alyss odetchnęła z ulgą. Taki obrót spraw działał na jej korzyść. Mogła wędrować po całym lesie, szukając owoców. Gdyby jej ścieżka przecięła się z drogą Petulenga i Jerome'a, tym lepiej.

- Tak, pani! Przyniosę cały stos! - wykrzyknęła. A potem odwróciła się i podreptała ku drzewom, nie czekając, aż tamta wymyśli jej kolejne zadanie.

Po drodze nachylała się i podnosiła niektóre lżejsze gałązki, wciąż mając na oku Petulenga. Podążała krętą ścieżką między drzewami, pozwalając, by kierunek jej marszu wyznaczały skupiska spadłych liści. Udało jej się nie stracić kontaktu wzrokowego z dwoma włóczęgami. Co jakiś czas dostrzegała wśród drzew błysk żółtej koszuli. Stwierdziła, że nawet gdyby Petulengo nie do końca się obudził, nie było szansy, aby jej w końcu nie zobaczył. Postanowiła poddać swoją teorię próbie i poszła inaczej, prosto w stronę siedzącego na pniaku chłopca. Czystym zrzędzeniem losu kilka metrów za nim rosły borówki. Poczłapała tam ze spuszczonego wzrokiem, udając, że nikogo nie zauważa. Z radosnym okrzykiem zaczęła zrywać owoce i wrzucać je do koszyka.

- Co robisz, wiedźmo Hilde? - Jego młody głos pobrzmiwał nieprzyjemną nutą. Udała zaskoczenie i obróciła się gwałtownie ku niemu, ze wzrokiem wciąż opuszczonym, tak jak zwykle zachowywała się staruszka. Domyślała się, że pokaz uległości polechce jego młodzieńczą próżność... i miała rację.

- Zbieram borówki, panie - oznajmiła, pokazując koszyk. - Pani Drina chce z nich zrobić wino.

- Przynies je tutaj - zażądał i ruszyła w jego stronę, wyciągając koszyk. Porwał sporą garść i zaczął jeść. Czerwony sok spływał mu po brodzie.

- Niezłe - stwierdził, uśmiechając się niemiło. - Ale jeśli chcesz przejść dalej, musisz dać mi więcej. Obowiązuje opłata.

Wśród drzew za nim wiała się wąska ścieżka. Domyślała się, że właśnie tam skierował się Jerome, a Petulengo pełnił straż przy rozwidleniu, pilnując, by nikt niezauważenie nie poszedł za mężczyzną.

Tak jak liczyła, chłopak nie widział w niej zagrożenia. Wyraźnie gotów był puścić ją tą ścieżką dla garści borówek. Pokornie skinęła głową, czując narastające uniesienie.

- Przyniosę więcej - powiedziała i pokuśtykała z powrotem do krzewu. Zerwała sporą ilość słodkich jagód. Petulengo patrzył na nią bez zainteresowania, a potem nachylił się, gdy wróciła z wyciągniętym koszykiem.

Wygarnął ze środka wszystkie owoce, a ona piskliwie się sprzeciwiła.

- Ale to wszystko, co zebrałam, młody panie! I na tym krzaku więcej już nie ma! - zawołała.

Uśmiechnął się i plunął sokiem obok niej.

- Trudno. Musisz znaleźć więcej.

Przykucnęła, kwiląc i kręcąc głową. Potem wskazała na ścieżkę.

- Wiem, że tam jest kępa krzaków z borówkami.

Wzruszył ramionami.

- No to idź zrywać. I pamiętaj, żeby mieć dla mnie sporą porcję, jak będziesz wracać.

Ciekawe, pomyślała. Nie zamierzał się stąd ruszać, a to oznaczało, że Jerome był gdzieś w pobliżu. Jerome i psy. Miała nadzieję, że Will czai się niedaleko, czekając, aż kurierka odkryje umiejscowienie psiej zagrody.

Utykając, przeszła obok złośliwego chłopca i ruszyła ścieżką. Nie pokonała nawet dziesięciu metrów, a już usłyszała jego wołanie.

- Hilde!

W tej samej chwili dobiegł ją świst wirującego w powietrzu patyka. Instynkt podpowiedział jej, by się nie odwracać, i po chwili gruby kawałek drewna trafił ją w tył głowy. Petulengo parsknął śmiechem.

- Petulengo!

Oboje byli zaskoczeni wołaniem z głębi ścieżki. Chłopak wstał z pniaka, zmieszany i lekko zdenerwowany.

- Tak, Jerome? - krzyknął w odpowiedzi.

- Droga wolna? - spytał mężczyzna.

Tym razem Alyss, Pozornie znowu pochłonięta zbieraniem drewna, mogłaby przysiąc, że słyszy krótki skowyt, który zaraz ucichł.- Zupełnie wolna. Alyss uśmiechnęła się do siebie. Była nikim i nie brano jej pod uwagę. No to dostaną nauczkę, pomyślała.

- Chodź tutaj! Potrzebuję cię.

- Już idę, Jerome! - Petulengo popatrzył w głąb wąskiej ścieżki. Mijając Alyss, zdołał kopniakiem przewrócić kosz, rozsypując drewno. Słyszała jego śmiech, gdy biegł ścieżką.

- Mały wieprz - mruknęła pod nosem.

ROZDZIAŁ 8

Zostawiwszy za sobą zgarbioną staruszkę, Petulengo ruszył ścieżką do miejsca, gdzie inna ścieżyna odchodziła od niej pod kątem prostym. Była wąska, zarośnięta i trudna do wypatrzenia. Gdyby chłopak nie wiedział, że tam jest, pewnie by ją ominął. Nachylił się pod nisko wiszącymi gałęziami i kilka metrów dalej wyszedł na małą polankę.

Odruchowo zrobił krok w bok i skulił się, stwierdziwszy, że Jerome jest ledwie kilka metrów dalej i trzyma za obrozę potężnego psa.

Petulengo znał jego imię, Czarcia Ząb. Miał czarną sierść, nie była to jednak zdrowa, lśniąca czerń. Kudły były matowe i szorstkie. Skórę pod nimi znaczyły liczne blizny, pamiątki walk, w których pies brał udział, przez co na sierści tworzyły się wypukłości i karby.

Pies miał wielki łeb, potężne barki i masywne ciało. Jego oczy były żółte i dzikie, a wargi - wywinięte we wściekłym grymasie. Pysk pobiełał mu od śliny, gdy szarpał się w uchwycie Jerome'a.

Zazwyczaj Czarcia Ząb trzymany był na ciężkim łańcuchu. Mężczyzna jednak odpiął go i teraz przytrzymywał psa kolanami. Obie dłonie zaczepił o grubą skórzaną obrozę, dzięki czemu łeb psa nakierowany był na wprost i zwierzę nic nie mogło mu zrobić. Czarcia Ząb, czując, że łańcuch już go nie ogranicza, szamotał się, próbując uwolnić się do reszty. Jerome był potężnym mężczyzną, ale siła szarpiącego się psa zdawała się brać górę. Zgromił chłopaka wzrokiem.

- Przeprowadź owczarka - polecił. - Przenoszę psy w nowe miejsce.

Raz na kilka dni zmieniał psom kryjówkę, by dodatkowo utrudnić ich odkrycie. Petulengo rozejrzał się po polanie. Na przeciwległym krańcu stała przywiązana do drzewa, łaciata suka owczarka, którą Jerome ukradł. Chłopak ostrożnie otaksował ją wzrokiem. Na polecenie Jerome'a przez kilka ostatnich dni drażnił ją i prowokował, próbując przezwyciężyć jej wrodzone dobre usposobienie. Wczoraj mu się udało i w końcu kłapnęła na niego zębami. Nie była duża, ale za to szybka i ledwie uniknął ugryzienia. Teraz popatrzyła na swojego dręczyciela i położyła uszy, gdy go rozpoznała. Warknęła, odsłaniając zęby, i stwierdził, że nie chce ryzykować, podchodząc do niej znowu.

- Nie - zaprotestował. - Dziabnie mnie.

- Niech cię licho! - warknął Jerome. - Kogo to obchodzi? Przeprowadź tego psa, ale już!

Zazwyczaj Petulengo nie ważył mu się sprzeciwiać. Ale mężczyzna miał zajęte ręce i niewiele mógł zrobić. Być może później będzie pamiętał nieposłuszeństwo chłopca. Tyle że później wiele się mogło zdarzyć. Jerome zaklął, ale Petulengo dalej kręcił głową.

- Hilde może to zrobić - powiedział. - Zawołam ją.

- Hilde? A co ona tu robi? - Jerome był zaskoczony propozycją. Szybko się jednak męczył, a nie miał pewności, czy Czarci Ząb lada chwila mu się nie wyrwie.

- Zbiera borówki dla Driny. Jest niedaleko!

Mężczyzna machnął ręką na dalszą kłótnię. Potrzebował kogoś, kto przyprowadzi owczarka i nie miał już czasu na dyskusje. Staruszka nadawała się równie dobrze, jak ktokolwiek inny. Z chłopakiem mógł policzyć się później, po powrocie do obozu.

- Dobra! Zawołaj ją. Tylko się pospiesz!

Petulengo pobiegł z powrotem do rozwidlenia ścieżek.

Rozejrzał się rozpaczliwie, po czym wydał cichy okrzyk ulgi, zobaczywszy kobietę, zbierającą borówki z krzewu dziesięć metrów dalej.

- Hilde! - zawołał. - Chodź!

Podniosła wzrok, a po jego ponagląjącym geście pokuśtykała ścieżką. Gdy się zbliżyła, niecierpliwie wyrwał jej koszyk z rąk, złapał ją za rękaw i pociągnął.

- Chodź! Pospiesz się, do licha!

Wyszła na polanę i zobaczyła Jerome'a, zmagającego się ze straszny, ogromnym psem. Potem aż się zachłysnęła na widok czarno-białego kształtu, kulącego się po przeciwnej stronie polany.

Ebony. Przykuta łańcuchem, z podkulonym ogonem, położonymi uszami i sierścią zmatowioną od ziemi i błota. Alyss ledwie się powstrzymała, by nie wykrzyknąć imienia suki.

- Odepnij owczarka i przyprowadź tutaj! - nakazał mężczyzna. Głos miał spięty z powodu zmagania z miotającym się czarnym potworem między swoimi kolanami.

Podbiegła do suki. Gdy się zbliżyła, Ebony nastawiła uszu, rozpoznawszy znajomy, kochany zapach. Dzięki zmysłom znacznie czulszym od ludzkich, natychmiast przejrzała przebranie Alyss.

Dziewczyna zaczęła gmerać przy łańcuchu, by go odpiąć.

- Rusz się! Nie utrzymam go cały dzień! - krzyknął na nią Jerome.

Czarci Ząb, wyczuwając rozkojarzenie mężczyzny, szarpnął się nagle i gwałtownie, wytrącając włóczęgę z równowagi i wyrywając mu obrozę z ręki. Gdy Jerome runął na wilgotną trawę, Czarci Ząb, szkolony, by bez wahania atakować inne psy, rzucił się przez polanę na Ebony.

Widząc nadbiegającego, potężnego czarnego zabójcę, Ebony skuliła się, podnosząc łeb i opuszczając zad. Była psem pasterskim, hodowanym po to, by szybko się poruszać i w jednej chwili zmieniać kierunek. Czarczi Ząb znajdował się o niecały metr od niej, gdy suka odskoczyła w bok. Szczęki bestii kłapnęły w powietrzu.

Obrócił się, ślizgając się na zadzie, by ponowić atak. Teraz jednak Alyss stanęła między dwoma czworonogami. Porwała z ziemi gałąź i wyciągnęła w stronę szarżującego psa, chwytając jego szyję w rozwidlenie na końcu.

Na chwilę wstrzymało to impet Czarciego Zęba, chociaż Alyss została odepchnięta w tył. Potem jednak gałąź trzasnęła, a Czarczi Ząb warknął i skupił się na dwunożnym celu, który go zaatakował. Naprężył mięśnie tylnych łap, gotów skoczyć intruzowi do gardła.

Alyss usłyszała świst i nagle długa strzała o szarym drzewcu pojawiła się pośrodku psiej piersi. Olbrzymi zwierz zachwiał się. Wydał z siebie krótkie agonalne wycie, a potem łapy się pod nim ugięły i upadł na bok.

Jerome z przerażeniem patrzył na swojego psa, leżącego bez życia na ziemi. W całym zamieszaniu nie dostrzegł strzały. Widział jednak, jak ta staruszka, Hilde, atakuje zwierzę gałęzią. A teraz Czarczi Ząb leżał bez ruchu.

- Ty stara czarownico! - wrzasnął i skoczył do niej.

Zacisnął ręce na jej gardle, potrząsając nią i dusząc.

Alyss bronila się, był jednak zbyt silny. Głowa trzęsła jej się w przód i w tył, oczy zaczęły zachodzić jej mgłą.

I wtedy czarno-biały kształt pomknął, skacząc wysoko, by zacisnąć zęby na ręce napastnika.

Mężczyzna krzyknął. Ebony wisiała na jego przedramieniu z zębami wbitymi głęboko w ciało. Od jej ciężaru stracił równowagę. Zatoczył się, potknął o korzeń drzewa i runął na ciało Czarciego Zęba.

- Zostaw, Eb! Chodź tu! - zawołała Alyss. Ebony posłusznie puściła rękę włóczęgi i podbiegła do przyjaciółki, ciężko machając ogonem. Jerome też próbował wstać. Przyciskając do boku ugryzioną rękę, drugą wsparł się o wyciągnięte ciało Czarciego Zęba, by łatwiej się podnieść.

I ponieważ zorientował się, że pies jeszcze żyje.

Rozwścieczony gniewem i bólem pies warknął, czując dotyk, i zaatakował na ślepo. Przerażony krzyk Jerome'a urwał się, gdy psie zęby zacisnęły się na jego gardle. Mężczyzna wierzgał dziko, próbując wyrwać się ze śmiercionośnego uścisku i straszliwie charcząc.

A potem znieruchomiał.

Teraz Czarci Ząb zwrócił swoje potworne żółte oczy na dziewczynę i psa o kilka metrów dalej. Trzęsąc się, dźwignął się na łapy i warknął wyzywająco.

Ebony położyła uszy po sobie i nastroszyła białą sierść wokół szyi, po czym skoczyła pomiędzy Alyss i powoli zbliżającego się potwora.

Świst!

Druga strzała trafiła wielkiego psa w bok, tuż za lewą przednią łapą. Bez kolejnego dźwięku psi zabójca padł, martwy jeszcze zanim uderzył o ziemię.

Will wyszedł spomiędzy drzew z łukiem w ręce. Podbiegł do Alyss i Ebony, nie wiedząc, którą uściskać najpierw. Padł więc przy nich na kolana i otoczył obie ramionami.

Obydwie wydawały się dość zadowolone z rozwoju wypadków. Jedna nawet polizała jego rękę. Niewiele widział, bo łzy napłynęły mu do oczu, miał jednak nadzieję, że była to Ebony.

ROZDZIAŁ 9

Włóczędzy patrzyli w napięciu, gdy odziany na szaro zwiadowca i wysoka dziewczyna w stroju Hilde wyłonili się spomiędzy drzew i ruszyli ku obozowisku. Obok nich kuśtykała czarno-biała suka, którą Jerome ukradł pod wioską Wensley, z bokiem owiniętym kawałkiem tkaniny oderwanym od rąbka ubrania Alyss.

Petulengo odpowiedział już, co się stało w lesie. Parzył z przerażeniem, jak Czarci Ząb pada po trafieniu strzałą, a potem przerażenie narosło, gdy ta straszliwa maszyna do zabijania rzuciła się na Jerome'a. Pojawienie się zwiadowcy przeważało szalę. Chłopak odwrócił się i pobiegł z powrotem do koczowiska, gdzie niezbornymi słowami opowiedział o wydarzeniach na polanie.

Teraz członkowie wielkiej rodziny stali w milczącym okręgu, obserwując dwie ponure postacie i rannego psa, zmierzających ku terenowi, na którym znajdowały się wozy. Petulengo stał niespokojnie z tyłu, próbując się schować za starszymi włóczęgami i co jakiś czas wyglądając, by sprawdzić, czy go zauważono. Był zdumiony przemianą, która zaszła w Hilde. Nadal nosiła te same poszarpane łachy, lecz była teraz wysoka, smukła i zgrabna. Zdołała częściowo usunąć z włosów popiół i ziemię, więc widział pasma koloru blond, prześwitujące spod siwizny.

Will przystanął o kilka metrów od włóczęgów. Ich wrogość była aż nadto widoczna. Mieli jednak spore doświadczenie i umieli rozpoznać zwiadowcę. Wiedzieli, że zwiadowcy świetnie posługują się bronią i mają pełny autorytet, jeśli chodzi o prawo. Nie zamierzali mu się w żaden sposób przeciwstawić. I tak ledwie ich tolerowano. Gdy tylko mogli, unikali wszelkich bezpośrednich konfrontacji z przedstawicielami władz.

- Jerome nie żyje - oznajmił Will.

Przez grupę przebiegł pomruk zainteresowania. Petulengo już im o tym powiedział, ale panikował i mówił w sposób niemal niezrozumiały. Teraz fakty się potwierdziły. Przywódca stracił życie. Prawdę mówiąc, nie wszystkich to smuciło.

- Zabił go ten zły pies, którego trzymał w lesie - ciągnął zwiadowca. - To chyba dla niego odpowiednia śmierć. Pies też nie żyje. Ja go zabiłem.

Urwał. Włóczędzy wymienili pozbawione wyrazu spojrzenia, a Will prychnął cicho, ze zniecierpliwieniem.

- Wiem, wszyscy powiecie, że nie mieliście pojęcia, co robił - stwierdził. - I wiem, że

to kłamstwo. Powinienem was natychmiast aresztować. Ale wtedy musielibyśmy zdezynfekować nasze więzienie po zwolnieniu was, a to za dużo zachodu. Macie osiem godzin na opuszczenie lenna Redmont. Pojadę za wami, żeby tego dopilnować. Nie zobaczycie mnie, ale ja tam będę.

Umilkł, by jego słowa do nich dotarły.

- Jeszcze jedno. Dopilnuję też, żebyście nie byli mile widziani w żadnym sąsiednim lennie. Nie znajdziecie miejsca, gdzie zechcą was ugościć i pozwolą wam zostać choćby jeden dzień. Będziecie wyganiani zewsząd, dokąd się udacie. - Widział na ich twarzach ponurą akceptację. Nie spodziewali się niczego lepszego. Zaryzykowali kradzież psa i zostali złapani. Dla włóczęgów był to zwyczajny los. - Właściwie - ciągnął - życie może okazać się dla was łatwiejsze, jeśli postanowicie opuścić kraj.

Popatrzył na szereg posępnych twarzy przed sobą. Był przekonany, że w ciągu tygodnia opuszczą Araluen. Oczywiście, kiedyś w przyszłości wrócą, ale z tym problemem miał się zmierzyć, gdy znów się pojawi.

- A teraz zaczniście się pakować i w drogę.

Wykonał pogardliwy gest kciukiem, wskazując nim trakt. Grupka włóczęgów zaczęła się rozpraszać, na początku powoli, a potem coraz szybciej, gdy zaczęli zwijać obóz i pakować swoje rzeczy. Will nachylił się i zmierzwił sierść przy uszach Ebony. Podniosła na niego wzrok i jej ogon powoli się zakołysał.

- Miło mieć cię z powrotem - powiedział łagodnie. A potem odwrócił się do Alyss. - Gotowa?

Podniosła rękę.

- Muszę się jeszcze zająć jedną sprawą - oznajmiła. Rozejrzała się po obozie i dostrzegła Petulengo, czającego się przy zagrodzie kóz. - Petulengo! - zawołała. Miała wysoki, przenikliwy głos i chłopak podniósł pełen poczucia winy wzrok, zdawszy sobie sprawę, że go zauważono. Rozejrzał się, szukając drogi ucieczki. Wtedy jednak Will zdjął z ramienia mocny, długi łuk i od niechcienia wyciągnął strzałę z kołczana. Ucieczka nie wydawała się już tak dobrym pomysłem.

Wtedy Alyss obdarzyła chłopca swoim najbardziej ujmującym uśmiechem.

- Nie bój się, mój drogi - powiedziała kojąco. - Chcę się tylko pożegnać.

Pokiwała na niego palcem, uśmiechając się zachęcająco, więc ruszył ku niej, stopniowo zyskując pewność siebie, gdy zrozumiał, że w jakiś sposób wkradł się w łaski tej młodej kobiety. Jego dawna duma częściowo powróciła i stanął przed nią, zwabiony tym uśmiechem. Pomyślał, że pod warstwą popiołu i ziemi jest bardzo ładna. Uśmiechnął się w

odpowiedzi. Petulengo, trzeba powiedzieć, uważał, że ma powodzenie u płci pięknej.

Traktuj je surowo, a będą ci jadły z ręki, pomyślał.

Potem uśmiech zniknął niczym zdmuchnięty płomień świecy. W prawej nodze chłopak poczuł nagły ból. Ciężki but Alyss, część garderoby Hilde, nadepnął mu na stopę, tuż pod kostką. Instynktownie nachylił się w przód i jęknął z bólu.

Następnie kobieta obróciła się i otwartą dłonią uderzyła go w nos, aż głowa mu odskoczyła i zatoczył się w tył. Zamachał w powietrzu rękami i runął na ubitą ziemię.

Podparł się łokciami i zakaszłał, gdy krew popłynęła mu do gardła.

- Jak następnym razem będziesz rzucał drewnem w staruszkę - powiedziała mu Alyss już bez cienia ujmującego uśmiechu - najpierw się zastanów, czy ci kiedyś nie odda.

Odwróciła się do Willa i z zadowoleniem złożyła dłonie.

- Teraz jestem gotowa - stwierdziła.

NAPUSZONA

MOWA

ROZDZIAŁ 1

Will odepchnął pusty talerz i odchylił się na krześle z poczuciem rozkosznego dyskomfortu, który pojawia się, gdy zjesz trochę za dużo czegoś bardzo smacznego.

Lady Pauline uśmiechnęła się czule do młodego mężczyzny.

- Masz ochotę na dokładkę, Willu? Sporo zostało.

Poklepał się po brzuchu, zaskoczony, że wydaje się twardszy niż zazwyczaj, jakby od wewnątrz napinał mu ubranie.

- Nie, dziękuję - powiedział. - Jadłem już dokładkę.

- Jadłeś już cztery dokładki - wtrącił Halt.

Will zmarszczył brwi, patrząc na swojego mistrza, po czym odwrócił się z powrotem do uśmiechniętej Pauline. Przynajmniej ona nie wygłaszała lekceważących uwag, jak jej mąż.

- To było pyszne - pochwalił Will. - Wołowina taka miękka i cudownie krwista. A ziemniaki! Istna symfonia smaku i konsystencji.

- Dziwne - odezwał się cichym głosem Halt. - Nie słyszałem grania trąbek ani fletów.

- Miło, że tak mówisz, Willu - odparła Pauline. - Ale pracuję i nie zajmuję się gotowaniem. Posiłki dostarcza nam zamkowa kuchnia. Komplementy należą się mistrzowi Chubbowi.

- A... oczywiście - zająknął się Will, czując się głupio. Halt i Pauline zaprosili go na obiad w wygodnych komnatach, które udostępniał im baron Arald. Jako dwoje najstarszych i najbardziej cenionych doradców Aralda, mieli prawo do apartamentu i korzystania ze wszystkich dobrodziejstw zamku. Teraz, gdy o tym pomyślał, nie umiał sobie wyobrazić wysokiej, eleganckiej dyplomatkę nad rozgrzanym piecem w fartuchu, chroniącym białą suknię.

- Twoja mowa stała się dość górnolotna - stwierdził Halt. - Symfonia smaku, też coś!

Will nieśmiało wzruszył ramionami.

- Staram się, żeby mój język brzmiał bardziej poetycko - przyznał.

Halt zmarszczył czoło, ale Pauline pozwoliła sobie na cień uśmiechu. Młodzi mężczyźni bywają tacy poważni w różnych dziwnych sprawach, pomyślała.

- Czy jest jakaś przyczyna tego nagłego zainteresowania poetyckością? - zainteresowała się.

- Cóż - odparł Will. - Chodzi o moją mowę na weselu.

- Na weselu Horace'a i Evanlyn? - upewnił się Halt.

Młody zwiadowca przytaknął.

- Jako drużba muszę wygłosić toast na cześć państwa młodych.

- Tak jak na naszym weselu. - Pauline uśmiechnęła się do tego wspomnienia.

- Właśnie. I chcę, żeby toast był niezwykły. Bo oboje to moi dobrzy przyjaciele.

- Mowa, którą wygłosiłeś na naszym weselu, była zdecydowanie niezwykła - stwierdził Halt. On też doskonale pamiętał każde słowo. Proste wyznanie miłości i przywiązania do obojga nowożeńców wywarło na starym zwiadowcy duże wrażenie i, co tu kryć, wzruszyło go. O czym najlepiej świadczyły powyższe słowa. Halt całe życie ukrywał uczucia przed światem. Rzadko pozwalał sobie na okazanie emocji, które nazywał ckliwością.

- Pracowałem nad mową - przyznał się Will. Jego dłoń nieświadomie powędrowała do wewnętrznej kieszeni. - Może zechcielibyście posłuchać, jak na razie brzmi?

Pytanie zawisło w powietrzu, a on spoglądał to na Pauline, to na Halta.

- Jak moglibyśmy odmówić? - odparła Pauline. Taki młody i taki poważny, pomyślała.

Halt zerknął na żonę. Zbyt późno próbował dać jej znak, żeby znalazła jakąś uprzejmą wymówkę. W końcu pracuje w służbie dyplomatycznej, pomyślał. Uprzejme wymówki to dla niej codzienność. Cicho westchnął. Will wyglądał już kilka kartek, wyciągniętych z kieszeni. Podniósł wzrok, by sprawdzić, czy jego słuchacze są gotowi. Kobieta pochyliła się na krzesło i zachęcająco skinęła głową. Halt wbił wzrok w sufit.

Will kilka razy odchrząknął, jeszcze parę razy wyglądał kartki i przebiegł tekst oczami, starając się zapamiętać pierwsze linijki.

- Rozumie się - powiedział - że to tylko pierwszy szkic. W żadnym razie ostateczna wersja słów, które wypowiem w dniu ślubu. Być może będę to jeszcze przeglądał i to i owo zmienię. To znaczy, z pewnością będę to jeszcze przeglądał i być może to i owo zmienię...

- Oczywiście - odrzekła kobieta i gestem pokazała mu, by czytał. Will znowu odchrząknął.

- Przeziębłeś się? - spytał Halt z miną niewiniątka, a potem skrzywił się, gdy Pauline wymierzyła mu pod stołem kopniaka. Nawet w lekkich wieczornych kapciach umie mocno przykopać, pomyślał, po czym nachylił się, by rozmasować łydkę.

Will z zarumienionymi policzkami podniósł spojrzenie znad pliku kartek.

- Nie - zaprzeczył. - Czemu pytasz?

- Nie zważaj na niego, mój drogi Willu - powiedziała Pauline. W jej głosie kryła się stalowa nuta, na którą młody zwiadowca nie zwrócił uwagi. Usłyszał ją jednak Halt. Znał tę kobietę od wielu lat i stwierdził, że będzie dla niego najlepiej, jeśli przez najbliższych kilka

minut zachowa milczenie.

- Dobrze... - odrzekł Will. Znowu odchrząknął. Wreszcie zaczął. - Z poczuciem najwyższego spełnienia w sercu...

- Hej! Hej! Ściągnij wodze! Z poczuciem czego w czym? - spytał z niedowierzaniem Halt, zapominając nagle, że miał nie zabierać głosu. Will podniósł na niego speszone spojrzenie.

- Spełnienia w sercu - powtórzył. Potem jeszcze raz sprawdził tekst przed sobą. - Tak. Zgadza się. Spełnienia w sercu.

- A co to w ogóle znaczy „spełnienie w sercu”? - spytał Halt. Rzucił okiem na żonę i dostrzegł jej skrywany uśmiech.

Will wykonał prawą dłonią niepewny gest.

- No, to znaczy... wiesz... eee... spełnienie... w sercu.

Starszy zwiadowca dalej wpatrywał się w niego bez zrozumienia. Pokręcił głową, więc Will spróbował znowu. Pauline zauważyła, że jeszcze bardziej poczerwieniał. Policzki mu płonęły.

- To znaczy, że jestem szczęśliwy. Bardzo szczęśliwy - wyjaśnił w końcu.

- To czemu nie powiesz: „jestem szczęśliwy, bardzo szczęśliwy”? - dociekał Halt.

Will poruszył się niespokojnie na krześle.

- No, to by było trochę... - szukał właściwego słowa i wreszcie znalazł - prozaiczne, prawda?

Brwi Halta powędrowały w górę.

- Prozaiczne? Najpierw poczucie zapełnienia...

- Spełnienia - poprawił Will przez lekko zaciśnięte zęby.

- A teraz prozaiczne. Niech mnie kozioł tryknie, jeśli wiem, co to znaczy!

- Nie koloryzuj, skarbie - wtrąciła Pauline. - To znaczy zwyczajne.

- Aha, czyli jestem zwyczajny, tak? - starszy mężczyzna zwrócił się do Willa. - A od kiedy zbrodnią jest używanie słów, które ludzie rozumieją?

- Już mówiłem, chcę, żeby to była pamiętna mowa. Halt oparł się na krześle.

- Będzie pamiętna, bez dwóch zdań - mruknął. - Latami wszyscy będą mówić: „Pamiętasz tę mowę Willa, której nikt nie zrozumiał?” - A potem machnął ręką, dając znak, by młodzieniec czytał dalej. - Posłuchajmy jeszcze.

Will ponownie zaczął od początku.

- Z poczuciem najwyższego spełnienia w sercu...

- Już to słyszeliśmy.

- Halt... - ostrzegła Pauline.

- ...staję w waszej szacownej obecności przy tej najznamienitszej ze znamienitszych okazji, by oddać hołd i cześć dwojgu najwybitniejszym i najcenniejszym towarzyszom moich młodzieńczych lat.

- Wielkie nieba - mruknął Halt i zarobił kolejnego mocnego kopniaka w łydkę.

- Byłoby z mojej strony wyrazem największej arogancji, gdybym w rzeczonych...

- Nie! Nie! Nie! - wykrzyknął starszy zwiadowca, wymachując rękami. - Dosyć! Ani słowa więcej!

- Jakiś problem? - spytał wyniośle Will.

Halt przewrócił oczami.

- Tak, jest problem! Mówisz, jakbyś połknął słownik, a potem go zwymiotował!

- Nie bądź takim gburem - pouczyła męża Pauline i siwobrody mężczyzna umilkł, choć nadal mruzczał coś pod nosem. Will zwrócił się do kobiety.

- Co o tym myślisz? Ty dobrze sobie radzisz ze słowami.

Zawahała się. Kochała tego młodzieńca jak własnego syna i nigdy celowo nie zraniłaby jego uczuć. Nie mogła jednak pozwolić, by ciągnął ten nadęty nonsens.

- Czy sądzisz, że język jest nieco zbyt... kwiecisty? - spytał niepewnie Will.

Halt prychnął i odwrócił wzrok, wyglądając przez okno.

- Kwiecisty? Jest napuszony! - odparł. - Brzmi, jakby przemawiał baron Arald!

Will popatrzył na swego mistrza, wyraźnie wstrząśnięty.

- O, chyba nie jest aż tak źle?

Halt tylko spojrział na wychowanka, uniósł brwi, a potem znowu się odwrócił.

- Will, mówiłeś tak pięknie na naszym weselu. Po prostu zrób to znowu - powiedziała Pauline.

Pokręcił jednak głową.

- Wszyscy tak twierdzą. Ale rzecz w tym, że wtedy nikt się tego po mnie nie spodziewał. Teraz będą mieli większe oczekiwania. Poza tym to królewskie wesele, więc mowa zostanie zapisana w annałach. Musi być szczególna.

- Na Gorloga! - rzucił Halt. Pauline odwróciła się do niego z zaciekawieniem.

- Kim właściwie jest Gorlog, skarbie? - spytała.

- To północny bóg. Pożyczyłem go od Skandian. Bardzo się przydaje, gdy chce się bluźnić, nikogo nie obrażając.

- Oprócz Skandian? - podsunęła, ale z uśmiechem pokręcił głową.

- Nie. Nie mają nic przeciwko temu. Nie przepadają za nim.

Pauline skinęła głową, zapamiętując tę informację, po czym odwróciła się z powrotem do Willa.

- Coś mi się zdaje, że może za bardzo się starasz - stwierdziła. Wskazała kartki leżące na stole. - Może jeszcze przejrzyj swoją przemowę i trochę uprościsz język?

Will z powątpiewaniem wydał wargi. Pomyślał, że może zignorować krytykę Halta. Starszy zwiadowca nie miał pojęcia o poezji. Lecz Pauline to co innego. Jednak z drugiej strony dopracowywał te słowa godzinami i ciężko mu było je tak po prostu wykreślić.

- Zastanowię się - powiedział w końcu.

Halt znowu prychnął. Tego wieczora robił to wyjątkowo często.

- Nie zważaj na niego - zwróciła się kobieta do Willa. - Wiesz, jaki jest.

- Tak - odezwał się Halt. - Przepraszam, że byłem taki agonancki.

- Arogancki - poprawił go młodzieniec.

Starszy zwiadowca wyszczerzył się wilczo.

- Tak. To też.

Pauline delikatnie poklepała dłoń Willa.

- Jak mówię, nie zważaj na niego. Później z nim porozmawiam - dodała złowrogo. Will posłał spojrzenie w kierunku swojego starego mentora i zobaczył coś, co go zaskoczyło. Coś, czego nigdy dotąd nie widział.

Uśmiech zniknął. Halt się bał.

ROZDZIAŁ 2

Will spędził popołudnie na nieudanym polowaniu.

Jenny oznajmiła, że potrzebuje świeżej dziczyzny, a on stwierdził, że z chęcią jej pomoże. Ale wiedział, że czasami nawet wprawny myśliwy wraca do domu z pustymi rękami. W pewnym sensie stanowił to o uroku polowania. Jedyną zwierzyną, jaką widział w ciągu długiego popołudnia, była młoda łania z jelonkiem.

Uśmiechnął się do zwierząt i odegnał je, śmiejąc się cicho, gdy skoczyły między drzewa.

- Idź trochę dorosnąć - powiedział, a po namyśle dodał jeszcze: - Dotyczy to was obojga.

Ponieważ polował, aby zdobyć żywność, a nie dla przyjemności zabijania, nie był zawiedziony brakiem powodzenia, lecz przyjął je filozoficznie. Jenny miała inne mięsa, które mogła zaoferować w jadłospisie. Głód nikomu nie groził. Will był więc w stosunkowo niezłym nastroju, gdy zmierzał z powrotem do Redmont.

Stosunkowo. Jedna sprawa nie dawała mu spokoju. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej go to trapiło.

Gdy zsiadał z Wyrwija, konik popatrzył na niego z zaciekawieniem.

Co cię gryzie?

Wyrwij nigdy nie rozumiał tego żartu, pomyślał Will.

- To ja powinienem cię o to spytać. Jesteś koniem i gryzą cię różne gzy - powiedział.

Wyrwij przeniósł ciężar ciała z jednej przedniej nogi na drugą, co stanowiło odpowiednik wzruszenia ramionami.

No? O co chodzi?

- Chodzi o mowę, którą mam wygłosić na weselu - odrzekł zwiadowca, i najpierw wytarł konika suchym kawałkiem starej derki, a potem zaczął szukać szczotki. Do sierści przyczepiło się mnóstwo rzepów, gdy przedzierali się przez leśne poszycie w bezowocnym poszukiwaniu zwierzyny. - Martwię się.

Dlatego konie mów nie wygłaszają.

- Konie nie biorą też ślubów, o ile mi wiadomo - odparł Will.

Racja. Ale i tak dajemy się wiązać.

Wyrwij zastrzygł uszami, zadowolony z własnego żartu. Wydał z siebie koński

odpowiednik chichotu. Will westchnął.

- W ogóle nie zmieniasz się na lepsze, co? - rzucił i dalej machał szczotką. Wierzchowiec nie ruszał się przez kilka minut, rozkoszując się szorstkim dotykiem włosia., Halt nie był szczególnie zachwycony - odezwał się Will po kilku minutach milczenia.

Halt rzadko jest czymś zachwycony.

Halt i Wyrwij mieli na koncie wiele nieporozumień, wynikłych z opinii starszego zwiadowcy w kwestii zdrowej dla konia liczby jabłek.

- To prawda. Ale pytałem Pauline i chociaż nie powiedziała tego wprost, jej chyba też się nie podobało.

Will czekał, robiąc przerwy między ruchami szczotki. Nie było jednak odpowiedzi. Nie miał pewności, czy to dobrze, czy nie. A jeśli Wyrwij szukał taktownego sposobu, by powiedzieć, że skoro mowa nie podoba się Pauline, może być problem? Po chwili namysłu doszedł do wniosku, że Wyrwij rzadko bywa taktowny w jakiegokolwiek kwestii. Przechylił się w bok, by spojrzeć na pysk konia. Może zasnął na stojąco? Wiedział, że konie tak potrafią. Ale duże brązowe oczy zamrugały i popatrzyły na niego.

Zwiadowcy przyszedł do głowy pewien pomysł. Szansa na rozwiązanie tej kwestii we własnym umyśle. Zakończył szczotkowanie i cofnął się o krok, by podziwiać schludny wygląd końskiej sierści, zazwyczaj tak zmierzwionej.

- Może przeczytałbym kawałek tobie - zasugerował.

Wyrwij znowu przestąpił na drugie kopyto. Tym razem w znacznie bardziej nieufny sposób.

Mówiłem. Konie mów nie wygłaszają.

- Nie. Ale poznasz coś dobrego, gdy to usłyszysz - stwierdził jego pan. Odłożył szczotkę i sięgnął do wewnętrznej kieszeni. Wierzchowiec z powątpiewaniem przewrócił okiem.

A jeśli nie?

- Jeśli nie poznasz, że coś jest dobre? - spytał Will.

Nie. Jeśli nie usłyszę niczego dobrego?

Był wstrząśnięty tym brakiem wiary.

- O, usłyszysz - powiedział, sztywniejac. - Tylko posłuchaj.

Jeszcze nie dostałem jabłka.

- Dostaniesz, jak usłyszysz moją mowę.

Długa ta mowa?

- Teraz ma już kilka stron. Ale jest tak dobra, że nie wyda się długa. Pod koniec

będziesz błagał o więcej. - Zerknął na zwierzę i był zaskoczony sceptycyzmem malującym się na jego pysku. Nie miał pojęcia, że konie potrafią okazywać takie emocje. Poczul się nieswojo. Rozłożył kartki, na których zapisał tekst, wygładził je i odkaslnął.

Na zdrowie.

- Co?

Kichnąłeś.

- Nie kichnąłem. Odchrząknąłem. O tak - zademonstrował.

Wyrwij kilka razy zamrugał powiekami.

Dla mnie brzmiało to jak kichnięcie. Może to zaraza.

- Nie kichnąłem i to nie zaraza. Wysłuchasz tej mowy, czy ci się to podoba, czy nie - oznajmił z naciskiem Will. A potem pospiesznie dodał: - Chociaż jestem pewien, że ci się spodoba. Jest bardzo dobra.

Koń wydał z siebie charkot, dobiegający z głębi trzewi. Zwiadowca zerknął na niego z ukosa. Pomyślał, że brzmiało to jak krytyka. A potem uświadomił sobie, że o krytyce nie mogło być mowy, skoro jeszcze nie zaczął czytać.

Znowu wygładził papier i przystąpił do lektury.

- ...byłoby z mej strony wyrazem największej arogancji, gdybym w tak ekstraordynaryjnych okolicznościach nie złożył hołdu wielorakiemu zgromadzeniu osób, które poprzez pieczołowitą uwagę poświęconą...

Will przerwał. Czytał już od kilku chwil, a Wyrwij nawet nie drgnął. Nie miał pewności, ale zdawało mu się, że konik wydał z siebie dźwięk, coś w rodzaju głębokiego buczenia.

- Co to było? - spytał. Nie uzyskał jednak natychmiastowej odpowiedzi. Wzruszył ramionami i znowu przeniósł wzrok na papier w swoich rękach. - Na czym skończyłem? A tak... wielorakiemu zgromadzeniu...

Dźwięk rozległ się ponownie. Tym razem miał pewność, że jego źródłem był Wyrwij. Odgłos wydawał się dochodzić z jego krtani i klatki piersiowej. A potem całe ciało konia się zatrzęsło. Will popatrzył na zwierzę z zaciekawieniem. Pomyślał, że może jego słowa doprowadziły starego przyjaciela do łez. Zatoczył koło, by stanąć przed nim, a wtedy dźwięk rozbrzmiał znowu. Powieki konia były szczelnie zaciśnięte, a kolana zeszywniałe. Spał jak kamień. Will zdał sobie sprawę, że buczenie, które słyszał, było w istocie chrapaniem.

- Ty niewdzięczna chabeto - powiedział. Wierzchowiec zachrapał znowu.

Will z niesmakiem złożył kartki wsunął je z powrotem do kieszeni. Odwrócił się na

pięcie i pomaszerował ku wyjściu ze stajni. Gdy dotarł do drzwi, miarowe buczenie ustało. Rzucił okiem na Wyrwija.

Gdzie moje jabłko?

Zgromił konia wzrokiem.

- Przykro mi. Nie mam. Może ci się przyśni.

Wyszedł ze stajni, jakby połknął kij, każdą częścią ciała pokazując, jak bardzo ubodło go zachowanie zwierzęcia. Dotarł przed chatę, gdzie Ebony leżała na boku, wylegując się na słońcu. Gdy zaczął wchodzić po schodach, otworzyła jedno oko, a jej ciężki ogon uderzył o deski ganku.

Patrzył na nią przez chwilę. Psy nigdy nie oceniają, pomyślał. Pies będzie przy tobie na dobre i na złe. W jego oczach nigdy nie znajdziesz fałszu. Pies zawsze jest z tobą szczery.

- Dobra sunia - powiedział, a ona znowu zamachała ogonem.

Usiadł na ławce przy ścianie chaty. Ebony obserwowała go, odchylając głowę, by go widzieć bez przemieszczania całego ciała. Pstryknął palcami.

- Chodź, Ebony. Chodź tutaj.

Z jękiem przeturlała się na brzuch, po czym wstała i otrząsnęła się. Podeszła bliżej, z opuszczonym łbem, powoli poruszając ogonem.

- Leżeć. - Zrobił ruch ręką i suka opadła na brzuch u jego stóp, nie odrywając wzroku od Willa. Znowu wyjął kartki z kieszeni i popatrzył w te duże, piękne oczy. Jedno głęboko piwne, drugie zaś o barwie jasnego błękitu.

- Przeczytam ci mowę, Ebony - oznajmił.

Ogon raz uderzył o podłogę.

- I chcę szczerzej opinii.

Ani na chwilę nie oderwała od niego oczu. Rozłożył kartki i zaczął czytać. Po kilku akapitach suka westchnęła i oparła nos o wyciągnięte łapy, wciąż jednak na niego patrzyła, zdawało się, że bez ruchu powiek, gdy czytał piękne zdania swego przemówienia. Wreszcie dotarł do zakończenia, czyli części, która napawała go szczególną dumą. Przeczytał je głośno, a potem powtórzył dla większego efektu.

- No i - powiedział - co o tym myślisz?

Jej oczy wciąż były w niego wpatrzone. Nos spoczywał na łapach. Nie było żadnego ruchu. Dobrze przynajmniej, pomyślał, że nie zasnęła.

- Podobało ci się, Ebony? - spytał i ogon pacnął o deski. Uśmiechnął się, wyciągnął rękę i potargał jej uszy. Dobry pies nigdy cię nie zawiedzie.

- Niezłe, co? - zagadnął. Nie doczekał się reakcji.

- Czy to jest dobre, Ebony? - Ogon znowu uderzył o podłogę i Willa ogarnęły straszliwe wątpliwości. Popatrzył na sukę i ich spojrzenia się spotkały.

- Dobre? - powtórzył.

Nic.

- Dobre, Ebony? - Pacnięcie ogonem.

- Czy to największy stek bzdur, jaki słyszałaś? - Żadnej reakcji. - Czy to największy stek bzdur, jaki słyszałaś, Ebony?

Ogon uderzył o deski. Zgromił ją wzrokiem.

- Reagujesz tylko wtedy, gdy słyszysz swoje imię, tak?

Suka ani drgnęła.

- Reagujesz tylko wtedy, gdy słyszysz swoje imię... Ebony?

Pac.

Will wstał, ze złością kręcąc głową.

- Nie mogę liczyć na niczyją szczerą opinię. Niech licho porwie Wyrwija. I ciebie też, Ebony.

Ogon uderzył o drewno.

Wściekły Will wszedł do chaty i zatrzasnął za sobą drzwi. Ebony przez kilka chwil leżała i patrzyła na drzwi.

Potem, gdy pan nie wyszedł, wstała, otrząsnęła się i podreptała w plamę słonecznego blasku. Z zadowolonym pomrukiem przewróciła się na bok, wyciągnęła łapy, odchyliła łeb i zapadła w sen.

ROZDZIAŁ 3

Jak oceniasz stan gotowości Szkoły Rycerskiej? Doskonały. Dobry. Średni. Poniżej średniego. Zły”.

Will wzruszył ramionami i postawił krzyżyk przy „doskonały”.

Do obowiązków każdego zwiadowcy należało wydawanie okresowej opinii na temat Szkoły Rycerskiej w danym lennie i składanie do Zamku Araluen raportów na temat jakości szkolenia, poziomu uczniów i ogólnego stanu gotowości na wypadek ataku. Szkoła Rycerska w Redmont należała do najlepszych w kraju i Will niemal zawsze wystawiał jej doskonałe oceny. Czasami zastanawiał się, czemu nie może po prostu napisać „patrz poprzedni raport”, ale królewski Mistrz Sztuk Walki za każdym razem domagał się szczegółowych odpowiedzi. Westchnął na widok ostatniego pytania.

„Na czym opierasz swoją ocenę?”

Na to nie dało się odpowiedzieć za pomocą zwykłego krzyżyka. Musiał napisać coś, co uzasadni jego opinię. Próbował przypomnieć sobie słowa z poprzedniego sprawozdania. Nagle drzwi otworzyły się na oścież i do chaty wszedł Halt.

- Witaj. Nie słyszałem, że idziesz - powiedział Will. Przybyły z zadowoleniem kiwnął głową.

- To dobrze. Raz na jakiś czas staram się nie rozbijać jak ślepiec w sklepie z ceramiką. Dziwię się, że Wyrwij mnie nie usłyszał.

- Wyrwij się dąsa. Wczoraj nie dałem mu jabłka.

Oczywiście obaj wiedzieli, że gdyby nadchodził ktokolwiek inny niż Halt, koń dałby ostrzegawczy sygnał, niezależnie od tego, czy by się dąsał, czy nie.

- Dobrze. I tak je zbyt wiele jabłek. - Halt rzucił okiem na papiery na biurku przed Willem i na jego twarzy odmalowała się nieufność. - Chyba nie pracujesz nad tą mową, co?

Will westchnął.

- Nie. Dokonuję oceny Szkoły Rycerskiej dla sir Rodneya. Nie wiem, czemu muszę to wszystko pisać. Powinni już wiedzieć, że w Szkole Rycerskiej w Redmont nie ma żadnych kłopotów.

Halt wzruszył ramionami.

- Wojsko opiera się na dokumentach - stwierdził. - Tak czy owak, na razie możesz o tym zapomnieć. Mamy robotę.

Will wyprostował się.

- Robotę? Dokąd jedziemy?

Na ścianie wisiała duża mapa Araluenu i starszy zwiadowca podszedł do niej, po czym stuknął palcem w miejsce na południowo-zachodnim wybrzeżu, ponad granicą z Celtią.

- Do Hambley - oznajmił. - Mamy doniesienia, że Księżycociemni przemieszczają się wzdłuż wybrzeża. Hambley to następny logiczny cel.

- Księżycociemni? - Will nie spotkał się wcześniej z tą nazwą. Halt nie był zaskoczony. Minęło wiele lat, odkąd te zorganizowane bandy grasowały w Araluenu.

- Rabusie - wyjaśnił. - Rabusie statków. Działają podczas nowiu i zapalają fałszywe ognie sygnałowe na niebezpiecznych częściach brzegu. Załogi statków widzą światło i myślą, że to port. Płyną tam i zanim się zorientują, wpadają na skały. Statek rozbija się, a Księżycociemni zabierają ładunek.

- Co się dzieje z żeglarzami? - spytał Will.

- Jeśli przeżyją katastrofę, wychodzą na brzeg. Zwykle nie przeżywają.

- Ci Księżycociemni to chyba naprawdę paskudne typki - stwierdził młodszy zwiadowca.

Halt pokiwał głową.

- Zgadza się. I trudne do wytropienia, bo miejscowi zwykle się ich boją. - Przez jego twarz przebiegł grymas. - A zdarza się też, że są z nimi w zмовie.

- Dzielą się łupem - domyślił się Will.

- Właśnie. Rabusiom na wielu rzeczach nie zależy, na przykład na drewnie i olinowaniu. Nie biorą beczek z suszoną żywnością. Płótna, elementów metalowych. Najróżniejszych rzeczy, które dla biednej wioski mogą być bezcenne. A teraz ruszmy się. Do nowiu został tylko tydzień, a wtedy wyjdą z ukrycia. Dziś po południu chcę już być w drodze. Wysłałem wiadomość do Gilana, będzie miał tu wszystko na oku pod naszą nieobecność.

- Pójdę po rzeczy - powiedział Will. Zawahał się, spoglądając na niedokończony formularz oceny. - Chyba mogę się tym zająć po drodze - stwierdził.

Halt wziął papier i przedał go na pół, zanim krzyk młodszego towarzysza zdążył go powstrzymać.

- Mam lepszy pomysł. Zostaw Gilanowi informację, że trzeba przesłać raport, a ty jeszcze się do tego nie zabrałeś. Będzie mógł sam dokonać oceny i wypełnić formularz za ciebie.

Will zastanowił się, spoglądając na przedarty dokument w rękach Halta.

- Czy to nie podstępne? - spytał, a tamten wyszczerzył się radośnie.

- Pewnie, że tak. A czy zwiadowcy nie powinni być podstępni?

Godzinę później zmierzali już na południowy zachód. Will zostawił Ebony pod opieką Pauline. Suka, choć inteligentna i wierna, wciąż była młoda i pobudliwa. Will nie chciał ryzykować, zabierając ją na wyprawę, która mogła okazać się niebezpieczna. Pauline zachwycała się towarzystwem psa, Ebony była jej bezbrzeżnie oddana.

Gdy jechali, Will chichotał cicho do siebie. Halt odwrócił się w siodle i na niego popatrzył.

- Co cię śmieszy?

- Ciągle myślę o Gilanie, piszącym raport o Szkole Rycerskiej - wyjaśnił Will. - Masz rację. Co za podstęp.

Halt promieniał.

- Dobrze mu tak, za wszystkie te sytuacje, kiedy próbował mnie zaskoczyć w drodze na zgromadzenia - stwierdził. - Czasami byli uczniowie tracą cały szacunek dla swoich mistrzów. - Zerknął znacząco na Willa, który pospieszył z odpowiedzią.

- Nie ja! - powiedział. - Nadal mam dla ciebie ogromny szacunek!

Halt przez kilka chwil badawczo mu się przyglądał, po czym, najwyraźniej zadowolony, pokiwał głową.

- Tylko miej to w pamięci.

Przez kilkaset metrów się nie odzywali, a później Will znowu przerwał milczenie.

- Dobra strona naszej sytuacji jest taka, że wieczorami mogę pracować nad swoją mową - oznajmił.

- Zabrałeś ją? - spytał Halt z nutką niepokoju w głosie.

Młodszy zwiadowca przytaknął.

- Pomyślałem, że to dobra okazja, by ją w spokoju dopracować.

Nastąpiło dłuższe milczenie, po którym Halt znowu się odezwał:

- Na pewno nie będę ci przeszkadzał. To znaczy, nie chcę ci przeszkadzać w twórczym natchnieniu ani nic w tym sensie. W sumie możesz udawać, że mnie w ogóle nie ma, kiedy będziesz chciał się tym zajmować. - Zastanawiał się, czy jego dawny uczeń wychwyci sarkazm wypowiedzi, ale ten tylko z wdzięcznością skinął głową.

- Dzięki. Doceniam. Jaki teraz przyjmujemy plan działania?

Halt zastanawiał się przez kilka chwil, próbując zebrać myśli.

- Jak już rano mówiłem, nie możemy liczyć na żadną pomoc ze strony miejscowych. Nie wolno nam ryzykować, że zdradzą nas Księżycociemnym.

- Czyli Księżycociemni to nie miejscowi? - spytał Will.

Jego były mentor pokręcił głową.

- Nie. Przemierzają wybrzeże. Jeśli za długo działają na jednym obszarze, wieść się rozchodzi i pojawiają się tacy jak my, by ich powstrzymać. Załogi statków też szybko się uczą omijać dany fragment brzegu.

- Mówiłeś, że dostałeś wiadomość od informatora. Możemy się spodziewać pomocy z jego strony? - Odpowiedź jednak znowu okazała się przecząca.

- Jeśli jest mądry, nie będzie chciał mieć z nami nic do czynienia. W końcu musi dalej tam mieszkać, jak już odjedziemy.

- Brzmi z sensem. No to jaki mamy plan?

- Rozbijemy obóz i rozejrzemy się, mam nadzieję, niezauważenie. Zazwyczaj Księżycociemni nie zatrzymują się we wsiach, czyli też będą mieli obozowisko gdzieś w okolicy. Ciężko im będzie się ukryć, w grupach zwykle bywa po piętnaście, dwadzieścia osób. Zrobimy więc rozpoznanie, może na coś natrafimy.

- Na przykład?

- Na przykład na ognisko sygnałowe, szykowane na niewłaściwym cyplu. Będą musieli się tym zająć z dziennym czy dwudniowym wyprzedzeniem. Musimy też obserwować północ w poszukiwaniu statków płynących w dół wybrzeża. Powinniśmy także wypatrywać ludzi, którzy robią to samo.

- A jeśli zobaczymy którąś z tych rzeczy? - spytał Will.

Halt uśmiechnął się. Mina mistrza przywiodła Willowi na myśl szczerzącego zęby wilka.

- To poproszę, żeby przestali. Potrafię być bardzo przekonujący, jeśli się przyłożę.

- Zauważyłem - przyznał Will.

Przez resztę dnia pokonali kawał drogi, zgodnie ze zwyczajem zwiadowców jadąc na przemian klusem i stępa. Zapadał już zmrok, gdy Halt wskazał miejsce przy kępie drzew.

- Tu możemy rozbić obóz - stwierdził. - Lepiej zrobmy to, zanim się ściemni.

- Chcesz, żebym gotował? - spytał Will. Wiedział, że Halt umie się zająć kolacją, ale sam lubił przygotowywanie posiłków i był świetnym biwakowym kucharzem. Zawsze woził przy sobie podróży zestaw przypraw i ingrediencji, służących poprawieniu smaku potraw, które przyrządzał. Ponieważ zwiadowcy często musieli żywić się jedynie suszonym mięsem i owocami oraz podplomykami, Will zawsze uważał, że powinni jeść smaczne dania, gdy tylko nadarzała się po temu okazja.

Halt podzielał jego przekonania.

- Nie mogę się już doczekać - przyznał. - Bliżej Hambley zostanie nam tylko suchy prowiant, więc nacieszmy się czymś gorącym i kawą, dopóki się da. Ja później posprzątam.

Pomimo dawnej zależności między mistrzem a uczniem, Halt uważał teraz młodzieńca za równego sobie i zawsze chętnie dzielił z nim obowiązki w obozie.

- Doskonale - zgodził się Will. Jak wielu kucharzy, czerpał przyjemność z przygotowywania posiłków, ale późniejsze sprzątanie napawało go mniejszym entuzjazmem.

- Będę miał czas popracować nad mową.

- Tego też nie mogę się doczekać - odrzekł Halt ze śmiertelną powagą.

ROZDZIAŁ 4

Za miasteczkiem Hambley, w odległości mniej więcej pół kilometra w głąb lądu, ciągnął się łańcuch wzgórz. Samo miasteczko zbudowano wokół niewielkiego, ale dobrze chronionego portu. Przy północnym falochronie Will dostrzegł dużą metalową konstrukcję o wysokości około sześciu metrów.

- To prawdziwa latarnia morska - wyjaśnił Halt, zauważając jego zainteresowanie. - Zapala się ją każdej nocy. Pokazuje nadpływającym statkom umiejscowieni północnego falochronu i zapewnia im punkt orientacyjny. Ale, jak widzisz, wysoki cypel za nią zasłania światło każdemu statkowi, płynącemu wzdłuż brzegu, aż nie zbliży się co najmniej na pół kilometra.

Leżeli na brzuchach na szczycie wzgórza, patrząc na zabudowania. Konie zostały po przeciwległej stronie wzniesienia, poza zasięgiem wzroku. Dwaj zwiadowcy, otuleni płaszczami, byli niewidoczni dla nikogo w promieniu pięćdziesięciu metrów, a co dopiero z odległości pół kilometra.

- Teraz spójrz dalej na północ - ciągnął Halt, a Will posłusznie podążył wzrokiem we wskazanym kierunku. Za cyplem rozciągała się wąska krzywizna plaży, kończąca się kolejnym, nieco niższym półwyspem. - Moim zdaniem właśnie tam umieszczą fałszywe światło. Widzisz płyciznę kilkaset metrów od plaży? Każdy statek, który podpływie bliżej, sądząc, że to port, wpadnie na mieliznę, zanim załoga się zorientuje. Przypuszczam, że rabusie rozpalą ogniska i lampy za plażą, by stworzyć iluzję miasteczka. Kapitan zobaczy widok, którego się spodziewa. Latarnię morską i miasteczko. Tyle że kilometr dalej na północ niż prawdziwy port. Wzgórza, na których jesteśmy, stworzą ciemne tło. Ktoś patrzący od strony morza ujrzy światła na tle mroku. Nie dostrzeże szczegółów.

Z namysłem potarł podbródek, strącając mrówkę, która wybrała się na wyprawę do jego brody.

- Takie płytkie piaszczyste dno będzie dla nich w sam raz. Statek utknie, ale jeśli tylko nie będzie sztormu, nie zatonie. Księżycociemni będą mogli podczas odpływu wejść do wody i do woli wynosić ładunek. I woda nie zmyje im go sprzed nosa.

Will zerknął z ukosa na siwobrodego zwiadowcę.

- Widzę, że sporo wiesz o tym, jak działają.

Tamten pokiwał ponuro głową.

- Księżycociemni byli plagą tego narodu podczas pierwszej wojny z Morgarathem - wyjaśnił. - Żołnierze króla, pochłonięci rebelią, nie znajdowali czasu, żeby zajmować się innymi sprawami. Wiesz, jak szybko przestępcy potrafią wykorzystać takie sytuacje.

Will przytaknął.

- Jak sobie poradziliście?

- O, zaraz po wojnie Crowley i ja wszczęliśmy przeciw Księżycociemnym intensywne działania. Po jakimś czasie chyba stwierdzili, że Araluen to nie najlepsze miejsce na ich działalność. Większość przeniosła się do Gallii, gdzie warunki były bardziej sprzyjające.

- Większość? - powtórzył Will. - A reszta?

- Została tutaj - odrzekł pośpiesznie Halt. - Znajdziesz ich groby wzdłuż całego zachodniego wybrzeża, jeśli uważnie popatrzysz.

- Ty i Crowley tworzyliście kiedyś zgrany zespół, co? - spytał młodszy zwiadowca.

Na ustach Halta zagościł cień uśmiechu.

- Mieliśmy niezłe chwile - stwierdził. Potem zaczął się zsuwać ze szczytu wzniesienia, nie podnosząc się, dopóki nie był zasłonięty przed jakimkolwiek obserwatorem poniżej. Will poszedł za jego przykładem, po czym popatrzył na dawnego nauczyciela w oczekiwaniu na rozkazy.

- Skierujemy się na północ, w stronę tej plaży - oznajmił Halt. - Rozbijemy obóz na wzgórzu i będziemy wypatrywać jakichś ruchów na cyplu albo na łądzie za plażą.

- Jesteś pewien, że tam się zaczają? - spytał Will.

Halt wzruszył ramionami.

- Niczego nie można być pewnym. Ale to najlogiczniejsze miejsce. Dalej na północ znaleźliby się w zbyt dużej odległości od samego Hambley. Poza tym brzeg zakrzywia się tam na wschód, więc cała topografia jest zupełnie inna. To miejsce znajduje się wystarczająco blisko prawdziwego miasteczka, by zmylić mniej przytomnego kapitana. Zrobimy też zwiad w lesie i sprawdzimy, czy uda nam się znaleźć ich obozowisko. Jeśli są w okolicy, nietrudno będzie na nich natrafić. Nie będą starali się ukryć aż tak bardzo jak my, a w dodatku to będzie duży obóz.

- Powiedziałeś, że mają piętnastu czy dwudziestu ludzi... - zaczął Will.

- Zgadza się. Muszą mieć też wozy i konie, żeby wywieźć ładunek, dlatego obóz będzie duży.

- Damy sobie radę z tyłoma? - spytał niepewnie młodzieniec.

Halt posłał mu spokojne spojrzenie.

- Ci ludzie mordują z zimną krwią - stwierdził - ale nie są wojownikami. Wezwiemy

ich raz, żeby się poddali, a potem zaczniemy strzelać. Crowley i ja radziliśmy sobie. To nie powinien być kłopot.

- Ale to byliście wy - zauważył Will.

Odpowiedź Halta go zaskoczyła.

- Jesteś lepszy od Crowleya.

Pewnie zdziwiłby się jeszcze bardziej, gdyby dawny mentor wypowiedział na głos to, co przyszło mu do głowy: „Ode mnie zapewne też jesteś lepszy”.

Ruszyli na północ i rozbili mały, dobrze ukryty obóz w gęstwinie drzew na zboczu wzgórza od strony łądu. Abelard i Wyrwij, rozsiodłane, pały się w pobliżu biwaku. Gdyby przypadkiem ktoś je zobaczył, z uwagi na zmierzwioną sierść oraz brak siodła i uprzęży uznalby zapewne, że to dzikie kuce. Wiele tych zwierząt przemierzało wzgórze niewielkimi stadami.

Nie było mowy o ognisku i obaj zwiadowcy westchnęli z rezygnacją, poddając się na czas misji diecie złożonej z zimnej wody i suchych racji. Na szczycie wzgórza urządzili punkt obserwacyjny - wykopali płytki dół, a potem nakryli go ziemią, gałęziami i liśćmi, dzięki czemu mogli niezauważeni obserwować plażę. Will pomyślał, że nieco przypomina to kryjówkę myśliwych. A potem uśmiechnął się ponuro, uświadamiając sobie, że przecież są myśliwymi. Tyle że polują na ludzi.

Gdy skończyli, do końca dnia zostało jeszcze kilka widnych godzin. Halt gestem wskazał wykopany dół.

- Miej wszystko na oku - polecił. - Rozejrzę się i poszukam jakichś śladów obozowiska.

Will skinął głową. Obozowisko potwierdziłoby, że są na właściwym tropie. W końcu działali w oparciu o wiadomość od anonimowego informatora. Być może szukali wiatru w polu. Ale jedną z pierwszych rzeczy, jakich uczył się zwiadowca, była cierpliwa obserwacja i nasłuchiwanie całymi dniami i godzinami.

Młody mężczyzna podczołgał się do punktu obserwacyjnego, po czym wpełzł do środka. Umościł się wygodnie i oparł o ziemną ścianę. Zostawili wąską niezasłoniętą szczelinę, biegnącą przez całą szerokość kryjówki, i gdy Will usiadł w głębokim cieniu, miał dobry widok na cypel i plażę.

Sięgnął do sakwy, którą przewiesił sobie przez ramię, po czym wyjął papier, pióro i mały podróżny kałamarz.

Miał przy sobie też szkic mowy, ale chwilowo chciał tylko zapisywać efektowne

frazy, które mógłby w niej wykorzystać. Mógł to robić, nie odrywając wzroku od leżącej poniżej plaży. Czytanie czy przepisywanie całego tekstu za bardzo by go rozpraszało. Ale naskrobanie jakiegoś zdanka, które wymyśli, zajmie zaledwie parę sekund.

Jedno właśnie przyszło mu do głowy - opis Horace'a i Evanlyn - szybko odkręcił więc kałamarz i zanurzył w nim pióro.

Ukochani, serdeczni towarzysze mych sielskich lat młodzieńczych... - zapisał. I mruknął do siebie:

- O, to dobre. Bardzo dobre.

Znowu omiół wzrokiem plażę i cypel, lecz nic się tam nie ruszało. Następnie zanotował kolejne zdanie.

Z pełną dumy radością mam śmiałość dołożyć swoje najszczęśliwsze pochwały do wszystkiego, co zostało już wyrażone w obecności tego szacownego grona...

- Podoba mi się. Bardzo - powiedział do siebie. Westchnął z zadowoleniem i oparł się o ścianę wykopu, czekając, aż znowu spłynie nań natchnienie.

Odnalezienie obozowiska zajęło Haltowi niecałe dwie godziny.

O obecności ludzi w lesie w pierwszej kolejności uprzedziła go woń dymu. Na początku była słaba, ale gdy szedł w kierunku, z którego wiał wiatr, przybierała na sile. Potem doszły inne znaki. Zaszczekał pies. Później zwiadowca usłyszał odgłos siekiery uderzającej w drewno. Dźwięki i zapachy przywiodły go z powrotem za szczyt wzgórza, do zagajnika od strony morza. W końcu zatrzymał się, patrząc w dół na kotlinę między drzewami.

Stało tam pół tuzina namiotów, rozbitych w schludnym rzędzie, płonęło też kilka ognisk. Po jednej stronie widniały cztery wozy. Za nimi zauważył konie, uwiązane wśród drzew. Po terenie obozowiska chodzili ludzie, rozmawiając i wołając do siebie nawzajem. Nikt nie próbował się schować, bo i nie było przed kim - tak przynajmniej sądzili Księżycociemni.

Halt policzył ludzi, których widział. Było ich szesnastu, sami mężczyźni. Ten fakt potwierdził przypuszczenie, że to obozowisko Księżycociemnych.

Przez kilka minut patrzył, jak niektórzy z nich zaczynają przygotowywać wieczorny posiłek. Jego żołądek zaprotestował cicho, gdy wokół rozniósł się wspaniały aromat mięsa, pieczonego nad ogniem. Wycofał się bezgłośnie.

- Nic tu nie zrobię, tylko zgłodnieję - mruknął do siebie i skierował się z powrotem do wolnego od dymu i pieczonego mięsa obozu, ukrytego na przeciwległym zboczu. Pomyślał o swojej kolacji: zimna woda, suszone mięso, owoce i twardy chleb.

Ta myśl nie usposobiła go korzystniej wobec Księżycociemnych.

ROZDZIAŁ 5

Jak zauważył Will, zwiadowcy znaczną część czasu spędzali na siedząco, obserwując i czekając. Coś takiego mogło trwać całymi dniami, a potem następował krótki okres mrożącej krew w żyłach akcji.

Zmieniali się z Haltem w punkcie obserwacyjnym, gdzie spędzali po trzy godziny, dając baczenie na piach i cypel poniżej.

Kiedy nie pełnili warty, ćwiczyli konie i polowali na drobne zwierzęta. Nastąpiła miła odmiana, bo Halt postanowił, że nie muszą już w pełni rezygnować z ognia. Księżycociemni znajdowali się w sporej odległości od ich biwaku, oddzielał ich też grzbiet wzgórza. Poza tym zwiadowcy wybrali jedno z najwyższej położonych miejsc. Szansa, że któryś z rabusiów postanowi wspiąć się na górę i wpadnie na nich, wydawała się niewielka.

Tak czy owak, starszy zwiadowca upierał się, że nie mogą rozpalać ognia, gdy wiatr wieje z północy, mógłby bowiem ponieść zapach dymu do nieprzyjaciół. I tak istniała ledwie minimalna możliwość, że to zauważą, jako że w ich własnym obozowisku płonęły trzy czy cztery duże ogniska i wszędzie unosiła się woń palonego sosnowego drewna. Ale nawet minimalna możliwość pozostawała możliwością i Halt wolał nie ryzykować. Jak powiedział, ostrożność przez lata pozwalała mu pozostać przy życiu i chciał, żeby tak pozostało.

Wiatr się jednak zmienił, a to oznaczało, że Will może przyszykować ciekawsze potrawy, więc przynajmniej nie nudził się w czasie, gdy nie pełnił warty. Obaj mieli też na co czekać w trakcie nudnej obserwacji.

Przyjęli plan, wedle którego ostatnią wartę, gdy słońce zachodziło już za łańcuch wzgórz, pełnił Halt. Nie było potrzeby prowadzenia obserwacji przez całą noc. Księżycociemni, aby uniknąć wykrycia, musieli poczekać do ostatniej chwili z rozpaleniem swoich fałszywych ogni. Przygotowania rozpoczną zatem jeszcze za dnia.

Wieczorne porcje dla nich obu Will dostarczył do punktu obserwacyjnego. Razem jedli i omawiali taktykę na moment, gdy Księżycociemni uderzą.

- Tak sobie myślałem - odezwał się trzeciej nocy Halt - że moglibyśmy się zastanowić nad jakimś wsparciem.

Will uśmiechnął się.

- Powiedziałeś, zdaje się, że łatwo sobie poradzimy z szesnastoma ludźmi - przypomniał.

Dawny mentor skinął głową.

- Owszem, tak powiedziałem. Ale dotarło do mnie, że będę cię potrzebował na cyplu, kiedy sam zajmę się plażą. Może się zrobić niezręcznie.

- A to czemu? Co mam robić na cyplu?

- Będziesz obserwował ognisko. Musimy pozwolić, żeby je rozpalili, zanim wkroczymy do akcji. Jeśli tego nie zrobią, nie będziemy mieli dowodu, że chcieli ściągnąć statek na mieliznę. Musimy zobaczyć statek i rozpalone ognisko, mające zwabić go na plażę.

- A nie wystarczy sam fakt, że przygotowali ten sygnał? - spytał Will.

Halt pokręcił głową i zmarszczył brwi.

- To nie jest konkretny dowód. Zawsze mogą utrzymywać, że planowali ognisko dla uczczenia czyichś urodzin. Albo że chcieli upiec prosię czy barana. Konieczny jest prawdziwy dowód. Niestety, Duncan bywa w tych kwestiach dość pedantyczny. Jednocześnie musimy dopilnować, żeby tak naprawdę nie wciągnęli statku na mieliznę.

- Czyli mam poczekać, aż rozpalą ogień, a potem go zgasić, podczas gdy ty będziesz wyłapywał tę bandę? - spytał Will.

Halt uniósł brwi.

- Masz pojęcie, jak duży to będzie ogień? Nie mówimy o obozowym ognisku, na które wystarczy sypnąć trochę piasku. To będzie wielka sterta szczap i nasączonych olejem szmat, wysoka co najmniej na dwa metry. Jak już zapłonie, nie będziesz mógł go po prostu „zgasić”, jak to ująłeś. Potrzebowałbyś całego szeregu ludzi z wiadrami...

O tym Will nie pomyślał.

- No to co mam robić? - spytał.

W odpowiedzi Halt sięgnął do kieszeni kaftana i wyciągnął małą paczuszkę, zawiniętą w impregnowany materiał, o wymiarach mniej więcej sześć na trzy centymetry.

- Wrzuc to do ognia - powiedział.

Will wziął paczuszkę i uważnie się jej przyjrzał. Była ciasno zapakowana, ale ściskając materiał, czuł ziarnistą naturę zawartości. Zupełnie jakby w środku znajdował się szorstki piach.

- Co to jest? - spytał. Halt postukał w pakunek palcem.

- To barwnik, wysoce palny - wyjaśnił. - Kiedy wrzucisz go do ognia, zapali się i zmieni barwę płomieni na jakiś jaskrawy kolor, nie jestem pewien na jaki. Zwykle jest to żółty albo czerwony. Tak czy owak, gdy kapitan statku zobaczy, że ogień zmienił kolor, uświadomi sobie, że to nie jest prawdziwa latarnia i zawróci na morze. A my będziemy mieli dowód, którego potrzebujemy.

- Dobrze. To ma sens. Ale jak dasz sobie radę z szesnastoma Księżycociemnymi, kiedy ja będę się tym zajmował? - dopytywał Will.

- Nie obejdzie się bez pomocy - stwierdził Halt. - Poczekam, aż upewnimy się, że zamierzają uderzyć... aż przygotują ognisko i lampy... a wtedy wyruszę do Hambley i porozmawiam z dowódcą straży.

- Mówiłeś, zdaje się, że prawdopodobnie są w zмовie z rabusiami?

- Aktywnie ich nie wspomagają. Mogą patrzeć przez palce na ich działalność i zabierać łupy, które tamci zostawią. Poza tym, gdyby wiedzieli o naszej obecności, Pewnie by ich ostrzegli. Ale miałem oko na wioskę, kiedy nie pełniłem warty. Nie chodził tam nikt z obozu Księżycociemnych.

- Więc jeśli wpadniesz do wioski w ostatniej chwili i nie dasz im czasu, by ostrzegli bandytów, nie będą mogli odmówić ci pomocy - stwierdził Will.

- Właśnie. Mogą być niechętni. Ale muszą wyznaczyć ludzi ze straży, żeby nas wsparli. Raczej nie powiedzą królewskiemu zwiadowcy, że zwabienie statku na ich brzeg to niezły pomysł.

Will z powątpiewaniem przygryzł wargę.

- Masz ogromną wiarę w szacunek, jakim ludzie darzą zwiadowców - powiedział.

Halt pochylił głowę, przyznając mu rację.

- Prawda. Ale robiłem to wcześniej i nigdy dotąd się nie zawiodłem. Ci ludzie nie są tak naprawdę przestępcami. Są rozpaczliwie biedni i mają naprawdę ciężkie życie. Ale o ile rozumieją, że może ich spotkać kara, jeśli nas nie wesprą, na pewno możemy na nich liczyć.

- Oczywiście, mogą po prostu walnąć cię w głowę i zrzucić z krańca falochronu - zauważył Will. Jego starszy towarzysz rozważył tę myśl.

- Mogliby. Ale to mało prawdopodobne. W końcu będę przygotowany, że spróbują czegoś podobnego, choćby wydawało się to zupełnie nieprawdopodobne. Poza tym będą wiedzieć, że w okolicy przebywa inny zwiadowca. Na pewno im o tym powiem. Wątpię, by wtedy zechcieli ryzykować.

- Czyli ja wrzucę barwnik do ognia, a ty aresztujesz Księżycociemnych na plaży. Zdaje się, że jesteśmy gotowi na każdą ewentualność - stwierdził Will. Mimo że kwestionował plan dawnego nauczyciela, wiedział, jak silnie może działać aura władzy, roztaczana przez królewskich zwiadowców na mieszkańców odludnych wiosek.

- Nigdy nie jesteś gotowy na każdą ewentualność - odparł posępnie Halt. - Zawsze coś może pójść nie tak.

Zjadł ostatnią łyżkę smakowitego gulaszu z królika, przygotowanego przez Willa,

wyskrobując resztki ze swojej miski.

- Zostało coś? - spytał z nadzieją.

Will jednak pokręcił głową.

- Przykro mi. Zjadłeś wszystko.

Halt mruknął markotnie.

- Tak myślałem. - Zerknął na wydłużające się cienie. Teren u stóp wzgórza pogrążył się już w głębokim półmroku, a morze nabrało srebrzysto-szarego poblasku. - Wątpię, żeby teraz próbowali coś zacząć. Możemy spokojnie napić się kawy.

- Dlatego z tobą trzymam - stwierdził Will. - Zawsze masz dobre pomysły.

Następnego dnia Księżycociemni wzięli się do pracy.

Will zauważył pierwsze oznaki tego, że coś się dzieje, w połowie swojej porannej warty. Nabrzezną drogą pod łańcuchem wzgórz cwałował jeździec. Gdy już zrównał się z obozowiskiem rabusiów, skręcił z drogi i pognął konia wąską, stromą ścieżką między drzewami. Will szybko stracił go z oczu, ale nie miał wątpliwości, dokąd jeździec zmierzał.

Wygramolił się ze swojej kryjówki i, pochylony, pobiegł przez wzgórza, by powiadomić Halta.

- Możliwe, że jakiś statek płynie w kierunku Hambley - rozważał na głos starszy zwiadowca. - Zazwyczaj zostawiają obserwatora dalej na brzegu, żeby wypatrywał zbliżających się statków. Jeśli tak właśnie jest, dzisiaj rozpalą ogniska.

- Co robimy? - spytał Will.

Halt kciukiem wskazał kierunek, w którym znajdował się obóz Księżycociemnych.

- Zobaczymy, co zamierzają.

Ruszyli razem. Poruszali się między drzewami niby zjawy, wtapiając się w cienie i szarozielone poszycie. Byli ledwie widoczni. Ewentualny obserwator miałby poważny kłopot, by ich dostrzec z odległości większej niż dwadzieścia metrów. Przebyte szkolenie i nieustanne ćwiczenia sprawiały, że poruszali się instynktownie, nie myśląc o tym, co właściwie robią.

Gdy kroczyli przez leśne poszycie, stopami w butach o miękkich podeszwach wyczuwali gałązki, zanim przenieśli na nie swój ciężar. Jeśli wyczuli jakąś przeszkodę, bezgłośnie odtrącali ją na bok czubkiem buta, po czym szli dalej, łagodnie opierając się na wysuniętej nodze, tak że nie wydawali podczas marszu niemal żadnych dźwięków.

Wydawało się to łatwe - wszystko wydaje się łatwe, gdy jest wynikiem wielu lat żmudnych ćwiczeń.

Droga do punktu, z którego Halt obserwował wcześniej obozowisko

Księżycociemnych, zajęła im pół godziny.

Will wskazał spienionego konia, uwiązanego przed jednym z namiotów. Najwyraźniej należał do posłańca, który przybył wcześniej. Zwiadowca miał już wygłosić komentarz na temat braku dbałości o wierzchowce, gdy nagle z namiotu wypadło trzech mężczyzn. Jeden z nich, wysoki, czarnobrody, w skórzanej kamizelce i bryczesach, zaczął wykrzykiwać rozkazy. W obozie zatętniło życie, gdy także z innych namiotów wybiegali ich mieszkańcy.

Zaczęli ładować wozy, które Halt zauważył podczas swej poprzedniej wizyty. Zapełniali je porąbanym drewnem na opał, lampami i długimi wierzbowymi żerdziami. Prowadzono konie i przywiązywano je do dyszli. Mężczyźni zbierali narzędzia oraz worki z prowiantem, a także sięgali po groźnie wyglądające miecze i wpychali pałki za pasy.

- Widzieliśmy już dosyć - stwierdził Halt. - Zbierajmy się stąd, zanim nas zauważą.

Ruszyli z powrotem do swojego ukrytego punktu obserwacyjnego. Po jakimś czasie zobaczyli, jak Księżycociemni wyłaniają się z lasu u podnóża wzgórz i przemieszczają się na płaski teren, przylegający do plaży.

Tam rozładowano trzy z wozów. Rabusie tłoczyli się wokół nich, wynosząc stosy opału i żelazne pręty, po czym rozmieszczali je w miejscach wskazanych przez herszta - wysokiego mężczyznę w skórzanej kamizelce. Will patrzył z zaciekawieniem, jak przywódca staje plecami do morza i nakazuje, gdzie przygotowywać ogniska i rozstawiać pręty, które złożone razem tworzyły trójnogi. Od czasu do czasu zerkał na kawałek papieru w swoich rękach i pokazywał, że któryś stos drewna trzeba nieco przesunąć, a jeden z trójnogów - odrobinę cofnąć.

- Co on robi? - spytał. Chociaż od tamtych dzielił ich niemal kilometr, na wszelki wypadek mówił szeptem.

- Przypuszczam, że ma tam plan Hambley od strony morza. Pewnie sporządził go w ciągu ostatnich dni. Teraz rozstawia ognie i lampy na trójnogach, żeby ich układ był taki sam, jak w miasteczku.

Will pokręcił głową z niechętnym podziwem.

- Trzeba przyznać, że są bardzo dokładni.

Starszy zwiadowca skinął głową.

- Tak. Wiedzą, co robią. Nie są żółtodziobami. Oho - zauważył - jedzie ostatni wóz. Domyślam się, że kieruje się na cypel.

Czterech z mężczyzn, rozstawiwszy część trójnogów, wdrapało się na ostatni wóz, wciąż wyładowany drewnem. Jeden wziął lejce i smagnął nimi grzbiet konia. Zwierzę z ociąganiem napało na chomąto i zaczęło człapać w stronę cypla. Ładunek był bardzo ciężki

jak na małego konia i poruszali się dość powoli. Gdy dotarli do pochyłości, prowadzącej na cypel, zadanie zwierzęcia stało się jeszcze trudniejsze i ponaglenia się nasiliły.

- Byłoby szybciej, gdyby kilku z nich szło pieszo - zauważył Will.

Halt pokręcił głową.

- To złodzieje i przestępcy. Zawsze szukają najłatwiejszego sposobu, a nie najrozsądniejszego.

Wóz powoli wjeżdżał po trawiastej pochyłości na skraj cypla, aż woźnica szarpnął lejce, by go zatrzymać. Konia nie trzeba było długo nakłaniać. Stanął niemal w pół kroku i zwiesił łeb, posyłając mściwe spojrzenie mężczyznom, którzy zmuszali go do tak ciężkiej harówki.

- Na ich miejscu - powiedział Halt - trzymałbym się poza zasięgiem jego kopyt.

Mężczyźni zeskoczyli z wozu i zaczęli rozładunek. Na zawartość wozu składały się w większości porąbane kawałki drewna, zapewne na opał, sądząc po ich równej długości. Było tam także kilka małych beczek oraz więcej żelaznych prętów. W końcu trzech Księżycociemnych zdjęło z wozu ciężki metalowy kosz, szeroki na niemal trzy metry, a wysoki na półtora.

- W tym rozpalą ogień fałszywej latarni - wyjaśnił Halt. - Z prętów zrobią jeszcze jeden trójnóg, a potem ustawią na nim kosz. Wypełnią go drewnem i będą prawie gotowi.

- Co jest w tych beczkach? - spytał Will, choć przypuszczał, że już wie.

- Olej - odrzekł jego były mentor. - Kiedy nadejdzie czas, wyleją go na opał, żeby szybciej się rozpałił. Jeśli zrobią to za szybko, może wyschnąć albo wyparować. Pewnie dokładnie nasączą drewno jakoś po zachodzie słońca.

Will instynktownie zerknął na słońce. Minęło już zenit.

- Jak myślisz, kiedy rozpalą ogień? - spytał.

- Nów już minął - odrzekł Halt. - Ale dziś w nocy zaświeci tylko wążutki sierp księżycy. Domyślam się, że zaczekają, aż zajdzie za wzgórze. To będzie po dziesiątej. Pójdę do Hambley i wezwę straż około dziewiątej trzydzieści. Nie zdążą przekazać informacji Księżycociemnym, nawet gdyby mieli taki zamiar.

- Znowu czekanie i obserwacja - skomentował Will.

- Tak działamy - zgodził się Halt. - Ale nie czekaj, aż wrócę z posiłkami. Jeśli rozpalą fałszywą latarnię i zobaczysz statek, od razu zbiegnij tam i wrzuć barwnik do ognia. Wolę stracić szansę na złapanie tej bandy niż pozwolić, by statek wpadł na mieliznę, a załoga znalazła się w niebezpieczeństwie.

Gdy minęło popołudnie, patrzyli, jak Księżycociemni dokonują ostatnich poprawek w

układzie ognisk. Czterej mężczyźni na cyplu ułożyli drewno w metalowym koszu zawieszonym na wysokości około dwóch metrów nad ziemią na złożonym wcześniej trójnogu. Następnie wrócili wozem na plażę. Tym razem, w dół pochyłości i z mniejszym ładunkiem, koń uzyskał lepszy czas. Will zauważył, że dwie małe beczki zostały na ziemi przy trójnogu.

W końcu wysoki, brodaty przywódca grupy wydawał się zadowolony ze stanu przygotowań. Zarządził przerwę i mężczyźni rozpalili małe ognisko, by uwarzyć posiłek. Rabusie wylegiwali się w wysokiej trawie przy plaży. Po jedzeniu usiedli i zaczęli rozmawiać. Niektórzy wyciągnęli się wygodnie i zasnęli.

- To będzie ciężka noc - zauważył Halt. Fakt, że nie wrócili do obozu, dowodził, że właśnie tej nocy zamierzają uderzyć. Will poczuł znajomy ucisk w żołądku, który pojawiał się zawsze, gdy szykował się do akcji. Dawny mentor uśmiechnął się do niego, zauważając, że odpowiedzi młodszego zwiadowcy stają się coraz krótsze i coraz bardziej zwięzłe.

- Nerwy? - spytał.

- Nie - zaprzeczył natychmiast Will. A potem to przemyślał. - No, może i tak. Jestem trochę nabuzowany, więc siedzenie z założonymi rękami i czekanie niezbyt mi pomaga.

- Taka nerwowość to nic złego - powiedział Halt. - Tylko głupcy jej nie odczuwają. Dzięki niej zachowasz czujność i nie grozi ci zbytnia pewność siebie.

Will z zaciekawieniem popatrzył na byłego nauczyciela, który wydawał się spokojny i nieporuszony. Z drugiej jednak strony, zawsze tak wyglądał, gdy miało się zdarzyć coś ważnego.

- A ty? Jesteś zdenerwowany?

Uśmiech rozdzielił siwą brodę na dwoje.

- Czuję się tak, jakbym miał w żołądku kamień i próbował go strawić.

Will był oszołomiony. Halt dokładnie opisał jego własne uczucia.

- Nigdy bym nie poznał - stwierdził, powoli kręcąc głową.

- Nauczyłem się to ukrywać - wyjaśnił starszy zwiadowca.

ROZDZIAŁ 6

- Ruszyli - powiedział Halt.

Na płaskim terenie poniżej zaczęły się pojawiać świetlne rozbłyski, które wkrótce zapłonęły jasnym blaskiem, gdy Księżycociemni rozpalili swoje ogniska i płomienie strzeliły w górę. Mroczne cienie przemieszczały się między plamami światła.

Will zerknął w górę. Cienki sierp księżycy wisiał dokładnie nad nimi i zaczął już opadać. Za kwadrans skryje się za wysokim wzgórzem.

Halt ruszył naprzód w miejsce, skąd rozciągał się dobry widok na północ. Przez jakiś czas spoglądał na morze w tamtym kierunku, wzrokiem przeszukując ciemność. Potem chrząknął cicho i wskazał.

- Jest statek - oznajmił.

Will podszedł do niego, wyężając wzrok w poszukiwaniu światła, które stanowiłoby widomy znak zbliżającego się statku. Pokręcił głową.

- Nie widzę - mruknął.

Halt wyciągnął rękę i skierował palec w górę. Powoli zgiął mały palec.

- A widzisz ten podłużny, niski półwysep... ten przedostatni? Poszukaj o trzy palce od niego, a zobaczysz.

Will też wyciągnął rękę. Zamknawszy jedno oko, wysunął trzy palce, ustawiając środkowy na wysokości półwyspu, który wskazał starszy towarzysz. Potem popatrzył na prawo od swojego palca wskazującego i - rzeczywiście, dostrzegł słaby punkcik światła na tle ciemnego oceanu.

- Jest - powiedział. Metoda z użyciem palców stanowiła element rzemiosła zwiadowców. Uwzględniając jakiś punkt odniesienia, taki jak czubek półwyspu, jedna osoba mogła powiedzieć drugiej, jak daleko patrzeć w lewo lub w prawo, po prostu prostując albo zginając palce. Jako młody uczeń Will był zdumiony skutecznością tego systemu, mimo indywidualnych różnic w wielkości dłoni i grubości palców.

Halt szacował siłę i kierunek wiatru.

- Będzie musiał płynąć pod wiatr, by się tu dostać - stwierdził. - Wieje z południa. Myślę, że potrzebuje przynajmniej dwóch godzin, by zrównać się z latarnią.

- No to pora, żebyś ruszał - uznał Will. Jego mistrz przytaknął.

- Tak. Lepiej już nie zwlekać. Możemy razem zejść na dół. Zajmij miejsce przy cyplu

od strony lądu. Potem, gdy statek będzie już na tej wysokości, wrzuć barwnik do ognia.

- Oho - mruknął młodszy zwiadowca, wskazując cypel. - Rozpalają.

Przy trójnogu widać było nikły blask. Długie języki żółtego ognia strzeliły w górę, rozświetlając noc. Wiejący od południa wiatr przechylał płomienie w bok. Gdy ogień narastał, przyciągał więcej tlenu, wywołując własny podmuch.

- To ma sens - powiedział Halt. - Skoro my widzimy stąd światło masztowe, oni wkrótce zobaczą latarnię. Nie powinna rozbłysnąć ni z tego, ni z owego. Załoga nabrałaby podejrzeń.

Przekradli się przez wzgórze w miejsce, gdzie czekały konie. Wiedząc, że to właśnie ta noc, osiodłali je wkrótce po zmroku. Poprowadzili je przez grzbiet wzgórza i pierwszą, stromą część zbocza. Potem, gdy stok zrobił się mniej spadzisty, dosiedli wierzchowców i ruszyli w dół krętą ścieżką.

Byli już niemal na dole, gdy Halt odkrył ścieżkę, odchodzącą na południe. Ściągnął wodze, a Will przystanął obok.

- Zostawię cię tutaj - oznajmił. - Powiniennem wrócić w ciągu godziny. Gdybym się nie zjawił, pamiętaj, co masz zrobić.

- Wrzucić barwnik do ognia - powiedział Will.

- Właśnie. Nie zrób tego przedwcześnie. Chcę mieć szansę schwytania tych Księżycociemnych. Tylko też za bardzo nie zwlekaj. Nie chcemy statku na mieliźnie. Na pewno masz barwnik?

Will dotknął sakwy na swoim ramieniu.

- Jest tutaj - stwierdził. - Nie martw się.

- No to w porządku. Do zobaczenia za jakąś godzinę.

Z tymi słowami zawrócił Abelarda na południe i ruszył stępą wąską ścieżyną. Po kilku chwilach zniknął z pola widzenia, pokonawszy zakręt. Will szarpnął wodze.

- Chodź, koniku - mruknął. - Mamy zadanie do wykonania.

Dojechał ścieżką do stóp wzgórza i znalazł się na płaskim terenie za drzewami. Po lewej stronie, dalej w kierunku morza, widział blask ognisk fałszywego miasteczka. Po prawej fałszywa latarnia jaśniała oślepiającym światłem. Wokół płomieni widniała dziwna, poszarpana poświata, powstała z powodu przesylenia powietrza morską solą. Trzymając się blisko ciemnego tła drzew, skierował Wyrwija niespiesznym klusem w stronę cypla.

Dotarli w miejsce, z którego cypel sięgał w głąb morza, stopniowo wznosząc się od skraju drzew, po czym opadając ku wodzie. Will zatrzymał Wyrwija i zsunął się z siodła. Czule pogłaskał szczeniaste chrapy.

- Zostań tutaj, koniku - powiedział.

Głęboki, niemal niesłyszalny pomruk z trzewi zwierzęcia powiedział mu, że wierzchowcowi nie podoba się ten pomysł.

- Wiem. Wiem - przyznał. - Wolałbyś iść ze mną i mnie chronić. Ale trochę rzucalibyśmy się w oczy, gdybym pojechał tam konno. To dwieście metrów otwartego terenu i nie mogę ryzykować, że Księżycociemni zobaczą mnie na plaży.

Umiem być bardzo dyskretny, jeśli chcę.

- Przyznaję. Ale po prostu zrób, o co proszę, dobrze?

Zawsze robię.

Wyrwij zdawał się naburmuszony. Na ogół jednak taki się zdawał, gdy Will ruszał dokądś bez niego. Był przekonany, że zwiadowca nie potrafi o siebie zadbać, chyba że on, Wyrwij, jest w pobliżu i ma go na oku.

Rozmawiając cicho ze swoim koniem, Will omiatał równocześnie wzrokiem przestrzeń cypla. Dostrzegł nieliczne występy skalne, kępy krzewów i dwa czy trzy drzewa. Niewiele kryjówek, pomyślał. Ale dla niego wystarczy.

Zaczął przyglądać się uważniej, szukając rabusia, który rozpałił latarnię. Założył, że mężczyzna wrócił do swoich towarzyszy. Nie było po nim ani śladu, nie istniała też żadna potrzeba, by pozostawał na cyplu. Will widział, ile drewna zgromadzono w żelaznym koszu. Paliwa było dość na przynajmniej dwie godziny. A gdy minie tyle czasu, wszystko się skończy.

W taki czy w inny sposób.

- Zostań - polecił Wyrwijowi. - Muszę podejść dalej, żeby zobaczyć statek, gdy podpłynie.

Będę tutaj. Krzycz, gdybyś mnie potrzebował.

- Tak zrobię. - Will uśmiechnął się, a potem oddalił się przez omiataną wiatrem trawę, pochylony, przekradając się gładko od cienia do cienia. Zwykły obserwator straciłby go z oczu po dziesięciu metrach. Wyrwij, który miał wyczulone zmysły i znał umiejętności swojego pana, nadażał za nim bez trudu. Mimo to z aprobatą pokiwał łbem.

Widzę cię. Ale szczerze wątpię, by mógł cię zobaczyć ktokolwiek inny.

Mniej więcej siedemdziesiąt metrów od fałszywej latarni rosło rachityczne drzewo, sękaty i powyginane od nieustannych morskich wiatrów, wiejących tu przez dwadzieścia lat jego życia. Will wśliznął się bezgłośnie w jego cień i usiadł, opierając się plecami o zniszczony pień. Siedział bez ruchu, z naciągniętym kapturem, i starał zlać się z tłem ciemnego drewna.

- Zaufaj płaszczeni - mruknął do siebie. Ze swojego miejsca widział plażę i układ ognisk, jaśniejącą żółtym blaskiem latarnię i ciemne morze z tyłu. Wcześniej sierp księżyca nadawał wodzie srebrzysty poblask. Teraz, gdy księżyc już dawno się schował, woda przypominała ogromną, mroczną masę. Gdy Will wytężył słuch, słyszał łagodny dźwięk fal, rozbijających się o brzeg.

Nawet warunki sprzyjają Księżycociemnym, pomyślał. Przy innej pogodzie na morzu widać byłoby bałwany, a charakterystyczne rozbłyski białej piany zdradzałyby umiejscowienie plaży. A teraz maleńkie fale ledwie marszczyły się przy brzegu.

Wstał, skierował wzrok na północ, rozglądając się powoli. Podzielił morze na segmenty i po kolei starannie je przeszukiwał w nadziei, że znowu uda mu się dostrzec statek.

W końcu go zauważył. Znajdował się na wysokości dalszego odcinka linii brzegowej, niż się spodziewał, a także dalej od samego brzegu. Wyglądało na to, że kończy długi rejs. Zapewne kapitan próbował pokonać jak największą odległość wzdłuż linii brzegowej, zanim wykona zwrot pod wiatr i skieruje się w stronę lądu - a także fałszywej latarni, którą zapewne już widział.

Will patrzył, jak punkcik słabego światła przesuwają się na południowy zachód jeszcze przez dziesięć minut. Później zdawało się, że stanął w miejscu, i zwiadowca zmarszczył brwi, zastanawiając się, co się dzieje. Potem znowu dostrzegł ruch, chociaż tym razem światło przemieszczało się ku niemu pod łagodnym kątem.

Z niepokojem popatrzył na plażę. Ogniska i lampy, składające się na fałszywe miasteczko, wciąż świeciły bardzo wyraźnie. Nie widział jednak nawet śladu Księżycociemnych. Ani Halta.

Jeszcze raz wyjrzał na morze i zdziwił się, jaką odległość pokonał statek, odkąd odwrócił wzrok. Wydawało się, że znalazł się bardzo blisko brzegu, na tyle blisko, że widział już niewyraźną poświatę w słonym powietrzu wokół światła masztowego. Nerwowo przestąpił z nogi na nogę. Za chwilę powinien zacząć działać. Jeszcze raz popatrzył w kierunku plaży. Ani śladu Halta, żadnych odgłosów walki.

Może mieszkańcy Hambley odmówili mu pomocy? Może obezwładnili go i uwięzili? Gdyby tak się stało, uświadomił sobie Will, Halt znalazłby się w poważnym niebezpieczeństwie. Miejscowi, jeśli odmówili zwiadowcy, nie mogli zostawić go przy życiu, by na nich nie doniósł. Przez chwilę Will chciał wrócić biegiem do czekającego Wyrwija i pocałować do wioski na ratunek swemu mistrzowi.

Miał jednak zadanie do wykonania, a czas uciekał.

Przymocowawszy łuk w bezpiecznym położeniu na ramieniu, ruszył w kierunku

latarni.

Szedł pochylony, nisko, przy ziemi. Poruszał się jednak z dużą prędkością, wspinając się bezgłośnie na łagodną pochyłość. Gdy znalazł się bliżej, usłyszał trzask płonącego drewna. Na otwartym terenie cypla, wystawionym na działanie morskiej bryzy, płomienie rozciągały się w bok niczym długie, skrzące się wstęgi i rozsiewały deszcz iskier, znikający na tle nocnego nieba. Mimo że Will nie podszedł jeszcze bardzo blisko, czuł gorąco na policzkach.

Znalazłszy się bliżej latarni, widział tylko krąg otaczającego ją jasnego światła. Poza jego granicami była tylko czerń. Osłonił oczy przed blaskiem płomieni i wyjrzał na morze. Statek tymczasem podpływał bliżej. Dłoń zwiadowcy powędrowała do sakwy, gdzie spoczywał barwnik, owinięty impregnowaną tkaniną. Zaczął odpinać pasek, by otworzyć pakunek, gdy wyczuł ruch w mroku po prawej.

- Co ty, do licha, wyprawiasz?

Odruchowo rzucił się w bok. Poczł podmuch, gdy topór bojowy śmignął obok niego, chybiając ledwie o centymetry.

ROZDZIAŁ 7

Will momentalnie zerwał się na nogi i saksa jakby sama wyskoczyła z pochwy do jego dłoni. Zatoczył krąg, by stanąć plecami do ognia, i zmierzył przeciwnika wzrokiem.

Był wielki i potężny, ale poruszał się z nadspodziewaną lekkością. Mężczyzna dorównywał zwinnością Willowi, był szybki i nie tracił równowagi. W rękę dzierzył topór o długim stylisku i pojedynczym ostrzu.

Bez ostrzeżenia napastnik zatoczył bronią świszczący, śmiercionośny łuk. Will odskoczył w tył, ledwie unikając masywnego ostrza. Później, gdy spróbował znów się zbliżyć, tamten z niewiarygodną prędkością odwrócił kierunek ciosu i zamachnął się obuchem niczym ciężką maczugą czy młotem, znowu zmuszając Willa, by odskoczył.

Ten drugi skok oddalił go od latarni. Zastanawiał się, czy nie posłużyć się saksą, ale poznał już szybkość napastnika. Istniała szansa, że odbije nóż, a wtedy Will zostanie bez broni, nie licząc małego noża do rzucania. Postanowił, że rzut saksą zostawi sobie jako absolutną ostateczność.

Cofnął się, nie odrywając wzroku od topora, który w blasku płomieni załśnił na żółto. Musiał wrócić do fałszywej latarni i zrobić użytek z barwnika. Ale ciągle krążyli wokół siebie; teraz przeciwnik znalazł się pomiędzy nim a ogniem.

Willowi przyszło do głowy, by wyciągnąć nóż do rzucania i użyć obydwu ostrzy naraz. Potem nagle przypomniał sobie, jak wiele lat temu, w Celtii, Horace wypytywał Gilana o właściwą taktykę przeciwko rywalowi uzbrojonemu w topór.

- Nikomu nie radziłbym stawać przeciwko toporowi tylko z dwoma nożami - powiedział mu wówczas Gilan. Will przypomniał sobie, że tamta sesja ćwiczeń zakończyła się sugestią Gilana, że najlepszym pomysłem może być skok z urwiska.

Nagle mężczyzna zamachnął się znowu i Will instynktownie podniósł sakse, by sparować cios. Zamach jednak okazał się zmyłką i napastnik, który umiał nadzwyczaj mocno pracować nadgarstkami, w ostatniej chwili zmienił kierunek uderzenia, trafiając sakse w środek klingi. Rozległ się donośny brzęk i siła uderzenia wyrwała zwiadowcy z ręki wielki nóż, który poleciał przez cypel, odbijając płomień w wirującym ostrzu. W ostatniej chwili Will zdołał umknąć przed kolejnym ciosem, wykonując jeszcze jeden rozpaczliwy skok.

Teraz znalazł się jeszcze dalej od latarni. Nie miał czasu, by spojrzeć i sprawdzić, jak blisko podpłynął już statek. Ten mężczyzna był zbyt dobry, zbyt szybki. Musiał w jakiś

sposób zneutralizować jego topór, który miał ogromny zasięg. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wezwać Wyrwija. Ale już w następnej porzucił tę myśl. Topory o długich styliskach zaprojektowane były jako broń piechoty do walki z konnymi wojownikami, przede wszystkim z ich końmi. Wyrwij ruszyłby do szarży, by ratować swego pana, a wówczas prawie na pewno zostałyby zabity lub okaleczony uderzeniem tej straszliwej broni.

Zwiadowcy przyszedł do głowy pewien pomysł. Zdjął łuk z ramienia i chwycił łączysko wyprostowaną prawą ręką poniżej uchwytu.

- Czyli zamierzasz mnie zastrzelić, tak? - Mężczyzna wyszczerzył się do niego.

W chwili, gdy Will sięgnie po strzałę, topór rozpląta go od ramienia do pasa i obaj o tym wiedzieli.

Will przeniósł ciężar ciała na lewą nogę, kierując się z powrotem do latarni. Jego przeciwnik kilka razy pozorował cios, a zwiadowca ruchem tancerza umykał poza jego zasięg. Za każdym jednak razem udawało mu się nieco przybliżyć do ognia.

Zsunął sakwę z drugiego ramienia. Trzymał ją za pasek i wymachiwał nią w przód i w tył, jakby wygrażał przeciwnikowi. Oczy tamtego zwęziły się, gdy obserwował ruch torby.

Następnie zwiadowca wykonał szeroki wyrzut i pasek zaczepił się o krawędź metalowego paleniska, a sakwa wpadła do ognia. Był to zupełnie niespodziewany ruch i mężczyzna, który oczekiwał, że Will użyje jej jako broni i uderzy go w głowę albo w twarz, mimowolnie podążył za nią wzrokiem. Stracił koncentrację ledwie na ułamek sekundy, ale tyle wystarczyło. Zwiadowca postąpił naprzód i nasunął łuk na topór, tak że ten znalazł się w wąskiej przestrzeni między łączyskiem a naprężoną cięciwą.

Cięciwa to nie był byle jaki sznurek, lecz naprawdę mocny sznur, który musiał wytrzymać osiemdziesięciofuntową siłę naciągu. Will szarpnął łuk w tył, ciągnąc ostrze topora w dół. Przeciwnik próbował wyrwać broń i przez chwilę siłowali się ze sobą. Will trzymał łuk w prawej ręce, przez co niezręcznie mu było wyciągnąć nóż do rzucania. Poszperał w kieszeni. Znalazł kastet, po czym wyjął go i zacisnął lewą pięść na ciężkim mosiężnym kształcie.

Tamten wciąż próbował wyszarpnąć topór, obracał go, usiłując wyrwać ostrze ze słabego uchwytu łuku i cięciwy. Will wiedział, że ma tylko kilka sekund. W każdej chwili łączysko mogło nie wytrzymać.

WUUUUUCH!

W żelaznym palenisku nastąpił potężny wybuch. Oślepiający słup ognia wystrzelił w powietrze prawie na dziesięć metrów.

- Co... - Mężczyzna z toporem wyrzucił w górę lewą rękę instynktownym ruchem,

chcąc się osłonić przed nagłą eksplozją. Gdy odwrócił się, oszołomiony, do latarni, odsłonił szczękę, a wtedy Will z całej siły machnął kastetem i nieskomplikowanym sierpowym trafił w cel, w czułe miejsce na skroni.

Poczuł, że uścisk na toporze słabnie i broń wypada z rąk rywala na trawę, ciągnąc za sobą wierzchołek łuku. Chwilę później przeciwnik też walnął o ziemię, z wywróconymi oczami, luźnymi kończynami i ciałem bezwładnym niczym u szmacianej lalki.

Will chwiejnym krokiem oddalił się od buchającej ogniem latarni. Drobiniki fioletowego popiołu, wirując spływały z ciemnego, nocnego nieba wprost na niego. Osłaniając oczy, wyjrzał na morze. Statek zawrócił i oddalał się od plaży, kierując się na bezpieczne wody.

Dopiero teraz do zwiadowcy dotarły krzyki na brzegu i szczęk broni. Odwrócił się i spojrzał. W blasku ognisk i latarni widać było liczny tłum mężczyzn, znacznie przekraczający początkową liczbę Księżycociemnych. Bili się między sobą, lecz na jego oczach walka słabła i było jasne, że jedna z grup zyskała przewagę nad drugą. Pozostałych zmuszono, by usiedli na plaży z rękami na głowach i pod czujną strażą. Will nie był zaskoczony na widok znajomej, odzianej w płaszcz postaci, kroczącej wśród zwycięzców, gestykującej i wydającej rozkazy.

Podszedł do leżącego topornika, który zaczął się poruszać. Przewrócił go twarzą na dół i unieruchomił mu ręce na plecach za pomocą rzemiennych kajdanek na kciuki. Potem osunął się zmęczony na trawę, by poczekać na Halta.

Gdy kilka dni później jechali do domu, na twarzy Halta zagościł uśmiech. Większość Księżycociemnych została pojmana z pomocą straży z Hambley. Dwaj bandyci zdołali zbiec w zamieszaniu, które zapanowało na plaży, ale pozostała czternastka nie mogła uciec. Co najważniejsze, wśród więźniów znalazł się wysoki brodac, herszt bandy.

Halt i Will odeskortowali ich, skutych razem łańcuchem i ze skrępowanymi dłońmi, do najbliższego zamkowego garnizonu, gdzie miejscowy pan z radością znalazł dla nich miejsce w swoim lochu. Mieli być sądzeni podczas najbliższej sesji. Po tym, jak zamkowy sekretarz spisał złożone pod przysięgą zeznanie zwiadowców, nie było wątpliwości, że zbrojcy zostaną skazani. Ogólnie biorąc, misja zakończyła się bardzo dobrym wynikiem. Halt zauważył jednak, że młody przyjaciel nie podziela jego zadowolenia.

- Co cię gryzie? - spytał.

Will odwrócił się do niego, nadąsany.

- Nie zaczynaj. Wystarczająco często słyszę to od Wyrwija.

Mówię to lepiej niż on.

- Tak czy owak - powiedział Halt, na pozór nieświadomy, że koń wtrącił się do rozmowy - to była dobra operacja. Pokonaliśmy Księżycociemnych, złapaliśmy ich przywódcę i uratowaliśmy statek wraz z załogą. Powinieneś być zadowolony.

- Zniszczyłem sobie łuk podczas walki - stwierdził Will. - Górne ramię jest potwornie wykręcone. Już nigdy nie będzie prosto strzelał.

Siwobrody zwiadowca wzruszył ramionami.

- Zawsze możesz wymienić broń - zauważył. - Nie da się za to wymienić głowy.

- To był mój ulubiony łuk - odparł młodzieniec.

Halt uniósł brwi.

- No tak, dlatego był znacznie cenniejszy od twojej głowy.

Will westchnął.

- Chyba masz rację - przyznał. - Zawsze mogę zrobić nowy łuk. Ale było coś jeszcze...

Urwał i starszy towarzysz odwrócił się w jego stronę, marszcząc czoło i zastanawiając się, co też Will ma na myśli. Zauważył, że od walki z topornikiem na cyplu jego zwykle wylewny przyjaciel stał się dość małomówny. Niewiele opowiadał o tym spotkaniu i Halt zastanawiał się, czy w istocie nie groziło mu większe niebezpieczeństwo, niż chciał przyznać. Może to starcie podkopało jego pewność siebie, pomyślał.

- Coś jeszcze? - ponaglił. Jeśli świadomość Willa zareagowała w jakiś sposób na pojedynek z Księżycociemnym, lepiej, żeby młodzieniec powiedział o tym otwarcie, zamiast dusić wszystko w sobie.

- Zapomniałem... - powiedział żałośnie młody zwiadowca. - Kiedy wrzuciłem sakwę do ognia, zapomniałem, że w środku była moja mowa.

Halt potrzebował kilku chwil, by w pełni pojąć rozmiary tragedii. Potem przemówił z ogromną rozważą.

- Wrzuciłeś swoją mowę do ognia?

Will z rezygnacją skinął głową.

- Tak.

- I... będę miał rację, jeśli założę, że to był jedyny egzemplarz tego tekstu?

- Tak.

Nastąpiła dłuższa przerwa. W końcu starszy zwiadowca zadał kolejne pytanie.

- Nie robiłeś żadnych notatek?

- Owszem, robiłem. Właściwie całkiem sporo.

- Aha. Rozumiem.

- Ale... one też były w tej sakwie. - Will pokręcił głową i odwrócił się do swego mistrza. - To była taka świetna mowa! Pracowałem nad nią całymi tygodniami.

- Wiem - odrzekł Halt. Usilnie się starał, by jego głos pozostał obojętny.

Przez kilka minut jechali w milczeniu. Potem Halt ostrożnie wrócił do tematu.

- Może przypadkiem chociaż częściowo ją pamiętasz? - spytał.

Młodzieniec zaprzeczył.

- Ani słowa. Ciągle próbuję sobie przypomnieć. Ale nie przychodzi mi do głowy ani jedno zdanie.

- Wiesz, dobrą mowę zazwyczaj się pamięta - stwierdził Halt, próbując zachować powściągliwość. Stąpał po cienkim lodzie, a gdy poprzednim razem rozmawiał na ten temat z młodszym towarzyszem, Pauline zrugła go za brak wrażliwości.

- Chyba tak - zgodził się Will.

- Czy fakt, że nie pamiętasz z niej ani słowa, nic ci nie mówi?

Will ściągnął brwi. Ta myśl nie przyszła mu do głowy i nie wiedział, czy w ogóle chce brać ją pod rozwagę.

- Chcesz powiedzieć, że być może ta mowa nie była taka dobra?

- Nie. Sam to mówisz. Ujmę to inaczej. Dla kogo ta mowa? - W pytaniu zabrakło orzeczenia, lecz Halt nieraz nie zważał na gramatykę w imię zwięzłości i klarowności przekazu.

- Dla kogo? No, dla...

Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, Halt mu przerwał.

- Dla króla, dla barona, a może dla setek gości, którzy bez wątpienia się zjawią?

- Nie.

- Dla jakiegoś przyszłego historyka, który będzie przeglądał kroniki i natrafi na relację z wesela?

- Nie.

- Więc dla kogo?

Will niespokojnie poruszył się w siodle. Rozumiał teraz, do czego zmierza rozmówca.

- Wydaje mi się, że dla Horace'a i Evanlyn.

- Wydaje ci się?

- Ja to wiem. Dla Horace'a i Evanlyn. - Tym razem w jego głosie pobrzmiwała pewność.

Halt kilka razy pokiwał głową.

- I co chcesz im powiedzieć?

- Nie wiem... Chyba chcę powiedzieć, że... kocham ich oboje. Że są dwojgiem moich najdroższych i najstarszych przyjaciół. Że nie umiem sobie wyobrazić lepiej dobranej pary niż oni.

- Czemu nie?

- Bo oboje są dzielni, lojalni i całkowicie szczerzy. Są po prostu do siebie świetnie dopasowani. Ona jest bystra, pełna życia i wesoła. On zaś niezłomny i godny pełnego zaufania. I nie mniej wesoły na swój własny, spokojny sposób. Bez chwili wahania powierzyłbym każdemu z nich swoje życie. W przeszłości już to robiłem.

Przerwał i zadumał się, pierwszy raz słysząc swoje słowa i swoje prawdziwe myśli, pozbawione fałszywych upiększeń i napsuszonych sformułowań.

- Coś jeszcze?

- Nie wiem... Tak. Jeszcze jedno. Chcę, by wiedzieli, że gdyby kiedykolwiek mnie potrzebowali, gdyby kiedykolwiek musieli skorzystać z mojej pomocy, będę gotowy im jej udzielić bez względu na wszystko.

- I to chcesz powiedzieć? - dopytywał Halt.

Will zastanowił się, a w końcu pokiwał głową.

- Tak - potwierdził. Teraz w jego głosie nie brakowało pewności siebie, co starszy zwiadowca stwierdził z dużym zadowoleniem.

- A myślisz, że to właśnie chcą usłyszeć?

- Tak. Tak myślę.

Halt ściągnął wodze, a Will zatrzymał Wyrwija przy nim. Obrócili się w siodłach, twarzami do siebie, a starszy zwiadowca rozłożył ręce i unióśł brwi.

- A zatem to właśnie powinieneś powiedzieć.

Na twarzy Willa zagościł kwaśny uśmiech.

- Ta mowa, którą napisałem - zagadnął - była okropna, prawda?

- Tragiczna - odparł Halt, po czym nie mógł się powstrzymać, by nie dodać: - I mówię to z poczuciem najwyższego spełnienia w sercu.

Młodzieniec skrzywił się, gdy wróciło do niego wspomnienie tego zdania.

- Naprawdę to napisałem? - spytał.

Halt skinął głową.

- O tak. Naprawdę to napisałeś.

- No to dobrze, że wrzuciłem tekst do ognia - stwierdził Will. Cmoknął i Wyrwija znowu potruchtął traktem. Halt pognął Abelarda za nim. Przez kilkaset metrów jechali obok siebie, znowu bez słowa.

W końcu starszy zwiadowca odezwał się z namysłem:

- Nie wiedziałem, że twoja mowa była w sakwie. Widzisz, wyjaśnia to jedną rzecz, która mnie zastanawiała... - Niedokończone zdanie zawisło w powietrzu, więc Will musiał zadać pytanie:

- Jaką?

- Czemu płomienie stały się fioletowe. To nie przez barwnik, tylko przez tę kwiecistą mowę.

- I pewnie wszystkim o tym opowiesz, co? - spytał Will.

Na obliczu Halta zakwitł błogi uśmiech.

- Ma się rozumieć - odrzekł.

**KOLACJA
DLA PIĘCIORGA**

ROZDZIAŁ 1

Już chyba dziesiąty raz w ciągu ostatnich kilku minut Jenny rozejrzała się po wnętrzu swojej jadalni. Wszystko wydawało się w najlepszym porządku. Stoły ustawione były równo, a krzesła otaczały je w doskonałej symetrii. Każdy blat okrywał obrus w czerwono-białą kratę, a sztucce lśniły na swoich miejscach. Przeszła szybko pomiędzy stolami, sprawdzając, czy noże i widelce leżą po właściwej stronie nakryć. Szef kelnerów, Rafe, podążał za nią pełen niepokoju.

Był pracowitym i lojalnym podwładnym, pełnym dobrych chęci, wesołym i uczciwym. Właściwie miał wszystkie cechy, jakich mogła oczekiwać od szefa kelnerów. Miał też jedną wadę - niefortunną skłonność do mylenia lewej strony z prawą. To oznaczało, że od czasu do czasu zdarzało mu się odwrócić ułożenie sztucców, a dla takiej perfekcjonistki, jak Jenny, podobna sytuacja stanowiła źródło najwyższej irytacji.

Jakiś czas temu Will w pewnym stopniu rozwiązał ten problem. Zwrócił uwagę Rafe'a, że nóż przypomina mały miecz, więc należy go trzymać w tej samej ręce, co broń. Ta prosta technika zapamiętywania okazała się nad wyraz skuteczna. Przez kilka kolejnych tygodni Rafe podczas nakrywania stołów wykonywał co jakiś czas markowany cios mieczem, by ustalić, która ręka jest która i gdzie należy układać noże. Wyglądało to dość komicznie, ale najwyraźniej przynosiło zamierzony efekt.

Jenny zauważyła jednak, że czasami nabierał zbytnej pewności siebie i kładł sztucce tak, jak podpowiadał mu instynkt. Wtedy w tajemniczy sposób zamieniały się miejscami, a temperament Jenny, zawsze buzujący, po prostu wybuchał.

Jej przyjaciółka Alyss, z dyplomatycznym talentem do kompromisu, zaproponowała, że dla rozwiązania tej kwestii można po prostu zawinąć nóż i widelec razem w serwetkę i położyć pośrodku nakrycia. Jenny jednak była uparta.

- Prawa to prawa, a lewa to lewa - powiedziała. - Czemu nie może się tego nauczyć?

Czuła za sobą obecność Rafe'a, gdy sprawdzała lokal. Kątem oka widziała, że jego prawa dłoń wykonuje nieznaczne, urywane ruchy - pozorowane uderzenia mieczem - gdy kontrolował rozkład każdego nakrycia. Popatrzawszy na ostatni stół, odwróciła się do niego i pokiwała głową.

- Wszystko w porządku, Rafe. Dobra robota. - Zobaczyła, że ramiona opadają chłopakowi z ulgą, a szczerą twarz rozpromienia radosny uśmiech.

- Dziękuję, pani Jenny. Staram się, jak mogę.

- Wiem - odrzekła. Poklepała jego dłoń i przez chwilę pożałowała wszystkich tych sytuacji, w których obrywał od niej w głowę chochlą, bo nie udawało mu się sprostać jej wysokim wymaganiom.

Ale tylko przez chwilę.

Teraz ruszył za nią do kuchni, gdzie pomagająca Jenny kucharka ciężko pracowała przy krojeniu i szatkowaniu składników wieczornego posiłku. Podkuchenni biegali tu i tam, donosząc żywność ze spiżarni, wycierając talerze i garnki, aż lśniły. Gdy pojawiła się Jenny, tempo krzątania zauważalnie wzrosło.

Rafe mógł sobie pozwolić na większy optymizm w kwestii tej części inspekcji. Gdyby coś było nie tak w kuchni, on nie mógł ponosić za to winy. Jenny obrzuciła pomieszczenie badawczym spojrzeniem. Ku pewnemu rozczarowaniu Rafe'a, najwyraźniej nie miała żadnych zastrzeżeń. Chętnie popatrzyłby, jak ktoś inny dostaje w tył głowy chochlą od właścicielki. Teraz wskazała rząd kaczek, nadzianych na długi metalowy rożen, o skórze lśniącej od oleju z przyprawami, którymi je wysmarowano.

- Pamiętajcie, by kaczki trafiły na ogień nie później niż o czwartej - poleciła. Kucharka podniosła wzrok znad deski do siekania ziół, zdmuchnęła z oczu niesforny kosmyk włosów i pokiwała głową.

- Dobrze, pani Jenny - powiedziała.

- I dopilnuj, żeby Norman regularnie je obracał. Muszą się równomiernie upiec.

- Tak jest. Norman? Słyszałeś, co pani mówiła? - zawołała do młodego pomocnika, który właśnie niósł kosz ziemniaków ze schowka na warzywa.

- Tak, panno Ailso. Tak, pani Jenny. Będę je obracał. Nie ma obaw.

Jenny pokiwała głową. Kaczki na rożnie trafią nad duże otwarte palenisko w sali jadalnej. Będą regularnie obracane, aby skóra upiekła się równomiernie na chrupki, złoty brąz. Tłuszcz, kapiący na żar, będzie skwierczał i syczał, wypełniając pomieszczenie smakowitym zapachem, aż wszystkim pocieknie ślinka. Od swojego mentora, kuchmistrza Chubba, Jenny dowiedziała się, że dobra restauracja nie obejdzie się bez pewnej dozy spektaklu. Kaczek było tylko sześć, ale stopień ich wpływu na atmosferę w lokalu znacząco przewyższy tę stosunkową niewielką liczbę.

- Bardzo dobrze. - Rzuciła ostatnie spojrzenie dookoła, próbując znaleźć coś, co byłoby nie w porządku, coś, co wymagałoby poprawy, i nic takiego nie znalazła. Pracownicy patrzyli na nią nerwowo. Pierwszy raz od wielu miesięcy miała nie nadzorować osobiście tego, co będzie się działo w lokalu. Była trochę jak młoda matka, która pierwszy raz zostawia

swoje małe dziecko pod czyjąś opieką.

Tylko wyjątkowe okoliczności mogły sprawić, że Jenny powierzała im jadłodajnię. Zarówno Rafe, jak i Ailsa dobrze o tym wiedzieli. Ale też okazja była wyjątkowa. Dziś wieczorem gotowała w swoim domku romantyczną kolację dla dwojga, bo miał się zjawić szczególny gość.

Bardzo szczególny gość.

Tego wieczoru na kolację przychodził młody, przystojny zwiadowca Gilan.

Jenny bez wahania odwróciła się plecami do lokalu i ruszyła główną ulicą Wensley. Czowała się dziwnie, że o tej porze nie przebywa w kuchni, gdzie trwały przygotowania do kolacji. Zostawiła tam jednak Ailsę oraz Rafe'a i musiała wierzyć, że dobrze ich przeszkoliła.

- W końcu mnie też należy się czasem wolne - mruknęła, opierając się dojmującemu pragnieniu, by popędzić z powrotem i sprawdzić, jakie to katastrofy nastąpiły przez te dwie i pół minuty, odkąd wyszła.

Weszła do rzeźnika w połowie głównej ulicy. Edward, rzeźnik, podniósł wzrok i uśmiechnął się na jej widok. Była doskonałą klientką, ma się rozumieć, kupowała bowiem dużo mięsa do swojej jadłodajni. A do tego była nadzwyczaj ładna. Właśnie z takimi damami uwielbiali flirtować rzeźnicy na całym świecie.

- A, pani Jenny. Wyglądasz jeszcze piękniej niż zwykle! - zagrzemiał. - Wpuściłaś światło niezwykłego piękna do mojego ciemnego sklepika.

Jenny przewróciła oczami.

- Sprzedajesz dzisiaj kit zamiast mięsa, Edwardzie?

Roześmiał się, niezbity z tropu.

- Aaa, wytrzymaj ze mną. Przychodzi tu niewiele tak pięknych kobiet i powinnaś o tym wiedzieć. Stanowisz rzadką rozkosz dla moich biednych, starych oczu.

Edward miał ledwie trzydzieści pięć lat. Ale typową cechą rzeźników jest traktowanie wszystkich klientek tak, jakby były od nich znacznie młodsze. Wobec nieco starszych gospodyń była to zapewne dobra taktyka, pomyślała Jenny.

- Masz to, co zamówiłam? - spytała. Lubiła panującą w tym sklepie serdeczną, miłą atmosferę, ale akurat dzisiaj się spieszyła. Edward zwrócił się do czeladnika, który przysłuchiwał się wymianie zdań z uśmiechem.

- Dilbercie, przynieś zamówienie panny Jenny - polecił rzeźnik, po czym dodał: - Elyb okbysz.

Kobieta uśmiechnęła się do siebie. Była to kolejna cecha rzeźnickiego fachu:

specjalny język, polegający na wypowiedaniu słów od tyłu. Pozwalał rzeźnikom na prowadzenie prywatnych rozmów, nawet gdy sklep był pełen klientów. Czasami wymieniane uwagi dotyczyły samych nabywców, chociaż ci nie mieli bladego pojęcia, o czym mowa. Edward najwyraźniej ćwiczył Dilberta w tej dziwnej mowie.

Jenny odkryła to dziwne zjawisko już jakiś czas temu i sama w tajemnicy ćwiczyła mówienie od tyłu. Teraz uśmiechnęła się, gdy Dilbert ruszył w kierunku składziku.

- Ybo ot łyb yndał ceidzu ycęingaj - powiedziała słodko i zarówno rzeźnikowi, jak i jego pomocnikowi opadły szczęki, gdy usłyszeli, że kobieta liczy na ładny udziec jagnięcy. Edward pospiesznie poszperał w pamięci, próbując sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek powiedział o Jenny coś obraźliwego w rzeźnickiej mowie. Zdawało mu się, że nie, ale pewności nie miał. Wyczuwając niepokój Edwarda, uśmiechnęła się do niego.

- Nigdy się nie dowiesz - stwierdziła, a on pospiesznie odwrócił od niej wzrok i na powrót zajął się krojeniem rumsztyku w grube plastry.

Dilbert wrócił i położył przyniesiony udziec jagnięcy na ladzie, by Jenny mogła go obejrzeć. Mięso było najwyższej jakości, a biel połyskującego na krawędziach tłuszczu stanowiła potwierdzenie jego świeżości. Kobieta omiotła swój przyszły zakup krytycznym spojrzeniem, lekko marszcząc brwi. Nigdy nie pokazywała Edwardowi, że jest w pełni usatysfakcjonowana. Trąciła udziec i poczuła lekką sprężystość mięsa, następnie pacnęła go otwartą dłonią, aż rozległo się donośne klaśnięcie. Pokiwała głową, zadowolona z tego dźwięku. Gdyby ktoś ją spytał, nie umiałaby wyjaśnić, czemu zawsze sprawdza mięso, uderzając je dłonią. Była to po prostu część rytuału, który wykształcił się u niej przez lata. A może podpatrzyła to zachowanie u swojego mistrza?

- W porządku, Edwardzie. Zapakuj.

Edward skinął głową Dilbertowi i chłopak wyciągnął zwój czystego muślinu i zaczął zawijać udziec. W tym czasie rzeźnik zerknął chytrze na klientkę.

- Nie za dużo dla dwojga? - spytał.

Pokręciła głową. Sądziła, że jej kolacja z Gilanem to prywatna sprawa, choć powinna już wiedzieć, że w tej wiosce niczego nie da się utrzymać w tajemnicy. Edward miał jednak rację. Udziec był dość duży, jak na nią i zwiadowcę. Oceniała, że waży ze trzy kilogramy. Lecz jeśli coś zostanie, będzie z pożytkiem wykorzystane.

- To, czego nie zjemy, oddam sierotom z przytułku - wyjaśniła.

Uniósł brwi.

- Mają szczęście te sieroty - stwierdził. Znał reputację Jenny jako kucharki.

Włożyła zapakowany udziec do koszyka.

- Dzięki, Edwardzie - powiedziała. - Ładny kawałek mięsa. Postaram się przyrządzić go tak, jak na to zasługuje.

Uśmiechnęła się, dziękując także Dilbertowi, po czym wyszła ze sklepu.

ROZDZIAŁ 2

Trzej mężczyźni od tygodnia obserwowali wioskę, a zwłaszcza dom i warsztat jubilera. Tomas stwierdził, że nadeszła pora na działanie. Ruchem kciuka wskazał ciężkie, wzmocnione żelazem frontowe drzwi domu, po czym wypowiadając słowa półgębkiem, zwrócił się do Nuttala:

- Dobra. W drogę.

Nuttal był najmniejszy z całej trójki. Szczupły, o rysach nieco przypominających fretkę i ze skłonnością do nagłych, nerwowych ruchów. Tomas wybrał go do tego zadania właśnie w uwagi na mikrą posturę. To on spośród nich trzech był najbardziej niepozorny i sprawiał najmniej groźne wrażenie.

Nuttal przeszedł ulicą w stronę domu Ambrose'a, nerwowo rozglądając się dookoła. Tomas pozwolił mu pokonać połowę drogi, po czym szturchnął Mounda.

- Dobra. Dawaj!

Pospiesznie ruszyli ulicą, kierując się w stronę bocznej ściany domu. Zobaczyli, jak Nuttal zbliża się do drzwi wejściowych, po czym sięga pod kaftan po małą, skórzaną sakiewkę. Następnie pognali bocznym zaułkiem do małego okienka, które zauważyli kilka dni wcześniej.

Ambrose, złotnik i jubiler z Wensley, szykował się do popołudniowej pracy. Był przywiązany do swoich nawyków i rytuałów, które przestrzegał każdego dnia.

Rankiem pracował przy biurku, sprawdzał rachunki od dostawców i kwity wystawione klientom. Potem zajmował się projektami biżuterii, szkicując nowe pomysły na delikatnym welinie za pomocą zaostrego grafitowego rysika.

W południe porządkował papiery na zawalonym stole roboczym, który służył mu za biurko. Później wstawał, wychodził z budynku, starannie sprawdzał, czy zarówno frontowe, jak i tylne drzwi są porządnie zamknięte, po czym udawał się do karczmy w wiosce na obiad.

Tak jak wszystko inne, obiad również był kwestią nawyku. Ogórki kiszone, smaczny ser i świeży chleb, popijane połową kufła piwa. Później, po krótkiej rozmowie z innymi klientami w sali, wracał do domu, gotowy rozpocząć prawdziwą pracę, czyli wytwarzanie i naprawę srebrnej biżuterii.

Dzisiaj, tak jak co dzień, starannie zamknął za sobą drzwi wejściowe i udał się do

kuchni, gdzie ukląkł na jedno kolano przed kominkiem. Wybrał konkretny kamień posadzki, oznaczony dwoma pozornie przypadkowymi rysami - wiele kamieni było porysowanych i nikt postronny nie uznałby tych oznaczeń za szczególne. Gdy jednak Ambrose wsunął tępo zakończony nóż w szczelinę między tym kamieniem a sąsiednim, z łatwością go podważył, odsłaniając małe zagłębienie pod spodem. Sięgnął do środka i wyciągnął duży żelazny klucz, po czym podniósł się na nogi i poszedł do swojej pracowni.

Przy stole roboczym stała solidna, budząca respekt kasa pancerna. Miała półtora metra wysokości i metr szerokości. W środku trzymał zapas surowców - sztaby srebra i drogie kamienie. Czasami, gdy miał zaległości w pracy, wewnątrz znajdował się niewielki majątek w srebrze i klejnotach. To nie był jeden z takich dni, ale w kasie i tak było sporo szlachetnego metalu.

Właśnie wkładał klucz do zamka kasy pancerniej, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

Wysunął klucz i zawahał się przez sekundę czy dwie, zastanawiając się, czy powinien umieścić go z powrotem w kryjówce. Pukanie powtórzyło się i podjął decyzję. Zostawił kasę pancerną na miejscu, a klucz wsunął do bocznej kieszeni długiej roboczej kamizelki, którą miał na sobie. Następnie przeszedł przez dom do drzwi.

Ktokolwiek stał za nimi, znowu zaczął pukać, tym razem głośniejszym i natarczywiej.

- Dobrze! Idę już, idę!

Sięgnął do drzwi, ale zamiast je po prostu otworzyć, odblokował osłonę małego judasza w górnej części. Odchyłała się do środka, dzięki czemu mógł wyjrzeć przez prostokątny otwór, zabezpieczony dwoma żelaznymi prętami, osadzonymi w drewnie.

Na zewnątrz stał drobny i dość niechlujny mężczyzna, nerwowo przestępujący z nogi na nogę. W rękach trzymał mały skórzany woreczek.

- Czego pan chce? - spytał Ambrose opryskliwym tonem. Takt i urok osobisty nie leżały w jego naturze. Tamten podniósł wzrok i zobaczył oczy gospodarza, okolone otworem judasza. Podniósł woreczek, by Ambrose go zobaczył.

- To naszyjnik mojej matki. Widzi pan?

Jubiler zmarszczył brwi.

- Nie widzę nic, co wyglądałoby jak naszyjnik.

- A tak. - Mężczyzna pospiesznie rozwiązał worek i wytrząsnął sobie jego zawartość na lewą dłoń. Potem podniósł ją do judasza, by Ambrose mógł ją obejrzeć. - Widzi pan? Zepsuło się zapięcie i jedno ogniwko. Trzeba to naprawić.

Ambrose zmrużył oczy.

- Proszę przybliżyć - polecił i Nuttal usłuchał. Jubiler stwierdził, że ma do czynienia z

całkiem ładną rzeczą. Właściwie... wspaniałą. Naszyjnik wykonany był z ciężkich srebrnych ogniwek, wzbogaconych o filigranowy srebrny wisior. Jubiler widział miejsce, w którym łańcuszek i zapięcie uległy uszkodzeniu. Nie wiedział, że stało się to, gdy w zeszłym tygodniu Tomas zerwał naszyjnik z szyi pewnej damy w południowej części lenna.

Widząc, że ma do czynienia z kosztownym przedmiotem, trochę się odprężył. Zaliczał się do ludzi bardzo ostrożnych. I trudno się dziwić, zważywszy na jego zawód. Złodzieje nie mieli zwyczaju przynosić do niego drogiej biżuterii, lecz mimo wszystko przybysz był obcy.

- Kim pan jest? Nie znam pana - powiedział.

Drobny mężczyzna przepaszając wzruszył ramionami, jakby w jakimś stopniu była to jego wina.

- Pracuję w zamku - oznajmił. - W zbrojowni. Mistrz Gilbert kazał mi przynieść tu ten naszyjnik. Powiedział, że będzie pan umiał go naprawić.

To brzmiało sensownie. W zamku zatrudnionych była ponad setka ludzi i Ambrose oczywiście nie znał wszystkich. Znał jednak mistrza Gilberta. Kilka razy pracowali razem, gdy Ambrose wykonywał srebrne zdobienia części zbroi i rękojeści mieczy. Odsunął sztabę po wewnętrznej stronie drzwi.

- Niech pan wejdzie - powiedział. - Obejrzę to...

Obrócił się, usłyszawszy rozdzierający trzask łamanego drewna na tyłach domu. W tej samej chwili Nuttal wsparł ramię o otwarte drzwi i pchnął je do środka, a siwowłosa złotnik runął jak długi na posadzkę. Przybysz momentalnie wpadł do środka i zatrasnął za sobą drzwi.

Ambrose zdołał dźwignąć się na nogi. Popatrzył na ciężką drewnianą pałkę, zawieszoną na wewnętrznej stronie drzwi, napastnik znowu pchnął go do tyłu. Jubiler zatoczył się, oddalając się od broni i wpadając prosto w ramiona Mounda, który właśnie wyłonił się z głębi domu wraz z Tomaszem.

Mound był roslym mężczyzną, potężnym i muskularnym, jego niedźwiedzi uścisk bez trudu unieruchomił gospodarzowi obie ręce. Ambrose otworzył usta, chcąc wezwać pomocy.

- Ratunku! - krzyknął. - Napadli...

Na tym skończył. Tomas wystąpił naprzód i tłumiąc wszelkie dalsze krzyki, wepchnął jubilerowi w usta brudny, zmięty strzęp tkaniny, który zmienił jego głos w niemal niesłyszalny pomruk.

- Cicho! - nakazał Tomas, chociaż polecenie wydawało się zbędne. Zacisnął dłoń na kneblu, by złotnik nie zdołał go wypluć. Szeroko otwarte oczy Ambrose'a popatrzyły na napastnika ponad jego ręką.

- Przytrzymaj - polecił Tomas Moundowi i wielkolud błyskawicznie znalazł się przy jeńcu, zaciskając mu lewą rękę na szyi, prawą zaś przyciskając knebel.

Tomas cofnął się o krok. Oddychał ciężko, odczuwając napięcie tej chwili. Zerknął z ukosa na Nuttala. Drobny mężczyzna też szeroko wytrzeszczał oczy, jakby to jego mieli za chwilę obrabować. Nerwowy z niego szczur, pomyślał Tomas. Wiedział jednak, że lepiej nie okazywać tej pogardy.

- Dobra robota, Nuttal - pochwalił.

Tamten kilka razy pokiwał głową.

- Dał się nabrać! - powiedział z zadowoleniem. - Jeszcze jak, mówię ci!

Podniósł łańcuszek i trzymał go przed nieruchomymi, gniewnymi oczami Ambrose'a.

- Mógłby mi pan naprawić łańcuszek, proszę? Mama bardzo się ucieszy - zadrwił, a potem zarechotał.

- Przestań - przerwał mu ze złością Tomas. Następnie przeniósł wzrok na złotnika. - No dobra, popatrzmy na tę twoją kasę pancerną.

W oczach mężczyzny dostrzegł błysk niepokoju. Dał znak Moundowi i powlekli rzemieślnika przez pracownię. Stanęli jak wryci na widok zamkniętych drzwiczek sejfu.

- Do licha! - wykrzyknął Tomas. - Za wcześnie zapukałeś! Miałeś poczekać, aż to otworzy. - Odwrócił się z wściekłością do Nuttala, a ten skulił się i cofnął.

- Skąd miałem wiedzieć? Nie widziałem go. Nie miałem pojęcia. Mówię ci...

- Cicho! - nakazał mu Mound. Następnie odwrócił się do Tomasa: - Możliwe, że zamknął z powrotem, zanim podszedł do drzwi.

Tomas namyślił się, a potem skinął głową, niechętnie przyznając, że towarzysz mówi do rzeczy.

- W takim razie musi mieć klucz - stwierdził. - Gdzie on jest?

Ostatnie pytanie skierował do Ambrose'a, choć ten raczej nie mógł odpowiedzieć, wciąż mając w ustach zwinięty strzęp lnu. Ponownie jednak Tomas zauważył w jego oczach ten sam błysk niepokoju. Klucz musi być gdzieś blisko, uświadomił sobie. Rozejrzał się po pracowni, po czym podszedł do stołu i zaczął zrzucać sterty papierów z porysowanego drewnianego blatu na podłogę. Spojrzał z ukosa na Nuttala.

- Sprawdź w kuchni - polecił. - Zobacz, czy jest przy innych kluczach.

Niski mężczyzna poszedł do kuchni, gdzie zaczął się rozglądać w poszukiwaniu pęku kluczy. Ludzie zazwyczaj wieszali je przy kominku, tam jednak nic nie zauważył. Potem dostrzegł wyjęty z podłogi kamień.

- Tutaj! - zawołał. - Tutaj go chowa!

Opadł na kolana, gdy pozostali weszli do kuchni, ciągnąc ze sobą opierającego się Ambrose'a. Nuttal zaczął szperać w dziurze w posadzce, ale znalazł tylko pustą przestrzeń.

- Nic tu nie ma - oznajmił ze zrozpaczonym spojrzeniem. - Nic.

Tomas chwycił Ambrose'a za poły skórzanej kamizelki, po czym przyciągnął go, tak że ich twarze dzielił zaledwie centymetr.

- Gdzie jest klucz? - Potrząsnął jubilerem, aż jego głowa zakotłowała się w przód i w tył. - Gdzie go schowałeś?

Mound sięgnął nad ramieniem kamrata i wyciągnął knebel z ust Ambrose'a. Złotnik zaczerpnął głęboki wdech, a potem spróbował wołać o pomoc.

- Ratunku! - zaczął. - Napadli...

Pięść Tomasa walnęła go w brzuch. Jubiler z donośnym jękiem stracił dech. Zgiął się w pół, próbując odetchnąć i postępując z bólu.

- Przestań krzyczeć! - nakazał ostro Tomas. - Albo odetnę ci przeklęty język. Mów, gdzie ten klucz?

Lecz Ambrose zacisnął usta i z uporem pokręcił głową. Tomas uderzył go kilka razy otwartą dłońią, a przy każdym uderzeniu głowa rzemieślnika latała na boki. Jednak wytrwale milczał.

- Może ma go przy sobie - zasugerował Mound. Czasami odnosił wrażenie, że Tomas zbyt łatwo ulega swojemu złemu charakterowi. Gniew często przesłaniał mu rozsądne spojrzenie na świat.

Tomas podniósł wzrok, rozważył sugestię i skinął głową. Mocno pchnął złotnika ku Moundowi, puszczając kamizelkę.

- Przeszukaj go - polecił. Gdy wypowiadał te słowa, Ambrose, chwilowo przez nikogo nietrzymany, rzucił się do ucieczki. Mound złapał go za rękę i przyciągnął z powrotem. Ta nagła próba ucieczki utwierdziła go tylko w przekonaniu, że miał rację. Klucza należało szukać gdzieś przy jubilerze.

Znalazł go niemal natychmiast. Duże boczne kieszenie skórzanej kamizelki same narzucały się jako pewne miejsce poszukiwań, a klucz był duży i ciężki. Wyciągnął go i triumfalnie podniósł w górę.

- No, jak myślicie, co to takiego? - spytał z uśmiechem. Gorączkowe wysiłki Ambrose'a, by wyrwać się z uścisku, tylko potwierdziły podejrzenia. Chodziło o ten klucz.

Tomas zabrał go i wsunął w zamek kasy pancерnej. Chwilę później ciężkie drzwiczki obróciły się bezgłośnie na dobrze naoliwionych zawiasach. Sztabki srebra i kamienie szlachetne wewnątrz pochwyciły światło i zaskrzyły się na powitanie. Trzej napastnicy

westchnęli z zadowoleniem. Sejf nie był tak pełny, jak mógłby być - w ostatnich bowiem dniach Ambrose zrobił i sprzedał sporo biżuterii - ale i tak łup wystarczy na wygodne życie przez kilka miesięcy.

Jubiler jęknął. W duchu przeklął własną głupotę i lenistwo. Powinien był schować klucz z powrotem pod kamieniem. Teraz straci srebro i klejnoty warte setki, jeśli nie tysiące rojali. I nie mógł winić nikogo oprócz samego siebie.

Nuttal wystąpił naprzód z dużym płóciennym workiem, a pozostali zaczęli wyciągać z kasy srebro i kamienie, wrzucając je do środka. Mound zawahał się, gdy wyjął drewnianą tacę ze skończoną biżuterią - naszyjnikami, pierścionkami i broszami, które Ambrose wykonał na zamówienie.

- Co z tym? - spytał.

Tomas pokręcił głową.

- Zbyt charakterystyczne. Gdzieś tu ma ich rysunki. Jeśli nas złapią z jedną z tych rzeczy, trafimy do więzienia w Zamku Redmont, zanim zdążymy mrugnąć okiem. Bierz tylko sztabki i kamienie luzem. Nie da się ich wyśledzić.

Cała ich uwaga skupiła się na zawartości kasy pancernej, która szybko trafiała do worka. Ambrose zrobił ukradkowy krok w stronę drzwi na korytarz. Żaden z trójki napastników tego nie zauważył. Zrobił jeszcze jeden, lecz tym razem Tomas poderwał głowę.

- Stój! - zawołał ze złością.

Mound podszedł do złotnika i złapał go za rękę.

- Związać go! - nakazał Tomas.

Nuttal pospiesznie spełnił polecenie, wyciągnąwszy spod kaftana zwój sznura. Ambrose, z rękami związanymi na plecach, został siłą posadzony na drewnianym zydłu.

- Nie wiem, czemu nie walniemy go w łeb, żeby było po sprawie - mruknął Mound pod nosem, po czym wrócił do kasy pancernej.

Tomas nachylił się w jego kierunku i zaczął mówić półgłosem, niedosłyszalnym dla złotnika.

- Potrzebujemy go, żeby wysłał straż i pościg w złym kierunku, zapomniałeś? - Zobaczył, jak zrozumienie wypływa na oblicze Mounda, który przypomniał sobie szczegóły planu. Znacząco pokiwali do siebie głowami. Następnie Tomas podniósł się z kolan i przemówił głośno:

- Dobra! Tutaj już skończyliśmy, chłopaki. Ruszajmy do brodu Stillera! Przy odrobinie szczęścia dotrzemy tam przed zmrokiem.

Zwlekali jeszcze chwilę, by wymienić knebel w ustach Ambrose'a i związać mu

jeszcze nogi w kostkach. W tej pełnej napięcia chwili złotnik nie zauważył, że nogi ma skrępowane dość luźno, o wiele luźniej niż ręce. Śmiejąc się do siebie, cała trójka wyszła tylnymi drzwiami, po czym bocznym zaułkiem przekradła się na drogę.

Zatrzymali się, by sprawdzić, czy w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby zauważyć, jak wychodzą na ulicę. Przeszli na drugą stronę i pospiesznie oddalili się w kierunku południowym, mijając granicę wioski. Po drodze napotkali kilku wieśniaków, którzy spoglądali na nich z nikłym zainteresowaniem. Byli obcy, ale obcych widywano w Wensley dość często. Wioska znajdowała się blisko Zamku Redmont, skutkiem czego rozmaici przybysze przychodzili i odchodzili dość często.

Złodziejska trójka wyszła z wioski i ruszyła traktem do lasu. Gdy jednak mężczyźni zniknęli z pola widzenia, szybko zeszli z drogi i pognali między drzewa, po czym truchtem zatoczyli szeroki łuk, wracając na północny kraniec wioski.

- Jesteś pewien, że dom będzie pusty? - wydyszał Nuttal, biegnąc przez las.

Tomas zmiażdżył go wzrokiem. Nuttal to straszny tchórz, zawsze zakłada najgorsze, pomyślał.

- Był pusty przez cały tydzień. Dlaczego dzisiaj miałyby być inaczej? - spytał.

ROZDZIAŁ 3

Zapach pieczonego ciasta wypełnił dom. Jenny nachyliła się do drzwiczek pieca, odsunęła zasuwkę i otworzyła je, wypuszczając jeszcze więcej smakowitego aromatu. Ścierką chroniąc dłonie przed gorącem, sięgnęła do środka i wyciągnęła ciasto śliwkowe.

Pyszne śliwkowe nadzienie połyskiwało kusząco, a paski ciasta, krzyżujące się z wierzchu, miały idealną, złocisto-brązową barwę. Postawiła gorący wypiek na parapecie, by wystygł. Wiedziała, że Gilan uwielbia to ciasto. Chciała je podać na zimno z kleksem chłodnej, gęstej śmietany. Na samą myśl pociekła jej ślinka. Jenny była kucharką, ale w przeciwieństwie do wielu kolegów po fachu lubiła przygotowane przez siebie potrawy. Zadowolona, że deser dobrze wygląda, skupiła swą uwagę na jagnięcym udźcu.

Przygotowała go, nacierając olejem i sokiem cytrynowym. Potem zrobiła w mięsie trzydzieści czy czterdzieści drobnych nacięć. Wepchnęła w nie gałązki rozmarynu i lekko zgniecione ząbki czosnku. Uważała, że sekret dobrego jedzenia tkwił w rozważnym stosowaniu wielu ziół i przypraw. Lepiej użyć tylko kilku, wybierając najlepiej pasujące do przygotowywanego dania. Uśmiechnęła się do udźca, przesunęła lekko zasuwkę pieca, by zmniejszyć temperaturę, po czym wsunęła mięso na blasze do środka. Później doda jeszcze pokrojone i polane olejem ziemniaki oraz dynię. Blanszowane, zielone warzywa, przygotowane w ostatniej chwili, uzupełnią prosty, lecz smaczny posiłek.

Uśmiechając się tym razem do siebie, zauważyła na kuchennym kredensie liścik od Gilana i podniosła go, by jeszcze raz przeczytać. Godło z liściem dębu oznaczało oficjalny papier Korpusu Zwiadowców. Ale treść z pewnością oficjalna nie była.

Droga Jenny, przeczytała, będę zachwycony, mogąc zjeść z Tobą w czwartek kolację. Przyjdę do Ciebie około szóstej wieczorem. Już nie mogę się doczekać.

Całuję, Gilan.

Jej uśmiech zrobił się szerszy, gdy ponownie spojrzała na pierwsze słowa, „droga Jenny”, oraz ostatnie, „całuję, Gilan”.

- O tak - mruknęła do siebie. Ciepły dreszcz przeszedł ją na myśl o ponownym spotkaniu z Gilanem, a przede wszystkim spędzeniu kilku godzin w jego towarzystwie. Szykował się wspaniały wieczór we dwoje.

Położyła karteczkę z powrotem na kredensie, tak by jej wzrok padał na nią za każdym razem, gdy zerknie w tamtą stronę. Potem wróciła do bardziej przyziemnej czynności, czyli

obierania ziemniaków i krojenia ich w kostkę. Pokrojone warzywa wkładała do miski z wodą, by nie poczerniały na powietrzu. Później odcedzi je i natrze aromatycznym olejem, by po upieczeniu nabrały idealnej chrupkości.

Ustawiła miskę na dolnej półce, z dala od promieni słonecznych, gdy nagle usłyszała, że tylne drzwi otwierają się i zamykają, a w salonie rozlegają się kroki. W domu Jenny, w przeciwieństwie do większości innych domostw w wiosce, kuchnia usytuowana była w części frontowej i jej okno wychodziło na główną ulicę. Kobieta wiele czasu spędzała na gotowaniu oraz pieczeniu, a lubiła w tym czasie widzieć, co dzieje się na ulicy. Kuchenne okno było duże i rozpościerał się z niego widok na drogę, wiodącą do mostu na rzece Tarbus oraz dalej, do zamku na wzgórzu.

Zaciekawiona odgłosem kroków, Jenny wytarła mokre ręce w ścierkę i pobiegła w stronę salonu. Może to wiatr otworzył i zatrzasnął niezabezpieczone drzwi, pomyślała. Ale te kroki? Warto to sprawdzić. Minęła przejście do salonu i weszła do środka.

Trzej mężczyźni, nieznajomi i po prostacku odziani, stanęli na jej widok jak wryci.

- Co tu, do licha, robisz? - spytał w końcu ten pośrodku. Po jego bokach stali dwaj inni, jeden niższy, a drugi wyższy. Twarz mówiącego okalały gęsta broda, a także długie, zmierzwiowane włosy. W oczach, osadzonych pod ciemnymi brwiami, malował się gniew.

- Mogłabym spytać was o to samo! - odparła rezolutnie. Jej pierwszą reakcją było oburzenie. Ci grubiańscy przybysze mieli czelność wedrzeć się do jej domu, a potem jeszcze pytać, co ona tu robi? Odwróciła się do drzwi. Może na ulicy zobaczy członka wioskowej straży na patrolu. Tak czy owak, pomyślała, ktoś powinien tam być.

Jej sąsiad, wysoki i potężnie zbudowany drwal, poradziłby sobie z tą trójką raz-dwa.

Lecz wykonała ten ruch zbyt późno.

- Zatrzymaj ją! - nakazał Tomas.

Mound skoczył naprzód, chwytając Jenny za ramię i wciągając z powrotem do pomieszczenia. Następnie ją puścił, aż poleciała dalej, wpadła na ławkę i niezdarnie się o nią przewróciła.

Ogarnęła ją wściekłość.

- Jak śmiecie? - zawołała, dźwigając się na nogi. Ale brodacz błyskawicznie znalazł się przed nią i pchnął ją bezceremonialnie na ławkę. Uderzyła o nią tylną stroną kolan i znowu się potknęła, ciężko siadając na meblu.

- Cicho bądź! - warknął mężczyzna. Jego dłoń opadła na ciężki, przytroczony do pasa sztylet, a kobieta zmrużyła oczy, gdy dostrzegła ten ruch. Uświadomiła sobie, że nie czas na klótnie. Groziło jej poważne niebezpieczeństwo. Powstrzymała głośnie słowa protestu, które

miała już na końcu języka, i ostrożnie otaksowała napastnika wzrokiem.

Widziała, że jest zdezorientowany. Zdezorientowany i rozgniewany, a to mogło być dla niej bardzo groźne połączenie. Podniosła dłoń w geście kapitulacji i oparła się, nie próbując już wstawać na nogi.

- W porządku - powiedziała, zniżając głos. - Uspokójmy się, dobrze?

- Mówiłeś, że jej tu nie będzie! - zwrócił się najmniejszy z mężczyzn do brodacza, który wyraźnie był przywódcą. Ten, chwilowo zadowolony, że Jenny nie podejmuje już prób ucieczki ani wezwania pomocy, odwrócił się gniewnie do towarzysza.

- Skąd miałem wiedzieć? - warknął. - Obserwowaliśmy ją pięć dni i za każdym razem cały czas spędzała w swoim lokalu!

Ciekawe, pomyślała, a jej mózg pracował na przyspieszonych obrotach. Obserwowali mnie. Po co? Co mam takiego, na czym im zależy?

Brodacz znowu na nią spojrzał.

- Czemu dzisiaj musiałaś tu być? - spytał ze złością. - Akurat dzisiaj?

Czuła, że lepiej nie odpowiadać. Mężczyzna posłał jej wiązaną przekleństw. Największy z całej trójki wystąpił naprzód i położył mu rękę na ramieniu, by go uspokoić.

- Nic na to nie poradzimy - stwierdził. - Jest tutaj i musimy się z tym pogodzić.

- Ja mówię, żebyśmy uciekali! - odezwał się ten mały. Rozglądał się nerwowo dookoła, jakby się spodziewał, że lada chwila w pomieszczeniu zmaterializują się kolejni mieszkańcy wioski.

- Nie bądź głupi - zrugął go wielkolud. - Jeśli teraz spróbujemy wyjść, zobaczą nas i za parę minut pościg będzie nam deptał po piętach. Złotnik pewnie już się uwolnił i wszczął alarm. Pierwszy plan Tomasa dalej jest dobry. Złotnik myśli, że zmierzamy do brodu Stillera. Zostaniemy tu, aż się ściemni, a potem pójdziemy na północ, podczas gdy oni będą nas szukać na południu.

- Mound ma rację - przytaknął brodacz. Jenny zauważyła, że odzyskał panowanie nad sobą. - Trzymajmy się planu. Poczekamy tutaj, aż zrobi się ciemno, a potem wymkniemy się, tak jak zamierzaliśmy. Nic się nie zmieniło.

Umysł Jenny pędził jak szalony i na jej czole pojawiła się drobna bruzda, gdy kobieta próbowała poukładać logicznie ciąg wydarzeń, który przywiódł opryszków do jej domu. Obrabowali Ambrose'a, wioskowego złotnika. To wyjaśniało obecność worka, który zauważyła teraz na podłodze tuż przy drzwiach. Zostawili rzemieślnika luźno związanego, by zdołał się uwolnić po stosunkowo krótkim czasie, i wmówili mu, że pójda na południe. Tymczasem, zakładając, że jej dom będzie pusty aż do zamknięcia jadalni, chcieli się tu

schronić, aż zmrok ukryje ich prawdziwe ruchy. Potem zamierzali uciec w kierunku przeciwnym do tego, w którym pójda ścigający.

Z zewnątrz, z ulicy, dobiegały krzyki i tupot nóg. Najwyraźniej wszczęto alarm i dowódca zbierał straż, by zorganizować pościg.

Uświadomiła sobie, że trzech rabusie uważnie jej się przyglądają, i próbowała przybrać niewinny, bezmyślny wyraz twarzy.

- Co z nią? - spytał ten mały, wskazując ją kciukiem.

- Hmm - mruknął Tomas z niemiłym uśmiechem. - Może się przynajmniej postarać o dobry posiłek, dopóki tu czekamy. - Wciągnął powietrze w nozdrza, dopiero teraz zauważając zapach pieczonej jagnięciny, który dolatywał z kuchni. Drobny mężczyzna pokręcił jednak na tę odpowiedź głową, a ten duży, Mound, podszedł do zagadnienia z żelazną logiką.

- A jak już pójdziemy? - spytał. - Co się z nią stanie?

- Zakneblujemy ją i zwiążemy. Albo zabierzemy ze sobą - odrzekł Tomas. Ale zanim to powiedział, milczał odrobinę zbyt długo. Jenny instynktownie wiedziała, że nie zrobią żadnej z tych rzeczy. Skoro włożyli tyle wysiłku w zostawienie fałszywego tropu, nie mogli sobie pozwolić na to, by porzucić ją całą i zdrową. A była pewna, że nie zabiorą jej ze sobą.

Musieli ją uciszyć. A jej milczenie mogli sobie zagwarantować tylko w jeden sposób.

ROZDZIAŁ 4

Gilan wszedł do warowni Redmont, po czym skierował się do gabinetu barona Aralda, położonego na jednym z wyższych pięter.

Pokonywał schody po dwa stopnie, gdy usłyszał nad sobą ciche kroki. Przystanął, by nie zderzyć się ze schodzącą osobą, i usunął się w bok, by zrobić miejsce. Po brzmieniu kroków sądził, że to kobieta.

Miał rację i twarz rozjaśnił mu uśmiech, gdy rozpoznał Alyss, piękną i zgrabną jak zawsze, w białej sukni kurierki. Na jego widok uśmiechnęła się w odpowiedzi, skrywając rozczarowanie. Przez krótką, pełną nadziei chwilę, widząc zielono-szary płaszcz z kapturem, myślała, że może to Will wrócił.

- Witaj, nieznajomy - powiedziała. - Nie spodziewaliśmy się ciebie do przyszłego tygodnia. Will i Halt dopiero wyruszyli.

Crowley sformował z Willa i Halta grupę do zadań specjalnych. Czasami, gdy na dłuższy czas wyjeżdżali z Redmont, Gilan przybywał z sąsiedniego lenna, by przejąć ich obowiązki.

- Wiem - odparł. - Początkowo miałem przyjechać dopiero w poniedziałek, ale otrzymałem propozycję, której nie mogłem odrzucić.

Chodziło oczywiście o zaproszenie na kolację ze strony Jenny. Spojrzenie zwiadowcy powędrowało w górę schodów.

- Przyszedłem się tylko zameldować baronowi - dodał.

Alyss zrozumiała aluzję. Mogli poplotkować później. Wiedziała, że Gilan zostanie kilka dni. Uśmiechnęła się jednak szerzej.

- A potem zameldujesz się młodej Jenny, jak przypuszczam? - spytała znacząco, a on się uśmiechnął.

- No, prawdę mówiąc, tak. Zjemy razem kolację.

Perfekcyjne brwi Alyss powędrowały w górę, jej usta zaś ułożyły się w kształt litery „O”.

- Brzmi romantycznie - stwierdziła.

Gilan jednak zignorował niewypowiedzianą zachętę, by zdradził coś więcej, i zmienił temat.

- Skoro o tym mowa, jak tam przygotowania do królewskiego ślubu?

Horace i Evanlyn, szerzej znana jako księżniczka Cassandra, mieli się pobrać za kilka miesięcy. Alyss była druhną księżniczki.

- Bardzo dobrze, słowo daję - odparła. - Krąży nawet plotka, że pojawi się Shigeru.

Tym razem to Gilan uniósł brwi.

- Cesarz we własnej osobie? - spytał. - No proszę.

- Bardzo polubił Horace'a, gdy byliśmy w Nihon-Ja - wyjaśniła Alyss.

- Na pewno - odrzekł Gilan. Po chwili dodał: - Powinienem już iść. Możemy porozmawiać później?

Alyss odsunęła się w bok i gestem wskazała mu, by wchodził dalej po schodach. Pokiwał głową na znak podziękowania i podjął szybką wspinaczkę. Patrzyła za nim, uśmiechając się do siebie.

- Zawsze tak się spieszy - mruknęła.

W swoim gabinecie baron Arald nie tracił czasu, tylko zapoznał Gilana ze stanem spraw w lennie. Nie było żadnych ważnych tematów do omówienia. Halt i Will aresztowali niedawno bandę rozbójników, napadających na podróżnych w lesie. Od tamtej pory w lennie panował spokój. Mimo wszystko, pomyślał Gilan, nigdy nic nie wiadomo. Na tak dużym obszarze, jak Redmont, kłopoty mogą się pojawić w każdej chwili.

Ledwie w jego głowie narodziła się ta myśl, gdy rozległo się głośnie, przeciągłe stukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołał baron, lekko marszcząc brwi. Pukanie wydawało się nieco zbyt natarczywe. Gilan skrył uśmiech, myśląc, że ktokolwiek stał za drzwiami, lepiej, żeby miał ważny powód, by robić taki hałas.

Jak się okazało - miał.

Drzwi otworzyły się błyskawicznie i ukazały członka straży z Wensley, jednego z kilku ochotników, którzy służyli pod rozkazami etatowego dowódcy i dbali o utrzymanie spokoju w wiosce. Gilan nie znał go z widzenia, ale rozpoznał mundur straży - nabijaną ćwiekami skórzaną kamizelkę i okrągły hełm z utwardzonej skóry. Oprócz tego mężczyzna wyposażony był w ciężką pałkę i duży sztylet, zawieszony u pasa. Za jego plecami urzędnik Aralda, oburzony tak brutalnym przerwaniem baronowi spotkania, wykonywał rozpaczliwe gesty.

- Przepraszam, panie! - zaczął. - Ten człowiek wpadł tu, zanim...

Baron machnął na niego ręką.

- Nieważne - powiedział. - To najwyraźniej coś pilnego. W czym rzecz, Richardzie?

Ostatnie słowa skierowane były do strażnika i Gilan znowu się uśmiechnął, zachwycony, że baron zwrócił się do przybyłego po imieniu. Wiedział, że wielu baronów nie miało pojęcia, jak nazywali się poszczególni członkowie straży. Między innymi dzięki temu Arald był takim skutecznym i lubianym władcą.

- Proszę o wybaczenie, panie - odrzekł Richard. Oddychał ciężko i Gilan domyślał się, że całą drogę z wioski pokonał biegiem. - Chodzi o napad rabunkowy.

Dopiero teraz zauważył Gilana i ukłonił mu się z szacunkiem. W odpowiedzi zwiadowca też pochylił głowę.

- Kogo obrabowano? - spytał baron.

- Ambrose'a Shininga, panie - odparł Richard i baron wyprostował się na krześle.

- Złotnika? - upewnił się. Wydawało się, że to raczej drobna kradzież. - Ile zabrał złodziej?

- Złodzieje, panie. Było ich trzech. I Ambrose mówi, że zabrali kilkaset rojali w srebrze i klejnotach.

- Nic mu się nie stało? - wtrącił Gilan. - Nie zrobili mu krzywdy?

Richard pokręcił głową.

- Zostawili go związanego i zakneblowanego. Potrzebował pół godziny, by się uwolnić, a potem wszczął alarm.

- Czyli nie widział, w którą stronę udali się po wyjściu? - spytał Gilan.

- Nie. Ale słyszał, jak rozmawiali. Planowali ruszyć do brodu Stillera.

Gilan w zamyśleniu potarł podbródek. To miało sens. Za brodem rozciągała się dzika kraina, gęsto zadrzewiona, pełna wysokich, postrzępionych urwisk i głębokich rzek. Od dawna była to ulubiona kryjówka przestępców. Przed laty, jeszcze gdy był uczniem Halta tutaj, w Redmont, we dwóch oczyścili ten teren, pojмали licznych bandytów, którzy się tam schowali. Inni odeszli sami.

- Jakie działania podjął jak dotąd dowódca straży? - spytał Arald.

Strażnik na powrót odwrócił się do krzepkiego szlachcica.

- Wysłał gońca do brodu Stillera, by zawiadomił dowódcę tamtejszej straży, panie. Ruszył też w pościg z dziesięcioma ludźmi.

Arald nieco się odprężył i wymienił spojrzenia z Gilanem.

- Hmm - mruknął. - Wygląda na to, że straż nieźle panuje nad sytuacją. Ci ludzie dostaną się między dwa oddziały... i zapewne nie mają pojęcia, że dowódca straży wie, dokąd zmierzają. Czy Walter czegoś ode mnie potrzebuje? Kilku zbrojnych? Paru konnych? Czegoś innego?

Walter był dowódcą miejscowej straży i bardzo zdolnym oficerem, lecz Arald uznał, że powinien złożyć tę propozycję. Richard pokręcił głową.

- Chciał po prostu, żebym przekazał wiadomość, panie. Mówi, że dopadnie tych trzech do rana. W pościgu mamy jednego kłu... - Urwał. Chciał powiedzieć „kłusownika”, ale uświadomił sobie, że raczej niepolitycznie wspominać o tym przy baronie. - ...myśliwego - poprawił się. - Zna ukrytą ścieżkę przez las, która doprowadzi ich do brodu przed świtem. Powinni dotrzeć tam przed złodziejami.

Spojrzenie Aralda znowu powędrowało ku Gilanowi.

- Zdaje się, że w tej sprawie twoje umiejętności nie będą nam potrzebne - powiedział z ulgą w głosie.

Gilan pokiwał głową. Wyglądał właśnie przez okno. Nie widział słońca, ale długość cieni na zewnątrz powiedziała mu, że najpewniej unosi się gdzieś na krawędzi horyzontu.

- I tak za późno, żebym ich wytropił - stwierdził. - Niedługo się ściemni. A, jak rzekłeś, wygląda na to, że straż ma wszystko pod kontrolą.

Pomyślał, że sprawa wydaje się prosta. Gdyby dowódca straży wraz z pościgiem nie zdołał dopaść złodziei przy brodzie Stillera, wtedy być może zwiadowca będzie musiał włączyć się do pogoni. Było to jednak mało prawdopodobne.

Arald uśmiechnął się do strażnika, stojącego na baczność przy biurku.

- Dzięki, Richardzie. Przypuszczam, że chcesz dołączyć do pościgu i dalej gonić tych ludzi?

Tamten pozwolił sobie w odpowiedzi na lekki uśmiech. - Owszem, panie. Znałem Ambrose'a całe swoje życie. Ale nie potrafię odszukać drogi, którą będą podążać. Zostanę więc z tyłu na wypadek, gdyby potrzebowali mnie w wiosce.

Arald z namysłem wyduł wargi.

- Całkiem niezła myśl - stwierdził. Pozostali członkowie straży będą nieobecni, a jako że jeszcze pięciu innych sprawnych wieśniaków brało udział w pościgu, więc ktoś mógł skorzystać z okazji i narozrabiać w wiosce. - Dobrze, Richardzie. Nie będę cię już zatrzymywał.

Strażnik uklonił się krótko, odwrócił się i wyszedł w towarzystwie wciąż zagniewanego urzędnika. Gdy drzwi się zamknęły, Arald jeszcze raz zerknął na rozłożone na biurku dokumenty.

- No, to chyba kończy nasze sprawy, Gilanie - powiedział. - Dołączysz do nas podczas kolacji? Moja żona będzie zachwycona, mogąc usłyszeć najnowsze plotki z hrabstwa Whitby.

Zwiadowca zawahał się. Właściwie powinien się spodziewać kolacji z baronem

pierwszego wieczoru w Redmont. Ale z powodu zaproszenia Jenny zupełnie zapomniał o protokole. Zobaczył, że Arald się do niego uśmiecha.

- Czyżbyś otrzymał lepszą propozycję? - zagadnął figlarnie baron.

Gilan poczuł, że się czerwieni.

- Eee... cóż, panie... właściwie Jenny prosiła mnie...

Baron uniósł dłoń, by go uciszyć. Znał Jenny, ma się rozumieć. Pracowała w jego zamku i była uczennicą jego kuchmistrza Chubba. W swoim fachu w niczym Chubbowi nie ustępowała. W dodatku była jasnowłosa, żywotna i ładna. W opinii barona była to znacznie lepsza oferta niż kolacja z nim i jego żoną. Przez chwilę poczuł się trochę dziwnie.

- Nie mów nic więcej - powiedział wielkodusznie. - Będzie jeszcze wiele okazji do wspólnej kolacji, dopóki tu jesteś.

- Dziękuję, panie - odrzekł Gilan. - Spotkamy się innego wieczoru. W sumie może będzie mi wolno zaprosić ciebie i lady Sandrę do restauracji Jenny?

Arald rozpromienił się na tę myśl. Chubb bez wątpienia był wybitnym kucharzem, ale Jenny wносиła do kuchni wiele nowych śmiałych pomysłów i perspektywa spożycia przygotowanego przez nią posiłku była zbyt kusząca, by jej odmówić. Poza tym lady Sandra z pewnością ucieszy się z możliwości wieczornego wyjścia z zamku. Gilan ze swojej strony wiedział, że obecność tak czcigodnych gości w lokalu Jenny na pewno nie zaszkodzi jej interesom.

- W takim razie do zobaczenia za kilka dni - powiedział Arald. Po chwili nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- I życzę ci miłego wieczoru.

- Dziękuję, panie - odrzekł zwiadowca i podniósł się, by odejść.

Gdy już się odwrócił, Arald dodał półgłosem:

- A także miłej kolacji.

ROZDZIAŁ 5

Tomas wychylił się zza kuchennej framugi. Przypadkowy przechodzień mógłby zobaczyć zarówno jego, jak i jego ludzi, przez duże okno, wychodzące na główną drogę w wiosce. Gestem dał znak Jenny.

- Zaciągnij zasłonę.

Przeszła obok niego i zasunęła kotarę. Tomas, zadowolony, że może się bezpiecznie ruszać, wszedł do kuchni i zaczął w niej buszować, zaglądając do pojemników, odsuwając i zamykając szuflady. Nuttal i Mound wtargnęli do pomieszczenia razem z nim, po czym usiedli na prostych krzesłach przy stole.

Wzrok Tomasa padł na ciasto śliwkowe, które Jenny Postawiła na parapecie, by wystygło.

- Co to takiego?

- Ciasto śliwkowe - wyjaśniła. W jej głosie kryła się groźna nuta, która powinna mu powiedzieć, że lepiej trzymać ręce przy sobie, ale zazwyczaj nie zwracał uwagi na podobne ostrzeżenia. Wziął talerz z ciastem i postawił na stole. Następnie wyciągnął swój sztylet, odkroił duży, nierówny kawałek i wepchnął go sobie do ust. Żuł przez kilka chwil, po czym na jego twarzy odmalował się niesmak i pozwolił, by spory, na wpół przeżuty kęs wypadł mu pomiędzy warg na blat stołu, a następnie cisnął obok resztę odkrojonego kawałka.

- Za mało słodkie! - wykrzyknął ze złością. - Powinno być słodsze.

Oczy kobiety zwęziły się. Włamywanie się do jej domu i pozbawianie wolności to jedno. Ale tak głupia krytyka jej umiejętności kucharskich podniosła całą sprawę na wyższy poziom wrogości.

- Nadzienie jest ze śliwek - stwierdziła. - Powinno być cierpkie. Śliwki tak smakują i już.

Gwałtownie pokręcił głową.

- To jest ciasto. Powinno być słodkie - odrzekł. - Co ty tam wiesz?

- Takie ciasto ma być kwaskowate! - Szukała innego słowa, żeby dobitniej podkreślić swoją opinię, lecz nie mogła go znaleźć. - Tak to już jest! - dodała, a policzki zaczęły jej płonąć z gniewu. Wiedziała, że Gilan uwielbia jej ciasto śliwkowe. A już zwłaszcza fakt, że nie jest przesadnie słodkie, lecz ma naturalny smak owoców. Co ten pajac wiedział? Jak w ogóle śmiał ją krytykować?!

Tomas otaksował wzrokiem rozgniewaną kobietę. Ładne dziewczyny nie powinny się kłócić z lepszymi od siebie, pomyślał. A był przekonany, że jest lepszy, z tego prostego powodu, że jest mężczyzną. Należało dać jej nauczkę. Wierzchem dłoni zgarnął talerz z ciastem ze stołu, zrzucając go z łoskotem na podłogę. Ciasto rozpadło się na kilka kawałków, a on rozdeptał dwa największe z nich, rozgniatając je na deskach.

- Oj! - jęknął Mound, na wpół podnosząc się z krzesła, rozgniewany samolubnym zachowaniem herszta. - Chciałem zjeść kawałek!

Tomas zgromił wzrokiem także jego.

- Nie było dobre - stwierdził. - Za mało cukru.

Nuttal, którego wszelkie sprzeczki bardzo niepokoiły, powstał i odszedł od stołu.

- Ty półgłówku! - wydarła się Jenny na Tomasa, spoglądając to na rozgniecione ciasto, to na jego twarz. Ten... stwór... zniszczył ciasto dla Gilana. Nagle nienawidziła go z całą pasją, jaką mogła w sobie odnaleźć. - Kiedy Gil...

Już chciała powiedzieć: „Kiedy Gilan tu przyjdzie, drogo za to zapłacisz!”. Na szczęście w porę się powstrzymała. Nie powinna ich w żaden sposób ostrzegać, że młody zwiadowca zjawi się tu za niecałą godzinę.

Tomas nachylił się w przód z czołem pobrużdżonym z namysłu. Zamierzała coś powiedzieć, ale urwała, pomyślał. Z doświadczenia wiedział, że gdy ludzie tak robią, wiedzą coś, czym nie chcą się z nim podzielić.

- Dalej - ponaglił. - Kiedy... co?

Pokręciła głową, uciekając od niego spojrzeniem.

- Nic - odparła, starając się, by jej głos nie zdradzał emocji. - Nic ważnego.

- Skoro nic ważnego, możesz mi powiedzieć, o co chodzi - powiedział jedwabistym głosem.

- To nic takiego - upierała się. Zanim jednak zdołała się wycofać, wyciągnął rękę i chwycił jej przedramię. Mocno ścisnął, a potem nagłym ruchem przekręcił jedną rękę w prawo, a drugą w lewo. Ból w jej ciele, w miejscu, gdzie obie jego dłonie się spotkały, mocno i niespodziewanie przesunięte w przeciwnych kierunkach, był nie do zniesienia. Pałący ból wystrzelił w górę ramienia i krzyknęła. Tomas złuzował uścisk i cierpienie trochę zelżało.

- Zostaw ją - polecił Mound. Wcześniej usiadł z powrotem, lecz teraz znowu stał naprzeciwko Tomasa, po drugiej stronie stołu. Nie był absolutnym przeciwnikiem tortur, jeśli mogły dostarczyć przydatnych informacji. Miał jednak wrażenie, że Tomasowi podobne postępowanie sprawia zbyt dużą przyjemność. Brodaty złodziej zgromił go wzrokiem, wciąż nie puszczając ręki Jenny.

- Odczep się, Mound! Nie bądź taki miękki! Ona nam o czymś nie mówi i zamierzam się dowiedzieć, co to takiego.

- Tak czy owak... - powiedział Mound i wykonał bezskuteczny gest w kierunku rąk Tomasa, wciąż dzierżących przedramię Jenny, gotowych w każdej chwili zadać więcej bólu. Nie mógł jednak znaleźć ważkiego argumentu, by powstrzymać kamrata, i jego głos umilkł. Okrutny uśmiech wypełził na twarz Tomasa, gdy zbir znowu wzmocnił uścisk.

- No, panienko, co mi chciałaś powiedzieć...

Zacisnęła zęby, posyłając mu wściekłe spojrzenie, postanowiwszy sobie, że bez względu na ból, nic po sobie nie pokaże. Poczula, że jego dłonie znowu się zaciskają, lecz wtedy wtrącił się Nuttal.

- A to co?

Wszyscy popatrzyli na mówiącego. Przemierzał pomieszczenie w tę i z powrotem, oglądając przybory kuchenne, garnki i patelnie, gdy jego wzrok padł na kartkę, którą Jenna położyła wcześniej na kredensie. Podniósł ją i przyjrzał się z bliska. Nie umiał czytać, lecz rozpoznał znak liścia dębu na górze.

Postukał teraz w papier palcem wskazującym.

- To znak zwiadowców - stwierdził. Podał kartkę Moundowi, który jako jedyny spośród nich był piśmienny. - Co tu jest napisane?

Tomas puścił rękę Jenny i podszedł, by spojrzeć Moundowi przez ramię, podczas gdy wielkolud powoli odczytywał treść listu, poruszając ustami, by ułatwić sobie składanie słów. Po chwili przeczytał tekst na głos.

- Droga Jenny, będę zachwycony, mogąc zjeść z tobą w czwartek kolację. Przyjdę do ciebie około szóstej wieczorem. Już nie mogę się doczekać. - Podniósł wzrok. - Podpisano: Gilan - powiedział.

Tomas wyrzucił z siebie wiązaną przekleństw.

- Gilan! - powtórzył. - To ten, który tu przyjeżdża, gdy miejscowi zwiadowcy wyjeżdżają.

Nuttal marszczył czoło, nic nie rozumiejąc.

- Ale mówiłeś, że zjawi się dopiero w przyszłym tygodniu.

Tomas uśmiechnął się z wyższością, jakby rozmawiał z dzieckiem.

- Bo tak mi powiedziano. I dlatego okradliśmy złotnika właśnie dzisiaj! - Popatrzył na Jenny ze złością. - Ten Gilan to twój przyjaciel, tak?

Starła się sprawiać wrażenie, że cały temat Gilana zupełnie nie ma dla niej znaczenia. Wzruszyła ramionami.

- Po prostu go znam, to wszystko. Czasami tu wpada.

- I „wpadnie”, jak to ujęłaś, dzisiaj wieczorem? O szóstej! - wrzasnął do niej Tomas. - Zamierzałaś w ogóle o tym wspomnieć?

Nic nie powiedziała. Nie miała na to żadnej odpowiedzi poza „a czemu bym miała wspominać?”. A gdyby pozwoliła sobie na takie słowa, nie osiągnęłaby nic oprócz jeszcze większego zdenerwowania Tomasa.

- Musimy się stąd zabierać! - odezwał się Nuttal. Jego wzrok biegał nerwowo po kuchni, jakby spodziewał się, że Gilan może lada chwila wejść do środka. - Lepiej uciekajmy!

- Nie bądź idiotą! - Tomas zwrócił swój gniew na mniejszego mężczyznę, zresztą ku wielkiej uldze Jenny. - Nie możemy teraz wyjść! Ciągłe jest biały dzień. Zobaczą nas! - Znowu odwrócił się do kobiety. - Nie zapomnę tego - zapowiedział złowrogo. Znowu wyrzucił z siebie ciąg przekleństw, a Jenny skuliła się od ich intensywności. - Niech pomyślę... - mruknął do siebie. Lecz to Mound pierwszy pospieszył z odpowiedzią.

- Zrobimy to, co od początku planowaliśmy - powiedział. - Poczekamy, aż minie kilka godzin od zmroku, a potem wyjdziemy.

- I pomachamy na pożegnanie zwiadowcy? - spytał Tomas z sarkazmem.

Mound spokojnie wytrzymał jego wzrok, by tamten zobaczył, że nie ma w nich strachu. A potem odpowiedział dobitnie:

- Jest nas trzech. A on jeden.

- Ale to zwiadowca! - Głos Nuttala przerodził się niemal w pisk i Mound posłał mu pogardliwe spojrzenie.

- Zgadza się. I nie spodziewa się, że nas tu zastanie. Spodziewa się, że sobie spokojnie wejdzie i zje kolację ze swoją dziewczyną.

Tomas zaczął kiwać głową, zrozumiawszy, do czego zmierza jego potężnie zbudowany towarzysz.

- A kiedy już wejdzie?

- Kiedy wejdzie, po prostu walniemy go w głowę, zanim się połapie, co się dzieje. A potem wszystko wróci do normy - ciągnął Mound.

„Walniemy go w głowę”. Brzmi to dość niegroźnie, pomyślała Jenny. Wiedziała jednak, że wcale takie nie jest. Mound potwierdził jej przypuszczenia kilka chwil później, podczas gdy Nuttal kontynuował swoje piskliwe protesty.

- Ale to zwiadowca! - powtarzał jak nakręcony. Wielkolud położył mu rękę na ramieniu i odwrócił go, tak by ich oczy się spotkały.

- Tak - przyznał. - A dwie sekundy po tym, jak przekroczy ten próg, będzie martwym

zwiadowcą.

ROZDZIAŁ 6

Czas włókł się niemiłosiernie. Każda mijająca minuta zdawała się trwać godzinę. Jenny miała w kuchni wodny zegar i co i rusz na niego zerkała. Poziom wody wydawał się niezmienny i raz aż wstała, by się upewnić, czy woda swobodnie skapuje z górnego naczynia do dolnego.

Był ledwie kwadrans po piątej, a Gilan miał przyjść dopiero o szóstej. Pomyślała, że musi go jakoś powstrzymać przed wejściem w pułapkę, którą zastawią nań Tomas i Mound. Mimo wybitnych umiejętności, trudno mu będzie uniknąć zasadzki. Rzuciła okiem na drzwi. Rabusie omówili swój plan. Dziesięć minut przed planowanym przybyciem Gilana mieli umieścić Jenny, związaną i zakneblowaną, na krześle naprzeciwko drzwi. Mound stanie przy drzwiach, podczas gdy Tomas i Nuttal ukryją się w sąsiednim pokoju. Gdy zwiadowca otworzy drzwi, od razu zobaczy Jenny. Instynktownie podbiegnie, by ją uwolnić, a wtedy Mound zaatakuje ze swojej kryjówki za otwartymi drzwiami. Dzierzył ciężką pałkę z twardego drewna, nabijaną tępyimi żelaznymi kolcami. Jenny wiedziała, że jedno uderzenie roztrzaska Gilanowi czaszkę. Później Tomas i Nuttal dokończą dzieła sztyletami.

Oczyrna duszy widziała Gilana, leżącego twarzą w dół na podłodze, z krwawiącą głową, nieruchomego i bez życia. Oczy zaszyły jej łzami i potrząsnęła głową, by odegnąć tę wizję.

Potem ogarnął ją gniew i popatrzyła na trzech mężczyzn. Mound i Tomas grali w kości przy kuchennym stole, od czasu do czasu kłócąc się o wyniki. Pomyślała, że Tomas zupełnie nie umie przegrywać. Później gniew stopniowo ustąpił miejsca nienawiści, gdy obserwowała brodacza i słuchała jego przechwałek po wygranych rzutach oraz narzekań po porażkach.

Mound milczał. Uznała, że z całej trójki to właśnie on stanowi największe niebezpieczeństwo. Był potężny i muskularny. Wyglądał też na takiego, który zachowa spokój w sytuacji kryzysowej. Tomas był zapatrzonym w siebie osiłkiem, Nuttal zaś - marudnym tchórzem. Mounda jednak należało mieć na oku. Gdyby znalazła sposób, by go powstrzymać, szanse na uratowanie Gilanowi życia znacznie by wzrosły.

A także własnego życia, co nagle sobie uświadomiła. Jej samej groziło równie wielkie niebezpieczeństwo, jak zwiadowcy. Wcześniej dotarło do niej, że mężczyźni nie zostawią jej, bo mogłyby powiedzieć, dokąd się udali. A jednak z jakiegoś powodu znacznie łatwiej mogła

się pogodzić z myślą o własnym losie niż o śmierci Gilana.

Jej spojrzenie znów powędrowało w stronę Mounda. Silny. Ponury. Nieporuszony. Jak mogła go powstrzymać? Wiedziała, że nie może czekać zbyt długo. Niebawem ją zwiążą i usadowią na krześle naprzeciwko drzwi. Zerknęła na zegar, usłyszała cichuteńki plusk spadającej kropli, która wywołała małe fale na powierzchni wody w dolnym cylindrze, po czym spojrzała na podziałkę. Dochodziło wpół do szóstej.

Znowu popatrzyła na Mounda. Siedział najbliżej pieca, w którym cicho skwierczał udziec. Pierwszy raz od godziny do jej świadomości dotarł zapach pieczonej jagnięciny, od którego aż ciekła ślinka. Popatrzyła na ławę przy piecu. Jej ciężki wałek, którego użyła do przygotowania ciasta śliwkowego, spoczywał na swoim stojaku na ławie. Trochę dalej znajdował się cały zestaw noży, co do jednego ostrych jak brzytwa. Gdyby zdołała złapać którykolwiek z nich, myślała, pokazałaby tym łajdakom to i owo. Wiedziała jednak, że nie pozwoli jej zbliżyć się do noży. Ale wałek to co innego. Podobnie jak ciężka, żelazna patelnia, wisząca na haczyku na ścianie. Gdyby tylko zdołała jakoś odwrócić uwagę bandytów na kilka sekund...

Nie robił na niej wrażenia fakt, że gotowa była zmierzyć się z trzema uzbrojonymi przestępcami, mając do dyspozycji jedynie kilka narzędzi kuchennych. Obudził się w niej instynkt opiekuńczy. Jeśli czegoś nie zrobi, Gilan zginie.

Zdawała sobie sprawę, że nie mogłaby z tym żyć. A potem dotarło do niej, że w ogóle nie będzie żyć.

Plum! Kolejna kropla wody. Znowu minęło pół minuty.

- Widać go? - spytał Tomas, podnosząc wzrok znad kości.

Nuttal podszedł do okna, odrobinę odciągnął zasłonę i wyjrzał na ciemniejącą ulicę.

- Nie - odrzekł, pozwalając, by zasłona opadła z powrotem. Jenny wstrzymała oddech, pragnąc, by oddalił się od okna i ławy. W jej głowie zrodził się pomysł, ale jeśli wszyscy będą zgromadzeni blisko pieca i ławy, jej zadanie będzie trudniejsze. Wypuściła powietrze, gdy Nuttal wrócił na swoje miejsce po drugiej stronie kuchni, usiadł i wbił pusty wzrok w przestrzeń.

Pora działać, pomyślała.

- Jagnięcina jest gotowa - powiedziała.

Wszyscy trzej na nią spojrzeli. Milczała od dwudziestu minut i przez chwilę żaden z nich nie wiedział, o czym mowa. Gestem wskazała piec.

- Piecze się tam udziec jagnięcy. Powinnam go wyjąć, bo inaczej się przypali i wysuszy.

- A co nas to obchodzi? - odparł piskliwym głosem Nuttal.

Mound spiorunował go spojrzeniem.

- Mnie obchodzi. Jestem głodny i potrzebujemy prowiantu na drogę. Jagnięcy udziec będzie jak znalazł.

- A - bąknął Nuttal, nieco strapiiony. - Tak, chyba masz rację.

Jenny zerknęła na Tomasa.

- A ty co powiesz? - spytała. - Jeśli teraz go nie wyjmę, będzie do niczego.

Tak naprawdę wiedziała, że mięso spokojnie zniesie jeszcze pół godziny pieczenia. Ale ci trzech nie mieli o tym pojęcia. Tomas wyszczerzył się do niej.

- Do niczego? Tak jak ciasto śliwkowe? - spytał. Potem machnął ręką w kierunku pieca. - Tak. Zrób to, jeśli chcesz.

Podniosła się, wzięła ścierkę i otworzyła drzwiczki pieca. Bogaty aromat jagnięciny wypełnił pomieszczenie. Na ławie leżały drewniane szczypce, więc podniosła je niedbale, po czym włożyła sobie pod pachę, sięgnęła do środka i przez ścierkę złapała żelazną brytfannę z brązowym, skwierczącym udźcem.

Mound odwrócił się, by popatrzeć, jak kobieta wyjmuje pieczeń. Tłuszcz syczał i pryskał, a mężczyzna nieświadomie oblizał wargi. Uświadomił sobie, że nie jadł cały dzień.

Z drugiej strony Tomas przyglądał się potrawie z nie mniejszym zainteresowaniem i apetytem.

Gdy Jenny się wyprostowała, trzymając ciężką, żelazną brytfannę, celowo wypuściła spod pachy drewniane szczypce. Stuknęły o podłogę, a ona udała zmieszanie.

- Oj, do licha! - wykrzyknęła. Zaczęła się nachylać, by je podnieść, a potem jakby zdała sobie sprawę, że obciąża ją brytfanna. Zawahała się. Tak jak liczyła, Mound podniósł się z krzesła i ruszył w jej stronę. Już chciał przykucnąć, by podnieść szczypce, gdy go powstrzymała, robiąc krok w jego stronę.

- Ja je wezmę - powiedziała. - Potrzyмай to przez chwilę.

Podala mu brytfannę, a on bez namysłu złapał ją od spodu obiema rękami. Był to naturalny odruch. Nastąpiła sekunda przerwy, zanim do niego dotarło, że naczynie jest gorące i żelazo pali mu dłonie. Krzyknął z bólu i zgiął się w pół, po czym upuścił brytfannę i wsunął dłonie pod pachy, próbując złagodzić potworny ból oparzeń. Zataczając się po kuchni, wpadł na stół i pchnął go na Tomasa, który właśnie się podrywał.

Nie zważając na brytfannę, Jenny sięgnęła po ciężki wałek. Mound, z obiema dłońmi wepchniętymi pod pachy, był zupełnie bezbronny, gdy postąpiła naprzód i walnęła go twardym, drewnianym narzędziem w bok głowy.

Trzask!

Popatrzył na nią oczami szklistymi z bólu.

- Ty... - zaczął, ale znowu zamachnęła się wałkiem i tym razem przyłożyła mu z drugiej strony głowy.

Trzask!

Jego oczy powędrowały w górę i runął nieprzytomny na podłogę.

Poczuła jednak przyływ paniki, gdy rączka wałka złamała się przy drugim uderzeniu, ciężki drewniany cylinder poleciał, wirując, przez pomieszczenie, a ona została bez broni. Tomas okrążył stół z wyciągniętym sztyletem, trzymany na wysokości bioder. Zobaczyła wściekłość w jego oczach i zrozumiała, że zginie, jeśli czegoś nie zrobi. Ława, z nożami i ciężką patelnią, była poza zasięgiem. U stóp miała jednak inną potencjalną broń.

Nachyliła się szybko, dokładnie w chwili, gdy Tomas rzucił się naprzód. Sztylet śmignął tuż nad nią, gdy gwałtownie się zgięła. Tomas, przeskoczywszy nad leżącym bez zmysłów Moundem, trafił stopą w plamę tłuszczu z jagnięciny i noga poleciała w bok. Gdy próbował odzyskać równowagę, Jenny miała czas, by chwycić udziec za gołeń. Machnęła nim na oślep znad podłogi, wkładając w to całą siłę.

Tomas dał się zaskoczyć z szeroko rozstawionymi nogami i udziec wałnął go dokładnie między nimi. Szeroko otworzył oczy ze zdumienia, gdy poczuł potworny ból, a oddech uleciał z jego ciała z donośnym „wuuch”.

Sztylet wypadł mu z dłoni. Jenny, wciąż trzymając obiema rękami nieporęczny udziec, wyprostowała się i zatoczyła pełny obrót, by nabrać impetu, po czym grubszym końcem udźca przyłożyła Tomasowi w szczękę. Rozległ się głuchy łoskot i brodaty rabuś, z twarzą wysmarowaną gorącym tłuszczem, runął na kuchenny stół. Sturlał się zeń z drugiej strony, przewrócił krzesło i grzmotnął o podłogę, tracąc przytomność.

Wszystko wydarzyło się w przeciągu kilku sekund. Nuttal, jak zwykle niezdolny do szybkiej reakcji, tkwił z wybałuszonymi oczami w przeciwległym krańcu kuchni, patrząc na Jenny i swoich dwóch nieprzytomnych towarzyszy. Potem dłoń opadła mu na rękojęść sztyletu i ruszył w jej stronę, klnąc pod nosem.

Już po chwili zatrzymał się i zrobił gwałtowny unik, gdy cisnęła w niego wirującym w powietrzu udźcem. Poczuł, że kawał mięsa przelatuje mu tuż nad głową, po czym znowu się wyprostował i zrozumiał, że ta chwila opóźnienia dała młodej kobiecie czas, by sięgnąć do stojaka z nożami. Cofnął się, gdy pierwsze narzędzie o ciężkim ostrzu pomknęło tuż za udźcem, odbijając światło i obracając się w locie.

Z piskliwym okrzykiem strachu znowu się uchylił, tylko po to, by stwierdzić, że

mniejszy, choć równie ostry nóż do warzyw poleciał w ślad za pierwszym. Odbił się od ściany i rykoszetem trafił Nuttala w ucho, a krew pociekła mu po szyi.

Teraz powietrze przeciął dwuzębny widelec do krojenia. Trafił w ścianę i utkwiał w niej, drżąc zaciekle. Nuttal popatrzył na widelec, a jego zdecydowanie słabło z każdą sekundą. Znowu skierował wzrok na Jenny, zobaczył, że trzyma w ręce ciężki tasak i szykuje się do rzutu. A na stojaku znajdowały się jeszcze cztery inne noże.

Podbiegł do drzwi - w samą porę. Tasak zawirował w powietrzu i z łoskotem walnął w ścianę tuż przy widelcu, dokładnie tam, gdzie Nuttal stał jeszcze przed chwilą. Zadrzał ze znacznie głośniejszym odgłosem. Skamłąc ze strachu, mężczyzna z trudem otworzył drzwi wejściowe i wypadł na dwór.

Prosto na Gilana, który szedł ścieżką od bramy. Zbir odbił się od niego, a potem rzucił się na przybysza, wnosząc sztylet do śmiertelnego ciosu.

Jak wszyscy zwiadowcy, Gilan miał świetny refleks. Nie miał pojęcia, kim może być napastnik, ale zareagował w mgnieniu oka. Podniósł prawą rękę, by odbić sztylet, i w tym samym ruchu obrócił się na prawej nodze, a otwartą lewą dłonią trafił Nuttala w szczękę. Głowa napastnika odskoczyła w tył. Jego pięty oderwały się od ziemi i zwałił się bez zmysłów na schody przed drzwiami domu. Gilan nie zwracał więcej na niego uwagi. Przeskoczył trzy niskie stopnie. Czuł, że jasnowłosej dziewczynie, która zaczęła tak wiele dla niego znaczyć, grozi niebezpieczeństwo. Odepchnął ramieniem uchylone drzwi i wskoczył do kuchni. Ciężka saksa pojawiła się w jego dłoni niczym za sprawą czarów. Przykucnął, rozglądając się na wszystkie strony w poszukiwaniu zagrożenia.

Przy stole kuchennym zobaczył Jenny, łkającą z twarzą ukrytą w dłoniach. U jej stóp leżeli nieruchomo dwaj mężczyźni. Jeden wielki i potężny, drugi nieco mniejszy, z gęstą brodą. Obaj byli martwi albo nieprzytomni. Tak czy owak, żaden nie przedstawiał już żadnego niebezpieczeństwa dla niego ani dla Jenny. Wsunął sakse do pochwy.

- Jenny?

Podniosła wzrok i zobaczyła go, po czym rzuciła mu się w ramiona. Przytrzymał ją przy sobie, rozkoszując się tym uczuciem i wdychając świeży zapach jej włosów i skóry. Chlipała w niekontrolowany sposób, aż całe jej ciało dygotało.

- No już, już - powtarzał, delikatnie głaszcząc ją po włosach. - Już wszystko dobrze.

Odchyliła się w jego objęciach, by na niego popatrzeć. Twarz miała we łzach, wokół niebieskich oczu pojawiły się czerwone obwódki. Pomyślał, że nigdy nie wyglądała tak pięknie.

- Miałaś przyjść dopiero o szóstej - stwierdziła.

- Wcześniej skończyłem w zamku i od razu przyszedłem. I bardzo się cieszę, że to zrobiłem.

- Ja też - odrzekła i znowu wtuliła twarz w jego szyję. A on jeszcze raz czule pogładził jej włosy.

- Spokojnie, moja słodka - przemówił. - Nie ma już się czego bać.

Jeszcze raz odchyliła się w jego ramionach.

- Nie boję się - odparła. - Jestem wściekła.

- Co się tu stało? - spytał, a potem poukładał fakty. - Czy to są ludzie, którzy obrabowali złotnika? Złapałeś ich?

Przytaknęła, pociągając nosem.

- Zaplanowałam uroczą kolację dla dwojga, a ci trzej wpakowali się do środka - wyjaśniła. - Zniszczyli twoje ciasto śliwkowe. - Wskazała nędzne resztki ciasta i nadzienia, rozmazane i wdeptane w podłogę. - Jagnięcy udziec też nie ocalał.

Gilan popatrzył z namysłem na dwóch nieprzytomnych mężczyzn. Brodacz leżał skulony, z kolanami podciągniętymi do piersi i cicho pojękiwał. Smugi tłuszczu znaczyły mu brodę, a nos miał złamany, przesunięty w bok.

- Czyli to oni odebrali nam kolację? - spytał zwiadowca.

Znowu pociągnęła nosem, ocierając go pospiesznie wierzchem dłoni.

- Zgadza się.

- No - powiedział. - Nie sądzę, żeby im smakowało.

**TANIEC
WESELNY**

ROZDZIAŁ 1

Will ślęczał nad stosem dokumentów na stole, gdy Halt wszedł do niewielkiej chaty wśród drzew.

- Witaj - odezwał się młodszy mężczyzna, nie podnosząc wzroku. - Kawa gotowa.

Przybycie Halta go nie zaskoczyło. Przed kilkoma minutami słyszał odgłos kopyt Abelarda na miękkiej ziemi, a później powitalne rżenie Wyrwija. Halt sprawdził kubek Willa; stwierdził, że naczynie jest w trzech czwartych wypełnione kawą, więc dolewka nie jest potrzebna. Nalał kawy sobie i usiadł po przeciwnej stronie stołu.

Brodaty zwiadowca popatrzył pytająco na papiery rozłożone przed swoim byłym uczniem. Lekko pochylił głowę, by z większą łatwością czytać odwrócony tekst. Potem pokiwał sam do siebie głową, odcyfrowawszy treść kartki leżącej na wierzchu.

- Widzę, że pracujesz nad tą serią wypadków w zamku - zauważył.

Will poniósł wzrok i przytaknął.

- Owszem. Desmond prosił, żebym się temu przyjrzał. Podejrzewa, że w rzeczywistości to nie wypadki, a celowe działanie.

- Niewykluczone. Zdarzały się zbyt często, jak na zbieg okoliczności. Kolejny miał miejsce ostatniej nocy w sali jadalnej.

Will uniósł brwi.

- Co się tym razem stało?

Przez sześć ostatnich dni w zamku nastąpiła seria potencjalnie niebezpiecznych sytuacji. Sterta kamieni w jakiś sposób spadła z blanków na dziedziniec poniżej. Kamień pocięto i zgromadzono na miejscu, by naprawić jakieś uszkodzenie muru, ale murarz przysięgał, że stos znajdował się daleko od krawędzi. Później cel ćwiczebny Szkoły Rycerskiej - w formie obrotowego ramienia, obciążonego workiem z piaskiem, na którym uczniowie trenowali walkę konną - doznał niewyjaśnionej awarii. Obrotowe ramię, trafione kopią, oderwało się nagle od wspornika i kręcąc się, poleciało przez pole, ledwie mijając dwóch uczniów drugiego roku, gdy spadało na ziemię. A potem ciężka kotara, używana do oddzielania części wielkiej sali podczas zimnej pogody, spadła z karnisza i zwała się na podłogę, przygniatając służącą. Jako że gruba tkanina mierzyła ładnych kilka metrów na długość i dobre cztery na szerokość, ważyła niemało. Na szczęście służąca wyszła z tego bez poważnych obrażeń, choć boleśnie zwichnęła prawe kolano i na dwa dni trafiła do izby

chorych.

Jak powiedział Desmond, niefortunnych wydarzeń było zbyt wiele, by uznać je za zbieg okoliczności. A teraz, według Halta, nastąpiło kolejne zdarzenie.

- To było w sali jadalnej - powtórzył. - Wygląda na to, że gdy służcy postawili ciężką wazę z zupą na stole z przodu, ten zawalił się pod jej ciężarem. Jeden z rycerzy poparzył się, a służący oparzył sobie rękę, kiedy próbował ratować wazę przed upadkiem.

- Mogło skończyć się gorzej, ma się rozumieć - zauważył Will, a Halt potwierdził.

- Tak. Wszystkie te „wypadki” mogły skończyć się gorzej. Jak dotąd dopisywało nam szczęście. Ale myślę, że ktoś za tym stoi i tego kogoś należy powstrzymać.

Will ułożył papiery w schludny stos, na którym następnie postawił granitowy przycisk.

- Pójdę trochę powęszyć w zamku - powiedział. - Zobaczę, co znajdę. Chcesz do mnie dołączyć?

Halt pokręcił głową.

- Wyruszam rano z powozem pocztowym - oznajmił. - Te napady stają się istną plagą.

Obaj zwiadowcy mieli dużo zajęć. Oprócz zdarzeń w zamku, które badał Will, nastąpiła też seria napaści bandy zbójców, którzy zatrzymywali powóz pocztowy i grabili go ze wszystkich kosztowności. Halt planował śledzić powóz tego ranka i przekonać się, czy ktoś spróbuje go zaatakować.

- Spodziewasz się kłopotów? - spytał Will.

- W sumie nie. Dzisiaj w powozie nie ma kosztowności. Jestem niemal pewien, że bandyci dostają informacje o ładunku z wewnątrz i atakują tylko wtedy, gdy warto.

- Czyli jeśli dzisiaj nic się nie zdarzy, zyskasz pewność, że mają pomoc z zewnątrz? - upewnił się Will.

Jego dawny mentor wzruszył ramionami.

- To nie będzie niepodważalny dowód, ale dość istotna wskazówka.

Will powstał i ruszył ku drzwiom.

- No to lepiej bierz się do roboty. Zajrzę do Desmonda, a potem przyjrę się tej sprawie ze stołem w sali jadalnej.

- Jak ci idzie mowa? - spytał Halt, skrywając uśmiech. Jako družba na zbliżającym się ślubie Horace'a i księżniczki Cassandry, Will miał wygłosić mowę. Jej pierwszy szkic spłonął podczas walki z Księżycociemnymi.

- Nie miałem jeszcze okazji się nią zająć. Wezmę się za to w ciągu paru najbliższych dni - odrzekł Will.

Halt pomachał mu na pożegnanie, odchylając się w tył na krześle i dopijając kawę.

Will zmarszczył brwi.

- Kiedy byłem twoim uczniem, mówiłeś mi, żebym tak nie robił. Że od tego obluźują się nogi krzesła.

- I miałem rację - odparł Halt, uśmiechając się z zadowoleniem. - Ale to twoje krzesło, więc czym mam się przejmować?

- Przecięto ją w połowie - stwierdził Will, kucając przy zniszczonym stole. Oglądał krzyżakową podporę, która podtrzymywała koniec blatu. Jedna z nóg ustąpiła. Była złamana i postrzępiona w połowie długości, gdzie pękła. Drugą połowę jednak przepiłowano. W drewnie widniał wyraźny, prosty ślad cięcia.

Desmond nachylił się, by też popatrzeć, po czym skinął głową.

- Zgadza się. I ktokolwiek to zrobił, najwyraźniej nie dba o to, czy się dowiemy. Nawet się nie starał, żeby wyglądało to na przypadek.

Will wstał, kiwając głową służącemu, który czekał, by zabrać zniszczoną podporę i zastąpić ją nową. Wraz z Desmondem oddalił się, by kontynuować rozmowę na osobności.

- No to teraz - odezwał się - musisz pewnie sprawdzać wszystkie podpory przed każdym posiłkiem, żeby mieć pewność, że kolejna nie pęknie w najmniej odpowiednim momencie.

Desmond z rozpaczą pokręcił głową.

- Co za utrapienie! Na domiar złego w tej chwili brakuje nam ludzi. Połowa pracowników zamku pomaga przy żniwach, no i zbliża się ślub.

Will z namysłem popatrzył na złamaną podporę, leżącą teraz na boku, podczas gdy słudzy stawiali nową na jej miejsce.

- Zupełnie jakby ktoś chciał ci utrudnić życie - powiedział. - To znaczy, te wypadki są dość banalne. Ktoś mógł odnieść obrażenia, ma się rozumieć. Ale na razie największy kłopot polega na tym, że musisz zwiększyć czujność i częściej sprawdzać meble oraz mury.

- Brakuje mi ludzi - powtórzył Desmond.

- Miałeś ostatnio z nimi jakieś problemy? - spytał Will. - Kogoś trzeba było zdyscyplinować albo zwolnić? Może ktoś chowa do ciebie urazę... albo do Redmont jako całości.

Desmond z zamyśleniem podrapał się po brodzie.

- Nikt nie przychodzi mi do głowy - stwierdził, po czym dodał, gdy zaświtała mu pewna myśl: - Jest oczywiście Robard, ale on na pewno nie...

- Robard? - przerwał mu Will. - Kto to taki?

- Jest pomocnikiem stolnika, którego szkole. A raczej był. Musiałem go zdegradować. Przez parę miesięcy znów musi pracować jako kelner w sali jadalnej, żeby się czegoś nauczył. Właściwie - ciągnął - miałem go zwolnić, ale baron stanął w jego obronie. Powiedział, że każdy może popełnić błąd. Zasugerował, żebym na kilka miesięcy odesłał go do ciężkiej pracy, a potem przywrócił na poprzednie stanowisko.

- Co zrobił? - spytał Will i Desmond wzruszył ramionami.

- No, podejrzewaliśmy, że kradnie. To nie było nic poważnego. Nic szczególnie cennego. Drobne przedmioty, które gdzieś ginęły, a on był ostatnią widzianą z nimi osobą. Niczego nie mogłem udowodnić i dlatego baron powiedział, że powinienem zastosować domniemanie niewinności. Poza tym Robard źle traktował młodszą służbę. Tyranizował ich, zawsze krytykował ich pracę, nigdy ich nie zachęcał. Uważaliśmy, że należy mu się lekcja.

- A czy wiedział o planach przywrócenia mu stanowiska po kilku miesiącach?

- Aaa... No nie. Nie wiedział. - Stolnik wydawał się zdruzgotany. - Może powinienem był mu powiedzieć, że degradacja jest tylko czasowa, ale pomyślałem, że lepiej, jeśli powrót do poprzedniej pracy będzie wyglądał jak nagroda za poprawę w zachowaniu. Jak spontaniczny gest.

- Czyli może odczuwać żal. W końcu, nawet jeśli był winny, niczego mu nie udowodniłeś, więc może uważać, że obszedłeś się z nim zbyt surowo.

- Chyba masz rację. - Desmond wyraźnie zatroskał się tą myślą. Zawsze żywił słabość do Robarda, nawet jeśli młodzieniec miał w sobie coś dzikiego. Liczył, że gdy dojrzeje, wyrośnie z niewłaściwych zachowań. Teraz podejrzenie, że jego uczeń może stać za potencjalnie niebezpiecznymi zdarzeniami w zamku, kazało mu zwątpić we własną ocenę sytuacji.

- Chyba lepiej, żebym z nim porozmawiał - powiedział z ociąganiem.

Zwiadowca przez chwilę patrzył na niego przenikliwie. Zgadywał, co się działo w umyśle starszego mężczyzny.

- Może ja bym to zrobił? - zaproponował. - W końcu nie mam z nim żadnych zaszczości. - A w myślach dodał: „mniejsza szansa, że potraktuję go zbyt łagodnie”.

Desmond spojrział na niego z wdzięcznością.

- Mógłbyś? - spytał. - Byłbym ci bardzo zobowiązany.

Will uśmiechnął się. Z czasów, gdy kwaterował w Zamku Redmont, pamiętał, że Desmond to dobrotliwy człowiek, który nie lubi żadnych konfliktów. Konieczność ukarania faworyzowanego ucznia byłaby dla niego nad wyraz nieprzyjemna.

- Z wielką chęcią ci pomogę - zapewnił. - Niech się do mnie zgłosi o drugiej po południu. Skorzystam z jednego z gabinetów w apartamencie barona.

Po wejściu do gabinetu Robard rozejrzał się niespokojnie. Will siedział przy biurku, plecami do dużego okna, a jego sylwetka odcinała się na tle słonecznego blasku z zewnątrz. Właśnie dlatego wybrał na spotkanie wczesne popołudnie. Włożył płaszcz i naciągnął kaptur; twarz miał skrytą w cieniu, a głowę pochylił nad niewielkim stosem papierów na blacie przed sobą.

- Usiądź - powiedział tonem neutralnym, ani przyjaznym, ani oskarżycielskim. Przed biurkiem stało krzesło z prostym oparciem, więc Robard podszedł do niego i usiadł. Will, obserwując go spod opuszczonych brwi, dostrzegł, że siedzi nerwowo, na baczność. Musiał jednak przyznać, że nie ma żadnej wyraźnej oznaki, która wskazywałaby na jego winę. Wezwanie na rozmowę ze zwiadowcą wystarczyłoby, by każdy zamkowy sługa się zdenerwował.

Widział wcześniej Robarda przy kilku okazjach, zwykle podczas formalnych kolacji w zamku. Był krępy młodzińcem, nieco poniżej przeciętnego wzrostu. Za parę lat dorobi się zapewne nadwagi. Widać już było jej pierwsze oznaki, opadające policzki i zaczątki tłustego podbródka. Terminujący stolnik nie miał zbyt wielu ciężkich obowiązków fizycznych, a funkcja dawała mu wiele możliwości rozkoszowania się wyśmienitym jadłem i napitkami.

Przy tych wcześniejszych spotkaniach, pamiętał Will, Robard wykazywał ogromną pewność siebie, ocierającą się o arogancję i zarozumiałość. Dzisiaj jednak tych cech zupełnie nie było widać. Pozwoliwszy, by młodziwiec siedział przed nim przez kilka minut w zupełnej ciszy, Will odłożył w końcu pióro, którym robił nic nieznaczące zapiski na kartce. Był to jeden z papierów pożyczonych od sekretarza Aralda, a konkretnie lista zawartości zamkowego spichlerza w pierwszym kwartale ubiegłego roku. Robard nie mógł o tym wiedzieć, ma się rozumieć, i teraz zwiadowca zasłonił kartkę skórzaną teczką, by ukryć jej prawdziwą treść. Podniósł wzrok i odrzucił kaptur.

- Nazywasz się Robard - powiedział. Mówił cicho, ciszej niż podczas normalnej rozmowy. Przekonał się, że ta technika często wywołuje dyskomfort u przesłuchiwanym, którzy mieli coś na sumieniu. Musieli wytężać słuch, by usłyszeć jego słowa, i często się bali, że umknie im coś istotnego. Z drugiej strony, podniesiony głos i gwałtowne zachowanie od samego początku często sprawiało, że rozmówca od razu przechodził do defensywy.

Robard lekko nachylił się w przód.

- Eee... Tak, sir. Zgadza się.

- I wiesz, dlaczego tu jesteś. - Było to stwierdzenie, a nie pytanie.

Na gładko ogolonej twarzy Robarda pojawiły się zmarszczki. A także wyraz niepewności.

- Nie. Nie wiem.

- Nie marnuj mojego czasu, Robardzie. - Głos Willa wciąż pozostawał niski i cichy, ale przez to brzmiał w jakiś sposób jeszcze groźniej, jeszcze bardziej złowieszczo. Tamten pokręcił głową i podniósł ręce w obronnym geście.

- Nie. Naprawdę. Ja...

Will grzmotnął nagle dłonią o blat biurka. Kilka leżących na nim przedmiotów podskoczyło, by z łoskotem opaść na swoje miejsca. Robard aż się wzdrygnął na niespodziewany donośny TRZASK. Głos zwiadowcy też nie był już cichy.

- NIE... MARNUJ... MOJEGO... CZASU! - wydarł się Will.

Robard bezradnie pokręcił głową.

- Ale ja...

Zwiadowca wstał, nachylił się nad biurkiem i wycelował palec w nieszczęsnego czeladnika i wystrzelił z siebie serię szybkich oskarżeń.

- Blanki. Obrotowy cel. Kurtyna - powiedział, stukając palcem wskazującym w biurko, by podkreślić każde słowo. - To mogło ująć ci na sucho. Ale popełniłeś gruby błąd z podporą stołu. Widziano cię.

Robard zaczął protestować, ale Will nie dał mu szansy na odpowiedź, a także, co ważniejsze, czasu do namysłu.

- Widziały cię dwie osoby z obsługi kuchni! Rozpoznały cię i będą przysięgać, że to ty podpilołaś nogi. Poważny błąd, Robardzie. Oni cię widzieli! I będą zeznawać przeciwko tobie! Czekają cię dziesięć do piętnastu lat ciężkich robót w polu.

- Nie! Przysięgam, że nie wiem, o czym mowa!

- Głupi jesteś? Nie słuchasz mnie? WIDZIANO CIĘ! Mamy świadków, którzy widzieli, jak przecinasz podporę! Nie będzie nawet potrzeba procesu. Jest ich dwoje. Mamy zeznania pod przysięgą! - Postukał kłykciami w skórzaną teczkę z dokumentami, które rzekomo czytał. - Poślą cię na pola. W kajdanach! Baron Arald się wściekł. Jest gotowy od razu wydać wyrok! Twoja jedyna nadzieja to przyznać się i błagać o litość.

Zaobserwowawszy nieco pulchną posturę i miękkie, gładkie dłonie Robarda, zwiadowca odgadł, że perspektywa długiej, ciężkiej pracy fizycznej to dlań najstraszniejsza groźba. Miał rację. Widział panikę w jego oczach.

- Ale nie mogli...

- Co nie mogli? Mówiłem! Widzieli cię! Byłeś nieuważny! Trzeba było sprawdzić, czy nikogo nie ma w kuchni!

- Właśnie to zrobiłem! Ja...

Pod wpływem paniki i nieustannego dręczenia ze strony Willa, Robard wyrzucił z siebie słowa, zanim miał czas na ich przemyślenie. Poniewczasie uświadomił sobie, co powiedział, gdy Will oparł się na krzesło i przechylił głowę w bok, by mu się lepiej przyjrzeć.

- Zrobiłeś? - powtórzył. - Co zrobiłeś?

- Ja... to znaczy... nie zrobiłem. Nie zrobiłem tego. - Robard próbował się wykaraskać, ale wiedział, że już za późno. Zdawało się, że zapadł się w sobie, skurczył się na krzesło, oklapł.

Zwiadowca mówił dalej spokojnym, rozważnym tonem.

- Przyznaj się, Robardzie. Sprawa potoczy się dla ciebie źlej, jeśli się przyznasz. Czemu to zrobiłeś?

- Mówię, że nie... - zaczął tamten, usiłując ponownie przybrać wcześniejszą pozę oburzenia. Była to jednak żałobna próba i Will zbył ją krótkim machnięciem ręki.

- Dziwny sposób odpłacania ludziom, którzy o ciebie dbali - powiedział cicho.

Robard podniósł oczy, by napotkać chłodne spojrzenie zwiadowcy.

- Dbali o mnie? Upokarzali mnie. Baron mnie zdegradował, więc rozkazywali mi ludzie niżsi rangą. A jaką im to sprawiało frajdę! - dodał.

Obserwując go, Will pojął nagle jego zgorzknienie. Jako pomocnik stolnika, Robard bez wątpienia się szarogęsił. Jego poczucie własnej wartości nie pozwoliłoby mu zachowywać się inaczej. A potem, nagle, stał się podwładnym tych samych ludzi, którymi wcześniej pomiatał. To nie mogło być łatwe.

- Dlaczego nie mogli mnie po prostu zwolnić, żeby mieć to z głowy? - spytał teraz i Will smutno pokręcił głową.

- Nie chcieli cię zwalniać. Zamierzali cię ukarać, a potem przywrócić na dawne stanowisko, kiedy dostaniesz już nauczki.

Robardowi opadła szczęka.

- Przywrócić na dawne stanowisko? - spytał głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

- To znaczy, że mógłbym... - Urwał, nie wiedząc, co dalej powiedzieć.

Will pokiwał głową.

- Gdybyś tylko poczekał miesiąc czy dwa, odzyskałbyś wcześniejszą pozycję. I może nauczyłbyś się, jak traktować podległych sobie.

- Nie wiedziałem. Powinni mi powiedzieć! - Znowu pojawił się u niego cień dawnego

oburzenia i gniewu, oznaka czystej arogancji. Za wszystko, co spotykało Robarda, odpowiadał w jego mniemaniu ktoś inny, nigdy on sam. Był takim typem człowieka.

- Więc postanowiłeś dać baronowi Araldowi nauczkę - stwierdził Will. - Zaaranżowałaś serię „wypadków” w zamku tylko dla zemsty?

Robard błyskawicznie otworzył usta, by od razu zaprzeczyć. Potem, jak się zdawało, pojął swoją beznadziejną sytuację. Zamknął usta, zawahał się, a potem cicho potwierdził.

- Tak.

Opuścił oczy. Nie mógł wytrzymać nieruchomego, oskarżycielskiego spojrzenia Willa. W pomieszczeniu zapadło przeciągłe milczenie.

Zwiadowca pozwolił, by cisza trwała. A potem, uznawszy, że utrzymywała się już wystarczająco długo, by stać się niezręczną, zadał kolejne pytanie.

- Było coś jeszcze?

- Coś jeszcze? W jakim sensie?

- Oprócz obrotowego celu, kurtyny i innych rzeczy. Zrobiłeś jeszcze coś, o czym powinniśmy wiedzieć?

Przez sekundę Will dostrzegł w oczach tamtego jakiś błysk, podejrzenie kojarzący się z poczuciem winy. Zanim jednak zyskał pewność, Robard odwrócił wzrok.

- Nie - bąknął. - Nie było nic więcej.

- Na pewno? - naciskał Will.

Tamten jednak wciąż patrzył na swoje wsparte na kolanach dłonie, gdy ledwo słyszalnym głosem odpowiadał:

- Na pewno. Nic więcej.

- Hmm - mruknął Will. Z nabożeństwem otworzył skórzaną teczkę i naskrobał coś na kartce w środku. Chciał w ten sposób pokazać, że nie wierzy w ostatnią odpowiedź przesłuchiwanego. Z traskiem zamknął teczkę.

- Jutro dłużej o tym porozmawiamy. Pamiętaj, będzie dla ciebie lepiej, jeśli powiesz mi całą prawdę. A nie wierzę, żebyś już doszedł do tego punktu.

Niech poci się nad tym do jutra, pomyślał. Jutro przesłucha go znowu. Nie miał wątpliwości, że młodzieniec o czymś mu nie powiedział, i chciał się za wszelką cenę dowiedzieć, o czym. Obiecał sobie, że przy jutrzejszym przesłuchaniu, dzisiejsza rozmowa wyda się przyjacielską pogawędką. W końcu Robard zdenerwował się obojętnym spojrzeniem zwiadowcy, który nawet nie mrugał powiekami.

- Co się ze mną stanie? - spytał żałośnie.

Przez parę chwil Will nie odpowiadał.

- To nie ode mnie zależy - stwierdził w końcu. - Złożę raport Desmondowi i baronowi. To oni podejmą decyzję. Być może trafisz do lochu. Być może na ciężkie roboty w polu na pięć czy dziesięć lat. Kto wie? - Przesadzał, ma się rozumieć, ale chciał, by te ponure perspektywy gryzły umysł Robarda przez całą noc. - Ale przynajmniej - zakończył - zapewne spełni się twoje życzenie.

Tamten podniósł wzrok.

- Moje życzenie? - spytał. - Jakiego znowu życzenia?

- Powiedziałeś, że mogli cię zwolnić. Obstawiam, że teraz to zrobią.

ROZDZIAŁ 2

Szósta rano. Tupot stóp na miękkiej ziemi pod drzewami.

Stłumione, ostrzegawcze rzenie Wyrwija dobiegło ze stajni za chatą i Will momentalnie się obudził. Ktoś biegł między drzewami w kierunku budynku.

Wyturlał się z łóżka i przewiesił sobie pas z podwójną pochwą przez lewe ramię, by oba noże mieć na podorędziu. Tupot nóg przybliżał się. Jedna osoba, pomyślał. Zapewne mężczyzna, sądząc po ciężkości kroków. Zerknął na płaszcz, wiszący przy drzwiach, i odrzucił pomysł przywdziania go. Ubrany w luźne spodnie i koszulę, których używał jako stroju do spania, podreptał na bosaka do drzwi chaty. Ebony już tam była. Wstała ze swojego koca przy kominku i wachała szczelinę pod drzwiami, by zyskać jakieś pojęcie o osobie na zewnątrz. Podniosła na niego wzrok, z czujnymi, nastroszonymi uszami, powoli kołysząc ciężkim ogonem. Przyłożył palec do warg, pokazując jej, by zachowała ciszę.

Rzenie Wyrwija nie niosło żadnego poczucia zagrożenia. Było to po prostu ostrzeżenie, że ktoś się zbliża. Will przyłożył oko do judasza w drzwiach, tak maleńkiego, że niemal niewidocznego z drugiej strony. Zobaczył sługę w zamkowej liberii, wdrapującego się po schodach na ganek. Mężczyzna zatrzymał się, trzymając się za oba boki i ciężko dysząc przez kilka sekund, po czym podszedł do drzwi i podniósł pięść, by zastukać w twarde drewno.

Cofnął się, zaskoczony, gdy gospodarz otworzył drzwi.

- O! Zwiadowca Will! Nie śpisz! - stwierdził z konsternacją.

- Na to wygląda - odparł Will.

Był to rodzaj oschłej odpowiedzi, jakie Halt wygłaszał do niego latami w reakcji na wszelkie oczywiste stwierdzenia. Nieświadomie zaczął naśladować styl swojego byłego nauczyciela.

- Czym mogę służyć? - spytał.

Sługa - Will poznał po uniformie, że to jeden ze służących z jadalni, podwładnych Desmonda - wskazał ręką w kierunku zamku.

- Musisz iść do zamku - oznajmił. Wciąż był podenerwowany. Najpierw pokonał biegiem całą drogę z Zamku Redmont do chaty, a później otwarto mu przed nosem drzwi w chwili, gdy właśnie miał zapukać. Teraz zaś zapomniał o właściwej formie przy przekazywaniu wiadomości.

Will uniósł brwi.

- Muszę?

Mężczyzna pokręcił głową i wykonał dłonią przeproszący gest.

- Najmocniej przepraszam, zwiadowco. Mistrz Desmond pyta, czy łaskawie przyjdiesz do zamku, najszybciej, jak będziesz mógł.

- A jest jakiś powód tego całego pośpiechu? - spytał łagodnie Will.

Sługa pokiwał kilka razy głową, zanim odpowiedział.

- Chodzi o Robarda, sir, byłego czeladnika. Nie żyje!

Ciało Robarda leżało twarzą do góry pod oknem jego małej komnaty. Wyglądało na to, że gdy padał, chwycił się rozpaczliwie ciężkiej zasłony. Gruby materiał spowijał jego brzuch i górną część nóg. Strzaskane drewniane kółka, na których wisiała zasłona, walały się wokół po posadzce.

Czeladnik miał szeroko otwarte oczy, które nadawały jego twarzy wyraz zaskoczenia.

- Czy ktoś przeniósł zwłoki? - spytał Will, przyklękając na jedno kolano przy nieruchomym ciele.

- Tak go znaleziono - odparł Desmond. Nachylił się, by patrzeć przez ramię zwiadowcy. Uderzyła go myśl, że takie same pozycje zajmowali poprzedniego dnia, kiedy oglądali podporę stołu.

Will przybliżył twarz do lekko otwartych ust Robarda i badawczo wciągnął powietrze w nozdrza. Wydało mu się, że wyczuwa słabą nutę czegoś... mdłego i słodkiego. Rozejrzał się po pomieszczeniu. Na małym stoliku przy łóżku stał dzban na wodę, brakowało jednak kubka. Rozglądał się dalej. Nigdzie nie było nawet śladu naczynia. Chyba że...

Ostrożnie odchylił skraj zmiętej zasłony i usłyszał grzechot na podłodze. Odsunął materiał dalej i zobaczył kubek w miejscu, gdzie ten wypadł z ręki Robarda. Zasłona go zakryła. Na podłodze widniała niewielka mokra plama. Will ostrożnie wziął rogowe naczynie i powąchał. Jego nozdrza powitał ten sam mdły, słodkawy zapach.

- Trucizna - oznajmił krótko i wśród służących, którzy tłumnie zebrali się w drzwiach komnaty, zapanowało poruszenie. Zerknął na Desmonda.

- Myślisz, że mógłbyś stąd zabrać tych ludzi? - spytał.

Desmond usłuchał, podchodząc do nich i wykonując rękami odpędzające ruchy.

- Idźcie już. Nie macie tu czego szukać. Wszyscy macie swoje obowiązki, więc do roboty!

Rozeszli się z ociąganiem i Desmond zamknął za nimi drzwi. Odwrócił się z

powrotem do zwiadowcy, który ważył kubek w ręce.

- Myślisz, że to samobójstwo? - spytał.

Will wzruszył ramionami.

- Możliwe. Była jakaś kartka? Samobójcy zwykle zostawiają listy. A w ogóle, kto go znalazł?

- Jeden z pomywaczy. Robard miał zaplanowany wczesny dyżur, ale się nie pojawił. Kucharz wysłał któregoś z młodszych pomocników, by go obudził. Ten znalazł go w takim stanie i zawołał mnie. Niczego nie dotykał, pytałem o to. I nic nie mówił o liście.

Will rozejrzał się po komnacie. Nie było ani śladu kartki. W jednym kącie stało proste drewniane biurko i proste sosnowe krzesło przed nim. Zwiadowca obejrzał biurko i znalazł kilka porzucanych byle jak papierów. Na jednym widniała lista składników na supkę. Na drugim zanotowano plan dyżurów Robarda na cztery najbliższe dni. Było jeszcze kilka pogniecionych kartek z różnymi wariantami pierwszych słów listu z przeprosinami do barona Aralda i Desmonda. Już miał się odwrócić, gdy w jednej z przegródek z tyłu biurka dostrzegł inny świstek papieru, zaledwie róg, oderwany od większego arkusza. Wziął go i obejrzał. Znajdowały się na nim dwa słowa, zapewne nazwiska: Serafino i Mordini. Toskańskie, pomyślał. Bardzo egzotyczne. Podał papier Desmondowi.

- Czy te nazwiska coś ci mówią?

Stolnik pokręcił głową, a twarz miał bez wyrazu.

- Nic mi nie mówią. Od czasu do czasu korzystamy z tokańskich dostawców, ale nie poznaję tych nazwisk.

Will wziął papier z powrotem i wsunął do wewnętrznej kieszeni. Rozejrzał się po pokoju i westchnął.

- Smutne, prawda? Nigdy nie zrozumieję samobójstwa. Myślę, że możesz wpuścić z powrotem swoich ludzi, żeby zanieśli go do izby chorych. Nie ma tu nic więcej do obejrzenia.

- Sądysz zatem, że to samobójstwo? - spytał Desmond.

Will z namysłem wyduł wargi.

- Sądzę, że wygląda jak samobójstwo. Ale nie podoba mi się to, że nie było listu. Myślę, że popytam w wiosce i dowiem się, czy ktoś słyszał o tych dwóch ludziach z Toscano.

- Poklepał się po piersi, gdzie w kieszeni ukrył kawałek papieru.

- Pamiętam ich - stwierdziła Jenny. - Dwa razy jedli tu kolację, kiedy byli w wiosce. Wynajęli izbę w gospodzie, ale woleli moją kuchnię.

- Jak większość - odrzekł Will, a ona uśmiechnęła się na ten komplement.

- Staram się, jak mogę.

- Masz pojęcie, co robili w wiosce? - spytał.

Pokręciła głową.

- Nie pytam ludzi o ich sprawy. Tylko o to, co chcą zjeść. Ale może w gospodzie będą wiedzieli - dodała.

- Dziękuję za radę - odrzekł Will.

Wykonawszy nieznaczny pożegnalny gest w stronę starej przyjaciółki, Will udał się główną ulicą Wensley do gospody, jednego z nielicznych tutaj piętrowych budynków. Poranek miał się ku końcowi i właściciel zajazdu, Joel, odpoczywał na zapleczu przed wzmożonym ruchem w porze obiadowej. Na prośbę Willa pomocnik popędził, by go przyprowadzić. Will skrył uśmiech. Nawet po tylu latach ciągle się dziwił, że prości ludzie, których znał całe życie, skaczą na jednej nodze, byle spełnić jego zalecenia. Przypuszczał, że to skutek aury tajemniczości i władzy, która otaczała Korpus Zwiadowców. Nie zdawał sobie sprawy, że w jego wypadku, z uwagi na jego reputację, ta aura była zwielokrotniona.

Joel wyłonił się z zaplecza. Włosy miał w nieładzie i właśnie zapinał szeroki pas na swojej równie szerokiej talii. Will domyślił się, że gospodarz drzemał. Wcale go to nie dziwiło. Czemu nie, pomyślał. Właściciele gospód późno chodzili spać, często zajmując się klientami aż do wczesnych godzin rannych. Odsypianie zawsze, gdy tylko nadarzyła się okazja, było całkiem niezłym pomysłem.

Joel pstryknął palcami na służę w sali jadalnej i zamówił świeżą kawę. Wiedział, jak bardzo młody zwiadowca lubi ten napój. Usiedli przy jednym z sosnowych stołów. Deski, z którego go zrobiono, były niegdyś oheblowane jedynie z grubsza, ale lata służby w gospodzie, podczas których mebel wycierały łokcie, kufle, talerze, a czasami i głowy, zupełnie wygładziły drewno.

- Co mogę dla ciebie zrobić, zwiadowco? - spytał gospodarz po wymianie uprzejmości. Will podniósł wzrok, gdy służa postawił przed nim kubek z kawą. Dodał łyżeczkę miodu i pociągnął łyk. Potem odchylił się z westchnieniem zadowolenia.

- Twoja kawa jest ciągle najlepsza w wiosce - powiedział. - Wiem, że Jenny bardzo by chciała wiedzieć, skąd bierzesz ziarna.

Gospodarz uśmiechnął się.

- Nie wątpię, że by chciała. Ale utrzymuję swojego dostawcę w tajemnicy. Na niewielu polach mogę przewyższyć jej lokal i kawa właśnie do nich należy.

Will wiedział, że Joel co miesiąc wyjeżdża z wioski na sporą odległość, by spotkać się z dostawcą kawy. Tożsamość kupca, podobnie jak skład mieszanki ziaren, stanowiła pilnie

strzeżoną tajemnicę handlową. Raz, jeszcze przed laty, Will rozmyślał o tym, by śledzić właściciela gospody, a potem zdradzić Jenny, kim jest dostawca. Uznał jednak, że wykorzystywanie umiejętności zwiadowcy przeciwko właścicielowi gospody byłoby nieuczciwe. Gdyby sama Jenny zechciała go śledzić, to w porządku. Nagle uświadomił sobie, że Joel ciągle czeka na odpowiedź na swoje pytanie.

- Parę dni temu miałeś tu chyba dwóch gości - powiedział. - Zdaje się, że z Toscano.

Joel natychmiast pokiwał głową.

- Zgadza się. Handlowali wełną. Signore Mordon i Seraf-coś tam.

- Mordini i Serafino - poprawił go Will, a on znowu pokiwał głową.

- Tak. To oni. Nigdy nie pamiętam zbyt dobrze zagranicznych nazwisk.

- I byli z Toscano?

- W każdym razie mówili tak, jakby stamtąd pochodzili. To w końcu dość wyraźny akcent.

Oczy Willa zwężyli się. Toskański akcent był charakterystyczny i łatwo rozpoznawalny. Tym łatwiej naśladować go komuś, kto nie ma z Toscano nic wspólnego, pomyślał.

- Mówisz, że handlowali wełną - badał dalej.

Joel pozwolił sobie na półuśmiech.

- Właściwie, tak twierdzili. Ja tylko powtarzam. Czemu pytasz? Zrobili coś złego?

Will zignorował pytanie i podniósł się, pogrążony w myślach.

- Czy według ciebie w ogóle zajmowali się handlem? - zapytał w końcu.

Joel wzruszył ramionami z beznamiętną miną.

- Skąd mam wiedzieć? Pewnie Barret mógłby odpowiedzieć na to pytanie.

Barret był największym handlarzem wełny w wiosce. Większość rolników z okolic wysyłała mu swoją wełnę na sprzedaż. On zajmował się handlem i dostawał prowizję.

- Rozumiem. Zapytam go - powiedział Will.

Gdy jednak poszedł do kupca, nic nie uzyskał.

- Nigdy się do mnie nie zgłosili, zwiadowco - oznajmił Barret. - Raz spotkałem ich w karczmie i Joel powiedział mi, że robią w branży wełnianej. Ale nigdy z nimi nie rozmawiałem. Nie wiem dlaczego. Może mój towar nie jest dość dobry. - Wydawał się dotknięty faktem, że go zignorowano. Po części podejrzewał, że toskańscy handlarze trafili na lepszą cenę u jednego z drobniejszych kupców w sąsiedniej wiosce. Gdyby tak było, chciałby mieć szansę trochę się potargować. Nie lubił tracić kontraktów.

Marszcząc brwi, Will wrócił do gospody. Pora obiadowa zaczęła się na dobre i główna

sala była wypełniona w trzech czwartych. Napotkał spojrzenie Joela i skinął na niego.

- Chodzi o tych z Toscano - powiedział. - Wynajęłeś już komuś ich pokój, po tym, jak wyjechali?

Joel pokręcił głową.

- Nie. W zeszłym tygodniu interesy szły dość słabo. Zmieniliśmy pościel. A Anna na pewno pozamiatała, ma się rozumieć. Chciałbyś się tam rozejrzeć?

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu - odparł Will.

Joel podszedł do szynkwasu i zdjął klucz z wieszaka na ścianie.

- Po schodach na górę i drugi pokój po prawej - poinstruował. - Ale jestem pewien, że nic nie zostawili.

Miał rację. Izba była czysta i pusta. Nic nie świadczyło o tym, że jeszcze parę dni temu mieszkało tu dwóch mężczyzn. A może jednak? Will na próbę wciągnął powietrze w nozdrza. Okno było zamknięte i w pomieszczeniu unosiła się słaba woń... czegoś. Czegoś znajomego. Lekko słodkawa. Wcale nie nieprzyjemna. Była to ledwie słaba pozostałość zapachu i trudno ją było umiejscowić. Obszedł pokój dookoła, sprawdzając powietrze w różnych punktach. W niektórych miejscach w ogóle nie wyczuwał tej woni. Najwyraźniejsza była przy łóżkach.

- Czyli - powiedział do siebie, lekko rozdrażniony - mamy dwóch tokańskich handlarzy wełną, którzy nie kupują wełny i zostawiają w swojej izbie lekki zapach. Bardzo ciekawe.

Powoli zszedł po schodach, głęboko pogrążony w myślach, i odwiesił klucz. Pożegnał się z Joelem, po czym wyszedł na zewnątrz, na popołudniowe słońce. Gdyby tylko zdołał zidentyfikować ten zapach, myślał. Nie miał wątpliwości, że woń była znajoma. Ale im mocniej próbował sobie przypomnieć, skąd ją zna, tym bardziej odpowiedź zdawała mu się uciekać.

Dopiero wieczorem dotarło doń, co to takiego.

Plół nową cięciwę. Zauważył, że ta, którą miał założoną na łuk, jest lekko postrzępiona.

Skończył pętle po obu stronach, po czym zabezpieczył je plecioną nitką. Następnie sięgnął do swojego zestawu narzędzi po grudę wosku pszczelego, by dokończyć robotę i połączyć ze sobą poszczególne nici, czyniąc z cięciwy jedną całość. Gdy ją pocierał i drobne płatki wosku zaczęły spadać na podłogę, w nozdrza uderzył go miły, słodki zapach.

Wosk pszczeli! To ta woń zwróciła jego uwagę w izbie. Łucznicy używali go do wzmacniania i impregnowania cięciw. Zresztą kusznicy także.

W jego umyśle zaczęło kiełkować podejrzenie, że Toskańczycy wcale nie byli Toskańczykami, lecz pochodzili z pobliskiego państwa, gdzie mieszkańcy mówili z podobnym akcentem. Akcent ten trudno było ukryć, więc dla dwóch mężczyzn najlepszym sposobem, by zamaskować swoją tożsamość, mogło być udawanie, że są Toskańczykami.

A nie Genoweńczykami.

Nie umiał powiedzieć, czemu nie myślał o Genoweńczykach, odkąd usłyszał o dwóch cudzoziemcach w wiosce - i ujrzał ich nazwiska naskrobane na karteczce Robarda. Serafino i Mordini to mogły być zarówno nazwiska genoweńskie, jak i tokańskie, a przeciętny mieszkaniec Araluenu nie umiałby odróżnić jednych od drugich.

Robard zmarł w podejrzanych okolicznościach. Być może było to samobójstwo, lecz Will nie był o tym przekonany. I wyglądało na to, że przyczyną jego śmierci była trucizna - a w tym zakresie genoweńskich zabójców uważano za ekspertów. Lata treningu z Haltem sprawiły, że Will nie przyjmował na wiarę tego, co wydawało się oczywiste, gdy w grę wchodziły jakieś niezwykle okoliczności. Mentor przy wielu okazjach wpajał mu, że lepiej coś podejrzewać i nic nie znaleźć, niż nic nie podejrzewać i coś znaleźć.

- A zatem - powiedział na głos - jeśli to Genoweńczy, co tutaj robią? - Ebony podniosła łeb na dźwięk jego głosu. A potem, zrozumiawszy, że pan nie mówi do niej, opuściła go znowu z westchnieniem zadowolenia.

Najbardziej prawdopodobna zdawała się odpowiedź że przybyli do Wensley, by zaplanować zabójstwo. Tak właśnie postępowali Genoweńczy. Byli zawodowymi zabójcami, którzy w swoim arsenale mieli kusze, rozmaite ostre jak brzytwa sztylety, a także przeróżnego rodzaju trucizny.

- Może ścigają mnie i Halta - zwrócił się z namysłem do Ebony.

Suka popatrzyła na niego, poruszając jedynie oczami. Potem raz pacnęła ogonem o podłogę.

- Kto mnie znowu ściga? - rozległ się jakiś głos za nim i Will odwrócił się, by ujrzeć uśmiechniętego Halta. Zwiadowcy uwielbiali zaskakiwać się nawzajem za pomocą cichych ruchów i umiejętności kamuflażu. Zazwyczaj Willa trudno było zaskoczyć, ale tego wieczoru pochłaniały go myśli o tajemniczych cudzoziemcach.

Halt był ubłocony i zmęczony po całym dniu w siodle, jechał bowiem za powozem pocztowym, bez żadnego efektu, jak się okazało. Zatrzymał się przy chacie, by przygotować szkic raportu o wydarzeniach tego dnia, dopóki wciąż były świeże w jego umyśle. Potem zaplanował gorącą kąpiel, po niej zaś - kolację z Pauline.

Will szybko wyłożył swoje podejrzenia. Halt słuchał, marszcząc brwi.

- To dość duży przeskok. Zmienić dwóch tokańskich handlarzy wełną w genoweńskich zabójców... Wszystko na podstawie odrobiny wosku - powiedział, gdy jego były uczeń skończył.

- Tyle że nie kupili żadnej wełny, a ich nazwiska znalazłem w komnacie Robarda. Który umarł od trucizny - dodał Will.

- To prawda - zgodził się Halt. - Wiesz, gdzie teraz są?

Młody zwiadowca pokręcił głową.

- Nikt nie miał pojęcia, dokąd się udali. Kto wie, może biwakują w lesie gdzieś w pobliżu.

- Czemu uważasz, że ty i ja możemy stanowić ich cel? - spytał jego mentor.

- W sumie tak nie uważam - odparł Will. - To tylko domysł. Kogo innego tutaj mają powód nienawidzić?

Jakiś czas temu w Hibernii, a później na północy Araluenu, obaj zwiadowcy starli się z trzema genoweńskimi najemnikami. Efektem było trzech martwych zabójców, chociaż Halt omal nie stracił wówczas życia. Teraz jednak idea zemsty do niego nie przemawiała.

- Nie chodzi o to, kogo oni nienawidzą albo nawiązą - powiedział, jak zwykle nie dbając o prawidłowy język. - To nie w ich stylu. Zabijają dla pieniędzy, a nie dla zemsty. Musisz znaleźć cel, którego nienawidzi ktoś inny, ten, kto im zapłacił.

Nastąpiła chwila milczenia, gdy analizowali sytuację. Potem, widząc, że nie przychodzi im do głowy żadna odpowiedź, Will zapytał, co porabia jego były nauczyciel.

- Nic - odparł z niesmakiem siwobrody zwiadowca. - Jechałem za tym powozem całymi milami, przez rzeki, przez doliny. Przez dwie godziny lał deszcz i byłem przemoczony. A bandytów nigdzie ani widu, ani słyhu.

- Może cię zobaczyli - rzucił Will i odpowiedziało mu lodowate spojrzenie mentora. Kiedy zwiadowca nie chciał, by go widziano, to nie widział go nikt. - Przepraszam - dodał pokornie młodzieniec. - Kiedy następna wycieczka?

- Za dziesięć dni - odrzekł Halt. - I to bardzo długa. Mogę nie zdążyć z powrotem na ślub.

- Pauline się to nie spodoba. - Will wyszczerzył się w uśmiechu i starszy zwiadowca zgromił go wzrokiem.

- Dała mi już to wystarczająco jasno do zrozumienia - stwierdził. - Zrobiłeś jakieś postępy z tą swoją mową?

Will skrzywił się.

- Ostatnio byłem trochę zajęty. Wezmę się za nią.

Halt uniósł brwi.

- Czas ucieka z każdym dniem - zauważył delikatnie.

Uroczystość zaplanowano jeszcze w tym miesiącu.

Do Redmont zaczęli już zjeżdżać różni dygnitarze.

- Dlaczego ślub nie odbędzie się w Zamku Araluen? - spytał Will. Zastanawiało go to już od jakiegoś czasu.

- Oficjalnie trwa tam remont sali jadalnej, która nie będzie gotowa na czas. Poza tym Evanlyn uważa, że tutaj wszystko odbędzie się w bardziej nieformalnej, przyjaznej atmosferze. „Z trochę mniejszą pompą”, tak się wyraziła. Nieoficjalnie... Duncanowi spodobał się pomysł, żeby przygotowaniem potraw zajęli się Jenny i mistrz Chubb.

- Mimo wszystko mógł ich zatrudnić do przygotowania potraw w Araluenie - powiedział Will, lecz Halt z powagą pokręcił głową.

- Za bardzo utarłby nosa własnemu kucharzowi. Drażnienie kucharza nigdy nie jest mądre, nawet w wypadku króla. Przecież może z łatwością przemycić w jedzeniu coś nieprzyjemnego i...

W tej samej chwili oboje zdali sobie sprawę z wagi tego, o czym rozmawiają. Król pod koniec miesiąca znajdzie się tutaj, w Redmont... razem z notablami i władcami kilku zamorskich krajów.

- Co sądzisz? - spytał Will. Nie musiał tłumaczyć, o co mu chodzi. Ich myśli podążały jednym torem.

- Myślę, że to tylko niejasne poszlaki - odparł Halt. - Ale myślę też, że powinieneś to dokładnie sprawdzić.

ROZDZIAŁ 3

Przez kilka kolejnych dni Will przemierzał okolicę wzdłuż i wszerz, szukając śladów dwóch handlarzy wełną z zagranicy. Pytał w pobliskich osadach i wioskach, lecz nigdzie ich nie widziano. Przeczesał też zagajniki i lasy na wypadek, gdyby przybysze biwakowali gdzieś niedaleko. Nic jednak nie znalazł.

Po kilku dniach jego poszukiwania straciły na intensywności. Przychodziło mu do głowy kilka logicznych teorii na temat znalezionych dowodów, lecz żadnej z nich nie mógł powiązać z zabójstwem.

Na dodatek sytuacja w Redmont stawała się coraz bardziej napięta, w miarę jak przybywali dostojnicy z bliska i z daleka.

Pierwszy zjawił się Erak, skandyjski oberjarl. Jak można się było spodziewać, nie podróżował konno lądem, lecz wpłynął w górę rzeki Tarbus swoim starym wilczym okrętem o nazwie „Wilczy wicher”. Gdy zbliżył się do małej przystani na obrzeżach Wensley, jego ludzie wywiesili na maszcie długi proporzec. Will nie mógł powstrzymać uśmiechu, gdy go rozpoznał. Był to osobisty proporzec Evanlyn - czy raczej księżniczki Cassandry - przedstawiający jastrzębia. Erak zawiesił tę banderę przed laty, gdy przywiózł Cassandrę, wraz z Willem, Haltem i Horace'em, do Zamku Araluen. Później czynił to, by ukoić wszelkie lęki w sercach mieszkańców Araluenu, widzących wilczy okręt tak daleko w głębi ładu. Teraz, po wielu latach obowiązywania traktatu pokojowego, te lęki występowały coraz rzadziej.

- Kiedyś trzeba go nakłonić, żeby to oddał - zwrócił się Halt do Willa, gdy obserwowali nadpływający statek.

Will uśmiechnął się.

- Czy kiedyś udało ci się przekonać Skandianina, żeby cokolwiek oddał?

Zapytany posępnie pokręcił głową. Potem zeszli na nabrzeże, by powitać starego przyjaciela i sojusznika, ze spokojem godząc się na ból żeber, będący nieuniknionym skutkiem entuzjastycznych uścisków Eraka.

Odzyskawszy oddech, Will zdziwił się, że przybyły jeszcze nie wyposażył swojego wiekowego okrętu w nowe ożaglowanie typu Czapla. Erak uśmiechnął się.

- Obaj jesteśmy zbyt starzy na zmianę zwyczajów - stwierdził pogodnie. - Poza tym trochę więcej wiosłowania dobrze robi mojej załodze. Inaczej obrastają w tłuszcz i gnuśnieją.

Kilka dni później ceremonia powitalna powtórzyła się, gdy zjawił się Seley el'then, wakir arydyjskiej prowincji Al Shabah. Will wzrokiem szukał wśród jego świty widoku znajomej twarzy.

- Omar nie przyjeżdża? - spytał z pewnym rozczarowaniem.

Selethen pokręcił głową.

- Niestety, zbyt kocha swoje pustynne piaski. Myśl o wejściu na pokład statku to było dla niego zbyt wiele.

- Przykro mi to słyszeć - stwierdził Will. Omar wraz ze swoim plemieniem Bedulinów uratował go przed śmiercią na skwarnej pustyni, gdy poszukiwał Wyrwija, zaginionego podczas burzy piaskowej.

Selethen uśmiechnął się figlarnie.

- Jego żonie też było przykro. Nie mogła się doczekać ślubu. Obawiam się, że Omarowi nieźle się oberwie.

W zamieszaniu związanym z kwaterowaniem gości ze Skandii i Arydii, sprawa tokańskich handlarzy wełną wyleciała Willowi z głowy, aż pewnego wieczora natknął się przypadkiem na Desmonda. Stolnik skinął na niego, gdy szedł przez dziedziniec, by zająć się kwestią stajni dla wierzchowców arydyjskich żołnierzy.

- Will! - zawołał Desmond. - Chciałem ci coś pokazać.

Wyciągnął kawałek papieru, który najwyraźniej zgnieciono w kulkę, a potem rozwinięto i wygładzono. Zwiadowca spojrzał z umiarkowanym zainteresowaniem. Wyglądało to jak plan stolików na przyjęcie.

Po jednej stronie widniał ciąg notatek. Will odczytał je, marszcząc czoło.

„Wejście. Serwis i przemowy. Tańce. Wyjście”. Na widok słowa „przemowy” ukuło go poczucie winy. Pomyślał, że naprawdę musi coś zrobić w kwestii swego przemówienia. Popatrzył na kartkę z bliska. Przy wyrazie „tańce” widniał mały znaczek; Will przyglądał mu się przez sekundę czy dwie. Zauważył, że lewa strona planu została mocno wytarta.

- Co to jest? - spytał.

Desmond pokiwał głową.

- Tak. Też się nad tym zastanawiałem. Potem sprawdziłem i przypomniałem sobie, że zmieniliśmy rozplanowanie tej części sali, gdy się okazało, że przyplyną dwa statki Skandian. Musieliśmy przenieść delegację galijską tutaj. Oni nie przepadają za naszymi skandyjskimi przyjaciółmi.

Will nareszcie zrozumiał.

- To jest plan sali weselnej? - spytał, a gdy Desmond przytaknął, dodał: - Skąd się

wziął? - Już w chwili, gdy zadawał to pytanie, miał wrażenie, że zna odpowiedź.

- Znaleźliśmy go w komnacie Robarda. Miał tam mały kosz na śmieci. Znalazł się pod tą zrzuconą zasłoną, dlatego go nie zauważyliśmy. Jedna z pokojówek znalazła kartkę dzień później podczas sprzątanego. Odłożyła ją, ale dopiero wczoraj sobie przypomniała, żeby mi ją dać.

- Po co mu to było?

Desmond niedbale wzruszył ramionami.

- To nic niezwykłego. Mimo że go zdegradowaliśmy, nadal pomagał przy ustawianiu stołów i wyznaczaniu miejsc dla gości.

Will z namysłem podrapał się po podbródku. Pomimo uspokajających zapewnień Desmonda, jego podejrzliwość jeszcze wzrosła. Przyjrzał się rysunkowi i zauważył kolejny znaczek, tym razem pomiędzy dwiema przyporami na ścianie wschodniej.

- A to? - spytał i stolnik nachylił się, by spojrzeć.

Bez emocji wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia - przyznał. - Może to tylko ślad na papierze, jakaś plama. Dostyc niewyraźna.

- Znajduje się dokładnie naprzeciwko stołu młodej pary - zauważył Will. Duży prostokąt oznaczał miejsce, gdzie na podwyższeniu mieli zasiąść nowożeńcy ze swoją kompanią. Desmond znowu wzruszył ramionami. Wyraźnie nie widział powodu do niepokoju. Will poklepał papier wierzchem dłoni.

- Chodźmy rzucić okiem na to miejsce - powiedział i ruszył ku budowli, a Desmond potruchtał za nim.

W wielkiej sali pracowali już służący, którzy budowali platformę, gdzie zasiąść mieli Cassandra, Horace, Duncan, Will i Alyss. Powietrze wypełniał zapach świeżo przycinanego sosnowego drewna.

Zwiadowca ustawił się między dwiema przyporami. Były od siebie oddalone o cztery metry i zauważył, że stojąc pośrodku, znajduje się dokładnie naprzeciwko podwyższenia.

Desmond stanął obok niego z niemałym zaciekawieniem.

- Co cię trapi? - spytał.

Will gestem wskazał na niedokończony podest.

- Myślę, że to miejsce byłoby idealne, gdyby ktoś zechciał zrobić krzywdę królowi. Te przypory w znacznym stopniu zasłoniłyby napastnika - odparł.

Zanim jednak skończył zdanie, stolnik już z przekonaniem kręcił głową.

- Nie w dzień - stwierdził, wskazując szkic. - Za dnia będzie tu pełno ludzi i stołów.

Przynajmniej trzydzieści osób będzie miało to miejsce na widoku. Wydaje mi się, że zanadto popuszczasz wodze fantazji.

Will nie czuł się jednak przekonany.

- Możliwe - powiedział. A potem dodał: - Zatrzymam sobie szkic, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Desmond szeroko rozłożył ręce.

- Proszę bardzo. A teraz, jeśli już nie jestem potrzebny, czeka mnie parę spraw.

- Tylko parę? - Will wyszczerzył się w uśmiechu. Wiedział, że stolnik jest wykończony przygotowaniami do wesela. Ten żałośnie przewrócił oczami.

- Raczej paręset - przyznał.

Później, tego samego wieczoru, Will siedział z kubkiem stygnącej kawy, studiując rysunek i próbując rozszyfrować tajemnicze znaki. Mały krzyżyk przy słowie „tańce”. I jeszcze jakiś symbol, a może tylko plamka, przy ścianie między przyporami. Uznał, że Desmond miał rację. Kusznik nie miałby szans, by pozostać niezauważonym, gdy wokół będzie się roiło od wesołych, hałaśliwych gości. Poza tym, nawet gdyby jakimś sposobem mu się to udało, podwyższenie byłoby nieustannie przesłonięte przez ludzi, chodzących tu i tam, witających się nawzajem, wędrujących od stolika do stolika, nie mówiąc już o ciągłej procesji służących, wnoszących potrawy i wina.

Sprawdził kopię planu sali, otrzymaną od stolnika, i jeszcze bardziej utwierdził się w swojej opinii. Stół, ustawiony między przyporami, zarezerwowano dla wilków morskich Gundara Hardstrikerka. Przy grupie roślących, pobudliwych Skandian nie mogło być mowy o nagłym wyciągnięciu jakiegokolwiek broni.

Poczuwszy się nieco lepiej, odłożył plan i sięgnął po pióro oraz czystą kartkę. Pomyślał, że może powinien skreślić początek swojej mowy.

- Wasza wysokość, wasza ekscelencjo, wasza... - Urwał, niepewny, jakiego honorowego tytułu użyć wobec Eraka, oberjarla Skandian. Przez wszystkie lata znajomości z Erakiem nigdy nie musiał zwracać się do niego w formalnej mowie. Pióro zatrzymało się niepewnie w powietrzu i na papier spadła kropla atramentu. Przyjrzał się jej. Pomyślał, że wygląda jak znak przy słowie „tańce”. Taka plamka mogła się pojawić bardzo łatwo. Zerknął na plan, a potem znowu na załączki swojej mowy. Za nic w świecie nie mógł sobie przypomnieć, jak rozpoczął poprzednią. Może to i lepiej, pomyślał pośpiesznie. Z pewnością nie była godna zapamiętania.

Zamknął kałamarz i odłożył pióro.

- Zajmę się tym jutro - powiedział na głos. Ebony podniosła łeb i posłała mu sceptyczne spojrzenie. - Naprawdę - upierał się.

A potem położył się do łóżka. Wątpliwości wciąż dręczyły jego umysł i długo nie mógł zasnąć.

ROZDZIAŁ 4

Dwa dni później kwestia weselnej przemowy przestała zaprzętać mu głowę za sprawą pojawienia się „Wolfwilla”.

Elegancki statek, o wydętym w łuk, trójkątnym żaglu, wpłynął ostro do przystani mimo silnego przeciwnego wiatru, niemal przefrunawszy ostatni odcinek rzeki. Wieść o jego rychłym przybyciu rozeszła się już wcześniej i spory tłum zebrał się, by go powitać. Erak, stojący obok Willa, westchnął, patrząc na zbliżający się zgrabny kadłub z białą wstęgą pod dziobem.

- Czasy się zmieniły, młody Willu - stwierdził ściszym głosem.

Zwiadowca zerknął na zwalistego oberjarla i zobaczył żal w jego oczach. Erak tęsknił za dawnymi latami wolności, gdy wraz z załogą przemierzał świat, najeżdżając, grabiąc i walcząc. Will wyczuwał, że Erak pragnąłby wrócić do tamtych czasów, najchętniej z takim okrętem, jak „Wolfwill”. Choć zapewniał, że kocha swój stary wilczy statek o kwadratowym żaglu, to jednak na tę nową konstrukcję, z całą jej prędkością i gracją, żaden prawdziwy żeglarz nie mógł patrzeć bez zazdrości.

Kiedy okręt znalazł się już niecałe czterdzieści metrów od nabrzeża, do gapiów dobiegł gromki rozkaz, rzucony przez krzepką postać przy sterze - był to Gundar. Żeglarze błyskawicznie ruszyli spełnić polecenie; długi zakrzywiony bom szybko opadł, a załoganci rzucili się do zwijania żagla.

W tym samym czasie na szczycie masztu rozwinięto banderę: trzy stylizowane wiśnie na jasnoniebieskim tle. Chyży „Wolfwill” musiał pokonać największy dystans, przywożąc gościa z najdalszej odległości.

Shigeru, cesarz Nihon-Ja, przybył na ślub drogiego sercu przyjaciela.

Mimo że od kilku dni spodziewano się jego przybycia, widok bandery stanowił konkretny dowód i zgromadzony tłum zmienił się w wiwatujący chór. Potem drobna sylwetka cesarza przemierzyła szybko pokład, by zająć miejsce na dziobie. W skupieniu obserwował, jak „Wolfwill” zbliża się gładko do nabrzeża i do drewnianych słupów.

Statek lekko dotknął pomostu, a wiwaty jeszcze się wzmożyły, gdy Shigeru zwinnie przeskoczył przez nadburcie i zaczął kroczyć po nieheblowanych deskach w towarzystwie dowódcy swojej osobistej ochrony. Tuzin wojowników senshi, którzy tworzyli tę ochronę, dał się zupełnie zaskoczyć impulsywnym zachowaniem władcy. Wyskoczyli na brzeg, by pójść za

nim, pospiesznie ustawili się w dwa szeregi, a następnie ruszyli charakterystycznym, sztywnym krokiem marszowym senshi.

Król Duncan zareagował szybciej od nich. Widząc, jak Shigeru wyskakuje na brzeg, wyszedł mu rażno na spotkanie. Zatrzymał się parę metrów przed władcą Nihon-Ja, po czym oddał mu głęboki ukłon, zginając się w biodrach. Wśród zebranych mieszkańców Araluenu poniosł się szmer zaskoczenia. Większość z nich nigdy nie widziała, by król komukolwiek się kłaniał. Oczy Shigeru zalśniły, po czym zrewanżował się ukłonem. Bardziej do tego nawykły, pochylił się jeszcze głębiej niż Duncan. Dwaj monarchowie stali tak przez kilka sekund, zgięci w przód, ze spuszczoneym wzrokiem. Potem cesarz przemówił:

- Nie wiem, jak z tobą, wasza wysokość, ale mnie potwornie bolą plecy.

Duncan parsknął krótkim śmiechem, po czym odpowiedział cichym głosem:

- Może powinniśmy się podnieść, wasza ekscelencjo. Jeśli będziemy zbyt długo z tym zwlekać, możemy już nie dać rady.

Obaj władcy wyprostowali się i zmierzili nawzajem wzrokiem. Duncan był wysoki i szeroki w barach, choć jego rdzawe włosy zdradzały już pierwsze oznaki siwizny na skroniach, a także na brodzie. Shigeru, gładko ogolony i znacznie niższy, miał jednak w sobie żyłastą siłę, a także niepohamowaną energię i ciekawość.

- Witaj w Araluenu - odezwał się Duncan.

Cesarz skinął głową.

- Czekałem na tę przyjemność od jakiegoś czasu. - Następnie popatrzył za plecy króla i jego twarz rozjaśniła się prawdziwą radością, gdy dojrzał wysoką postać, wyłaniającą z tłumu.

- *Kurokuma!* - zawołał, a Horace omal nie przebiegł ostatnich kilku kroków, z trudem unikając potrącenia króla, co byłoby niemal świętokradztwem. Przywitał przyjaciela. Padli sobie w objęcia, a drobna postać cesarza wyglądała jak karzeł przy młodym wojowniku.

- Bałem się, że możesz nie zdążyć - powiedział Horace. W oczach miał łzy, gdy zrobił krok w tył i poniewczasie pokłonił się cesarzowi. Shigeru uśmiechnął się i odpowiedział na to formalne powitanie.

- Nic nie mogło mnie powstrzymać przed przyjazdem - stwierdził, gdy się wyprostowali. - Mojemu imperium nic nie grozi. Jest w pieczy pana Nimatsu i jego wojowników Hasanu.

Horace uśmiechnął się.

- Tylko bardzo odważny mężczyzna wchodziłby z nimi w spór - stwierdził. Potem, przypominając sobie o manierach, odsunął się w bok, by przepuścić Selethena naprzód.

Wysoki władca Arydii oddał swój zwykły zgrabny salut i powitał cesarza jak starego przyjaciela. Później nadeszła pora, by przedstawić kolejnego szacownego gościa. Z duszą na ramieniu, niepewny możliwych skutków, Horace dokonał prezentacji.

- Panie Shigeru, cesarzu Nihon-Ja, poznaj, proszę, Eraka, oberjarla Skandii.

Erak zrobił krok naprzód na szeroko rozstawionych stopach z kciukami zatkniętymi za pas. Stanowisko oberjarla było wybieralne, bo Skandianie nie wierzyli w żadne dziedziczne prawo do władzy. Z tego powodu, a także po to, by zademonstrować swą niezależną naturę, Erak nigdy nie zwracał się do Duncana per „wasza wysokość”, zamiast tego mówił po prostu „królu”. Postanowił nie okazywać większej czci temu małemu władcy ze Wschodu. Niedbale skinął głową, co miało zastąpić ukłon, po czym odezwał się szorstko:

- Jak tam, cesarzu?

Usta Shigeru wykrzywiły się, gdy próbował skryć uśmiech. Wiele się dowiedział o Skandianach podczas swojego rejsu na pokładzie „Wolfwilla”. Bardzo udatnie naśladował skinienie głowy i oschły ton Eraka.

- Całkiem niezłe, Erak-san. A jak u ciebie?

Przygotowany na oburzoną reakcję oberjarl był nieco zaskoczony, że cesarz tak szybko dostosował się do jego stylu. Roześmiał się z zadowoleniem i odwrócił do Horace'a.

- Na warkoczyki w brodzie Gorloga! Równy jest, naprawdę równy!

W samą porę Horace zorientował się, że Erak chce serdecznie klepnąć cesarza w plecy, i przytrzymał jego potężną rękę.

- Kiepski pomysł, Eraku - uprzedził.

Skandianin był przez chwilę zdezorientowany, a potem zauważył, że sześciu cesarskich senshi przykucnęło, do połowy wysuwając z pochew zakrzywione miecze.

- A... tak. Rozumiem. Nie chciałbym rozdrażnić tych małych kogutów. - Obrócił ruch swojej ręki w ogólnikowy gest, skierowany w stronę cesarza.

Will wystąpił naprzód i teraz z kolei on powitał władcę ze Wschodu.

- Miło cię znowu widzieć, *Chocho-san* - powiedział ciepłym tonem cesarz. - Czy Arris-san też tu jest?

- Pomaga księżniczce w przygotowaniach, panie Shigeru. Zobaczymy je dziś wieczorem. Baron Arald zaplanował prywatną kolację powitalną.

Shigeru uśmiechnął się.

- Nie mogę się doczekać spotkania z nimi obiema, *Chocho*.

Will usłyszał, jak za jego plecami Erak zadaje pytanie, nie kierując go do nikogo konkretnego:

- *Chocho?* O co chodzi z tym *Chocho*?

Jego ton nie pozostawiał wątpliwości, że doskonale wie, co oznacza *Chocho*. Will domyślał się, że w którymś momencie objaśnił mu to Gundar. Przydomek Willa wśród mieszkańców Nihon-Ja oznaczał motyla i już wcześniej musiał znosić z tego powodu rozmaite przytyki. Teraz, widząc złośliwy błysk w oku Eraka, przypuszczał, że to wszystko zacznie się od nowa.

Wieczorna kolacja okazała się miłym spotkaniem starych przyjaciół, którzy nie widzieli się od wielu miesięcy. Kuchmistrz Chubb postanowił pokazać swoją dominację i przygotował posiłek bez pomocy Jenny. Choć podziwiał umiejętności i pomysłowość byłej uczennicy, lubił *przypomnieć* światu, kto ją wprowadził w tajniki rzemiosła.

Pod koniec posiłku baron Arald, ukradkiem popuszczając pasa o kolejną dziurkę, zauważył:

- Duch rywalizacji między Jenny a Chubbem to jedna z najlepszych rzeczy, jakie mnie spotkały.

Grupa szybko się rozeszła i goście w większości byli zadowoleni, że mogą już udać się do łóżek. Duncan, jako oficjalny gospodarz kolacji, wyszedł ostatni. Gdy on i Cassandra ruszyli do drzwi nieformalnej jadalni barona, dogonił ich Will.

- Wasza wysokość. Mogę na słówko? - A potem, widząc, że księżniczka chce zostawić ich samych, dodał: - Proszę, zostań, Evanlyn. To dotyczy także ciebie.

Wiele lat temu porzucił starania, by myśleć o starej przyjaciółce jako o Cassandrze. Gdy się poznali, nazywała się Evanlyn i tak już miało pozostać. Usiedli przy bocznym stole, na wygodnych krzesłach. Jeden ze służących spytał, czy zyczą sobie wina. Duncan przytaknął, ale Will poprosił o kawę.

- Nie mógłbym teraz wypić kawy - mruknął król. - Całą noc nie zmrużyłbym oka.

- Ja nie mam takiego problemu, wasza wysokość - stwierdził Will. A potem dodał, z cieniem uśmiechu na twarzy: - Czyste sumienie pozwala mi spać w spokoju.

Evanlyn parsknęła z drwiną.

- Jeśli kiedykolwiek istniał zwiadowca o czystym sumieniu, na pewno nie byłeś nim ty, intrygancie. Jak tam twoja mowa? - Wyglądało na to, że wszyscy już słyszeli o jego pierwszej mowie, zniszczonej w ogniu Księżycociemnych.

Will wzruszył ramionami.

- Wezmę się za nią jutro - zapowiedział. - Miałem trochę zajęć.

- No, Willu - odezwał się król. - Co chciałeś nam powiedzieć?

Zwiadowca szybko opowiedział im o śledztwie w sprawie śmierci Robarda, o tokańskich handlarzach wełną i swoich podejrzeniach, że w istocie mogą być Genoweńczykami. Gdy skończył, wyczuł, że ani Duncan, ani Evanlyn nie dzielą jego niepokoju.

- To tylko poszlaki, a całkiem możliwe, że wszystko, o czym mówiłeś, jest jedynie zbiegiem okoliczności. Niewykluczone, że Robard wolał się zabić niż pogodzić z latami ciężkich robót. A handlarze mogą naprawdę pochodzić z Toscano. - Duncan miał na końcu języka pytanie, czy Will podzielił się swoimi podejrzeniami z Haltem i czy ten wydał jakąś opinię na powyższy temat. Do króla dotarło, że byłby to afront wobec młodego zwiadowcy. Opinia Willa była równie ważką, jak Halta.

Will z uporem pokręcił głową.

- Nie lubię zbiegów okoliczności, wasza wysokość.

Duncan przytaknął z powagą.

- A jednak się zdarzają... i to częściej, niż byśmy się spodziewali.

- Masz jakieś sugestie, co powinniśmy zrobić, Willu? - spytała Evanlyn.

- Myślę, że moglibyśmy... - zawahał się.

Przechyliła głowę i zmarszczyła brwi.

- Chyba nie chcesz powiedzieć „przełożyć ślub”, prawda? - spytała, a on bezradnie wzruszył ramionami.

- Nooo... - zaczął, ale natychmiast mu przerwała.

- Bo to zdecydowanie nie wchodzi w grę. Niczego nie opóźnimy. Nie przeniesiemy w inne miejsce. Nie postępujemy w ten sposób.

- Willu - odezwał się Duncan głosem pełnym rozsądku - naprawdę doceniamy, że tak dbasz o nasze bezpieczeństwo. Ale masz pojęcie, jak wiele fałszywych alarmów, jak wiele ostrzeżeń o tak zwanym zagrożeniu dla naszego życia dociera do nas każdego roku?

- Nie. Ja...

- Dziesiątki! - powiedziała Evanlyn. Popatrzyła na ojca. - Kiedy ostatnio się to zdarzyło, tato?

Duncan zastanawiał się przez kilka chwil.

- O ile pamiętam, mniej niż trzy tygodnie temu. Mieliśmy doniesienie, że jacyś dawni kompani Morgaratha planują mnie porwać podczas polowania. Oczywiście, nic z tego nie wynikło.

- To normalny element życia w królewskiej rodzinie - stwierdziła księżniczka. - Ciągłe jakieś plotki i podejrzenia. W większości znacznie konkretniejsze i bardziej szczegółowe niż

to, co odkryłeś. I znaczna większość, dziewięćdziesiąt dziewięć na sto, zupełnie do niczego nie prowadzi.

- Jak mówi Cassandra, to nieodłączna część królewskiego żywota - dodał Duncan. - Musimy z tym żyć. Podejmujemy kroki zaradcze, ma się rozumieć, ale nie możemy pozwolić, by niejasne pogłoski czy przypadki takie jak ten nami kierowały. Jeśli się przed nimi ugnieśmy, nigdy nie będziemy mieli godnego życia.

- Całymi dniami i nocami siedzielibyśmy zamknięci w swoim zamku, jak kwiatki w cieplarni. - Evanlyn uśmiechnęła się. - A wiesz, że to nie w moim stylu.

Na te słowa Will odpowiedział nikłym uśmiechem. Wizja Evanlyn, czy też Cassandry, zamkniętej w Zamku Araluen na podobieństwo delikatnego kwiatu w oranżerii, była tak sprzeczna z naturą dziewczyny, że nie potrafił jej brać na serio.

Duncan położył mu rękę na ramieniu.

- Nie lekceważymy tego. Nigdy całkowicie nie ignorujemy podobnych spraw. Ale w tym wypadku zagrożenie wydaje się mało prawdopodobne. Koniecznie miej sprawę na oku, a gdyby nastąpiła jakaś zmiana, czy pojawiła się nowa informacja, daj nam znać.

- I na pewno nie przełożymy ślubu - oznajmiła Evanlyn z naciskiem. Ojciec uśmiechnął się do niej, a potem także do Willa.

- Tak będzie - potwierdził król Duncan.

ROZDZIAŁ 5

Dni mijały w coraz większym pośpiechu i zanim Will się zorientował, nadszedł dzień ślubu. Zwiadowca założył ceremonialny mundur, zaprojektowany kilka lat wcześniej przez Crowleya na ślub Halta i Pauline, i przed wyjściem z chaty przejrzał się w lustrze. Poklepał się po kieszeniach, by mieć pewność, że o niczym nie zapomniał, i nagle uświadomił sobie, że w końcu nie zabrał się ponownie za pisanie mowy. Przewrócił oczami do swojego zwierciadlanego odbicia.

- No trudno - westchnął. - Wszyscy mówią, że powinienem mówić prosto z serca.

Był piękny słoneczny dzień, a ślub odbywał się pod gołym niebem - na dziedzińcu Zamku Redmont, gdzie uroczystość mogły obserwować setki osób. Blanki były oblepione obsługą zamku i mieszkańcami wioski, baron Arald oddzielił dla nich także znaczną część dziedzińca, by później mogli świętować. Kilka wołów i dzików obracało się już na roznach nad ogniem. Po terenie niósł się dymny zapach pieczonego mięsiwa.

Arald sprawował pieczę nad ceremonią. Król, ma się rozumieć, prowadził córkę. Shigeru otrzymał honorową funkcję Patrona zaślubin. Gdy uprzejmie spytał o charakter tej roli, Duncan uśmiechnął się szeroko i skierował go do lady Pauline.

- Spytaj Pauline - powiedział do monarchy z Nihon-Ja. - Wymyśliła tę funkcję dla mnie na swoim ślubie.

Evanlyn, gardząc modną praktyką, pojawiła się punktualnie co do sekundy. Gdy wyłoniła się z zamku, prowadzona przez króla Duncana i w towarzystwie Alyss, swojej drużny, przez zgromadzony tłum poniósł się chóralny okrzyk podziwu.

- Ooooooooooooooch!

Duncan uśmiechnął się z dumą. Jego córka zaiste wyglądała przepięknie. Jak zwykle zignorowała obowiązującą modę, która nakazywała oblubienicy nosić obszerną suknię z długim trenem i wieloma warstwami koronek.

Włożyła prostą, lecz elegancką suknię z białej satyny, wąską i podkreślającą jej szczupłą figurę. Na jasnych włosach upięła skromny welon i przy swoim wysokim, szerokim w barach ojcu wydawała się bardzo drobna.

Will, który stał obok Horace'a na podwyższeniu, gdzie miała się odbyć ceremonia, zerknął na Evanlyn, z aprobatą skinął głową, a potem nie odrywał już oczu od dziewczyny, która z gracją kroczyła za panną młodą.

Alyss nosiła bardziej formalną wersję swojego munduru kurierki, odsłaniającą jedno ramię. Z szacunku dla panny młodej, zwykłą kurierską biel zamieniono na blady błękit. Jaka piękna, pomyślał Will o druhnie i serce aż urosło mu w piersi.

Obok niego stał jego najlepszy przyjaciel ze wzrokiem wbitym w pannę młodą. Horace, stosownie do swojego rycerskiego statusu, włożył na tę okazję paradną zbroję, połyskującą srebrną kolczugę oraz białą szatę ze swoimi znakami - zielonymi liśćmi dębu. Do boku przypasał miecz ze stali z Nihon-Ja, który przed kilkoma miesiącami dostał w darze od cesarza. Jego dłoń zacisnęła się na rękojeści, gdy patrzył na zbliżający się orszak weselny.

- Mój Boże, jaka piękna - szepnął do Willa.

- Rzeczywiście - odparł młody zwiadowca.

Żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, że mówią o dwóch różnych osobach.

Arald prowadził ceremonię, w odpowiedni sposób łącząc powagę z serdecznością. Na szczęście lady Sandra uczuliła go, by powstrzymał swoją skłonność do sypania dowcipami. Zgodził się, choć nie bez żalu.

- Niestety, mój humor jest zbyt błyskotliwy dla większości ludzi - oznajmił ze smutkiem. - Wydaje się, że ich przerasta.

- Bez wątplenia tak właśnie jest, mój drogi - odrzekła żona, poklepując jego dłoń.

Ceremonia trwała krótko i zdawało się, że minęło ledwie kilka minut, zanim rozbrzmiały ostatnie słowa:

- Ogłaszam was mężem i żoną. Możesz...

Horace, nie czekając na dalsze zaproszenia czy zachęty, chwycił Cassandrę w ramiona i złączył się z nią w długim, namiętym pocałunku. Odpowiedziała mu z ochotą. Tłum radośnie wiwatował, płosząc jaskółki, które gniazdowały w zakamarkach blanków, a teraz wzbiły się w powietrze, jakby w hołdzie dla nowożeńców.

Duncan promieniał dumą, lecz jednocześnie ukradkiem otarł łzę. Alyss i Will wymienili porozumiewawcze uśmiechy.

- ...pocałować pannę młodą... jak sądzę - zakończył Arald, czując, że to zbędne słowa wobec takiego obrotu wydarzeń.

Sir Rodney zachęcił pracowników i uczniów Szkoły Rycerskiej, a także innych widzów do trzech donośnych okrzyków na cześć młodej pary, a potem jeszcze trzech na cześć króla. Rozochocony, wznosił kolejne, sławiące Shigeru, Selethena i Eraka, aż w końcu jego narzeczona łagodnie położyła mu dłoń na ramieniu.

- Myślę, że już wystarczy tych okrzyków, kochany - powiedziała.

Wydawał się nieco zaskoczony. Dotarło do niego, że trochę go poniosło.

- Tak, tak, oczywiście. Masz rację, skarbie.

Ogólnie rzecz biorąc, dobrze się złożyło, że damy z Redmont były tego dnia obecne.

W końcu goście weselni przemaszerowali do wielkiej sali, gdzie rozstawiono stoły na przyjęcie. Arald omiółł wzrokiem połyskujące nakrycia i dekoracje.

- To dla mnie najlepsza część każdego wesela! - zwrócił się z entuzjazmem do lady Sandry. Przewróciła oczami.

- To dla ciebie najlepsza część każdego dnia - odparła z drwiną w głosie.

Przemysłał to stwierdzenie, po czym pokiwał głową.

- Nie zaprzeczę - powiedział, a ona się uśmiechnęła, wiedząc, dlaczego go kocha.

Horace i Evanlyn wkroczyli na podwyższenie, gdzie umiejscowiono oficjalny stół. Will podniósł pełen podziwu wzrok. Platformę zwieńczono wspianiałym, ozdobionym frędzlami baldachimem z białego jedwabiu, zawieszonym ponad nią na słupach o lekkiej konstrukcji.

Wszyscy zaczęli zajmować miejsca i przez dłuższą chwilę dawał się słyszeć szurgot ław i krzeseł przeciąganych po kamiennej posadzce. Później Shigeru, który nie usiadł, wystąpił na przód podwyższenia i przemówił. Nie pierwszy raz Will był zaskoczony głębią i tembrem głosu, który dobywał się z tej szczupłej postaci.

- Przyjaciele - zaczął cesarz, gdy w pomieszczeniu zapadła cisza i ludzie wyciągali szyje, by zobaczyć egzotyczną osobistość z dalekiej krainy. - Dowiedziałem się, że jako Patron mam zaszczytny obowiązek otwarcia uroczystości. Podobno... - odwrócił się i uśmiechnął do króla Duncana - mam równie zaszczytny obowiązek przekazać tym młodym ludziom kosztowny prezent.

Duncan z powagą pokiwał głową, lecz potem nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Funkcję Patrona wymyśliła lady Pauline wraz z jego własnym sekretarzem z okazji ślubu Halta, by uniknąć kłopotliwej sytuacji, w której król nie miałby na uroczystości żadnej roli do odegrania.

- Postanowiłem podarować im Zamek Hashan-Ji w prowincji Koto w moim kraju, wraz z przychodami z okolicznych ziem rolnych, drewna z lasów i prawa do polowań. - Odwrócił się i uśmiechnął do Horace'a i Evanlyn. - Dziwnym zbiegiem okoliczności, to dość blisko mojego pałacu letniego.

Wśród zgromadzonych poniósł się wyraźnie słyszalny jęk zaskoczenia, a potem rozległ się stłumiony szmer rozmów. To był zaiste wspianiały prezent.

Shigeru podniósł ręce, prosząc o ciszę, i pomruk stopniowo ustał.

- Zatrudniłem zarządcę, który pod waszą nieobecność zajmie się zamkiem. Ale liczę,

że będziecie mogli tam przyjeżdżać. Będziecie znani jako pan i pani *Kurokuma*, ma się rozumieć.

Odwrócił się do stołu państwa młodych i głęboko uklonił. Po chwili, gdy do wszystkich w pełni dotarło, co takiego podarował nowożeńcom, w sali zagrzmiały donośne owacje. Potem niektórzy wstali, a inni poszli w ich ślady, aż całe zgromadzenie klaskało i wiwatowało na stojąco, gdy drobny przybysz wracał na swoje miejsce.

Horacy nachylił się do Cassandra i coś mruknął. Pokiwała entuzjastycznie głową, a potem wysoki rycerz wstał, podnosząc rękę, by uciszyć zebranych. Gdy zgiełk stopniowo ucichł, odwrócił się do Shigeru, uklonił się i przemówił:

- To wielki zaszczyt, wasza cesarska mość. Moja żona i ja...

Przez chwilę nie mógł mówić. Dawna tradycja nakazywała, by za pierwszym razem, gdy pan młody wypowie słowa „moja żona i ja”, całe zgromadzenie wydało z siebie chóralny okrzyk radości. Horace przeczekał go w milczeniu, uśmiechając się nieśmiało, a potem kontynuował.

- ...chcielibyśmy prosić, aby wszystkie przyszłe dochody z zamku dzielono między rodziny tych Kikorich, którzy oddali za ciebie życie w wojnie przeciwko zdrajcy Arisace.

Reakcją na to oświadczenie była chwila ciszy. Potem po sali poniósł się dudniący głos sir Rodneya.

- O, wspaniały pomysł, Horace! Naprawdę wspaniały!

I znowu zagrzmiały oklaski oraz wiwaty.

Duncan wstał, by przemówić, gdy z kuchni wyłonił się długi szereg służących i rozsypał się między stołami, by podać pierwsze danie. Król powitał Horace'a w swojej rodzinie i z wymuszonym uśmiechem życzył mu wszystkiego najlepszego w dalszym życiu z Cassandrą. Spoglądając znacząco na wyszczerzonego młodzieńca obok siebie, udzielił mu pewnej rady.

- Nigdy nie próbuj nakłaniać jej do zmiany zdania, gdy coś sobie postanowi - powiedział, kręcąc głową z udawaną rozpaczą. Na te słowa w sali rozległy się śmiechy. Większość ludzi wiedziała, że ich księżniczka to uparta i zdecydowana młoda dama.

Tłum klaskał, gdy monarcha z powrotem zajął swoje miejsce. Po pierwszym daniu słudzy przynieśli drugie, a od stołu wstał Selethen, wygłosił uroczyste gratulacje od władcy swojego kraju i wyraził osobiste najlepsze życzenia. Zebrani także tę mowę powitali aplauzem, choć nie tak entuzjastycznym, jak słowa Duncana. W końcu Selethen nie był w Araluenie postacią powszechnie znaną.

Entuzjazm powrócił wraz z następnym daniem i Erakiem, kolejnym mówcą. Potężny

oberjarl stanął z przodu platformy i przekazał swoje życzenia i gratulacje dla młodej pary. We wcale nie tak odległych czasach skandyjski przywódca nie byłby mile widzianym gościem na uroczystościach w Araluenie. Owe czasy odeszły jednak w przeszłość. Zgromadzeni zdawali sobie sprawę z długu wobec Skandii. Obecny na sali Gundar Hardstriker wraz ze swoją załogą pomógł ocalić królestwo przed wojowniczymi plemionami Skottów.

Erak mówił o wcześniejszej bitwie, gdy niewielka grupka Aralueńczyków pomogła jego ludziom odeprzeć inwazję zawziętych jeźdźców ze wschodu, Temudżeinów. Szczególne pochwały skierował do Cassandry, opowiadając o jej chłodnej odwadze podczas boju, gdy kierowała ostrzałem niewielkiego oddziału łuczników, mimo że sami Aralueńczycy musieli bronić się przed atakiem. Wielu obecnych znało tę historię w ogólnych zarysach, lecz nie słyszało szczegółowej opowieści o dokonaniach Cassandry tamtego dnia.

Dyplomatycznie pominął milczeniem fakt, że podczas bitwy ciążył na niej wyrok śmierci, wydany przez jego poprzednika, Ragnaka.

Gdy usiadł, rozległy się kolejne wiwaty, a potem znowu weszli słudzy z jedzeniem.

Will, który doskonale się bawił, uświadomił sobie, że Erak był ostatnim z szacownych zamorskich mówców i teraz kolej na niego. Pospieszenie wstał z miejsca.

Alyss, która siedziała obok, złapała go za rękę i delikatnie ścisnęła.

- Nie spiesz się - poradziła. - I mów prosto z serca.

Odczekał chwilę, zaczerpnął głęboko powietrza i wystąpił naprzód. Jego ręka błądziła przez chwilę na piersi, bezwiednie szukając tekstu, którego tam nie było. Wstał, popatrzył po zgromadzonych i w głowie poczuł zupełną pustkę. Po chwili jednak jego myśli się skryształizowały i wiedział już, co powie.

- Napisałem mowę specjalnie na tę okazję, ale tak się złożyło, że spaliła się kilka tygodni temu. Może się okazać, że dobrze się stało.

- Proszę, proszę! - rozległ się w tłumie szorstki głos. Głos, który znał aż zbyt dobrze.

- Dziękuję, Halt - powiedział, kłaniając się w kierunku stołu, przy którym siedzieli Halt, Pauline i Crowley. Cieszył się, że jego dawny nauczyciel zdążył na wesele. Wiedział, że jego nieobecność byłaby przykra dla Horace'a i Cassandry. Kolejna fala śmiechu poniosła się przez pomieszczenie i Will się odprężył. Zrozumiał, że jest wśród przyjaciół. Nie było powodu do nerwowości.

- Od tamtej pory wszyscy mi radzą, żebym mówił prosto z serca. - Odwrócił się do Alyss i posłał jej znaczący uśmiech. - Powiem więc, co mam w sercu. Przybyłem do Redmont jako sierota, bez rodziny, bez braci i sióstr. To się zmieniło. Przez lata Horace stał się mi bliższy niż brat, a Evanl... Cassandra - poprawił się - została najukochańszą siostrą.

Powierzyłbym im swoje życie. Horace ratował mnie tyle razy, że trudno to spamiętać. A Cassandra kilka lat temu ocaliła moje zdrowe zmysły. Wiele im zawdzięczam. Nigdy nie spłacę tego długu. Mogę tylko powiedzieć, że nie wyobrażam sobie lepszego męża dla Cassandry. Kocham ich oboje. Proszę, wstańcie i wypijcie za ich przyszłe szczęście. Za Cassandrę i Horace'a!

Stukot odsuwanych krzeseł poniósł się echem po sali, gdy wszyscy wstawali na nogi, a setki głosów powtarzało toast:

- Za Cassandrę i Horace'a!

W ogromnym pomieszczeniu rozbrzmiał niespodziewany hałas, płosząc jaskółkę, która przycupnęła wysoko na krokwiach. Ptaszek odfrunął, przestraszony, i ten ruch przyciągnął spojrzenie Willa. Później, gdy zgiełk ucichł, jaskółka przysiadła na masywnej belce. Lecz wzrok zwiadowcy, skierowany w górę, zarejestrował coś innego. Był to detal, o którym zapomniał - coś tak znajomego, że zupełnie to przeoczył.

Wokół sali, wysoko nad posadzką, biegła wąska galeryjka z kamienną balustradą.

Z mocno bijącym sercem Will wrócił do stołu.

Alyss posłała mu uśmiech.

- Ładnie powiedziane - zaczęła, lecz widząc jego minę, spytała: - Coś nie tak?

- Może nic - odparł. - Muszę coś sprawdzić. - Rozejrzał się wokół stołu. Horace i Evanlyn zatonęli w gorącej dyskusji z Shigeru. Erak i Duncan też byli zajęci rozmową.

Podjął decyzję. Poradzi sobie z tym sam. Alyss ścisnęła jego rękę.

- Tylko wróć przed tańcem - powiedziała. Teraz miał przemówić Horace, później przyniosą ostatnie danie. Następnie rozpoczną się tańce.

Skinął głową z lekko nieobecny spojrzeniem.

- Dobrze.

Najdyskretniej, jak umiał - a zwiadowcy potrafili być bardzo dyskretni - zszedł z podwyższenia i ruszył w kierunku przeciwniejszej ściany. Halt i Crowley siedzieli w pewnej odległości, na prawo od niego. Halt jak zwykle wybrał miejsce jak najmniej rzucające się w oczy. Przejście przez zatłoczoną salę, między uwijającą się służbą, by ich ostrzec, musiało zająć Willowi trochę czasu. Dostrzegł szybsze rozwiązanie.

Załoga Gundara siedziała przy stole między dwiema przyporami, które zwróciły uwagę Willa na planie. Wznosiły się tylko o kilka metrów od niego i pospieszył w ich kierunku. Nils Ropehander zaraz go zauważył.

- Dobra przemowa, chłopcze! - zaczął.

Will podjął decyzję. Nils był wielki i silny, nawet jak na Skandianina. No i nie

zadawał pytań.

- Chodź ze mną! Potrzebuję cię - powiedział nagłym głosem.

Nils wzruszył ramionami.

- W takim razie idę - rzekł bez wahania, po czym odsunął swoje krzesło i wstał.

Gdy szli w kierunku ściany, zwiadowca zwrócił się do niego:

- Jesteś uzbrojony?

Nils z uśmiechem pokręcił głową.

- Nie pozwolili nam wnieść broni.

Will wiedział, że to prawda. Skandianie, broń i mocne napitki to nie był dobry zestaw na weselu. On sam, ma się rozumieć, nie rozstawał się ze swymi nożami. Stanowiły część oficjalnego umundurowania zwiadowcy. Popatrzył na ścianę między przyporami. Teraz sobie przypomniał, że są tam drzwi, prowadzące na schody. Z kolei owe schody wiodły na galeryjkę powyżej.

W pobliżu stał jeden z żandarmów weselnych. W sumie było ich sześciu, rozstawionych przy wyjściach w całej sali. Obecnie odgrywali rolę czysto ceremonialną, ale stanowili pamiątkę czasów, gdy podczas podobnych publicznych zgromadzeń trzeba było pilnować porządku. Z tego powodu mężczyzna dzierżył oficjalną oznakę swojej funkcji - dwumetrową, ciężką laskę z czarnego drewna, zwieńczoną gałką z litego mosiądzu. Will wyrwał ją z rąk zdumionego mężczyzny i podał Nilsowi.

- Masz. Użyj tego.

Nils na próbę zważył broń w dłoniach.

- Niezła - stwierdził.

Żandarm otrząsnął się wreszcie z osłupienia.

- Co ty wyprawiasz, zwiadowco? - zaczął z oburzeniem, ale Will mu przerwał.

- Oddamy. Nie ma czasu na wyjaśnienia!

Potem wbiegł za małe drzwi, prowadzące na wąskie, spiralne schody. Nils trzymał się tuż za nim. Zaczęli się szybko wspinać. Buty Willa miały miękkie podeszwy i nie wydawały prawie żadnego dźwięku na kamiennych stopniach. Nils, podobnie jak większość Skandian, nosił obuwie z foczej skóry, niemal równie ciche. W przeciwieństwie do jego oddechu, który stawał się coraz głośniejszy w miarę pokonywania kolejnych schodów.

Will usłyszał burzę oklasków z sali i zrozumiał, że Horace zakończył mowę. Pan młody, co godne pochwały, nie przeciągał jej zbyt długo. Kolejnym punktem programu miał być weselny taniec. Will już słyszał ciche skrzypienie i brzdąkanie orkiestry, strojącej instrumenty.

Nagła myśl trafiła go niczym piorun. To dlatego przy słowie „tańce” postawiono znaczek.

Właśnie wtedy Duncan będzie najbardziej narażony na strzałę zabójcy. Wcześniej, gdy siedział przy stole, jedwabny baldachim nad platformą zasłaniał go przed atakiem z góry, na przykład z galerijki. Teraz jednak on i Cassandra mieli zejść z podwyższenia i okrążyć salę. Przez przynajmniej pół minuty będzie stanowił doskonały, niczym nieprzesłonięty cel.

- Niech cię licho, Horace - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Przynajmniej ten jeden raz mogłeś się trochę rozgadać.

- Słucham? - wysapał Nils. Lecz Will jedynie gestem nakazał mu zwiększenie tempa.

- Chodź!

Przez kamienne ściany dobiegał stłumiony głos Desmonda, ogłaszającego, że nadeszła chwila, w której król i panna młoda ruszą do tańca. Rozległy się długie owacje. Will gnał po schodach, przeskakując po dwa stopnie. Za sobą słyszał potykającego się Nilsa. Oczyma duszy widział Duncana, wyciągającego rękę, by pomóc córce wstać od stołu. Później odwrócił się i uklonił publiczności, a następnie powoli podejść do schodów, prowadzących na posadzkę.

Zostało tylko kilka chwil.

Dopał do drzwi z drewna i mosiądzu, wiodących na galerijkę, i z dużym trudem powstrzymał się, by nie wyważyć ich z łoskotem z zawiasów. Cicho i powoli uchylił ciężkie drzwi, po czym wyjrzał przez szparę.

Poczuł, że serce podskakuje mu ze strachu, gdy ich zobaczył. Dwie sylwetki, odziane w znajome płaszcze o barwie zgaszonego fioletu, przycupnęły jakieś osiem metrów od niego. Jeden z zamachowców podniósł kuszę. Trzymał się z dala od samej balustrady, by zmniejszyć szansę, że zobaczy go ktoś z dołu. Drugi Genoweńczyk przykucnął jakiś metr z tyłu. Też miał kuszę. Nie mierzył jednak do króla. Miał być strzelcem rezerwowym, na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

Wszystko zdawało się rozgrywać w zwolnionym tempie, gdy Will wyciągnął ciężką saksę z paradnej pochwy.

Za sobą słyszał sapanie Nilsa, pokonującego ostatnie metry. Kamienne ściany, otaczające schody, zdawały się nie dopuszczać tych odgłosów do uszu zamachowców.

Zwiadowca miał czas, by zauważyć, że nie używają swoich standardowych kusz. Te, które mieli, były mniejsze, niczym łuki, stosowane przez arydyjską jazdę. Zastanowiło go to, lecz po chwili odegnał te myśli. Dystans nie był szczególnie duży. Mniejsze kusze mogły bez trudu trafić w cel. Poza tym, jeśli opinie o Genoweńczykach mówiły prawdę, bełty były

prawdopodobnie zatrute, więc nawet powierzchowna rana mogła okazać się śmiertelna.

Zobaczył, jak strzelec mocniej zaciska dłoń na łożu kuszy, aż bieleją mu kłykcie; jak nabiera płytkiego oddechu.

Ręka Willa jednym płynnym ruchem cofnęła się i wystrzeliła do przodu, wyrzucając saknę, która zawidniała w powietrzu. Plama mieniącego się blasku szybko pokonywała dzielącą ich odległość.

W ostatniej chwili Will uświadomił sobie, że strzelec, trafiony nożem, mógł odruchowo nacisnąć spust. Wymierzył więc w inny cel.

Ciężkie ostrze saksy, wciąż się obracając, przecięło grubą cięciwę kuszy i natychmiast ją unieszkodliwiło.

Naprężenie nagle ustąpiło i ramiona łączyska wystrzeliły naprzód z nieprzyjemnym trzaskiem. Bełt spadł z kuszy i z grzechotem odbił się od kamiennej posadzki galeryjki. Strzelec wzdrygnął się, zaskoczony, próbując zrozumieć, co się właśnie stało. Jego towarzysz zorientował się szybciej. Teraz jego priorytetem stała się ucieczka i skierował kuszę na postać, która nagle pojawiła się w drzwiach na schody. Nóż do rzucania Willa był już w drodze, gdy kusza obracała się ku niemu. Wyciągnął go i cisnął w drugiego zamachowca, zanim jeszcze zobaczył skutki pierwszego rzutu.

Trafiłby, gdyby pierwszy kusznik nie wybrał akurat tego momentu, by wstać z przykłąku, stając dokładnie na drodze wirującego ostrza. Trafiło go w pierś i zabiło na miejscu. Osunął się na towarzysza, trącając jego broń, przez co bełt chybił celu i z łoskotem wbił się w drewniane drzwi tuż obok głowy Willa.

Strzelec porzucił kuszę i wyciągnął spod płaszcza sztylet o długiej klindze. Odepchnął martwego współnika na bok i szybko ruszył na zwiadowcę, który stał bez broni. Zamachowiec znalazł się mniej więcej metr od niego, gdy Will wyczuł za sobą ruch i usłyszał głos Nilsa:

- Padnij!

Momentalnie opadł na kolana i zdążył jeszcze zobaczyć zaskoczoną minę Genoweńczyka na widok olbrzymiego skandyjskiego wilka morskiego, który właśnie wyrósł w drzwiach. Po chwili Nils, który trzymał drąg z czarnego drewna niczym włócznię nad ramieniem, machnął nią trafiając tamtego ciężką mosiężną gałką prosto w czoło, dokładnie między oczy.

Siła ciosu, za którą stała siła ramienia i masa ciała Nilsa była ogromna. Genoweńczyk przeleciał dwa czy trzy metry w tył, zanim grzmotnął o kamienną posadzkę galeryjki. Sztylet wypadł mu z ręki, nim legł bez zmysłów. Nils jeszcze raz spojrzął na laskę i z aprobatą

pokiwał głową.

- Naprawdę niezła - stwierdził.

Will zerwał się na równe nogi i zerknął pospiesznie Ponad balustradą na salę. Najwyraźniej nikt nie zauważył zamieszania powyżej. Zapewne muzyka zagłuszyła nieznacznym hałas, którego narobili. Zobaczył, że Duncan i Evanlyn znaleźli się już w połowie swojego pierwszego okrążenia po sali. Spojrzał na Nilsa, który uśmiechał się z zadowoleniem, po czym kciukiem wskazał nieprzytomnego Genoweńczyka.

- Przypilnuj go - polecił. - Muszę zejść na dół.

- Dopilnuję, żeby nigdzie nie poszedł. - Skandianin wesoło pokiwał głową. Zanim Will zdążył odejść, położył mu ogromną dłoń na ramieniu.

- Wiesz, zwiadowco, to wesele nie mogłoby być lepsze. Piękna panna młoda. Przystojny pan młody. Dobre jedzenie, dobre piwo. A do tego wszystkiego jeszcze walka. Czuję się zupełnie jak w domu.

A potem Will dosłownie leciał po schodach na dół. Szacował, że ma niecałe pół minuty, by powrócić na podwyższenie i poprowadzić Alyss do tańca.

Może i uratował Duncanowi życie, ale gdyby nie zdążył na kolejny taniec weselny z Alyss, jego własne życie stałoby się nie do zniesienia.

ROZDZIAŁ 6

Zebrani w gabinecie barona Aralda podnieśli głowy, gdy do środka wszedł Halt.

- Czy nasz genoweński przyjaciel coś ci powiedział? - spytał Duncan.

Halt otrzymał zadanie przesłuchania ocalałego zamachowca. Will, mimo całego doświadczenia i sprawności w boju, sprawdzał się w podobnych sprawach nieco gorzej z uwagi na swoją młodą twarz i dość naiwny wygląd. Z kolei oblicze Halta nie było młode i z całą pewnością nie naiwne. Starszy zwiadowca potrafił wygłosić groźbę i sprawiać wrażenie, że zamierza ją spełnić.

Być może dlatego, że zwykle zaiste spełniał.

Teraz skinął głową i odpowiedział na pytanie króla.

- Na początku nic. Genoweńczycy są znani z umiejętności milczenia, a na dodatek nie lękają się o swoje życie. Spodziewa się egzekucji. Podjął to ryzyko, gdy przyjmował misję.

- Więc jak nakłoniłeś go do mówienia? - spytał Erak.

- Genoweńczycy nie boją się śmierci. Ale boją się cierpienia, które może zadać ich własna broń - wyjaśnił Halt. Skinął głową Horace'owi, opartemu o krawędź biurka.

- Wziąłem przykład z ciebie. Zagroziłem, że zakażę go którąś z jego zatrutych strzał. Trochę pozieleniał, kiedy mu powiedziałem, że jedyny człowiek w Araluenie, zdolny przygotować odtrutkę, mieszka o osiem dni na północ. Potem był już dość skłonny do mówienia.

- Naprawdę uwierzył, że to zrobisz? - zdziwiła się Cassandra i Halt odwrócił się do księżniczki.

- Mam bardzo szczerą twarz - odrzekł z wielką godnością.

- Jasne, że tak - przyznała.

Zanim Halt mógł kontynuować, Will zadał pytanie, które go dręczyło.

- Zastanawiałem się - powiedział - po co czekali aż do tańca? W końcu zauważyłem galeryjkę, kiedy przemawiałem z przodu podwyższenia. Czyli to miejsce było widać z góry. Czemu nie zdecydowali się strzelać, kiedy król wygłaszał mowę?

- Z dwóch powodów - odparł siwobrody zwiadowca z nieznacznym uśmiechem. - Podczas tańca cel był odsłonięty przez znacznie dłuższy czas. A celem nie był król, tylko Cassandra.

Słowa te wywołały wyraźne poruszenie wśród słuchaczy. Pierwszy otrząsnął się

Duncan.

- Cassandra? Cassandra była celem? Kto chciał jej śmierci?

- Wygląda na to, że mężczyzna imieniem Iqbal - odpowiedział Halt. Zerknął na Selethena, który zmarszczył czoło, słysząc to imię.

- Iqbal? - powtórzył. - To brat Yusala. - Odwrócił się do pozostałych. - Yusal był wodzem Tualegów, który kilka lat temu zorganizował porwanie Eraka - wyjaśnił.

- Ale Iqbal został uwięziony w górskiej wiosce Maashava. Skazano go tam na ciężkie roboty.

Halt pokręcił głową.

- Najwyraźniej to się zmieniło. Wygląda na to, że Iqbal uciekł przed kilkoma miesiącami. Ci z Mashaavy jeszcze ci o tym nie powiedzieli.

Oblicze Selethena pociemniało, gdy zmełł w ustach przekleństwo.

- To dla nich typowe! - stwierdził z goryczą. - Są tacy zaściankowi w tych swoich górach! Nigdy nie ufali władzom centralnym. Pewnie chcieli znaleźć sposób, żeby wykręcić się od odpowiedzialności za jego ucieczkę.

- Oczywiście - powiedział zwiadowca - do tej pory mogli już wysłać wiadomość. Od kilku tygodni nie ma cię w kraju. - Spojrzał na Cassandrę.

- Ten cały Iqbal jest na ciebie porządnie zły - oznajmił. - W końcu udaremniłaś jego plan, nie udało mu się zrobić z własnego brata śliniącego się wraka człowieka. Pragnął zemsty. Wynajął Genoweńczyków, by cię zabili. I zasugerował im posłużenie się arydyjskimi kuszami. Jedną planowali zostawić.

- To by wywołało dużą nieufność między naszymi krajami - powiedział Selethen z namysłem.

- Właśnie - zgodził się Halt. - Przypuszczam, że nasz przyjaciel Iqbal chciał doprowadzić do wrogości między Araluenem i Arydią. Miałbyś wtedy co innego na głowie niż ściganie go. Na dodatek po zabójstwie Cassandry Duncan zostałby bez następcy tronu. To zdestabilizowałoby sytuację dynastii i kraju.

- Plan by się powiódł, gdyby nie czujność Willa - Horace posłał przyjacielowi pełne wdzięczności spojrzenie.

- Ile razy ci dziękowałem, odkąd się poznaliśmy?

Will wzruszył ramionami, zakłopotany nagłą uwagą wszystkich zebranych.

- Przyjaciele nie muszą sobie dziękować - powiedział.

Lecz Cassandra wstała i podeszła do niego.

- Nie musimy - odparła - ale chcemy. - Położyła mu obie dłonie na ramieniu i

nachyliła się w jego stronę, po czym uśmiechnęła się do Alyss.

- Za pozwoleniem, oczywiście...

- Oczywiście. - Alyss uśmiechnęła się, gdy księżniczka pocałowała Willa w oba policzki. Przyszło jej do głowy, że kiedyś za coś takiego wyrwałaby Cassandrze wszystkie włosy z głowy. Przebyłyśmy razem długą drogę, pomyślała.

Duncan wstał i podszedł do Willa, wyciągając rękę.

- Też jestem ci wdzięczny. Mam tylko jedną córkę i wolę, żeby została przy życiu. Tym bardziej teraz, gdy ma Horace'a, który przywoła ją do porządku.

Cassandra odpowiedziała wybitnie niekrólewskim pokazaniem języka. Duncan postanowił udać, że nie widzi.

- Zastanawiam się - ciągnął - czy kiedykolwiek nadejdzie czas, gdy nie będę musiał dziękować swoim zwiadowcom za ich oddaną służbę dla mnie i mojej rodziny.

- Wątpię, panie - odrzekł Halt i po pomieszczeniu poniósł się śmiech.

Mogą się śmiać, pomyślał brodac, ale gdyby Will nie był taki czujny, panowałyby tutaj zupełnie inna atmosfera. Pochwycił spojrzenie swojego dawnego podopiecznego i ruchem warg przekazał bezgłośnie słowa „dobra robota”. Twarz Willa pokraśniała z zadowolenia. Niewypowiedziana na głos pochwała Halta znaczyła dla niego więcej niż wszelkie wyrazy wdzięczności ze strony monarchy.

- Bądź pewien, wasza wysokość, że Iqbal nie nacieszy się zbyt długo wolnością - oświadczył Selethen. - Gdy tylko wrócę do Arydii, pojmanie go stanie się dla mnie sprawą pierwszorzędą.

- Doceniam to - odparł Duncan. - Mogę nawet wysłać zwiadowcę albo dwóch do pomocy w jego wytropieniu. Nie podoba mi się myśl, że komuś, kto próbował zabić moją córkę, mogłoby to ujsć płazem.

Obaj mężczyźni wymienili przeciągłe spojrzenia. W końcu Selethen skinął głową. Cassandra, która na nich patrzyła, pomyślała, że wołałaby nie być w skórze Iqbała.

Spotkanie wkrótce dobiegło końca i wszyscy ruszyli z powrotem do swoich kwater. Gdy podeszli do schodów, Alyss wzięła Willa za rękę i poprowadziła go do pustego gabinetu. Uśmiechnął się do niej, niepewny, co zamierza.

- Alyss... - zaczął, lecz ostrzegawczo przechyliła głowę i położyła mu palec na wargach, by go uciszyć.

- To już drugie wesele, na którym coś przeszkodziło nam w tańcu - powiedziała. - Na weselu Halta musiałeś uciekać, a teraz ledwo wróciłeś na czas.

Na chwilę umilkła, by słowa odniosły efekt, a potem zakończyła:

- Lepiej bądź przy mnie na naszym weselu.

HIBERNIJCZYK

Od autora: Często jestem pytany, kto był mentorem Halta, a także gdzie i w jaki sposób Halt odbył szkolenie. W tym opowiadaniu znajdziecie odpowiedzi. Jego akcja toczy się w Irlandii wkrótce po opuszczeniu przez Halta rodzinnego domu w Dun Kilty.

ROZDZIAŁ 1

Crowley zmierzał przed siebie z ciężkim sercem, nie zważając ani na jasny blask słońca, ani na śpiew ptaków na drzewach. Był piękny letni dzień w lennie Gorlan, ale młody zwiadowca nie dostrzegał zielonych pól czy polnych kwiatów dookoła.

Koń zdawał się wyczuwać zły nastrój jeźdźca. Ciężko stukał kopytami, ze spuszczonego łbem poruszał się z coraz większą ospałością, nie czuł jednak ze strony swego pana żadnych ponagleń, by utrzymać tempo, w którym zaczęli.

Crowley, odkąd pamiętał, dążył w życiu do jednego celu: zostać królewskim zwiadowcą. W jego opinii był to szczyt marzeń. Jako nastolatek nie widział lepszego sposobu, aby służyć królowi i ojczyźnie, ani godniejszej szacunku drogi zawodowej dla żadnego przygód i lojalnego obywatela.

Inni marzyli, by zostać rycerzami i wojownikami. Ale Crowley zawsze wierzył, że to właśnie Korpus Zwiadowców jest prawdziwym ośrodkiem władzy i wpływów w królestwie - miejscem, gdzie ambitny, inteligentny, a przede wszystkim sprawny młodzieniec naprawdę może odcisnąć swoje piętno i odegrać ważną rolę w historii.

Jego mentor, Pritchard, wzmocnił to poczucie misji podczas szkolenia. Gdy chłopak rozwijał swoje umiejętności tropienia, niedostrzegalnego skradania się i strzelania z łuku, Pritchard musiał mu uparcie przypominać, po co to czyni.

- Nie robimy tego dla siebie. Nie robimy tego dla chwały. Trenujemy i ćwiczymy, bo może nadejść dzień, gdy królowi i ludowi Araluenu będą potrzebne nasze umiejętności. Jako zwiadowcy, mamy obowiązek je zdobyć.

Teraz, ma się rozumieć, Pritcharda już nie było. Trzy lata wcześniej został wygnany z królestwa pod spreparowanym zarzutem zdrady - wkrótce po tym, jak darował Crowleyowi srebrny dębowy liść, symbol wyszkolonego zwiadowcy. Crowley dostał przydział w małym, odległym lennie na północno-zachodnim wybrzeżu, a wieść o losie nauczyciela dotarła do niego dopiero po kilku miesiącach. Plotka głosiła, że udał się przez zachodnie morze do Hibernii.

Crowley czuł się odizolowany na wiele sposobów. Do odległego lenna Hogarth ciężko było dotrzeć, a wieści o wydarzeniach w całym królestwie przychodziły w najlepszym razie sporadycznie. Był jednak także odizolowany emocjonalnie. Korpus Zwiadowców - taki, jaki znali on i Pritchard - uległ osłabieniu i stał się czymś w rodzaju klubu dla rozwiązłych synów

szlacheckich rodów, zwykle zbyt leniwych albo zbyt miernych, by zostać rycerzami czy wojownikami. Kiedyś to zwiadowcy wybierali uczniów do korpusu i poddawali ich pięcioletniemu, surowemu szkoleniu, w dzisiejszych czasach wystarczyło kupić uprawnienia, by dostać srebrny dębowy liść.

Wielu starszych zwiadowców odeszło z niesmakiem, a tych, którzy głośno wyrażali swoje niezadowolenie, jak Pritchard, zmuszono do opuszczenia królestwa. Choć liczebność korpusu wynosiła teoretycznie pięćdziesiąt osób, szkolenie i przyjmowanie nowych kadetów w ostatnich latach znacząco podupadło. Gdy Crowley otrzymał przydział, prawidłowo wyszkolonych zwiadowców było ledwie trzydziestu. Szacował, że dziesięciu czy dwunastu z nich nadal pełni służbę, ale byli rozproszeni po odległych zakątkach królestwa.

Kluczem do zagadnienia był król Oswald. Ongiś dobry władca, żywiołowy i sprawiedliwy, na stare lata okazał się zbyt słaby, a umysł odmawiał mu posłuszeństwa. Zgodził się utworzyć Radę Królewską, złożoną z ambitnych baronów. Początkowo członkowie Rady mieli się zajmować codziennymi sprawami, związanymi ze sprawowaniem władzy, i uwolnić go od powtarzalnych, denerwujących drobnych kwestii, trafiających każdego dnia na królewskie biurko. Lecz z biegiem czasu zyskiwali coraz większy wpływ na ważne decyzje, aż w końcu Oswald stał się tylko figurantem, akceptującym poczynania rady.

Książę Duncan mógłby temu zapobiec, przejmując rządy jako regent. Ale rada, pod przewodnictwem charyzmatycznego intryganta, barona Morgaratha, podkopała jego pozycję u ojca. Oswald nabrał przekonania, że następca tronu nie jest gotowy do sprawowania władzy. Rada wmówiła mu, że książę jest zbyt impulsywny i zbyt niedoświadczony. Oswald uwierzył i wysłał syna do lenna na dalekim, północno-wschodnim krańcu kraju. Tam, z dala od ośrodka władzy w Zamku Araluen, bez jakiegokolwiek zorganizowanego wsparcia, Duncan marniał, sfrustrowany i bezczynny, niezdolny oprzeć się zmianom, narzucanym państwu, którym miał kiedyś władać.

W sumie, pomyślał Crowley, nie było to życie, jakie sobie wyobrażał. Pochylił się i poklepał Croppera po szyi.

- Mogło być gorzej - mruknął, próbując sam siebie podnieść na duchu. Wierzchowiec zastrzygł uszami i uniósł łeb, słysząc pozytywniejszą nutę w głosie swojego pana, nutę, za którą tęsknił już od jakiegoś czasu.

Miło widzieć, że lepiej się czujesz.

- Nie ma co się zamartwiać - powiedział zwiadowca, odpychając od siebie mroczne myśli.

Dojście do tego wniosku zajęło ci trzy dni?

- Doceń, że wprawdzie przez trzy dni byłem smutny, ale teraz mam już to za sobą.

Co ty powiesz.

Mimo ponurego jeszcze przed chwilą nastroju, Crowley stwierdził, że się uśmiecha. Zastanawiał się, czy przy tym koniu kiedykolwiek zdoła mieć ostatnie słowo.

Raczej nie.

- Nie powiedziałem tego na głos! - wykrzyknął, nieco zaskoczony.

Cropper potrząsnął grzywą.

Nie musisz.

Wjechali na szczyt wzniesienia i zwiadowca dostrzegł budynek przy drodze, kilkaset metrów dalej. Był mały, lecz większy od przeciętnego chłopskiego domu w tej okolicy. Miał też szyld, wiszący na belce nad zadaszonymi drzwiami wejściowymi.

- Tego nam potrzeba! - wykrzyknął radośnie. - Zajazd. Zbliża się pora obiadu.

Mam nadzieję, że są tam jabłka.

- Zawsze masz nadzieję na jabłka.

Gdy podjechali bliżej, czoło Crowleya znowu się lekko zmarszczyło. Ze środka doszły go podniesione głosy i donośny śmiech. Zwykle takie dźwięki wskazywały, że ktoś za dużo wypił. A ostatnimi czasy, gdy królestwem nie rządziła żadna twarda ręka, pijaństwu zbyt często towarzyszyła bezsensowna przemoc. Podświadomie poluzował sakse w pochwie.

Kolejny wybuch ochrypłego śmiechu dobiegł jego uszu, gdy zeskoczył z siodła i poprowadził Croppera na zagrodzone podwórze na tyłach zajazdu. Wzdłuż ogrodzenia ustawiono żłoby i koryta. Crowley znalazł pełny żłób i zostawił przed nim wierzchowca, po czym napełnił wiadro wodą ze studni i wlał ją do koryta. Rozejrzał się. Na podwórzu stały jeszcze cztery konie. Trzy z nich były długonogimi wierzchowcami konnicy, miały też derki i wodze wojskowego wzoru. Czwarty był niewyróżniającym się siwkim, którego uwiązano z dala od tamtych. Wszystkie cztery z zaciekawieniem odwróciły łby, by spojrzeć na nowo przybyłego, a potem, nie zobaczywszy nic godnego uwagi, znowu skupiły się na żłobach przed sobą, wykonując szcękami dziwny, trochę obrotowy, trochę trący ruch. Crowley dał ręką znak Cropperowi.

- Zaczekaj tutaj.

Co z moim jabłkiem?

Zwiadowca westchnął, sięgnął do kieszeni i wyjął jabłko, po czym wyciągnął je na otwartej dłoni do konia. Cropper pochwycił owoc delikatnie i z radością schrupał, zamykając oczy, gdy poczuł w pysku smak jabłkowego soku. Crowley poluzował popręg, a następnie skierował się do zajazdu.

Po jasnym słonecznym świetle na dworze, jego oczy potrzebowały czasu, by przywyknąć do półmroku. Gdy jednak otworzył drzwi i wszedł, donośny męski głos urwał w pół zdania i na chwilę w pomieszczeniu zapanowała cisza.

- Co my tu mamy? - zaczął znowu ten sam męski głos.

Oczy Crowleya już się przyzwyczyły do nowych warunków i ujrzał tuż przed sobą zwałistego żołnierza, opartego niedbale o kontuar. Miał na sobie płaszcz i kolczugę, a za broń służyły mu miecz a także sztylet o ciężkim ostrzu.

Był w towarzystwie dwóch kompanów, podobnie odzianych i wyposażonych. Jeden siedział na długiej ławie blisko szynkwasu. Był odwrócony tyłem do stołu i patrzył na kontuar. Drugi siedział na samym stole i opierał nogi o ławę. Za kontuarem Crowley dostrzegł oberżystę, niedużego mężczyznę po pięćdziesiątce, a także młodą służącą, mniej więcej dwudziestoletnią. Oboje rzucali nerwowe spojrzenia na trzech żołnierzach.

Gdy mówca odwrócił się lekko, by stanąć twarzą do Crowleya, zwiadowca zobaczył godło na jego płaszczu - miecz z błyskawicą zamiast klingi. Zrozumiał, że to żołnierze z gorlańskiego garnizonu Morgaratha.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Był w nim ktoś jeszcze. Mężczyzna siedział z tyłu, ubrany w ciemnozielony płaszcz. Miał czarne włosy oraz brodę i łyżką jadł coś z miski na stole przed sobą, na pozór nie zwracając uwagi na pozostałych klientów.

- Powiedziałem: „co my tu mamy” - powtórzył ten przy kontuarze. W jego głosie pobrzmiwała teraz niebezpieczna nuta. Gdy Crowley podszedł bliżej, zobaczył, że na grubo ciosanej, poczerwieniałej twarzy żołnierza perli się pot. Za dużo wypił, pomyślał. Dwaj kompani mężczyzny chichotali cicho, gdy ten odepchnął się od szynkwasu i stanął prosto, gapiąc się na Crowleya. W ich postawie kryło się wyczekiwanie. Zwiadowca zatrzymał się mniej więcej dwa metry od tamtego. Żołnierz był od niego wyższy i masywniejszy. Musi dźwigać masę tłuszczu, pomyślał Crowley.

Odpowiedział spokojnie, nie pozwalając, by w jego głosie dał się słyszeć jakikolwiek niepokój.

- Nazywam się Crowley - oznajmił. - Jestem królewskim zwiadowcą.

Kątem oka dostrzegł ruch z tyłu sali. Samotny klient podniósł głowę na słowa „królewskim zwiadowcą”.

Zwalisty wojskowy też zareagował. Otworzył szerzej oczy z udawanym podziwem.

- Królewski zwiadowca! - powtórzył. - Ooooooj! Jakie to imponujące!

Jego koledzy zaśmiali się głośnie. Odwrócił głowę i uśmiechnął się do nich, a potem znowu popatrzył na Crowleya, na powrót przybierając minę drwiącego podziwu.

- No to powiedz, królewski zwiadowco, co robisz tutaj, w lennie Gorlan? Nie masz ważnych rzeczy do roboty w kwaterze zwiadowców, takich jak upijanie się i hazard?

Crowley zignorował kpinę, ze smutkiem konstatując, że to dość wierny obraz tego, jak nowsi członkowie korpusu spędzają czas. Pozostali żołnierze znowu zarechotali. Zauważył, że ich śmiech staje się głośniejszy.

- Byłem w Zamku Araluen na zjeździe - powiedział, zachowując miły ton. - Teraz wracam do rodzinnego lenna. Tylko przejeżdżam przez Gorlan.

- A my czujemy się zaszczyceni, że tu zawitałeś - odrzekł żołnierz z wyraźnym sarkazmem. - Może postawimy ci coś do picia?

Crowley uśmiechnął się.

- Napiję się tylko kawy - oświadczył, ale żołnierz gwałtownie pokręcił głową.

- Kawa to nie napitek dla tak czcigodnego gościa. W końcu jesteś... królewskim zwiadowcą. - Zdołał wypowiedzieć te słowa tak, że zabrzmiały niczym obelga. - Nalegam, żebyśmy mogli poczęstować cię kieliszkiem wina. Albo winiaku. Albo innego napitku, godnego tak szacownej osoby.

Jeden z jego towarzyszy parsknął i zaniósł się pijackim śmiechem po żarcie kolegi. Crowley skrył uśmiech. Pomyślał, że nic nie zyska, wywołując scenę. Lepiej znieść sarkazm, napić się i wyjść.

- No to może kufel piwa - powiedział.

Żołnierz z aprobatą pokiwał głową.

- To znacznie lepszy wybór! - pochwalił. Kciukiem wskazał baryłkę piwa, stojącą na kontuarze. Zapewne napelniono ją z większej beczki w piwnicy. - Też je pijemy. Ale niestety, ta beczułka jest pusta!

Twarz pociemniała mu z gniewu przy ostatnim słowie i zrzucił baryłkę na podłogę. Potoczyła się pod stół. Ten gwałtowny ruch był niespodziewany i dziewczyna za szynkwasem skuliła się, wydając cichy okrzyk strachu. Instynktownie przybliżyła się do pracodawcy, jakby szukała wsparcia. Żołnierz nie zwrócił na nią uwagi. Wzrok miał utkwiony w Crowleyu, chociaż mówił do gospodarza.

- Piwo się skończyło, oberżysto. A mój przyjaciel, królewski zwiadowca, chciałby się napić.

- Nieważne - wtrącił Crowley. - Wezmę kawę.

- Nie. Weźmiesz piwo. Oberżysto?

Drobny mężczyzna za kontuarem sięgnął nerwowo po duży pęk żelaznych kluczy, wiszący za nim na kołku.

- Przyniosę z piwnicy drugą beczkę - powiedział.

Lecz żołnierz, nie odrywając oczu od Crowleya, podniósł rękę, by go zatrzymać.

- Zostań. Dziewczyna może przynieść.

Gospodarz nerwowo pokiwał głową.

- Dobrze. - Podał jej klucze. - Przynies drugą beczkę, Glyniss - powiedział. Patrzyła na niego przez chwilę, nie chcąc wychodzić z za mizernej osłony kontuaru. Skinął jej głową.

- Idź. Rób, co mówię - polecił szorstko. - Będzie ci potrzebny młotek.

Posłusznie wzięła ciężki, drewniany młotek, służący do odszpuntowywania dużych beczek. Z ociąganiem wyszła z za szynkwasu i minęła dwóch żołnierzy przy stole. Ten na ławie roześmiał się i udał, że się na nią rzuca. Odskoczyła z okrzykiem przestachu. Potem chciała pospiesznie przejść obok żołnierza, który do tej pory mówił. Gdy go mijała, jednym szybkim ruchem zabrał jej klucze. Zawahała się, a potem wyciągnęła po nie dłoń.

- Proszę? - powiedziała. Ale on parsknął śmiechem i trzymał pęk w wyprostowanej ręce, poza jej zasięgiem.

- Co? Chcesz? - spytał, a ona przytaknęła, ze strachu przygryzając wargę. Uśmiechnął się i zamachał jej kluczami przed twarzą. - To sobie weź.

Gdy wyciągnęła rękę, rzucił je szybko nad jej głowę, do żołnierza siedzącego na ławie. Ten złapał klucze, zarechotał i wstał, kołysząc się lekko, gdy dziewczyna ruszyła w jego stronę.

- Proszę. Potrzebuję tych kluczy.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się i cisnął je z powrotem do żołnierza przed Crowleyem. Gdy się odwróciła z udręczonym wyrazem twarzy, żołnierz pchnął ją swoim butem, aż zatoczyła się naprzód i wpadła na jego potężnego kompana.

- Oho! Myślisz, że możesz się na mnie rzucić i wydobyć je ode mnie, posługując się swoim urokiem, tak? - Próbował pocałować ją w policzek, ale odsunęła twarz. Znowu parsknął śmiechem.

Przez pięć lat szkolenia Crowleya największych kłopotów przysporzyło zapanowanie nad jego gwałtownym temperamentem.

- To przez te twoje rude włosy - mawiał Pritchard. - Nigdy nie znałem spokojnego rudzielca.

Teraz, po wysłuchaniu kpin niezdarnego żołnierza, poczuł w piersiach znajome wrzenie. Złapał rękę mężczyzny i boleśnie ją wykręcił, zmuszając go, by puścił dziewczynę, która szybko ukryła się za plecami zwiadowcy. Twarz żołnierza zapłonęła gniewem.

- Ach ty gnojku! Złamię cię na pół!

Zamachnął się z impetem na Crowleya, który z łatwością uchylił się przed ciosem. Później, wkładając w to całą siłę, zwiadowca uderzył krótko, lecz mocno w miękki brzuch mężczyzny.

Rozległ się bolesny świst uciekającego oddechu i żołnierz zgiął się w pół. Wyciągnął rękę, by złapać zwiadowcę, próbując utrzymać się w ten sposób na nogach, ale Crowley odskoczył. Niestety, zapomniał, że ma za sobą jeden z ciężkich drewnianych filarów, podtrzymujących strop. Cofając się, wpadł na niego i na kilka sekund stracił koncentrację.

Zanim zdołał się pozbierać, dwaj pozostali żołnierze byli już przy nim. Jeden przyparł zwiadowcę do filaru, przytykając mu do gardła ciężki sztylet. Drugi ściągnął mu z ramienia łuk i cisnął go przez pomieszczenie. Broń odbiła się od jednego ze stołów i upadła na podłogę.

Uderzony wojak dźwignął się na nogi, wciąż trzymając się za brzuch i sapiąc z bólu.

- Ty mały szczurze! - warknął. Potem skinął głową temu, który odrzucił łuk Crowleya.

- Związać mu ręce!

Crowley, wciąż z ostrzem sztyletu przy gardle, nie mógł stawić oporu, bo ręce miał odciągnięte w tył, a dłonie związane za szorstkim, drewnianym filarem. Stał bez ruchu, a mocno zbudowany żołnierz podszedł bliżej i wyjął sztylet z ręki towarzysza. Dotknął ostrzem nosa jeńca.

- Co teraz z tobą zrobimy, królewski zwiadowco? - spytał. - Chyba możemy ci po prostu obciąć nos. Oduczysz się wtykania go w nie swoje sprawy.

Dziewczyna znowu krzyknęła ze strachu, słysząc te słowa, a okrutny uśmiech żołdaka nieco się poszerzył.

- Tak. Chyba tak zrobimy. Co wy na to, chłopcy? Zanim któryś zdążył odpowiedzieć, odezwał się inny głos.

- Myślę, że powinniście go wypuścić.

ROZDZIAŁ 2

Głos był głęboki i pewny siebie, z charakterystycznym hibernijskim akcentem. Crowley skierował wzrok w stronę mówiącego. Nieznajomy siedzący z tyłu pomieszczenia podniósł się zza swojego stołu i ruszył ku nim. W rękach trzymał ogromny łuk, podobny do wyrwanego wcześniej Crowleyowi. Na cięciwę nałożona była strzała. Jak dotąd mężczyzna nie naciągnął cięciwy, ale dzierzył broń z taką łatwością i wprawą, że najpewniej potrafił naciągnąć, wycelować i strzelić w mgnieniu oka.

Ostrze cofnęło się od twarzy zwiadowcy i żołnierz odwrócił się do cudzoziemca. Łuk błyskawicznie powędrował w górę i rozległo się ciche skrzypnięcie drewna, gdy strzała cofnęła się na naprężonej cięciwie. Żołnierz patrzył w oblicze nagłej, ostrej jak brzytwa śmierci.

- Nie chcesz mnie zastrzelić - powiedział. Z jego głosu zniknął cały wcześniejszy sarkazm i gniew, a w ich miejsce pojawiło się charakterystyczne drżenie. Łuczniczka z powątpiewaniem uniosł brew. Pozostali dwaj żołnierze stali przy bokach przywódcy. Trzymali obnażone miecze. Crowley widział, że próbują oszacować swoje szanse na to, że dopadną do mężczyzny i powalą go, zanim zdąży strzelić.

- A to dlaczego, możesz mi powiedzieć? - zapytał nieznajomy. W jego głosie kryła się nutka rozbawienia i drwiny.

- Jestem żołnierzem barona Morgaratha na służbie...

- Chcesz powiedzieć, że twoja służba polega na upijaniu się i zaczepianiu ludzi po oberżach? - spytał tamten. Żołnierz zmarszczył czoło, niepewny, jak odpowiedzieć na to pytanie. Po krótkiej chwili wahania jednak przemówił.

- Jeśli mnie zabijesz, wybatożą cię, obedrą ze skóry i powieszą.

Nieznajomy wydał w zamyśleniu wargi. Gdy ci dwaj rozmawiali, Crowley wzrokiem oceniał łuk. Pomyślał, że siła jego naciągu to przynajmniej osiemdziesiąt funtów. Ciemnowłosa przybysz z Hibernii trzymał go w pełnym naprężeniu już od kilku chwil, lecz jego ręce nie drżały ani nie słabły. Zwiadowca zastanawiał się, jak długo tamten zdoła utrzymać tę patową sytuację.

- A jaka będzie kara, jeśli tylko zrobię ci poważną krzywdę? - spytał cudzoziemiec.

Brwi wojaka zbiegły się w zakłopotaniu.

- Co... - zaczął. Ale w tym momencie tamten nieco opuścił łuk i przestrzelił mu lewą

łydkę.

Mężczyzna wrzasnął, gdy potworny ból przeszył mu nogę. Z przerażeniem opuścił wzrok, by stwierdzić, że strzała przebiła mięsień i liściowaty grot sterczy z drugiej strony. Noga się pod nim ugięła i runął na podłogę.

Jego kompani przez chwilę stali zupełnie osłupiali. Potem skoczyli naprzód. Nieznajomy rzucił łuk za siebie i wyciągnął zza pasa coś, co wyglądało na krótki miecz o ciężkiej klindze. Crowley ze zdumieniem rozpoznał saksę - identyczną, jak ta, którą sam nosił. Pierwszy żołnierz próbował ciąć przeciwnika, ale z uwagi na niskie sklepienie w zajeździe cios okazał się niezgrabny i nieskuteczny, zadany z niewielką siłą. Cudzoziemiec z łatwością go sparował, a żołnierz, nie napotkawszy oporu, zatoczył się w przód. Nadział się wtedy na lewy sierpowy, po którym wypuścił broń z ręki i poleciał wprost na towarzysza.

Drugi żołnierz zaklął; odepchnął kompana, po czym rzucił się naprzód, robiąc zamach do poziomego uderzenia.

Stal szczęknęła o stal, gdy Hibernijczyk zablokował cios. W tej samej chwili Crowley poczuł, że jego własna saksa wysuwa się z pochwy. Obejrzał się i zobaczył, że dziewczyna wyciągnęła zwiadowczy nóż i przecina więzy, krępujące mu ręce.

Dwa ostrza znowu spotkały się ze szczęką i zgrzytem. Crowley skinął głową na znak podziękowania i wyjął jej z dłoni młotek do szpuntów.

- Dzięki - rzucił. Stanął za żołnierzem, który szykował się do kolejnego ciosu. Ciemnowłosa przybysz wbijał w przeciwnika spojrzenie pełne rozbawienia i pogardy.

Widząc marne umiejętności szermiercze wojaka, zwiadowca uświadomił sobie, że tamten mógł po prostu ruszyć naprzód i wbić saksę w ciało napastnika, sparowawszy wcześniej cios.

Nie tracił więcej czasu na myślenie, tylko wzniosł drewniany młotek i rąbnął żołnierza w tył głowy. Mężczyzna padł bez zmysłów na trociny, rozsypane na podłodze.

Crowley podniósł wzrok i napotkał ciemne oczy cudzoziemca.

- Dziękuję - powiedział Hibernijczyk, wkładając saksę z powrotem do pochwy. Ruchem głowy wskazał nieprzytomnego żołnierza na podłodze między nimi. - Nie byłem pewien, co z nim zrobić.

Crowley uśmiechnął się.

- Na pewno coś byś wymyślił - stwierdził. - Ale miałem akurat pod ręką młotek.

Nieznajomy popatrzył na solidne, drewniane narzędzie.

- Do szpuntów, co? Na pewno odszpuntował naszego koleżkę. - Powiedział to bez choćby cienia uśmiechu. Potem rzucił spojrzenie w miejsce, gdzie pierwszy napastnik powoli

dochodził do siebie i włókł się na kolanach do miecza, leżącego przy jednym ze stołów. Hibernijczyk wyciągnął rękę.

- Mogę?

Zwiadowca podał mu młotek i przybysz przeszedł ponad nieprzytomnym mężczyzną do drugiego wojaka, który właśnie złapał swoją broń. Postawił nogę na klindze, ściskając palce tamtego między rękojeścią a podłogą. Gdy mężczyzna krzyknął z bólu, Hibernijczyk walnął go drewnianym młotkiem w głowę. Crowley skrzywił się, gdy kolejny nieprzytomny żołnierz grzmotnął o deski.

- Czy to było konieczne? - spytał. Cudzoziemiec podniósł wzrok. W ciemnych oczach znowu nie było nawet cienia uśmiechu.

- Nie. Ale bardzo satysfakcjonujące. - Podał młotek przestraszonej dziewczynie, która szeroko otwartymi oczami z niedowierzaniem obserwowała przebieg wydarzeń.

- Myślę, że teraz przydałoby się to piwo, Glyniss - stwierdził.

Bez słowa pokiwała głową, a potem odwróciła się i poszła do piwnicy, po drodze oglądając się przez ramię. Ponaglił ją lekkim ruchem dłoni.

Crowley wyciągnął prawą rękę.

- Dziękuję za pomoc - powiedział. - Jestem dość przywiązany do tego nosa.

- A jest do czego. To duży skarb - odparł nieznajomy, wciąż ze śmiertelną powagą. Mrużąc oczy, Crowley zerknął na omawianą część swojej twarzy. Lubił uważać swój nos za szlachetny i haczykowany. Orli, jak ktoś kiedyś powiedział. W chwilach szczerości przyznawał, że jest raczej spory. Uświadomił sobie, że stoi i zezuje, podczas gdy tamten spokojnie mu się przygląda. Spoważniał.

- Tak czy owak, dziękuję - rzekł. - Jestem Crowley Meratyn, zwiadowca lenna Hogarth.

Tamten ujął jego dłoń i uściśnął.

- Halt O'Ca... - zaczął. A potem się poprawił. - Halt. Nazywam się Halt. Przejeżdżam tędy.

Crowley nie dał po sobie poznać, że zauważył to wahanie. Uśmiechnął się.

- Przypuszczam, że pochodzisz z Hibernii? - spytał, a rozmówca przytaknęła.

- Z Clonmelu - powiedział. - Uznałem, że pora poszerzyć horyzonty.

Przeszkodził im słaby głos z podłogi.

- Proszę, zwiadowco, ta noga strasznie boli.

Był to otyły żołnierz, od którego zaczęło się całe zamieszanie. Podciągnął się do pozycji siedzącej, oparty o nogę jednego ze stołów, i próbował zatamować krew, wypływającą

z przeszytej strzałą łydki.

- Wyobrażam sobie - powiedział Crowley. Przyklęknął, obejrzał ranę, a potem podniósł wzrok na Halta. - Chcesz jeszcze używać tej strzały?

- Nie drzewca. Złam je. Wykorzystam grot i lotki. Najłatwiejszym sposobem na usunięcie strzały w takich sytuacjach jest złamanie jej przy ranie wlotowej i wyciągnięcie skróconego drzewca z drugiej strony. Z powodu zadziorów na grocie nie da się wyjąć jej do tyłu.

Zwiadowca szybko złamał i wyjął pocisk. Nie zważał przy tym na jęki mężczyzny. Gdy usunął strzałę, krew pociekła jednostajnymi strumieniami zarówno z rany wlotowej, jak i wylotowej, a on szybko oczyścił obie rany gorącą wodą, którą oberżysta przyniósł mu z kotła nad ogniem, po czym mocno zabandażował nogę, umył ręce w misce z ciepłą wodą i wstał.

- To powinno przez jakiś czas podtrzymać go przy życiu - stwierdził. Zerknął na dwóch nieprzytomnych towarzyszy żołnierza, a potem unieruchomił im ręce na plecach przy użyciu kajdanek na kciuki. Halt przyglądał się z zaciekawieniem.

- Bardzo poręczny pomysł - stwierdził.

Pomógł Crowleyowi podciągnąć obu mężczyzn do pozycji siedzącej, opierając ich o jedną z długich ław.

- Tak się zastanawiałem... - odezwał się zwiadowca przy tej czynności. - Patrzyłem, jak sobie radzisz. Mogłeś zabić tych dwóch bez większego kłopotu. I tamtego mazgaja też. - Wskazał rannego żołnierza, wciąż skulonego i pochlipującego z bólu nad swoją obandażowaną nogą.

Halt wzruszył ramionami.

- Jestem w tym kraju nowy - wyjaśnił. - Pomyślałem, że może być niezręcznie tłumaczyć się baronowi z dwóch czy trzech trupów. Baronowie bywają w takich kwestiach bardzo nerwowi, jak się przekonałem.

- To prawda. Mimo wszystko sprawdzę, co będzie miał do powiedzenia, kiedy zabiorę do niego tych trzech razem z moim raportem.

Halt uniósł brwi.

- Zabierzesz ich do tego barona, Morg... - Zaciął się na imieniu.

- Morgaratha - podsunął Crowley. - Tak. Jest arogancki i apodyktyczny, ale chyba nawet on nie może zlekceważyć oficjalnego raportu i skargi królewskiego zwiadowcy.

- Cóż, jeśli nie masz nic przeciwko temu, mógłbym do ciebie dołączyć i pomóc mieć ich na oku. Chętnie bym zobaczył, co za człowiek z tego Morgaratha.

- Mógłbym ci powiedzieć - odrzekł ponuro zwiadowca - ale chyba lepiej, żebyś sam

się przekonał. Jedź ze mną, jak najbardziej. Zamek Gorlan jest o półtora dnia jazdy stąd, a chciałbym omówić z tobą kilka spraw.

Halt skinął głową.

- Nie mogę się doczekać - powiedział. A potem odwrócił się, słysząc skrzypnięcie zawiasów w drzwiach do piwnicy. - A oto i Glyniss z naszym piwem, w samą porę.

ROZDZIAŁ 3

Ruszyli później tego samego popołudnia, gdy Crowley zjadł posiłek. Zdjął kajdanki z kciuków dwóch żołnierzy, a zamiast tego mocno skrępował wszystkim ręce z przodu, żeby mogli łatwiej jechać konno. Powiązał też ze sobą ich konie, a do jednego umocował jeszcze linę, za którą mógł prowadzić więźniów, na wypadek gdyby spróbowali ucieczki.

Poranny mroczny nastrój teraz go opuścił i Crowley podczas jazdy był bardzo wesół. Gdy zaczął pogwizdywać skoczną ludową melodię, Halt popatrzył z ukosa.

- Co robisz? - spytał, a na jego czole pojawiły się bruzdy. Zwiadowca wzruszył ramionami i posłał mu uśmiech.

- Mam dobry humor - wyjaśnił.

Brwi tamtego powędrowały w górę. Crowley zauważył, że Hibernijczyk w wielu sytuacjach wykazuje taką właśnie reakcję mimiczną.

- Zatem masz dobry humor. A dlaczego wydajesz ten piskliwy dźwięk?

- Gwiżdżę. Gwiżdżę sobie skoczną melodię.

- To nie jest gwizdanie. To pisk - orzekł Halt.

Zwiadowca odwrócił się w siodle, by posłać rozmówcy pełne godności spojrzenie.

- Powinieneś wiedzieć, że moje gwizdanie jest przedmiotem licznych pochwał w hrabstwie Hogarth.

- Ponura to musi być kraina, w której ludzie uważają ten piskliwy skrzek za melodyjny.

Zwalisty żołnierz zaczął jęczeć z bólu, przerywając im dyskusję o tym, co jest, a co nie jest muzyką. Trzej żołnierze jechali przed Crowleyem i Haltem. Ten drugi lekko przyspieszył wierzchowca, by ich dogonić.

- Najpierw on piszczy, a teraz ty wyjesz - powiedział. - Czy nigdy nie będzie chwili ciszy? Co ci dolega?

- Boli mnie noga - zaskamlał mężczyzna.

- Pewnie, że boli - odparł Halt. - Przebiłem ją strzałą. Spodziewałeś się, że nie zaboli?

Żołnierz był zaskoczony tą pragmatyczną odpowiedzią. Crowley, który przysłuchiwał się rozmowie, uśmiechnął się do siebie. Na ile zdążył poznać Halta - jeśli żołnierz liczył na współczucie, to trafił pod zupełnie zły adres.

- Muszę odpocząć - poskarżył się wojak. - Podczas jazdy trzęsie i boli mnie jeszcze

bardziej.

- Nie - odparł Halt. - Musisz się zamknąć. Ale jeśli nie umiesz się na to zdobyć, zrobię coś, co odwróci twoje myśli od tej nogi.

Tamten spojrzał na niego z lękiem. Był pewien, że mężczyzna nie mówi o złagodzeniu bólu.

- Co zrobisz? - spytał.

- Przestrzelę ci drugą nogę - wyjaśnił Halt. - Ból równomierniej się rozłoży.

- Strzeliłbyś do bezbronnego? - Żołnierz skulił się i odsunął w siodle najdalej, jak mógł, nie tracąc przy tym równowagi.

Halt popatrzył na niego spokojnie, zanim odpowiedział.

- Nie zapominaj, że groziłeś mojemu przyjacielowi odcięciem nosa, gdy miał związane z tyłu ręce. Trudno, żebyś zyskał tym moją sympatię.

Wojak otworzył usta, by coś odrzec, po czym zerknął na Halta i zamknął je z powrotem z ledwie słyszalnym kłapinięciem. Hibernijczyk, zadowolony, że tamten zrozumiał, skinął głową i ściągnął wodze, by znowu znaleźć się obok Crowleya.

Jasnowiący zwiadowca posłał mu wesoły uśmiech.

- Czyli jestem twoim przyjacielem, tak? - zagadnął.

Halt przez kilka chwil patrzył prosto przed siebie, zanim odpowiedział.

- Pod warunkiem, że nie zaczniesz znowu gwizdać.

Tego wieczoru rozbili biwak na niewielkiej polanie nad brzegiem strumienia, którym płynęła świeża, zimna woda. Podczas gdy Halt zniknął w lesie ze swoim łukiem, Crowley pojedynczo rozwiązał więźniów, po czym znowu spiął im ręce za plecami za pomocą kajdanek na kciuki. Posadził ich obok siebie, opartych o powalone drzewo. W sakwach przy ich siodłach znalazł koce i okrył nimi mężczyzn.

- Nie dacie nam czegoś do jedzenia? - spytał jeden z nich rozżalonym tonem.

Zwiadowca pokręcił głową.

- Raczej nie. Noc bez jedzenia wam nie zaszkodzi.

Nalał jednak wody do cynowego kubka i każdy z więźniów mógł się napić do woli. Gdy skończył, rozpalili ognisko. Miał w swoim prowiancie trochę ziemniaków i zamierzał je ugotować w poczerńiałym garnku. Gdy woda zaczęła wrzeć, wrócił Halt, niosąc tłustego królika, już oskórowanego i wypatroszonego.

- Będzie w sam raz! - stwierdził radośnie Crowley. - Nie ma to jak świeży królik. Pomaga na wszelkie bóle.

Żołnierz, który się wcześniej odezwał, podniósł z nadzieją głowę.

- Czy możemy...

- Nie - odparli Halt i Crowley jednocześnie. Szybko pokroili królika, obtoczyli kawałki mięsa w mące zmieszanej z suszonymi ziołami, a potem roztopili masło na żelaznej patelni nad ogniem. Gdy mięso trafiło na gorące masło i zaczęło skwierczeć, zwiadowca westchnął z zadowoleniem. Lubił jeść.

- To znacznie lepszy sposób niż pieczenie go na rożnie nad ogniem - skomentował. - Wtedy wszystko trwa o wiele dłużej.

Gdy kawałki królika były już zarumienione i dobrze usmażone, Crowley dorzucił na patelnię warzywa i przykrył ją, by potrawa szybciej była gotowa. Później on i Halt zjedli posiłek, siedząc w milczeniu naprzeciwko siebie po dwóch stronach ogniska. Od czasu do czasu jeden z więźniów jęczał, gdy doleciał do niego smakowity zapach smażonego królika z przyprawami. Crowley i Halt nie zwracali uwagi na te dźwięki.

Gdy skończyli jeść, oblizali palce z resztek mięsa, masła i ziemniaków, po czym wytarli je o trawę. Crowley zaparzył kawę, a potem patrzył, jak Halt dodaje miód do swojego kubka.

- Czy to nie psuje smaku?

Tamten popatrzył na niego, zastanowił się, po czym odpowiedział.

- Nie.

Crowley uśmiechnął się na to jedno krótkie słowo.

- Niewiele mówisz, co?

I znowu ciemne oczy uniosły się, by napotkać jego spojrzenie.

- Mówię to, co trzeba.

Zwiadowca dobrodusznie wzruszył ramionami.

- To pewnie dobrze. Sam czasami mówię za dużo.

- Zauważyłem.

- Przeszkadza ci to? - spytał. Odczuwał instynktowną sympatię do tego ciemnowłosego cudzoziemca i wyczuwał, że ten ją odwzajemnia. Teraz to Halt wzruszył ramionami.

- Dzięki temu nie gwizdziesz.

Crowley parsknął śmiechem. Halt zachowywał ponurą i poważną powierzchowność, ale zwiadowca dostrzegał w nim wewnętrzne pokłady humoru.

- Mówiłeś wcześniej, że chcesz o czymś porozmawiać - przypomniał Halt.

Crowley skinął głową, po czym zebrał myśli, zanim zaczął mówić.

- Wydaje mi się, że mamy wiele wspólnych umiejętności - stwierdził. - I używamy takiej samej broni. Zauważyłem, że nosisz saksę i nóż do rzucania, jak ja. Zastanawiam się, skąd je masz.

Sam, ma się rozumieć, nosił swoje dwa noże w charakterystycznej, regulaminowej podwójnej pochwie Korpusu Zwiadowców. Halt trzymał broń w dwóch osobnych futerałach, przymocowanych blisko siebie z lewej strony pasa. Zerknął teraz na nie, wisiały wraz z pasem na kamieniu obok ogniska.

- Dał mi je mój mentor - oznajmił. - Był zwiadowcą, jak ty.

Crowley wyprostował się, gdy to usłyszał.

- Zwiadowcą? - powtórzył. - W Hibernii? Jak się nazywał?

- Mówił o sobie Pritchard. Był zdumiewającym człowiekiem.

- Zaiste - potwierdził Crowley i tym razem to Halt okazał zaskoczenie.

- Znałeś go?

Zapytany gorliwie pokiwał głową.

- Pięć lat byłem jego uczniem. Nauczył mnie wszystkiego, co wiem. W jaki sposób go poznałeś?

- Jakieś trzy lata temu pojawił się w Du... Drogheli. Wziął mnie pod swoje skrzydła i nauczył skradania się, posługiwania nożem, tropienia i tak dalej. Umiałem już strzelać, ale znacznie poprawił moją technikę.

Crowley zauważył wahanie, a potem korektę, gdy Halt podawał nazwę miejsca, w którym poznał Pritcharda. Puścił to jednak mimo uszu.

- Tak. Był świetny, gdy chodzi o technikę.

- I o ćwiczenia - dodał Halt.

Zwiadowca uśmiechnął się na wspomnienie dawnego nauczyciela.

- Miał takie powiedzenie. „Zwykły łucznik ćwiczy, by dobrze mu to wychodziło. Zwiadowca...”

- „...ćwiczy, by nigdy nie wyszło mu to źle” - dokończył Hibernijczyk i obaj się uśmiechnęli. Przez kilka chwil siedzieli bez słowa.

- Co się z nim stało? - spytał Crowley. - Czy nadal jest w... Drogheli, tak powiedziałeś?

Halt pokręcił głową.

- Ruszył dalej. Ja miałem tam pewne nieprzyjemności i musiałem odejść. Postanowiłem podążyć do Araluenu i podjąć próbę nawiązania kontaktu ze zwiadowcami... Może nawet dołączyć do korpusu i ukończyć szkolenie. Pritchard przeniósł się do jednego z

zachodnich królestw Hibernii. Powiedział, że nie może tu wrócić.

Crowley ze smutkiem pokiwał głową.

- Zgadza się. Wypędzono go z kraju... pod zupełnie zmyślonymi zarzutami, ma się rozumieć. Ale, choć smutno o tym mówić, w dzisiejszych czasach Korpus Zwiadowców stał się właśnie taki. Wszystko zmieniło się na gorsze.

- Jak to? - spytał Halt. - Wyglądasz mi na takiego zwiadowcę, o jakich opowiadał Pritchard.

- Miło mi to słyszeć - odparł Crowley. - Ale wszystko się zmieniło.

Sięgnął po swój kołczan. Zauważył, że lotki na dwóch strzałach obluzowały się i zabrał się za ich naprawę. Halt przyjrzał się, po czym poszperał w swoich rzeczach i podał mu specjalne imadelko.

- Masz. Użyj tego. Pójdzie ci łatwiej.

- Dzięki - powiedział Crowley. Po usunięciu starych piór z drzewca, umieścił strzałę w imadelku, które miało przytrzymać lotki, dopóki klej nie wyschnie, i zabrał się za naprawę kolejnej strzały. Po minucie czy dwóch wrócił do wcześniejszego pytania Halta.

- Wszystko się zmieniło - powtórzył. - W dzisiejszych czasach Korpus Zwiadowców to niewiele więcej niż klub towarzyski dla leniwej, młodej szlachty. Nie ma żadnych szkoleń, ćwiczeń. Teraz miejsce w korpusie się kupuje. Należę do nielicznych prawidłowo wyszkolonych zwiadowców, jacy pozostali. I próbują się mnie pozbyć.

- Czemu mieliby to robić? - spytał Halt.

Crowley wzruszył ramionami.

- Pewnie przynoszę im wstyd. Właśnie byłem w Zamku Araluen i dostałem po głowie z powodu jakiejś absurdalnej skargi. Spotkało to już innych przede mną. Pritchard był jednym z pierwszych. Ale od tamtej pory wyrzucili także innych. Wydaje mi się, że w królestwie jest dzisiaj może tuzin porządnie wyszkolonych zwiadowców... i jesteśmy bardzo rozproszeni.

- Ale czemu? Kto by chciał zniszczyć tak skuteczną formację? Czy król nie może czegoś zrobić? W końcu jesteście królewskimi zwiadowcami... - spytał Halt i Crowley uśmiechnął się smutno.

- Król o niczym nie wie. A co do tego, kto chciałby zniszczyć korpus... odpowiedź jest prosta. Grupa baronów, Rada Królewska, wywiera na króla przemożny wpływ. Jest chory i niedołężny, nie ma pojęcia, co się dzieje. Przypuszczam, że baronowie knują, by przejąć tron. Nakłonili Oswalda, by zgodził się praktycznie na wygnanie księcia Duncana na północno-wschodnie wybrzeże. Król jest bezsilny, a oni starają się, by nie doszło do zawiązania żadnej zwartej grupy, która wsparłaby księcia, gdy nadejdzie pora, by przejął tron.

- Kto za tym wszystkim stoi? - spytał Halt.

Crowley gestem wskazał trzech związanych mężczyzn nieopodal.

- Poznasz go jutro - odparł. - Nie mogę tego udowodnić, ale jestem niemal pewien, że to Morgarath.

ROZDZIAŁ 4

Halt wstrzymał konia, gdy pokonali ostatnie wzniesienie i ich oczom ukazał się Zamek Gorlan.

Wyglądał wspaniale. Trudno było użyć innych słów. Strzeliste, pełne wdzięku wieże, zwieńczone ostrymi iglicami, sięgały nieba. Same iglice obłożono białym marmurem, który połyskiwał w porannym słońcu. Kilka wież połączono ażurowymi krużgankami o balustradach wykończonych ozdobnymi, rzeźbionymi wzorami. Te same wzory widać było na licznych balkonach, stanowiących charakterystyczną cechę budowli.

W kilkunastu miejscach długie, jaskrawe proporce i flagi powiewały na lekkim wietrze; niektóre liczyły nawet trzy czy cztery metry długości.

U stóp wzgórza, pod zamkiem, rozciągał się starannie utrzymany park. Wśród zielonej trawy i zadbanych, ozdobnych drzew, odcinały się białe, lśniące posągi. Brukowane alejki wiły się po parku, a w altanach między drzewami ustawiono ławy i stoły. Świeżo malowane bariery turniejowe oraz trybuny stały tuż przed głównym murem i bramą. Ogromny kompleks zamkowy otaczała sucha fosa z mostem zwodzonym. W tej chwili most był opuszczony, a brama otwarta.

- To jest coś, prawda? - odezwał się Crowley. Skrzyżował dłonie na łęku siodła i pochylił się nieco, przynosząc ulgę zeszywniałym plecocom.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem - przyznał Halt. I była to prawda. Widywał już wcześniej zamki, w jednym nawet mieszkał przez większość dotychczasowego życia. Lecz zamki, do których przywykł, były posępnymi, ciężkimi budowlami, które miały być przede wszystkim mocne i niezdobyte, a nie piękne, jak ten. A jednak w chwili, gdy ta myśl przyszła mu do głowy, szacował wzrokiem mury, zauważając ich grubość, maskowaną zgrabną linią. Pomyślał, że Gorlan to twardy orzech do zgryzienia, pomimo niemal niezmiernie piękna.

- Przycmiewa nawet Zamek Araluen - ciągnął Crowley. - A to nie takie proste, wier mi. Szkoda, że należy do Morgaratha - dodał z kwaśnym wyrazem twarzy.

Halt zerknął na towarzysza, lecz nic nie powiedział. Postanowił dokonać samodzielnej oceny barona Gorlanu.

Nie musiał długo czekać. Podjechali do zamku, a ranga zwiadowcy zapewniła im wjazd do środka. Crowley zaprowadził więźniów do wartowni i poprosił o audiencję u barona. Wskazano im drogę do małej poczekalni w wieży warownej, przylegającej do

wielkiej sali, gdzie Morgarath prowadził swoje oficjalne sprawy. Zwiadowca zmarszczył czoło. Pierwszy raz znalazł się wewnątrz murów Gorlanu, a praktyka spotkań w ogromnej sali audiencyjnej pachniała zachowaniem przyszłego władcy. Większość baronów używała mniejszych pomieszczeń. Sala audiencyjna Morgaratha przypominała tę, z której korzystał król w Zamku Araluen. A w dzisiejszych czasach, pomyślał Crowley, raczej Rada Królewska.

Musieli czekać jakieś czterdzieści minut - niedługo, uznał zwiadowca, skoro przyjechali bez zapowiedzi - po czym wprowadzono ich do tej rozległej komnaty.

Zawieszono wysoko łukowate sklepienie podtrzymywały przypory. Po wschodniej stronie muru znajdowały się strzeliste witrażowe okna. Przeświecające przez nie promienie słońca malowały na ścianach niezwykle wzory. Wnętrze tej wielkiej sali wywierało równie wielkie wrażenie, jak zamek od zewnątrz.

Przeszli przez wysokie podwójne drzwi, które otworzyli zbrojni noszący symbol miecza z błyskawicą. Halt widział już taki znak u trzech mężczyzn w zajeździe. Morgarath zasiadał w przeciwnym końcu pomieszczenia na przypominającym tron krześle z czarnego drewna, umieszczonym z kolei na podeście, dzięki któremu baron znajdował się prawie metr ponad otoczeniem. Crowley i Halt przemaszerowali przez salę, a ich miękkie buty nie wydawały niemal żadnego dźwięku na kamiennej posadzce. Tuż przed podestem pokrycie podłogi zmieniało się na marmurowe płytki, ułożone w geometryczne wzory.

Biorąc przykład ze zwiadowcy, Halt zatrzymał się u stóp podwyższenia. Crowley stanął na baczność. Jego towarzysz, przyglądając się baronowi lenna Gorlan, przybrał swobodniejszą postawę.

Morgarath siedział niedbale, z jedną nogą przełożoną przez podłokietnik. Bawił się sztyletem o szerokiej głowni, podziwiając srebrną rękojeść i jelec. Podniósł na nich spojrzenie, gdy się zatrzymali. Jego twarz wyrażała całkowitą obojętność.

Chociaż siedział, widać było, że jest wyjątkowo wysoki. Był też przystojny, miał pociągłą twarz o silnie zarysowanej szczęce. Nie nosił brody ani wąsów, a włosy miał długie i proste, koloru blond - kiedyś pewnie będą białe, a nie szare, gdy mężczyzna posiwieje na starość. Jego skóra była blada, a ubranie zupełnie czarne, mocno kontrastujące z twarzą i włosami. Na szyi Morgaratha wisiał gruby srebrny łańcuch.

Ale najbardziej zadziwiały oczy barona. Przy takiej cerze Halt spodziewałby się jasnych oczu, błękitnych albo niemal bezbarwnych. Ale te oczy były czarne, tak czarne, że nie dało się stwierdzić, gdzie kończą się tęczęwki, a zaczynają źrenice.

Martwe oczy, pomyślał Halt. Nie miał pojęcia, skąd wzięła się ta myśl. Po prostu pojawiła mu się w głowie, gdy przyglądał się baronowi.

Morgarath odłożył sztylet na mały stolik przy swoim siedzisku. Machając stopą, obserwował dwóch mężczyzn. Ich proste i praktyczne, podróżne stroje oraz wyposażenie kontrastowały z elegancją tej sali. Zmarszczył brwi, jakby ci dwaj plugawili piękno Zamku Gorlan.

- Jak się nazywasz? - zwrócił się do Crowleya. Głos miał głęboki i donośny. Zdawało się, że wcale nie mówi głośno, ale jego głos rozbrzmiewał echem w całym pomieszczeniu. Crowley poruszył się niespokojnie. Dezaprobata barona była aż boleśnie wyraźna.

- Crowley, sir. Królewski zwiadowca numer siedemnaście, przydzielony do lenna Hogarth.

- Właściwy zwrot, zwiadowco, to „mój panie”, a nie „sir”.

Crowley poczerwieniał. Morgarath nie miał racji. Jako zwiadowca królewski, był wyższym oficerem i miał prawo zwracać się do baronów „sir”. Tylko królowi i członkom rodziny królewskiej należał się zwrot „mój panie”, zwykle zresztą zarezerwowany na oficjalne okazje. Morgarath miał najwyraźniej przesadzone zdanie o swojej pozycji. Nie było jednak sensu klócić się z arystokratą w jego własnym zamku.

- Przepraszam, mój panie - powiedział krótko. Morgarath przez kilka sekund taksował go wzrokiem. Potem skinął głową i zwrócił czarne oczy na Halt, chwilowo zapominając o jasnowłosym zwiadowcy.

- A ty jesteś... - Był zdziwiony towarzyszem Crowleya. Obcy sam wydawał się nosić wyposażenie elitarnego ongiś korpusu, włącznie z łukiem i dwoma nożami u pasa. Były jednak drobne różnice. Jego płaszcz był ciemnozielony, cały w jednym odcieniu. Nie miał zielono-szarych plam, jak płaszcz zwiadowcy. Noże z kolei spoczywały w dwóch osobnych pochwach.

- Nazywam się Halt. - Dał się słyszeć wyraźny hibernijski akcent.

Morgarath uniósł brwi.

- Tylko Halt? Bez nazwiska? Miałeś rodziców tak biednych, że nie było ich na nie stać? A może nie wiesz, kim byli?

Przybysz popatrzył na barona, nie reagując na zniewagę, ukrytą w jego słowach.

- Proszę o wybaczenie. Moje pełne nazwisko to Halt... Arratay. - Pod wpływem chwilowego impulsu wymyślił pseudonim, którym miał się posługiwać przez resztę życia. Uśmiechnął się w duchu z drwiny, zawartej w tym nazwisku, drwiny, której Morgarath nie dostrzegł. „Arratay” to była jego wymowa galijskiego słowa „arretez”, które oznaczało „zatrzymać się”, czyli to samo, co „halt”. Innymi słowy, właśnie powiedział temu złośliwemu arystokracie, że nazywa się Halt Halt.

- Jestem leśniczym z dworu lorda Dennisa O'Mary, księcia Drogheli w królestwie Clon...

Więcej nie powiedział, bo Morgarath niedbałym gestem podniósł dłoń.

- Pytałem o nazwisko, przybyszu z Hibernii. Nie o historię twojego życia.

Halt uklonił się lekko, ledwo-ledwo pochylając głowę. Baron znowu skupił się na Crowleyu.

- Co to za historia, zwiadowco? Podobno aresztowałeś trzech moich ludzi?

- Zgadza się. Byli pijani i rozrabiali w zajeździe. Terroryzowali oberżystę i jego pomocnicę.

- Terroryzowali? - powtórzył Morgarath, unosząc brwi.

- Grozili im śmiercią? Odcinali kawałki ciała ostrymi nożami? Torturowali rozgrzanymi do czerwoności pogrzebaczami?

Crowley poruszył się niespokojnie.

- Może „terroryzowali” to za mocne słowo, sir... mój panie. Zastraszali, tak chyba lepiej to ująć. Dręczyli ich i robili zamieszanie. Dziewczyna się bała.

- Jak dla mnie, wygląda to zaledwie na wesołą zabawę.

- Można tak na to spojrzeć, mój panie. Lecz gdy powiedziałem, by przestali, jeden z nich groził mi nożem. Związali mi ręce, a on powiedział, że obetnie mi nos.

- Najpierw go uderzyłeś, zdaje się.

- Owszem, uderzyłem. Ale w odwecie. Znęcał się nad dziewczyną i go odciągnąłem. Wtedy zamierzył się na mnie pięścią. Zrobiłem unik i go trafiłem. Potem jego towarzysze mnie złapali, a on wyciągnął sztylet i groził mi odcięciem nosa.

- Jak zatem uniknąłeś tego straszliwego zagrożenia? Co go przekonało, by przestać?

- Postrzeliłem go - wtrącił Halt. Kpiny Morgaratha zaczynały go już drażnić. Baron znów zwrócił drwiące spojrzenie na cudzoziemca.

- Postrzeliłeś? A gdzie?

- W zajeździe - odparł Halt, zachowując zupełnie poważny wyraz twarzy. Riposta zachwiała pozą znudzonej pogardy barona i Halt dostrzegł w czarnych oczach nagły rozbłysk gniewu. Mężczyzna wyraźnie się nimi bawił. Podczas gdy oni czekali, bez wątpienia odebrał szczegółową relację z wydarzeń w oberży.

- Chciałem wiedzieć - powiedział Morgarath z lodowatą precyzją - w którą część ciała go postrzeliłeś.

- Przepraszam. Trafiłem go w nogę. Powiedział, że będziesz zły, mój panie, jeśli go zabiję.

Baron przez kilka chwil nie odrywał od niego wzroku. Spokojne oczy Halta wytrzymały to spojrzenie. W końcu to Morgarath się odwrócił, udając brak zainteresowania.

- A zatem uznałeś, że lepiej go nie zabijać - podsumował.

- Tak pomyślałem, mój panie.

- Mimo wszystko nawet rana nogi wydaje się dość surową karą za denerwowanie oberżysty i służącej.

Crowley odchrząknął i wtrącił się do rozmowy.

- Przepraszam, mój panie. Ci ludzie traktowali ich w sposób nieznośny. Ale fakt, że podnieśli rękę na królewskiego oficera i mu grozili to znacznie poważniejsza sprawa.

- Urazili twoją godność, tak, zwiadowco? - spytał szyderczo Morgarath.

Crowley pokręcił głową.

- To nie jest sprawa osobista. Okazali brak szacunku dla munduru i korpusu, a także grozili wyższemu oficerowi.

- I oczekujesz, że ich ukarzę, tak?

Crowley wzruszył ramionami.

- Uznałem, że najlepiej zameldować o sprawie, mój panie. W końcu to pańscy ludzie, więc lepiej załatwić sprawę nieoficjalnie. Inaczej musiałbym złożyć raport dowództwu zwiadowców.

Brwi barona powędrowały w dół. To był problem, oczywiście. Nie miał pojęcia, jak przełożeni postrzegają tego Crowleya. Idioci, którzy dowodzili obecnie Korpusem Zwiadowców, byli bandą arogantów. Chociaż formalnie byli równi rangą Morgarathowi i innym członkom Rady Królewskiej, przykładali wielką wagę do swojej godności, gdy ich duma została urażona. Jeśli uznają, że ich formację potraktowano bez należytego szacunku, będą domagać się przeróżnych kar. A mimo nieszczególnej skuteczności w boju, mieli ogromne wpływy. Należeli do najważniejszych rodów w królestwie, a pozycja Morgaratha nie była jeszcze dość silna, by się im przeciwstawić. Zmusił się do uśmiechu.

- Doceniam twoją dyskrecję, zwiadowco. Jak mówisz, lepiej żeby te sprawy zostały między nami. Każę ich wychłostać.

Crowley był zaskoczony tymi słowami.

- Nie ma takiej potrzeby! Myślę, że wystarczy degradacja i parę miesięcy nieprzyjemnych zadań.

- Masz zbyt miękkie serce, zwiadowco. Uważam, że zasłużyli na chłostę. Przynajmniej pięćdziesiąt batów. W końcu obrazili Korpus Zwiadowców, a na to nie możemy pozwolić. A co o tym sądzi Halt Arratay?

Halt musiał powstrzymać uśmiech, wywołany nieświadomym użyciem przez barona niedorzecznego powtórzenia w imieniu i nazwisku. Czuł, że arystokrata, proponując tak okrutną karę, próbuje wytrącić Crowleya z równowagi i podkopać jego pewność siebie. Toczył sadystyczną grę. Crowley był porządnym człowiekiem i myślał, że przez niego zedrą trzem ludziom skórę z grzbietów, musiała przyprawić go o mdłości. Halt jednak nie miał takich skrupułów.

- Wybatoż ich, jak najbardziej, mój panie. Porządna chłosta jeszcze nikomu nie zaszkodziła... w każdym razie z pewnością nie temu, kto trzyma bat.

Zwiadowca rzucił mu szybkie spojrzenie. Halt niemal niezauważalnie skinął głową. Crowley nie miał pewności, do czego zmierza jego towarzysz, lecz postanowił podążyć za jego przykładem.

- Jak uznasz za stosowne, mój panie - powiedział.

Morgarath przez chwilę bez słowa przyglądał się dwóm mężczyznom. Potem powoli pogładził swój łańcuch.

- Otóż to. Jak uznam za stosowne. Dobrze. Możecie być pewni, że dopilnuję, by zostali ukarani stosownie do popełnionego przestępstwa. To wszystko. Wyjdźcie stąd.

Jedną ręką wykonał leniwy, odpędzający gest i odwrócił od nich spojrzenie, podnosząc sztylet i znowu podziwiając ozdobną rękojeść. Halt i Crowley zrobili w tył zwrot i odeszli powolnym krokiem. Przez chwilę zwiadowca chciał oddalić się od podwyższenia tyłem, lecz potem poszedł za przykładem Halta i zgrabnie odwrócił się plecami do wysokiej, odzianej w czerń postaci na tronie. Gdy odchodzili, Morgarath porzucił udawane zainteresowanie sztyletem i popatrzył za nimi, nie mrugając powiekami. Ten zwiadowca jest przewidywalny, pomyślał, jeden z ostatnich przedstawicieli szybko ginącego gatunku. Nie był dlań szczególnie interesujący.

Przybysz z Hibernii to co innego. Śmiały, pomysłowy i trudny do zastraszenia. Otoczony wiecznie przytakującymi lizusami Morgarath potrzebował kilku poruczników o silnej woli. Być może warto było mieć tego cudzoziemca po swojej stronie.

Crowley i Halt zostali w Zamku Gorlan na noc. Zjedli w głównej sali ze starszymi rangą pracownikami zamku i rycerzami ze Szkoły Rycerskiej. Miejscowi na ogół nie zwracali na nich uwagi. Morgarath postanowił spożyć wieczerzę w swoich komnatach i nie pojawił się.

Przydzielono im pokoje gościnne w jednej z wież. Pomieszczenia były duże, przewiewne i wygodnie umeblowane. Po zdmuchnięciu świecy Halt leżał z otwartymi oczami i rozmyślał o wydarzeniach tego dnia. Długo po północy usłyszał ciche stukanie do drzwi.

Wyśliznął się z łóżka. Pas z dwoma nożami zostawił przewieszony przez wezglowie przy poduszce. Wyciągnął saksę i cichutko podszedł do drzwi. Otworzył je, ujrzał zamkowego sługę, który wzdrygnął się ze strachu, gdy blask świecy odbił się od broni w ręce Hibernijczyka.

- Lord Morgarath życzy sobie rozmowy - powiedział nerwowo sługa.

- Zaczekaj tutaj - polecił mu Halt. Szybko się ubrał, chwilę zastanawiał się, czy zostawić noże, aż w końcu wzruszył ramionami i przypiął ciężki skórzany pas, wkładając saksę z powrotem do pochwy.

Podążył za sługą po schodach na niższy poziom. Przeszli na inne schody, tym razem prowadzące do środkowej wieży, i mężczyzna znowu podążył na górę. Czterokrotnie pokonawszy różne schody, dotarli w końcu do prywatnych komnat Morgaratha. Sługa zastukał bojaźliwie w masywne drzwi. Usłyszeli stłumiony głos barona.

- Wejść.

Weszli. Baron siedział za potężnym biurkiem i przeglądał pliki pergaminów. W pomieszczeniu paliła się pojedyncza świeca. Cienie zalegały wokół ubranej na czarno postaci, gdy Halt stanął przed biurkiem. Morgarath zerknął na swojego sługę.

- Wyjdz - nakazał i mężczyzna oddalił się pospiesznie. Haltowi skojarzył się z karaluchem, pędzącym do kryjówki po tym, jak padło na niego światło. Usłyszał, jak drzwi zamykają się za służącym. Tymczasem baron nie odrywał spojrzenia od Halta. Ten odwzajemnił się tym samym.

Gospodarz ruchem ręki wskazał mu krzesło.

- Usiądź - rzekł krótko, a gdy Halt usłuchał, Morgarath nachylił się w przód i podparł łokciami, przesuwając świecę, by lepiej widzieć twarz Hibernijczyka.

- Interesujesz mnie - powiedział w końcu.

Halt wzruszył ramionami.

- Nie jestem zbyt ciekawą osobą, mój panie - stwierdził obojętnym tonem, lecz baron pokręcił głową.

- Owszem, jesteś. Masz swoje zdanie i nie boisz się go wyrażać. Cenię to. Jesteś pomysłowy i z tego co słyszałem, dobrze walczysz.

Halt nic nie powiedział. Milczenie zdawało się narastać. W końcu przerwał je Morgarath.

- Mógłbym znaleźć zastosowanie dla kogoś takiego, jak ty.

Nikły uśmiech pojawił się w kącikach ust Halta.

- Nie wiem, czy chciałbym być stosowany, mój panie.

Morgarath machnął ręką.

- Nie czepiajmy się słówek. Ujmę to inaczej. Chciałbym, byś dla mnie pracował. Dobrze płacę i jak widzisz, warunki w Zamku Gorlan są nadzwyczaj przyjemne. Wiele osób byłoby zaszczyconych, mogąc dla mnie pracować.

- Z żalem stwierdzam, mój panie, że raczej nie jestem godzien tego zaszczytu. - W głosie mówiącego nie było choćby cienia żalu.

- Przekonałem się, że ci, którzy nie są ze mną, z reguły są przeciwko mnie - powiedział Morgarath. Halt wychwycił kryjące się w tych słowach ostrzeżenie, ale pozostał niewzruszony. Zachował milczenie, wytrzymując bazyliżkowate spojrzenie barona bez śladu niepewności czy wahania.

Morgarath podjął ostatnią próbę.

- Wolę mieć w tobie sojusznika niż wroga - stwierdził.

Halt wstał gwałtownie, odpychając krzesło, i drewno zaszurało o drewno.

- To może nie zależeć od ciebie - oznajmił. Zanim rozwścieczony gospodarz zdążył odpowiedzieć, odwrócił się na pięcie i wyszedł z komnaty.

ROZDZIAŁ 5

Następnego ranka Crowley i Halt opuścili zamek. Halt nie wspomniał o nocnym spotkaniu z Morgarathem i przez kilka minut jechali w milczeniu. W końcu pierwszy odezwał się zwiadowca.

- Ciekawe, co im zrobi?

Halt zerknął na niego z ukosa.

- Kto komu co zrobi? - spytał, po raz kolejny nie zważając na prawidłową gramatykę.

- Morgarath. Zastanawiam się, jak ukarze tych trzech zbrojnych, których mu przyprowadziliśmy.

Halt z pogardą wyduł wargi.

- Wątpię, by zrobił im cokolwiek. Podejrzewam, że tak się panoszyli za jego pełną zgodą.

Crowley zmarszczył brwi na te słowa.

- Czemu miałby ich do tego zachęcać?

- To tyran. Tyrani lubią, gdy poddani żyją w strachu. To pomaga utrzymać ich w ryzach.

Zwiadowca ze smutkiem pokiwał głową.

- Pewnie masz rację. - Westchnął głęboko i Halt znowu na niego popatrzył.

- W czym rzecz? Zwykle taki wesoły z ciebie kompan.

Crowley uśmiechnął się lekko na tę charakterystykę w ustach ponurej postaci, jadącej obok niego.

- Rozmyślałem o okropnym stanie królestwa - stwierdził. - Ludzie tacy jak Morgarath źle traktują poddanych, Rada Królewska robi, co może, żeby podkopać pozycję króla, a Korpus Zwiadowców to tylko zbieranina próżnych, gnuśnych nierobów. Zastanawiam się, do czego to wszystko zmierza.

- Sam jesteś zwiadowcą i nie jesteś próżny - zauważył Halt. - Być może gnuśny, ma się rozumieć. Tu nie mogę mieć pewności. No i mówiłeś, że są inni, tacy jak ty. - Wyraźnie postanowił pomóc Crowleyowi pokonać posępny nastrój. Zwiadowca jednak z żalem pokręcił głową.

- Tylko garstka - stwierdził. - Najwyżej tuzin. I jesteśmy bardzo rozproszeni. Dowódca korpusu już o to dba. Pozbędą się nas po kolei, za pomocą sfingowanych zarzutów i oskarżeń,

tak jak zrobili z Pritchardem i innymi.

- Dlaczego temu nie przeciwdziałacie? - spytał Halt. - Zbierz pozostałych razem i walczcie. Z tego, co mówisz o obecnych dowódcach, nie powinni stawiać zbyt dużego oporu.

- Zapewne Morgarath liczy, że to właśnie zrobimy - powiedział Crowley. - Chciałby zobaczyć całkowite zniszczenie ostatnich resztek Korpusu Zwiadowców. Gdybyśmy się zbuntowali przeciwko dowództwu, to formalnie rzecz biorąc, zbuntowalibyśmy się przeciwko królowi.

- To jest problem - przyznał z namysłem Halt. - Zbierzecie się razem, to oskarżą was o zdradę, pozostaniecie oddzielnie, to po kolei was wyłuskają.

- No, w każdym razie to nie twój problem. Wiesz już, co chciałbyś robić?

Hibernijczyk wzruszył ramionami.

- Jak mówiłem, miałem mglisty pomysł, by dołączyć do zwiadowców. Ale teraz nie wygląda mi to na dobry wybór. Pewnie pojedę na południowy wschód i przez granicę do Gallii.

- No to możemy jechać razem jeszcze przez jakiś czas. Ta droga wiedzie do traktu na południe. Wesole towarzystwo będzie mile widziane.

- Pierwszy raz ktoś mówi o mnie takie słowa - odparł Halt.

Jakieś czterdzieści minut później dotarli do rozstaju dróg. Trakt na południe odchodził na lewo, wiodąc przez pofałdowane tereny wiejskie. Droga północna, którą miał pojechać Crowley, kilometr dalej wchodziła w rozległą puszcę. Mężczyźni uścisnęli sobie ręce.

- Dziękuję za pomoc - powiedział Crowley.

- I moje wesole towarzystwo - dodał Halt z poważną miną.

Zwiadowca uśmiechnął się.

- Tak. Za to też. Mam nadzieję, że dobrze ci się powiedzie.

- I tobie tego życzę - odrzekł Halt i Crowley wzruszył ramionami z udawaną pogodą ducha.

- O, wszystko będzie dobrze. Na pewno.

Zapadła niezręczna cisza. Obydwaj polubili swoje towarzystwo i każdy wyczuwał w tym drugim bratnią duszę. Nie mieli jednak za sobą długiej przyjaźni, która ułatwiłaby pożegnanie. W końcu Halt przerwał milczenie i zwrócił konia na południe.

- No to... chyba do zobaczenia - powiedział, a Crowley pokiwał głową, podnosząc rękę w pożegnalnym geście.

- Do zobaczenia.

Zaczęli się od siebie oddalać i Halt zastanawiał się, jak niedorzecznie brzmiały ich ostatnie słowa. Już się nie zobaczymy, pomyślał. Czemu udajemy, że będzie inaczej?

Trakt wiódł w dół długiej pochyłości, a potem w górę zbocza po drugiej stronie. Na grzbiecie Halt zatrzymał się i obrócił w siodle, wzrokiem szukając Crowleya. Zwiadowca zniknął już jednak w gęstym lesie. Halt wydał wargi. Odniósł niejasne przeświadczenie, że powinien był zaproponować mu pomoc. Miał wrażenie, że sprawił zwiadowcy zawód. Nie miał pewności, co konkretnie mógłby zrobić, ale niepokój pozostał.

Już chciał pognać konia naprzód, gdy przypomniał sobie o swoim imadełku. Pożyczył je towarzyszowi pierwszego wieczoru, gdy razem obozowali, i teraz sobie uświadomił, że zwiadowca go nie oddał. Halt dałby sobie radę bez narzędzia, lecz wtedy proces zakładania lotek na strzałę byłby znacznie bardziej czasochłonny. Cmoknął językiem i zawrócił wierzchowca, po czym galopem ruszył za Crowleyem.

Siwek miał lekki, długi krok i w krótkim czasie pokonał odległość, która dzieliła ich od puszczy. Wjechali w chłodny cień. Gałęzie drzew zwisały z obu stron nad drogą, która przypominała przez to ciemny, zielony tunel. Kilkaset metrów dalej skręcała ostro w prawo. Nigdzie ani śladu zwiadowcy. Widocznie przebył większy dystans, niż się Halt spodziewał. Ubódł konia obcasami, by zwiększyć tempo. Tętent kopyt tłumiała miękka nawierzchnia leśnego traktu. Wiecznie osłonięta baldachimem listowia droga nigdy nie wysychała ani nie twardniała. W dodatku przez lata nagromadziła się na niej gruba warstwa liści.

Zbliżywszy się do zakrętu, Halt posłyszał cichy dźwięk - zgrzytliwy szcęk stali o stal. Poczul w brzuchu ukłucie niepokoju. Zsunął łuk z ramienia i odchylił płaszcz, by mieć swobodny dostęp do kołczana.

Tylne kopyta konia poślizgnęły się lekko na wilgotnym podłożu, gdy droga skręciła w prawo.

Sześćdziesiąt metrów dalej stał Crowley, oparty plecami o pień dużego dębu i otoczony przez grupę uzbrojonych mężczyzn. Przyglądając się tej scenie, Halt naliczył czterech napastników, piąty zaś znajdował się kilka metrów dalej i nie brał udziału w walce, tylko klęczał, zgięty w pół, i trzymał się za bok.

Bez żadnej świadomej myśli ręka Halta powędrowała do kołczana i w mgnieniu oka dwie strzały przecinały już powietrze. O jego obecności napastnicy dowiedzieli się dopiero wtedy, gdy dwaj z nich wrzasnęli z bólu, bo strzały o czarnych drzewcach przebiły ich kolczugi, jakby uszyto je z lnu. Po pierwszym okrzyku jeden padł i leżał w ciszy. Drugi dalej jęczał w męczarniach, odpełzając z miejsca potyczki.

Pozostali odwrócili się, by zobaczyć, co się stało ich towarzyszom. Popelnili fatalny

błąd. Crowley wykonał szybki ruch i saksa wbiła się głęboko w ciało jednego z nich. Drugi poleciał w tył, gdy koń Halta staranował go bokiem. Mężczyzna runął na ziemię, przez chwilę sunął po mokrych liściach, a w końcu znieruchomiał.

Halt ściągnął wodze i zeskoczył z siodła, po czym rzucił łuk i wyciągnął sakse. Na czole Crowleya widniała smuga krwi.

- Nic ci nie jest? - spytał Halt.

Zwiadowca bez tchu pokiwał głową.

- Dzięki tobie nic - odparł. Zerknął w dół na tego, którego właśnie poczęstował mieczem. Leżał jak długi na plecach, z szeroko otwartymi oczami, jakby patrzył w niebo. - Poznajesz go?

Halt opuścił głowę. Na płaszczu trupa zobaczył znajomy symbol miecza z błyskawicą, a potem bliżej przyjrzał się jego twarzy. Był to przysadzisty wojak, którego postrzelił w nogę w gospodzie. Szybko potoczył wzrokiem po pozostałych. Przygięty mężczyzna na kolanach, krzyczący z bólu, także był w gospodzie, podobnie jak pierwszy z napastników, których zastrzelił.

- Morgarath dziwnie pojmuje karę - stwierdził.

Crowley posłał mu zmęczony uśmiech.

- No nie wiem. Na dłuższą metę nie przyniosło im to niczego dobrego. Jak myślisz, co powinniśmy zrobić z tymi? - Wskazał trzech ocalałych rannych.

- Zostawić - odrzekł krótko Halt. - Nie ma sensu wracać z powrotem do Morgaratha. Bez wątpienia wysłał ich za tobą. Pięciu - dodał. - Uznał, że tym razem trzej nie wystarczą.

- Pewnie myślał, że dalej będziesz ze mną - uznał zwiadowca i Hibernijczyk w zamyśleniu pokiwał głową.

- Zdajesz sobie sprawę, że teraz Morgarath nie może sobie pozwolić na zostawienie cię przy życiu, prawda? - spytał. - Pewnie spreparuje jakieś zarzuty przeciwko tobie, powie, że jesteś winien śmierci dwóch jego wiernych żołnierzy.

- Przyszło mi to głowy.

- Jedź więc ze mną. Pojedziemy do Gallii. Tam zawsze znajdzie się praca dla dobrych wojowników. A widzę, że wojownik z ciebie znakomity. - Halt wskazał porozrzucane na trawie ciała. Lecz Crowley już kręcił głową, zanim jeszcze Halt skończył mówić.

- Myślałem o tym, co powiedziałaś, o zorganizowaniu pozostałych zwiadowców i walce. Postanowiłem, że tak właśnie zrobię.

- Nie martwisz się, że ogłoszą cię zdrajcą? - spytał Halt.

- Jadę na północny wschód, znaleźć księcia Duncana. Jeśli jako następcę tronu da mi

królewski nakaz zebrania zwiadowców i zreformowania korpusu, nie będą mnie mogli oskarżyć o zdradę. A ksiązę może uznać, że warto mieć w swojej służbie tuzin świetnie wyszkolonych ludzi.

Halt przez kilka chwil rozmyślał nad słowami Crowleya, a w końcu skinął głową.

- To chyba najlepsze, co możesz zrobić - stwierdził. - I podoba mi się pomysł, że zreformujesz Korpus Zwiadowców. Zauważ, że tuzin ludzi to niewiele.

- Tuzin zwiadowców - poprawił Crowley. - Może i niewiele, ale to początek. - Przerwał, a potem dodał: - Będzie nas trzynastu, jeśli postanowisz do nas dołączyć. Na pewno ksiązę Duncan da się przekonać i przyjmie cię do korpusu.

Halt pokręcił głową, a jego ciemne brwi zbiegły się, gdy zmarszczył czoło.

- Nie mam wielkiego zaufania do ksiąząt - odrzekł.

- Temu możesz ufać. To dobry człowiek - przekonywał go Crowley.

Hibernijczyk jednak wciąż miał opory.

- Wszyscy są dobrzy, dopóki nie posmakują władzy.

- Nie on. Duncanowi można ufać, wierz mi. - Wymienili przeciągłe spojrzenie.

- Tak mówisz? - spytał Halt.

Zwiadowca dobitnie pokiwał głową.

- Tak. Właśnie tak. Wierzysz mi?

Teraz Halt zajrzał głęboko w orzechowe oczy Crowleya i nie zobaczył w nich nic prócz szczerości i oddania, ani śladu fałszu czy podstęp. Przypomniawszy sobie wcześniejszą chwilę niepokoju, gdy poczuł, że w jakiś sposób sprawia mu zawód tym, że odjeżdża. Jasnowłosy zwiadowca wyczuł wahanie swego rozmówcy.

- Wszystkie nasze służby pomocnicze ciągle istnieją. Treserzy i hodowcy koni, zbrojmistrze - wyjaśniał dalej. - Czekają tylko na szansę, by wznowić działalność. Za kilka lat możemy stworzyć siłę, z którą trzeba się będzie liczyć. Z chęcią pomogę ci dokończyć szkolenie, chociaż niewiele rzeczy zostało ci jeszcze do nauki. Już teraz strzelasz znacznie lepiej ode mnie.

Halt ciągle nic nie mówił, a na twarzy zwiadowcy pojawił się figlarny uśmiech, gdy zagrał swój ostatni atut.

- I nie chciałbyś mieć okazji, żeby urwać Morgarathowi ten kościsty nos? - spytał.

Wbrew sobie Halt też się uśmiechnął. Co prawda, był to słaby uśmiech, ale jednak uśmiech. U tego mężczyzny stanowił odpowiednik dzikiego wybuchu radości.

- Oto naprawdę atrakcyjna propozycja - stwierdził i tym razem Crowley parsknął śmiechem.

- Czyli do nas dołączysz?
- Mówisz, że ten Duncan jest godny zaufania?
- Tak.
- I jest przywódcą, z którego można być dumnym?
- Bez dwóch zdań. Masz na to moje słowo.

Nastąpiła dłuższa przerwa. Crowley czuł, że powiedział już dosyć, i czekał, aż Halt podejmie decyzję. W końcu Hibernijczyk powoli pokiwał głową.

- W takim razie... czemu nie? Tak naprawdę nigdy nie przepadałem za Gallią.

Wyciągnął rękę, a Crowley ją przyjął. Każdy z nich zwrócił uwagę na krzepki, przyjazny uścisk drugiego.

I obaj czuli, że to początek długiej, pięknej przyjaźni.

- Witaj w korpusie - powiedział Crowley.

WILK

ROZDZIAŁ 1

Wilk był bardzo duży.

Wyrośnięty basior, który powinien dominować w stadzie. Lecz kilka miesięcy wcześniej jego prawa przednia łapa wpadła w potrzask, zastawiony przez myśliwych. Stalowe szczęki trzymały go zawzięcie, więc choć mocno się szamotał, nie mógł się uwolnić. A ponieważ wolność to dla wilka życie, wybrał jedyne możliwe rozwiązanie. Gryzł złapaną łapę tak długo, aż przeciął mięśnie i ścięgna, zostawiając w pułapce stopę i połowę kończyny. Potem, znacząc za sobą krwawy ślad, pokuśtykał niezdarnie w najgłębszą część lasu i znalazł bezpieczne miejsce pod dużym występem skalnym. Mógł tam zaczekać, aż wydobrzeje. Albo umrze.

Udręczony bólem, rozdygotany, nie wydał żadnego dźwięku. Instynkt podpowiedział mu, że skamlenie czy skowyt to odgłos zwierzęcia rannego i bezbronnego. Nie podjął też próby powrotu do watahy, do której należał, watahy, nad którą w ciągu kilku najbliższych miesięcy miał objąć przewodnictwo. Wiedział, że z taką raną zostanie przepędzony przez resztę stada. Wilki są zwykle towarzyskie i miłe wobec siebie, ale zasada przetrwania najsilniejszego jest surowa, a inwalida w stadzie to ciężar - nie mógł uczestniczyć w polowaniu, mógł za to narazić watahę na niebezpieczeństwo. Wiedział, że ze strony innych grozi mu wypędzenie, a nawet śmierć, gdyby spróbował się do nich zbliżyć.

Leżał więc cicho w swojej kryjówce, bez ustanku liżąc straszną ranę, aż w końcu krwawienie ustało, a on poczuł się lepiej, choć ból odjętej kończyny nigdy go nie opuścił. Zatracił jednak dawną prędkość i zwinność, więc pojawiło się kolejne zagrożenie: głód.

Nie mógł polować, jak wcześniej. Próbował gonić małą sarnę, gdy krew przestała lecieć. Boki miał już zapadnięte i pomimo gęstej sierści widać było żebra. Zwierzę uciekło jednak, zdawało się, że z pogardą, odskakując w bok, by uniknąć niezdarnego ataku, i wilk wyrócił się, próbując pościgu. Potem sarna odbiegła, a drapieźnik jeszcze przez kilka chwil widział między drzewami białe plamy na jej zadzie, nim wreszcie zniknęła mu z oczu.

Króliki, które kiedyś łowił z łatwością, też okazały się teraz zdobyczą ponad jego możliwości. Dawne myśliwskie nawyki już na nic mu się nie przydadzą. Zaczął czyhać w ukryciu przy wodopojach, całymi godzinami leżąc bez ruchu i czekając, aż jakieś zwierzę znajdzie się w zasięgu niezgrabnego skoku. Czasami mu się udawało. Częściej - nie. A gdy raz zaatakował w ten sposób, musiał porzucić kryjówkę i znaleźć następną. Został

wędrowcem, który przenosił się z jednego terytorium na drugie i na ogół musiał zaspokajać głód jakąś drobną i powolną zdobyczą.

Mięsa nigdy nie było dosyć i głód narastał, więc wilk złamał kardynalną zasadę, według której zawsze żył, i przeniósł się na obszar zamieszkały przez człowieka.

Tam odkrył nowy rodzaj ofiar. Domowa trzoda i drób, hodowane przez rolników, nie miały umiejętności przetrwania porównywalnych z dzikimi zwierzętami. Z łatwością zdobywał kaczki, kury i owce.

Odzyskawszy siły, przywykł w pewnym stopniu do braku łapy. Wciąż był niezdarny i powolny w porównaniu ze stanem sprzed wypadku, ale mógł bez trudu łapać nowo odkrytą, łatwą zdobyczą. Zaokrąglił się. Jego sierść znowu stała się gęsta i gruba. Nie wiedział jednak, że za tę nową formę polowania przyjdzie mu zapłacić.

W końcu natrafił na ofiarę, która z pewnością była najłatwiejsza ze wszystkich.

Małe dziecko o niezdarnych ruchach zobaczyło otwarte drzwi domu i wybiegło na niebezpieczny zewnętrzny świat. Chłopczyk siedział i rozglądał się niepewnie dookoła, gdy wilk go zobaczył. Wielki basior powoli kuśtykał przez podwórze z obnażonymi zębami. Malec zobaczył go i rozpoznał niebezpieczeństwo. W sytuacji, w której zwierzę, nawet tak głupie, jak kura, podjęłoby próbę ucieczki, ludzkie dziecko po prostu zaczęło płakać.

Dźwięk dotarł do drapieżnika. Był to dźwięk bezradności i podatności na atak. Podkraśl się bliżej z brzuchem tuż nad ziemią. W głębi jego gardła wzbierał niski warkot.

Ale inne uszy były wyczulone na dziecięcy płacz. Matka usłyszała swojego synka i wyszła do niego. Zobaczyła wilka, wielkiego, czarnego i groźnego, posuwającego się w kierunku swojej ofiary.

Wrzasnęła. Krzyk przeszył uszy drapieżnika, wywołując u niego wstrząs. Nigdy wcześniej nie słyszał czegoś takiego. Odgłos łączył wściekłość, strach i bunt złożony w jeden ton. Podniósł wzrok znad upatrzonej zdobyczy i zobaczył biegnącą w swoją stronę postać - postać, która poruszała się na dwóch nogach i wydawała się od niego znacznie większa. Zgodnie z wilczym umysłem, stworzenia dominujące biegły ku niemu. Ofiary uciekały. Teraz to nowe, nieznane zwierzę biegło w jego stronę, gotowe do ataku, i się zawahał.

Kobieta nie miała broni. Gdy jednak zauważyła otwarte drzwi i usłyszała płacz dziecka, właśnie wstawiała do pieca duży żelazny rondel. Wychodząc na podwórze, ciągle miała go w ręce i teraz odruchowo cisnęła nim w ciemny kształt, czyhający na jej synka.

Ciężkie naczynie zakręciło się w powietrzu, uderzyło wilka w lewe biodro i spadło z donośnym brzękiem na ubitą ziemię. Wilk krótko zawył z bólu, po czym odwrócił się i pobiegł, utykając, z powrotem do lasu, który przylegał do gospodarstwa.

Kobieta podniosła płaczącego chłopczyka, a jej mąż przybiegł z pola, które orał. Słyszał krzyk i obawiał się najgorszego. Poczuł ogromną ulgę, widząc żonę i dziecko całych i zdrowych. Podniosła głowę, gdy przeskoczył płot i podbiegł do nich, biorąc oboje w ramiona.

- Wilk - powiedziała. - Duży. Prawie dopadł Toma. - Zaszlochała spazmatycznie na myśl, co mogło się stać, i wtuliła twarz w jego pierś. Pokiwał głową z namysłem, trzymając ją i lekko poklepując, żeby ją pocieszyć. Od kilku dni coś porywało zwierzęta. Teraz już wiedział co. Z lisem czy kuną poradziłby sobie sam. Nawet z rysiem. Ale wilk to co innego. A skoro ten osobnik atakował ludzi, musiał być odszczepieńcem.

- Poślę po zwiadowcę - oznajmił.

Will generalnie lubił wilki. Były odważne i wierne swojemu stadu, zazwyczaj też nie przysparzały kłopotów ludziom. Ale jeśli ten wilk, zgodnie z domysłami rolnika, był odszczepieńcem, sprawę należało załatwić.

Will przebywał na jednym ze swoich regularnych patroli i przez czysty przypadek od gospodarstwa dzieliła go niecała godzina drogi. Rolnik znalazł go w pobliskiej wiosce i poprowadził z powrotem na miejsce ataku. Zwiadowca zbadał ślady na podwórzu. Były stosunkowo świeże i łatwo było za nimi podążać. Zmarszczył brwi, dostrzegłszy w nich nieregularność.

- Mówisz, że biegł niezdarnie? - zwrócił się do kobiety.

Wzruszyła ramionami.

- Byłam bardziej skupiona na Tomie, ale tak, zdawało mi się, że lekko kuleje.

Will podrapał się po podbródku i jeszcze raz popatrzył na tropy, od niechcenia obrysowując je patykiem.

- Co najmniej od dwudziestu lat nie widziano tu wilków - mówił tymczasem przejęty rolnik. - Zwykle trzymają się z daleka od ludzkich siedzib.

- Hmm, to może być przyczyna, dla której ten osobnik przyszedł - stwierdził zwiadowca, stukając patykiem w jeden ze śladów. - Wygląda na to, że jest okaleczony. - Jeszcze raz rzucił okiem na kobietę. - Co robił, kiedy go zobaczyłaś?

- Warczał - odparła, szerzej otwierając oczy na wspomnienie tamtej straszliwej chwili.

- Odchylił łeb i zawył. Miał odsłonięte zęby i pianę na pysku. Skoczył na Toma jak błyskawica...

Will przerwał jej podniesieniem ręki.

- Ale mówiłaś, że kulał?

Zawahala się, nieco zmieszana.

- No, może i tak... ale kulał szybko. Bardzo szybko. I wył, i warczał, i rył ziemię pazurami.

- Hmm. - Popatrzył na nią w zamyśleniu. Nie sądził, by świadomie go okłamywała, ale nie miał przekonania, że usłyszał wierną relację. Widział, że widok zagrożonego dziecka wzbudził w niej matczyzny instynkt obronny.

I ten instynkt zwielokrotnił potencjalne niebezpieczeństwo. Wilk mógł tarzać się na grzbiecie, merdać ogonem i prosić o pogłaskanie po brzuchu, a ona i tak zobaczyłaby, że warczy i się ślini.

Kobieta wyczuła jego wątpliwości.

- Mówię prawdę, zwiadowco.

Jej mąż stanął przy niej.

- Moja Agnes nie kłamie. Jest uczciwa - stwierdził zdecydowanie.

Will przytaknął ze skruchą.

- Jestem tego pewien. Przepraszam, jeśli cię obraziłem, pani Complepe - powiedział. - Nie miałem nic złego na myśli.

Pokiwała głową, wyraźnie uspokojona jego słowami. Prości wieśniacy nigdy nie spodziewali się przeprosin po dumnych osobistościach, takich jak zwiadowcy.

- Nic się nie stało - odparła z nieznacznym dygnięciem.

Zerknął na słońce, które obniżało się nad drzewa przy domostwie.

- Dziś już niewiele mogę zrobić. Znajdę miejsce na nocleg i jutro zacznę go tropić.

Z tymi słowami ruszył w kierunku Wyrwija.

Agnes Complepe z przerażeniem uniosła ręce do twarzy.

- Nocleg pod gołym niebem, kiedy ten wilk się tu kręci?

Will uśmiechnął się do niej.

- Na pewno będę bezpieczny. Mój dziki koń będzie mnie strzegł - odrzekł. Nawet jeśli jej opowieść była w połowie prawdziwa, istniała duża różnica między atakiem wilka na bezradne dziecko i na uzbrojonego zwiadowcę.

- Zapraszamy do nas, zwiadowco - odezwał się jej mąż. Wskazał niewielki dom i Will zawahał się. Przy trojgu dorosłych i dziecku będzie tam ciasno. Podejrzywał też, że państwo Complepe wprowadzą do środka niektóre ze swoich cenniejszych zwierząt. Zrobi się tłoczno i duszno, więc zdecydowanie wolał spędzić noc na dworze, w towarzystwie Wyrwija.

Agnes dostrzegła jego niechęć.

- Możemy przynajmniej dać ci coś do jedzenia - zaproponowała. - Na ogniu gotuje się gulasz jagnięcy. Mam też świeżo pieczony chleb.

- Moja Agnes to najlepsza kucharka w okręgu - wtrącił gospodarz.

Will uśmiechnął się od ucha do ucha i ta mina zupełnie odmieniła jego twarz.

- Tak, tę propozycję przyjmę z rozkoszą - odparł. - Nie mógłbym odmówić jagnięcego gulaszu od najlepszej kucharki w okręgu.

Wyrwij szarpnął łbem i potrząsnął grzywą.

Nigdy nie odmówiłeś jagnięcego gulaszu od nikogo.

ROZDZIAŁ 2

Will obudził się o brzasku. Zjadł pospieszne śniadanie, złożone z kawy i pieczonego nad ogniem chleba z dodatkiem dzikiego miodu do jednego i drugiego. Noc była pogodna, więc nie zawracał sobie głowy rozbijaniem namiotu. Zadowolił się śpiworem ze specjalnie przygotowanego płótna, który stanowił nowy element wyposażenia zwiadowców. Od zewnątrz wodoodporny, w środku miał cienki, lecz wygodny wełniany materac i koc. Stanowił znaczne ulepszenie w stosunku do rozwijanych na ziemi koców, a na wypadek deszczu miał dodatkowo nieprzemakalny kaptur.

Wyrwij przyglądał się z ciekawością swemu panu podczas zwijania biwaku.

Zatem chcesz dziś rano zapolować na tego wilka?

- Nie od razu - odparł Will, gdy przytracał śpiwór do siodła. - Najpierw chcę trochę popytać w innych gospodarstwach.

Zawsze istniała szansa, że atak na gospodarstwo Complepe'ów był odosobnionym przypadkiem. Gdy jednak odwiedził kilka innych gospodarstw w najbliższej okolicy, wiedział już, że tak nie jest.

Dwaj chłopcy donieśli o stratach w inwentarzu w ciągu ostatnich tygodni. Jednemu zdawało się, że widział dużego psa. Trzeci nic nie wspominał o znikających zwierzętach gospodarskich, ale jego domostwo leżało najdalej na wschód.

- Może wilk nie dotarł jeszcze tak daleko - powiedział Will do Wyrwija. Wierzchowiec potrząsnął grzywą. Zwiadowca pomyślał, że w końskim języku stanowi to odpowiednik wzruszenia ramion.

Wczesnym popołudniem wrócił do Complepe'ów i podjął wilczy trop.

Ślad był dość wyraźny przez pierwsze kilkaset metrów. Dalej jednak, gdy panika ustąpiła, wilk odzyskał spryt i powrócił do swoich naturalnych sposobów. Kilka razy wracał i wybierał twardy grunt, gdzie nie mógł zostawić wyraźnych odcisków łap. Will był jednak wytrawnym tropicielem, jak każdy zwiadowca, i szybko określił podstawowy kierunek, który obrał drapieżnik. Gdyby zatem zgubił trop, mógł poruszać się dalej w tę samą stronę, aż znowu napotka wilczy ślad.

- Szkoda, że muszę to robić - mruknął, dziesiąty raz zsuwając się z siodła, by zbadać ziemię przed sobą. Niedawno natrafił na miejsce, w którym basior zboczył z drogi na kamienisty grunt po prawej. Will jechał dalej w pierwotnym kierunku, tylko nieznacznie

skręcając w prawo. Halt zrugwałby go za to, że wybrał taki skrót i zaufał szczęściu, wierząc, że znowu natrafi na trop. Zwykle w podobnych sytuacjach należało zataczać coraz szerszy krąg, aż tropiciel znowu ujrzy ślady. Will był już jednak w miarę pewien, dokąd zmierzało zwierzę, i uznał, że może spróbować.

- Pewnie ma gdzieś tam swoje legowisko - zwrócił się do Wyrwij a.

Koń nie zareagował. Wiedział, że jada na skróty, i chciał, by zwiadowca wiedział, że on wie.

- Jesteś nie lepszy od Halta - stwierdził Will, a potem wydał z siebie cichy okrzyk triumfu, gdy dostrzegł odcisk łapy w miękkim piasku tuż przed nimi. A potem drugi. - Mówiłem - rzucił. Wyrwij dalej milczał. Kilka metrów dalej kępka czarnej sierści przyczepiła się do ciemnego pnącza i zwiadowca wiedział, że znowu podąża właściwym tropem.

Wilk rzeczywiście miał legowisko w okolicy. Ulokował się na niewielkim, skalistym wzniesieniu, z którego rozciągał się widok na okoliczny teren. Ze zbocza sterczała mała skalna półka, pod którą znajdowała się osłonięta wnęka, obrona przez wilka na bazę. Wrócił tam poprzedniego dnia i spędził noc. Potem, rankiem, z burczącym brzuchem wyruszył znowu, by poszukać czegoś do jedzenia. Nie minęło wiele czasu, nim zdał sobie sprawę z obecności obcej istoty w pobliżu, a właściwie dwóch obcych istot. Wyczuł, że stanowią dla niego zagrożenie, i instynkt powiedział mu, że nie może im pozwolić na odnalezienie swojego domu. Poruszając się ostrożnie pomimo swojego kalectwa, zatoczył łuk i znalazł się za intruzami. Zauważył kierunek ich wędrówki i stwierdził, że faktycznie kierują się ku jego legowisku. Wrócił po swoich śladach. Przed nim znajdowała się gęstwina, w której mógł się schować. Położy się, zaczeka na intruzów.

Przywarł brzuchem do ziemi i podczołgał się przez gęstwinę, aż zobaczył ścieżkę, którą nadejdą te dwie istoty. Zbliżały się od nawietrznej i wkrótce poczuł ich zapach. Była to woń, którą odkrył dopiero niedawno, woń ludzi. Zadowolony, że go nie wyczują, leżał bez ruchu, nie mrugając nawet bursztynowymi oczami, gdy znalazły się w polu jego widzenia.

Jego ślepia na chwilę się zwężyły. Czuł dwa obce zapachy, ale widział tylko jednego intruza. Był duży i miał cztery nogi. Wcześniej z oddali zauważył towarzyszące mu mniejsze stworzenie. Teraz jego nozdrza wyczuwały drugą istotę, tyle że nigdzie nie mógł jej wypatrzyć. Czworonożne zwierzę zatrzymało się i wilk mruknął cicho z zaskoczenia, gdy zrozumiał, że mniejsza istota jechała na grzbiecie większej. Na jego oczach odłączyła się, zeskoczyła na ziemię i zrobiła kilka kroków naprzód, z opuszczoną głową obserwując ziemię. Większe zwierzę podążało jej śladem, trzymając się nieco z tyłu.

Drapieżnik uznał, że to właśnie mniejsze zwierzę stanowi poważniejsze zagrożenie. Przywarł jeszcze bliżej do ziemi, skryty wśród krzewów i cieni pod nimi, gdy oba stworzenia zbliżyły się do jego kryjówki.

Mniejszy wydawał teraz dźwięki. Dziwny pomysł, gdy podążasz za niebezpiecznym wrogiem, stwierdził wilk. A bez wątplenia to on był ich wrogiem - i bez wątplenia niebezpiecznym.

- To znowu on, Wyrwiju - powiedział Will, obrysowując kontur odcisku łapy na ziemi.
- Nadal zmierza na północny zachód.

Koń wydał niski pomruk. Uniósł łeb i wciągnął powietrze w nozdrza, próbując rozpoznać jakiś obcy zapach, który wyjaśniłby ogarniające go poczucie zagrożenia. Nie podobała mu się ta sytuacja. Nie podobało mu się, że Will idzie piechotą, gdy mogło im grozić niebezpieczeństwo. Coś takiego nigdy mu się nie podobało. Wolał, kiedy jego pan siedział w siodle, a jego własna prędkość i zwinność mogła ich ochronić w wypadku nagłego ataku.

- Bojący dudek z ciebie - powiedział mu Will. Usłyszał wydany przez Wyrwija odgłos i dokładnie wiedział, co wierzchowiec myśli. - Uspokój się. Nic mi nie grozi. Ten ślad ma już pół dnia. Wilka nie ma w pobliżu.

Trop rzeczywiście był stary. Ale zwiadowca nie mógł wiedzieć, że basior w międzyczasie opuścił legowisko, odkrył, że się zbliżają, i teraz chciał bronić swojego terytorium.

Napięte mięśnie drapieżnika drżały lekko z niecierpliwości, lecz po chwili się uspokoił i znowu leżał nieruchomo, nie mrugając oczami utkwionymi w dwóch przybyszach. Mniejszy znalazł się już niemal na jego wysokości. Wilk wiedział, że jeśli go zaatakuje, ten większy będzie mógł rzucić mu się na pomoc. Dlatego lepiej najpierw zająć się właśnie tym większym.

Drobniejsze zwierzę minęło jego kryjówkę, a jego rosty, długonogi towarzysz też ruszył naprzód, aż niemal zrównał się z miejscem, gdzie wilk leżał w ukryciu. Basior poczuł, że przez jego ciało kolejny raz przebiega dreszcz niecierpliwości.

Wyrwij podniósł nagle wzrok. Coś usłyszał. Albo wyczuł. Nie miał pewności. Ale coś kryło się w pobliżu. Coś złego. Znowu wydał z siebie ostrzegawczy pomruk.

Will obejrzał się i wyszczerzył w uśmiechu.

- Co znowu? - spytał. - To nie może być nasz przyjaciel wilk. Wyraźnie podąża w tamtą stronę. - Wskazał kierunek, w którym wcześniej szedł wilk, i ruszył naprzód.

Z nastawionymi uszami i zmysłami krzyczącymi ostrzegawczo, Wyrwij nerwowo

podreptał za swoim panem.

Z pobliskiego niskiego krzewu wyfrunęła sójka z nagłym trzepotem skrzydeł. Zarówno Will, jak i Wyrwij wzdrgnęli się ze strachu. Potem zwiadowca roześmiał się do starego kompana.

- Zadowolony? To tylko wielka, zła sójka - powiedział.

Koń ze złością potrząsnął grzywą. Miał pewność, że tam coś było...

Wilk zaatakował. Wyrwij wyczuł nagły, gwałtowny ruch w gęstwinie za sobą. Momentalnie obrócił się w kierunku zagrożenia. Lecz basior, wyrwawszy się z krzaków, skakał mu już do gardła z obnażonymi kłami. Rozumiejąc niebezpieczeństwo, Wyrwij niezdarnie zmienił kierunek swojego obrotu, by oddalić się od tych śmiercionośnych zębów.

Okaleczony drapieżca uderzył go w bok i koń zatoczył się, a potem poczuł, że kły rozdierają mu bark, głęboko ryjąc mięśnie. Struga gorącej krwi trysnęła na przednią nogę. Wilk przywarł do niego, zębami wdzierając się coraz głębiej w mięso i wściekle potrząsając łbem.

Wyrwij zarżał. Gdy jego przednie kopyta opadły na ziemię, próbował tylnymi kopnąć napastnika. Ale zraniona prawa przednia noga, z poszarpanymi mięśniami i ścięgnami, ugięła się pod nim. Przechylił się w bok, potykając się, bo poszarpana noga nie chciała utrzymać jego ciężaru. Wreszcie wilk wypuścił go ze straszliwego uścisku. Spadł na ziemię i potoczył się, a potem przycupnął pod brzuchem Wyrwija, z warkotem obnażając zęby przed kolejnym atakiem.

Strzała Willa wbiła się w bok drapieżnika z całą siłą osiemdziesięciofuntowego naciągu łuku zwiadowcy, wystrzelona z odległości niecałych czterech metrów. Przeszyła wilcze ciało, rozdierając po drodze wewnętrzne organy, naczynia krwionośne, a także serce, i uśmierciła bestię na miejscu; padła na ziemię z oczami zaszłymi mgłą i dziewięcioma centymetrami strzały, wystającymi z boku.

- Wyrwij! - Okrzyk Willa był niemal dzikim wrzaskiem. Na początku zwiadowca myślał, że wierzchowiec umknął przed atakiem. Teraz jednak widział ranę, lśniąca biel odsłoniętej kości i ścięgna oraz jasnoczerwoną krew spływającą po prawej przedniej nodze konia. Odrzucił łuk i przyskoczył do swojego wierzchowca, a łzy, które wezbrały w jego oczach, pociekły mu po policzkach.

Zarzucił prawą rękę na szyję zwierzęcia i niezdarnie wyciągnął lewą, by dotknąć straszliwej rany.

Wyrwij balansował na trzech nogach, by nie podpierać się zranioną kończyną. Zarżał z zaskoczenia, gdy pierwszy wstrząs minął i poczuł pulsujący ból.

- O Boże, Wyrwiju! O Boże! - Will poczuł się bezradny na widok rannego konia. Przez wszystkie spędzone razem lata nigdy nie widział Wyrwija w tak złym stanie. Teraz, przed tą straszną, pulsującą czerwienią raną, jego umysł zamarł, nie chcąc się pogodzić z tym, co się stało, nie chcąc myśleć o tym, co teraz trzeba zrobić.

Potem szkolenie wzięło górę. W sakwie przy siodle miał apteczkę. Puścił szyję konia, kilka razy lekko go poklepał, a potem sięgnął po sakwę.

- Spokojnie, koniku. Spokojnie. Nie denerwuj się. Wszystko będzie dobrze.

Otworzył apteczkę i przyglądał jej się przez chwilę. Potrzebował bandaża do zatamowania krwi, a także dłuższego bandaża uciskowego do jego zamocowania. Znalazł obie te rzeczy i położył je na podorędziu. Zanim jednak założy opatrunek, musi oczyścić ranę. Sięgnął po kawałek gazy i słoiczek cuchnącej maści, która nie tylko zdezynfekuje ranę, ale też złagodzi ból. Nie lubił posługiwać się tym mazidłem, gdyż było pochodną cieplaka i jego zapach przypominał mu pewien nieprzyjemny epizod sprzed lat. Wiedział jednak, że jest bardzo skuteczny na wszelkie rany. Wziął też swoją manierkę z łęku siodła i otworzył ją, po czym obficie polał ranę wodą. Krew płynęła dalej, a jej barwa, po rozcieńczeniu, stała się najpierw różowa, a potem znów przybrała odcień głębokiej czerwieni. Dotknął obrażenia kawałkiem lnu, starając się o jak największą delikatność, choć wiedział, że nie obejdzie się bez odrobiny stanowczości. Wyrwij wzdrygnął się, lecz potem stał już nieruchomo.

- Dobry konik. Właśnie tak. Nic ci nie będzie - mruczał zwiadowca. Jego oczy zwęziły się. Usunąwszy na chwilę nadmiar krwi, zobaczył, jak głęboko wilcze zęby poszarpały ciało konia. Zrozumiał, że to nie jest powierzchowna rana. Może mógł udzielić wierzchowcowi pierwszej pomocy, lecz wiedział, że ten będzie potrzebował opieki, która przekraczała jego skromne możliwości.

Odepchnął ponure myśli, po czym potraktował ranę sporą ilością uśmierzającego ból mazidła. Wyrwij znowu lekko zadrzał, ale się nie skarżył. Will miał nadzieję, że przeciwbólowe właściwości cieplaka szybko zadziałają. Teraz przyłożył w to miejsce duży opatrunek i przytknął doń koniec zrolowanego lnianego bandaża. Przerzucił rolkę nad kłębem konika, pochylił się pod niego, by ją podnieść, i owinał bandażem całe końskie ciało. Następnie kilka razy powtórzył tę operację, aż w końcu len mocno utrzymywał opatrunek we właściwym miejscu. Na jego oczach bandaż powoli czerwieniał, nasiąkając krwią. Potem jednak zawarty w maści koagulant zaczął działać i krwotok zelżał.

Will cofnął się i otaksował wzrokiem efekty swojej pracy. Po chwili do oczu znowu napłynęły mu łzy i ruszył naprzód, obejmując konia, ostrożnie omijając okolice rany. Oparł głowę na szorstkiej, zmierzwionej sierści.

- O Boże, Wyrwiju, proszę, wyzdrowiej.

Wierzchowiec poruszył się niezdarnie. Ból w prawym barku znacznie się zmniejszył po nałożeniu mazidła. Gdy jednak próbował podeprzeć się prawą przednią nogą, ta się pod nim ugiwała.

- Muszę cię zabrać do najbliższego gospodarstwa - powiedział Will, myśląc gorączkowo. To będzie długi marsz, zwłaszcza z kulejącym koniem, ale zwiadowca zdał już sobie sprawę, że musi zwrócić się o fachową pomoc, a nie mógł zostawić Wyrwija w lesie samego w takim stanie. Złapał go za uzdę i zaczął powoli prowadzić w kierunku gospodarstwa, które wcześniej odwiedził. Znajdowało się najbliżej i pamiętał, że była tam duża stodoła, w której Wyrwij będzie mógł odpocząć, podczas gdy on wyruszy po pomoc. Może przy odrobinie szczęścia gospodarz będzie miał konia, którego zechce mu pożyczyć.

Ta myśl go zasmuciła. Przez lata wiele razy jeździł konno po pomoc. Zawsze jednak dosiadał wtedy Wyrwija. Teraz musiał go zostawić i pojechać na obcym koniu, by Wyrwij mógł otrzymać opiekę, której potrzebował. Jego strach tylko się nasilił, podczas gdy konik dzielnie kuśtykał za nim.

ROZDZIAŁ 3

Nie jest dobrze, młody Willu, słowo daję.

Stary Bob wstał z miejsca, w którym kucał przy Wyrwiju, badając głęboką ranę. Sprowadzenie starego hodowcy koni zajęło zwiadowcy półtora dnia. Miał złamane serce, gdy odjeżdżał na pożyczonym koniu, zostawiając swojego wierzchowca pod opieką chłopca.

Poczuł ogromną ulgę, kiedy wrócili i po otwarciu drzwi stodoły zobaczył Wyrwija z postawionymi uszami, rżącego na powitanie. Może wszystko będzie dobrze, pomyślał. W końcu stary Bob cieszył się opinią istnego czarodzieja, gdy chodziło o konie.

Teraz jednak Bob z powątpiewaniem kręcił głową. Will opadł na duchu. Poczuł w gardle grudę.

- On chyba nie... nie... - Nie potrafił się zmusić, by dokończyć pytanie.

Hodowca popatrzył na niego i pokręcił głową, zrozumiałwszy, o co zwiadowca chciał zapytać.

- Umrze? Nie. Maść spełniła swoje zadanie i nie dopuściła do zakażenia. Dobrze się spisałeś. Pytanie brzmi, czy w pełni dojdzie do siebie. Ten mięsień jest poważnie uszkodzony, a Wyrwij nie jest już młodym koniem.

- Ale... co ja zrobię, jeśli on nie... - Znowu była to myśl, której nie potrafił dokończyć.

Stary Bob poklepał go lekko po ramieniu. Dobrze wiedział o więzi, tworzącej się między zwiadowcą a jego wierzchowcem. Przypomniał mu się pierwszy dzień, w którym Will i Wyrwij się spotkali, i niemal od razu nawiązała się między nimi nie porozumienia.

- Nie przejmujemy się tym, dopóki nie musimy - poradził. - Naprawdę trudno mi tu coś stwierdzić. Musimy zabrać go do mojej stajni, gdzie będę mógł wszystkiego dopatrzeć. Pomóż mi wprowadzić go na wóz.

Bob miał specjalnie zaprojektowany wóz do przewozu rannych koni, o wysokich burtach i z rampą z tyłu. Will wprowadził Wyrwija na ową rampę, idąc powoli, gdy zwierzę kuśtykało na jednej zdrowej przedniej nodze po pochyłych deskach. Kiedy konik znalazł się już w wozie, przeciągnęli mu pod brzuchem płócienny pas. Pas został następnie zamocowany do wysokich burt pojazdu i napięty, by podtrzymywał wierzchowca, odcinając jego nogi.

Zajawszy miejsce na koźle obok Boba, Will poczuł znajome szturchnięcie w ramię, gdzie czule ubódł go Wyrwij. Sięgnął w tył i pogładził koński pysk, a Bob cmoknął językiem na krzepkiego konia pociągowego i wóz z szarpnięciem ruszył naprzód.

- Jak długo ty i Wyrwij pracujecie razem? - spytał hodowca.

Will zastanawiał się przez chwilę.

- Na pewno ponad dziesięć lat - powiedział, uśmiechając się do siebie i wracając myślami do ich wspólnych przeżyć. Tyle razem widzieliśmy, pomyślał, od gór Piety po rozpaloną arydyjską pustynię.

- Hmmmm - mruknął zamyślony Bob i zwiadowca popatrzył na niego z lekkim niepokojem.

- Co? - spytał. - O co chodzi?

Lecz Bob pokręcił głową, chwilowo nie chcąc zagłębiać się w temat.

- O nic - odparł. - Tak sobie tylko myślę.

Will czuł jednak, że pozostała jakaś nieporuszona kwestia, i nie był pewien, czy ta kwestia mu się spodoba.

Po powrocie do gospodarstwa Boba ostrożnie pomogli Wyrwijowi zejść z wozu i wprowadzili go do ciepłej, suchej stajni. Tam hodowca delikatnie zdjął bandaż, pomrukując przy tym przepraszająco i uważając, by nie zadać konikowi żadnego niepotrzebnego bólu.

Will przyglądał się, dręczony niepewnością. Nie mógł nic zrobić, żeby pomóc Bobowi ani w żaden sposób ulżyć wierzchowcowi. Zmusił się do milczenia, choć korciło go, by co i rusz pytać o coś starego, pomarszczonego hodowcę i wygłaszać przeróżne komentarze. Teraz, gdy krwawienie ustało, wyraźnie widział, jak głęboko wilcze kły poszarpały ciało Wyrwija. Spory oderwany płat mięsa luźno zwisał z rany. Bob zacisnął wargi, gdy się temu przyglądał.

- Trzeba zaszyć - stwierdził. - Ale najpierw muszę oczyścić ranę. Nie chcę, żeby wdało się jakieś zakażenie.

Zabrał się za nakładanie na odsłonięte mięso rozmaitych maści, bardzo delikatnie poruszając palcami i cały czas przemawiając do konia. Co jakiś czas Wyrwij wzdrygał się i wtedy Will natychmiast przerywał wykonywaną czynność i zaczynał uspokajająco gładzić konika po chrapach i szyi. Stary Bob obejrzał się i zobaczył ściągniętą twarz zwiadowcy.

- Chwilowo nie masz tu nic do roboty, młody Willu - powiedział. - Może pójdziesz do mojej chaty i przygotujesz nam jakąś kolację? Za kwadrans skończę i wtedy będziesz mógł przyjść i zobaczyć Wyrwija.

- Wolę zostać - odparł krótko zwiadowca, a Bob z uśmiechem skinął głową.

- Wiem. Ale, z całym szacunkiem, rozpraszasz mnie. Za każdym razem, gdy wydam jakiś dźwięk albo Wyrwij się ruszy, podchodzisz o krok, a potem się zatrzymujesz. Pozwól mi wykonywać moją pracę i zrób coś pożytecznego, szykując kolację. Dobrze?

Will zawahał się. Bardzo nie chciał zostawiać wierzchowca, lecz myśl, że przeszkadza Bobowi, który przez niego mógłby popełnić jakiś błąd, przesądziła sprawę. Pokiwał głową i odwrócił się, a potem jeszcze raz podszedł do Wyrwija i poklepał go po pysku.

- Nie będę daleko - powiedział.

Koń parsknął. Normalną jego reakcją byłoby gwałtowne potrząśnięcie łbem i grzywą. Ale taki ruch spowodowałby ból w rannej nodze.

Wiem. A teraz pozwól Bobowi robić swoje... bojący dudku. Tego określenia Will nieraz używał w odniesieniu do Wyrwija. Młody zwiadowca uśmiechnął się, słysząc je skierowane do siebie.

- Wrócę - rzucił i wyszedł ze stajni.

Gdy dotarł do wielkich, dwuskrzydłowych drzwi, usłyszał cichy głos Boba.

- Myślałem, że już nigdy nie pójdzie.

Wyrwij odpowiedział kolejnym parsknięciem.

ROZDZIAŁ 4

Nazajutrz wczesnym rankiem hodowca zastał Willa w stajni, gdzie ten spał na sianie obok swojego konia. Stary treser pokiwał głową. Słyszał, jak zwiadowca wstał w środku nocy i wyszedł z chaty. Domyślił się, dokąd się wybrał.

Wiedząc, że Will rozpaczliwie pragnie opiekować się swoim koniem, Bob pozwolił mu sprawdzić ranę pod kątem oznak zapalenia czy infekcji. Na szczęście żadnych nie było. Potem nadzorował zwiadowcę, gdy ten zakładał nowy opatrunek. Płat oddartej skóry został starannie przyszyty i teraz trzeba było zatamować tylko małą stróżkę krwi.

Po wszystkim położył rękę na ramieniu Willa.

- Chodź już - powiedział. - Najpierw śniadanie, a potem pogadamy.

Usiedli na zewnątrz, przed kuchnią Boba, w blasku porannego słońca. Lecz słońce w najmniejszym stopniu nie podniosło zwiadowcy na duchu. Sącył swoją kawę bez tradycyjnego dodatku smakowego i posępnie odłamywał kawałki słodkiej bułki, leżącej na talerzu przed nim.

- Nie będę cię okłamywał, młodzieńcze - zaczął hodowca. - Obrażenia Wyrwija są poważne. To paskudna rana. Znacznie gorsza niż zwykle ugryzienie. Wilk zawisł na nim, potrząsając głową i ciągnąc całym ciężarem swojego ciała, a wczepił się głęboko w mięśnie i ścięgna.

- Ale czy on wydobrzeje? - spytał Will i załamał się, gdy stary znawca koni zawahał się, uciekając spojrzeniem.

- Mam nadzieję. Ale będziemy wiedzieć najwcześniej za cztery czy pięć dni. - Bob dostrzegł strach w oczach młodego mężczyzny i pospiesznie wypowiedział jedyne słowa pociechy, na jakie mógł sobie pozwolić. - Nie umrze. W tym sensie wydobrzeje. Ale noga może nigdy nie wrócić do poprzedniego stanu. Po prostu nie wiem. Zrobię dla niego, co w mojej mocy, a to silny i zdrowy koń.

- Czyli musimy po prostu siedzieć i czekać? - spytał Will. Lecz jeszcze zanim skończył zdanie, Bob już kręcił głową.

- Ja muszę siedzieć i czekać. Ty masz pracę do wykonania w Redmont. - Przenikliwie popatrzył na rozmówcę. Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, czy Will ma w Redmont jakieś pilne zadania. Prawdopodobieństwo było spore, bo z usług zwiadowców korzystano niemal bez ustanku. Wiedział jednak, że najgorsze dla Willa byłoby siedzenie tutaj i rozmyślanie

przez kolejne cztery lub pięć dni. Lepiej, jeśli wróci do pracy i odwróci swoje myśli od sytuacji tutaj.

Will wpatrywał się w swoje dłonie, oparte na stole. Rzeczywiście w Redmont czekały na niego sprawy niecierpiące zwłoki. Ale chodziło o Wyrwija! Podniósł wzrok na Boba.

- Nie mam konia. Co mogę zrobić bez konia?

Starzec posłał mu pocieszający uśmiech.

- Pożyczę ci konia. Mam tu wiele emerytowanych wierzchowców z korpusu. Może nie tak dziarskich, jak Wyrwij, ale na kilka dni będą jak znalazł.

Zobaczył, że Will się zastanawia, więc wzmocnił siłę swoich argumentów.

- Tutaj nic nie możesz zrobić. Będziesz siedział, patrzył na Wyrwija i się o niego martwił. A on będzie wiedział, że się martwisz, i to na niego wpłynie. - Przerwał na chwilę, po czym dodał: - To może mieć wpływ na leczenie.

Te słowa załatwiły sprawę. Myśl, że mógłby utrudnić rekonwalescencję konia, była dla zwiadowcy zbyt ciężka. Podjął decyzję.

- Spakuję swoje rzeczy. Przyszykujesz konia?

Bob nachylił się przez stół i ścisnął jego przedramię.

- Dobry chłopak. I przypuszczam, że będziesz się chciał pożegnać z Wyrwijem.

Pozostawienie Wyrwija w stajni wymagało ogromnego wysiłku. Will stał kilka minut, klepał zwierzę po szyi i pysku, przemawiając do niego łagodnie. Stary Bob się oddalił, by zapewnić im trochę prywatności. W końcu, czując, że zwiadowca nie wie, jak to zakończyć, zakaszłał, by zwrócić jego uwagę.

- Pora iść, Willu Treaty. Cormac jest gotowy i czeka na ciebie.

Will ostatni raz uściskał szyję swojego konika, delikatnie dotykając opatrunku na ranie palcem wskazującym.

- Wrócę za pięć dni - obiecał.

Koń potrząsnął grzywą, jednak znacznie słabiej niż zazwyczaj.

Nigdzie się nie wybieram.

Łzy napłynęły Willowi do oczu i Wyrwij trącił go łbem.

To był żart.

Ocierając oczy wierzchem dłoni, zwiadowca szybko się odwrócił i wymaszerował ze stajni prosto w jasny blask dnia.

Cormac był kasztanem o jasnej grzywie i ogonie. Wydawał się nieco wyższy od Wyrwija, miał jednak taką samą zmierzwioną sierść i mocną, muskularną budowę, która

charakteryzowała wszystkie konie korpusu. Stary Bob założył mu siodło i uprzęż Willa, a także przytroczył do siodła wyposażenie zwiadowcy.

Will ocenił, że ten koń jest od Wyrwija o kilka lat starszy. Wciąż jednak wydawał się sprawny i energiczny, a przy tym wyglądał jakby znajomo. Zwiadowca miał wrażenie, że już go gdzieś wcześniej widział.

- Willu, to jest Cormac. Cormaku, to jest Will - powiedział stary Bob, podając mu wodze. Czule poklepał kasztana po szyi. - To dzielny koń. Przez tych kilka dni będzie ci dobrze służył. Może nie jest tak szybki, jak pięć lat temu, ale i tak może biec cały dzień, a nazajutrz znowu ruszyć w drogę.

- To ty je tego uczysz - odrzekł Will, próbując się uśmiechnąć.

Bob zauważył to i poklepał go po ramieniu.

- Tak trzymaj, Willu Treaty! No, ruszaj. Na pewno masz mnóstwo pilnej roboty. Nic się nie bój, zaopiekuję się Wyrwijem jak się patrzy.

Will skinął głową na znak podziękności i wsunął stopę w strzemień. Potem się zawahał.

- Potrzebne mi hasło? - spytał.

Bob roześmiał się.

- Nie. Kiedy odchodzą ze służby, uczymy je, że nie potrzebują hasła.

Zwiadowca usiadł w siodle, aczkolwiek nie bez pewnej podejrzliwości. Siedział przez chwilę, czekając, co zrobi Cormac. Lecz kasztan tylko odwrócił łeb i popatrzył na niego z zaciekawieniem. Bob zaniósł się chrapliwym śmiechem.

- Nie ufasz mi, co? - spytał. - Mówiłem ci. Jest na emeryturze. A teraz jedź!

Will delikatnie trącił piętami boki wierzchowca, który natychmiast zareagował i ruszył z miejsca. Miał inny krok niż Wyrwij, tym niemniej równy i spokojny. Była w nim też sprężystość, jakby się cieszył, że wrócił do pracy.

- Do zobaczenia za pięć dni! - zawołał zwiadowca przez ramię.

Bob pomachał mu, a potem z aprobatą pokiwał głową, gdy Will, jedynie za pomocą lekkiego dotyku, wprowadził konia w swobodny, krótki galop.

Koń uniósł w biegu ogon.

Ale zabawa.

- Cieszę, że tak uważasz... - zaczął Will, a po chwili urwał, zaskoczony, że rozmawia ze swoim tymczasowym wierzchowcem. Może wszystkie konie zwiadowców reagowały w ten sposób.

ROZDZIAŁ 5

Kolejne pięć dni wydawało się rozmytą plamą. Gdyby zapytano go, co się działo albo co robił, Will byłby w kropce.

Halt i lady Pauline wyjechali z Redmont, by zająć się problemem dyplomatycznym w pewnym podległym zamku. Burmistrz jednego z największych miast Celtii uciekł z miejskim skarbcem i domagał się immunitetu dyplomatycznego w lennie Redmont. Król Celtii wysłał za nim żołnierzy, by sprowadzili go z powrotem. Było to zrozumiałe, lecz choć baron Arald nie miał najmniejszego zamiaru chronić złodzieja, działanie monarchy stanowiło formalne złamanie traktatu między Araluenem a Celtią. Żaden kraj nie miał prawa wysyłać zbrojnych oddziałów na drugą stronę granicy. Baron Arald polecił Haltowi odeskortować niegodziwca z powrotem do jego kraju, a lady Pauline miała przekonać żołnierzy, by trzymali ręce z dala od przestępcy, dopóki nie znajdzie się na terenie, gdzie sięgała ich władza.

Halt mógł przekonać ich sam, ma się rozumieć, ale jego metody często bywały nieco bardziej bezpośrednie niż w wypadku lady Pauline, a Arald liczył, że uda mu się uniknąć kolejnego incydentu dyplomatycznego.

Z powodu zaangażowania Pauline w tę misję, Alyss musiała wziąć udział w odbywającym się co dwa lata spotkaniu służby dyplomatycznej w Zamku Araluen. Will znalazł liścik z opisem tej sytuacji na stole w leśnej chacie.

Jeśli jednak Will sądził, że może spędzić w chacie samotny tydzień, zamartwiając się o Wyrwija, szybko wybito mu ten pomysł z głowy. Nadszedł meldunek o bandzie zbójców, którzy łupili podróżnych w północnej części lenna. A zatem zwiadowca wyruszył tam pożyczonym wozem, przebrany za wędrownego sprzedawcę sprzętów domowych. Podróżował przez obszar, na którym działali rozbójnicy, i sprzedawał swoje towary po gospodarstwach, gromadząc przy tym pokaźną sumkę. Bandyci obserwowali go, tak jak się spodziewał, a gdy już uznali, że zarobił wystarczająco dużo, zatrzymali go na odludnym odcinku drogi z wrzosowiskami po obu stronach.

Było ich tylko czterech, więc Will miał znaczną przewagę.

Udzielił im jednego ostrzeżenia, przedstawiając się jako królewski zwiadowca, lecz mimo to postanowili zaatakować. W ciągu kilku sekund trzech leżało już na ziemi ze strzałami w rękach albo nogach. Czwarty szeroko otworzył oczy z przerażenia, odrzucił miecz, padł na kolana i błagał o litość.

Will pozwolił im opatrzyć rany, a następnie skrępował całą czwórkę i przywiązał ich sznurem do wozu. Mieli iść pieszo do Zamku Redmont na proces. Jeden poprosił o łagodniejsze traktowanie.

- Proszę, zwiadowco, jesteśmy ciężko ranni. Nie możemy jechać wozem?

Will posłał mu zimne spojrzenie. W obecnym nastroju miał w sobie niewiele współczucia dla bandytów, którzy nieraz zostawiali swoje ofiary ranne i krwawiące przy poboczu drogi.

- Wyświadczam wam przysługę - powiedział, a gdy tamten zmarszczył brwi, chcąc jeszcze o coś zapytać, dodał: - Pozwalam wam cieszyć się świeżym powietrzem i otwartymi przestrzeniami. Przez następne dziesięć lat nie będziecie mieli okazji.

Czas mijał, a piątego dnia zwiadowca galopował na Cormaku z powrotem do gospodarstwa, w którym Bob tresował konie dla korpusu.

Wierzchowiec potrząsał łbem, napawając się wolnością, drogą i okazją, by rozprostować nogi. Konie zwiadowców uwielbiały biegać.

Podobał mi się powrót do pracy. Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł ci dalej służyć.

Will uśmiechnął się.

- Byłeś dobrym towarzyszem i jestem ci wdzięczny - powiedział, z czułością klepiąc kasztana po szyi. - Ale mam nadzieję, że Wyrwijowi uda się wyzdrowieć.

Cormac zarzucił łbem.

Rozumiem. Ale gdybyś mnie potrzebował...

- Zgłoszę się do ciebie - odrzekł Will. Gdy wyjechali pomiędzy drzew i podążyli długą ścieżką do domu Boba, Will rozglądał się po padokach z obu stron. Na początku nic nie zauważył, a potem serce aż mu podskoczyło, gdy dostrzegł w oddali znajomy szary kształt, biegnący dla czystej przyjemności w promieniach jesiennego słońca.

- Wyrwij! - zawołał radośnie i ubódł obcasami boki Cormaka. Wierzchowiec zareagował natychmiast i puścił się galopem. Siwek usłyszał tętent kopyt i odwrócił się, by pobiec ku nim, na ukos przecinając rozległy padok.

Will ściągnął wodze i czekał na niego.

Krok konia, sposób poruszania się, potrząsania łbem... Wszystko to wyglądało tak znajomo. Will aż roześmiał się w głos, gdy potargany siwek podszedł do ogrodzenia.

Po chwili zmarszczył czoło. Koń wyglądał zupełnie jak Wyrwij. A jednak to nie był on. Był znacznie młodszy. Nie miał tych białych włosów, które zaczęły się pojawiać na pysku Wyrwija w ostatnich latach. Teraz, z bliska, zwiadowca dostrzegł też romboidalną plamkę ciemniejszej sierści na lewej przedniej nodze konika, nad samym kopytem. To nie był

Wyrwij. A jednak, pod bardzo wieloma względami... był.

Koń zarżał na powitanie, potem zatrząsł grzywą dokładnie tak, jak Wyrwij. Cormac zrewanżował się pozdrowieniem. Siwek popatrzył wyczekująco na Willa, który był jednak zbyt zmieszany, by coś powiedzieć. W końcu siwy koń szarpnął łbem i odgalopował w stronę, z której przybiegł.

Zraniłeś jego uczucia.

Zwiadowca nie odpowiedział. Szturchnął piętami boki Cormaka i pojechali ścieżką do chaty Boba.

Tutaj czekała na nich inna niespodzianka. Przed domem stał inny kasztanowaty koń, niemal identyczny, jak Cormac. Był jednak młodszy, zauważył Will, o wiele młodszy. Oba czworonogi powitały się jak starzy przyjaciele i zwiadowca przypomniał sobie, gdzie wcześniej widział Cormaka.

- Byłeś koniem Crowleya - zwrócił się do niego. - Ale nazywałeś się Cropper.

Gdy wymówił to imię, kasztan przed chatą podniósł łeb.

- To jest teraz Cropper - powiedział Crowley, który wyłonił się z budynku i szedł w ich stronę. - Tak to się odbywa. Kiedy koń przechodzi na emeryturę, zmieniamy mu imię, a stare imię otrzymuje nowy koń.

Cormac z zapalem ruszył ku komendantowi zwiadowców, który z uczuciem pogładził go po chrapach.

- Czołem, stary przyjacielu - rzekł cicho. Potem spojrzał na Willa. - Zsiadaj. Musimy porozmawiać.

Will zeskoczył z siodła z narastającym poczuciem niepokoju.

- Crowley? - zdziwił się. - Co tu robisz? Jak tam Wyrwij?

Crowley położył mu rękę na ramieniu.

- Wyrwij czuje się dobrze - zapewnił. - Znacznie lepiej, niż kiedy go ostatnio widziałeś. O, tak się składa, że właśnie tu idzie.

Wyciągnął rękę i Will odwrócił się, by ujrzeć starego Boba, który wyprowadził jego konia ze stajni i wiódł w kierunku chaty. Na pierwszy rzut oka wydawał się zupełnie zdrowy.

- Wyrwij! - zawołał, a wierzchowiec podniósł łeb i zarżał radośnie. Bob puścił wodze i wykonał gest w kierunku młodego zwiadowcy. Bez dalszych zachęt, Wyrwij podbiegł do swojego pana, któremu nagle coś ścisnęło serce.

- Kuleje - stwierdził. Stało się to wyraźnie widoczne, gdy koń przyspieszył kroku.

Crowley przytaknął.

- Owszem. Bob zrobił, co mógł, ale obrażenia mięśnia okazały się zbyt poważne.

Obawiam się, że już zawsze będzie kulał.

Wyrwij po staremu szturchnął łbem pierś swojego pana, po czym zaczął obwąchiwać mu kieszenie w poszukiwaniu jabłka. Will pomógł mu je znaleźć, a zwierzę schrupało je z rozkoszą. Młodzieńcowi ciągle kręciło się w głowie, gdy w pełni docierała do niego informacja od Crowleya.

- Zawsze będzie kulał? - powtórzył. - Ale jak mam... - Nie mógł dokończyć pytania. Nagle poczuł, co się szykuje. Opowieść o emerytowanych koniach, dwa kasztanowate wierzchowce, niemal identyczne, i młody siwek, którego widział na padoku... Wszystkie te fakty układały się w jeden oczywisty, straszny wniosek.

- Będzie musiał przejść na emeryturę - powiedział otepiałym głosem. To nie było pytanie, a tamci dwaj i tak pokiwali głowami.

- Tak to jest, Willu - odezwał się Crowley. - Nasze konie mogą nam służyć piętnaście, szesnaście lat. Później zaczynają tracić szybkość, zwinność i kondycję, na których tak bardzo polegamy. Więc w bliskiej przyszłości i tak musiałyby to nastąpić. Rana tylko nieco przyspieszyła to, co nieuniknione.

- Ale... to jest Wyrwij! - wykrzyknął Will, a łzy przesłoniły mu spojrzenie. - To nie jest zwykły koń! To Wyrwij! - Podjął szybką decyzję i buntowniczo podniósł głowę, ze złością ocierając łzy wierzchem dłoni. - Nie obchodzi mnie, że kuleje. Nie obchodzi mnie, że nie jest tak szybki ani zwinny jak dawniej! To mój koń i chcę go zatrzymać!

Sięgnął do uzdy Wyrwija, ale Crowley delikatnie złapał go za rękę i powstrzymał.

- To niemożliwe - powiedział. - Zwiadowcy tak nie postępują.

- W takim razie ja też odejdę na emeryturę. Skoro nie mogę mieć Wyrwija, nie chcę już być zwiadowcą!

Wszyscy wzdrygnęli się ze zdumieniem, gdy Wyrwij stanął dęba, płasko kładąc uszy.

Nie waż się tak mówić! Nie po wszystkim, co dla ciebie zrobiłem!

- Wyrwij? - powiedział Will, zakłopotany tym wybuchem gniewu. Lecz koń gwałtownie potrząsał grzywą.

Odejdź ze służby, jeśli chcesz! Ale mnie w to nie mieszaj! Nie chcę być przyczyną!

- Ale... potrzebuję cię, Wyrwiju. Nie wyobrażam sobie, jak mógłbym to ciągnąć bez ciebie.

Stary Bob i Crowley wymienili spojrzenia. Obaj zdawali sobie sprawę z osobliwej więzi, która powstawała między zwiadowcą a jego wierzchowcem. Wiedzieli, że z biegiem lat wykształca się szczególna forma komunikacji. Crowley sam tego doświadczył z Cropperem.

Cofnęli się, by umożliwić Willowi swobodną rozmowę z koniem bez zakłopotania czy

poczucia wstydu. Wyrwij jeszcze raz ubódl go delikatnie łbem, a jego gniew zniknął do reszty.

Nie rozumiesz? W tym stanie nie mogę ci służyć jak należy. Nie mogę zapewnić ci bezpieczeństwa. To zadanie dla nowego Wyrwija. Ale musisz dać mu szansę.

- Nowego Wyrwija? - spytał Will.

Crowley, wyczuwając odpowiedni moment, skinął głową Bobowi. Stary hodowca koni odwrócił się i pomaszerował z powrotem do stajni. Gdy już się oddalił, Crowley odpowiedział:

- Bob to tylko jeden z naszych hodowców. Mamy ich wielu i wykonują świetną pracę. Pilnują rodowodów wszystkich naszych koni i stad. Wyrwij zostanie teraz włączony do procesu hodowlanego, tak jak wcześniej jego przodkowie. Zyska dobrą opiekę i będzie bezpieczny. I dzięki niemu w przyszłości inne konie, takie jak on, będą do dyspozycji zwiadowców. Widziałeś tego małego siwka na padoku, kiedy tu jechałeś?

Will przytaknął.

- Przez parę minut myślałem, że to Wyrwij.

- I nic dziwnego. Spłodził go dziadek Wyrwija, a urodziła klacz, która miała niemal identyczne cechy, jak jego matka. Gdy Bob zobaczył to źrebię, zaczął je szykować specjalnie dla ciebie. Oczywiście, nie mieliśmy pojęcia, że będziesz go potrzebował tak szybko. Normalnie przygotowywalibyśmy konia przez następny rok czy dwa. Ale nagle wydarzyła się ta sytuacja. Dlatego Bob posłał po mnie, żebym to wyjaśnił. Prędzej czy później wszyscy musimy przez to przejść.

Popatrzył ze współczuciem na młodego zwiadowcę i jego wierzchowca. Will podszedł do Wyrwija, objął lewą ręką szyję konika, a prawą głaskał miękkie chrapy.

- A nie mógłbym chociaż trzymać go w Redmont?

Crowley uśmiechnął się.

- Wszyscy o to pytamy. Ale pomyśl. To nie zwierzątko domowe. I jest potrzebny tutaj z uwagi na program hodowlany. To jeden z naszych najlepszych koni. Na dodatek to nie byłoby w porządku wobec twojego nowego wierzchowca. Nie nawiązałbyś z nim właściwej więzi. Wobec Wyrwija też nie byłoby to w porządku. Musiałby patrzeć, jak jeździsz na misje bez niego.

A wiesz, że jestem bojącym dudkiem.

Wbrew sobie Will nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- To jak będzie brzmiało twoje nowe imię? - zapytał.

Wyrwij zawahał się, przechylając łeb w bok.

Zawsze wyobrażałem sobie, że nazywam się Bellerofont.

- Bellerofont? - powtórzył zaskoczony Will. Wybór był niespodziewany.

Crowley wyszczerzył się wesoło.

- Niezłe. Musimy powiedzieć Bobowi. O, właśnie idzie.

Will odwrócił się i zobaczył hodowcę, prowadzącego siwka, którego wcześniej widział. Teraz jednak koń był okulbaczony. W każdym calu wyglądał znajomo, włącznie z postawą, jaką przyjmował podczas chodu. Nie licząc małej czarnej łatki na nodze i braku białych włosów wokół chrap, był identyczny jak Wyrwija, który służył Willowi przez ostatnich piętnaście lat.

To ci dopiero piękny koń.

- Rzeczywiście - potwierdził Will. A potem, gdy Bob podał mu wodze, zrobił krok naprzód i podrapał młodego czworonoga po pysku. Koń z wdzięcznością poruszył łbem, a potem zaczął obwąchiwać kieszenie zwiadowcy w poszukiwaniu jabłka. Była to tak znajoma czynność, tak bardzo w stylu Wyrwij, że przez chwilę Will był zupełnie oszołomiony.

- Przepraszam - powiedział. - Dałem ostatnie jabłko... - Zawahał się, a później z uśmiechem dokończył: - Bellerofontowi.

Bob wsunął rękę do swojej kieszeni i rzucił mu jabłko.

- Przewidziałem to - stwierdził.

Will wyciągnął owoc do wierzchowca, który wziął go delikatnie, łaskocząc wargami dłoń zwiadowcy, a potem schrupał, uszczęśliwiony.

- Może się lepiej poznacie? - zaproponował Bob, wskazując siodło.

Will skinął głową. Zapalał nagłą ciekawością, jak bardzo tak naprawdę ten nowy koń przypomina Wyrwij.

- Dobry pomysł - przyznał. Wsunął lewą stopę w strzemień i z łatwością dźwignął się na koński grzbiet. Crowley i Bob wymienili szelmowskie uśmiechy.

- A teraz - zaczął Will - sprawdźmy...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej. Wierzchowiec pod nim nagle dosłownie eksplodował ruchem, wybijając się ze wszystkich czterech kopyt, obracając się w powietrzu i unosząc zad, gdy przednie nogi uderzyły z powrotem o ziemię. Will wystrzelił w powietrze ponad jego grzywą, zrobił salto, przez kilka sekund czuł się zupełnie nieważki, a w końcu grzmotnął o pylistą ziemię, aż stracił dech. Leżał i jęczał, rozpaczliwie próbując znowu nabrać powietrza do płuc. Koń stał obok niego, z zaintrygowaniem przechylając łeb na bok.

Bob i Crowley nie mogli powstrzymać śmiechu, gdy Will leżał na ziemi, wsparty na łokciach, i stopniowo odzyskiwał oddech.

- Ten koń nie jest jeszcze na emeryturze! - powiedział mu wesoło hodowca. - Dla niego potrzebujesz hasła, tego samego, co dla starego Wyrwija.

Will podniósł wzrok i wrócił myślami do identycznego wypadku sprzed lat. Zobaczył, że stary Wyrwij, teraz już Bellerofont, obserwuje go i potrząsa łbem.

- Nawet wierzga zupełnie jak ty - rzekł bez tchu.

Nie uczysz się na błędach, co?

Gdy później wracali do domu, Will dalej był zdumiony podobieństwem między dwoma końmi. Zupełnie jakby Wyrwij w niewyjaśniony sposób odmłodniał. Crowley i Bob mieli rację. Przez kilka ostatnich lat Wyrwij stał się nieco wolniejszy, a jego chód - mniej pewny. Ten nowy Wyrwij przypominał mu, jak zachowywał się tamten w ciągu ich pierwszych dni spędzonych razem.

Myślał teraz o tamtych czasach. O tym, jak Wyrwij rzucił się w jego obronie, gdy szarżował na niego dzik. O desperackim wyścigu z bedulińskim ogierem, Piaskowym Wichrem, gdy Wyrwij zademonstrował zdumiewającą szybkość, o jaką go nawet nie podejrzewał. Gdy wspominał ten dzień, nowy Wyrwij potrząsnął grzywą.

Piaskowy Wicher by ze mną przegrał.

Will popatrzył na niego ze zdumieniem.

- Skąd wiesz o Piaskowym Wichrze? - zapytał.

Koń znowu potrząsnął grzywą.

Jeśli coś jest w twojej głowie, to o tym wiem. Chcesz się dalej tak wlec, czy trochę przyspieszymy?

- Mówisz zupełnie jak Wyrwij - powiedział zwiadowca.

Ja jestem Wyrwij.

- Tak - przyznał Will z namysłem. - Zdaje się, że jesteś.

Od autora: Powyższe opowiadanie powstało, gdy otrzymałem emailem pytanie od Laurie, czytelniczki z Nowej Zelandii. Zauważyła, że czas pracy koni w Korpusie Zwiadowców nie mógł wynosić wiele więcej niż szesnaście czy siedemnaście lat, i chciała wiedzieć, co dzieje się z nimi później. Nie mogłem znieść myśli o Willu bez Wyrwija, więc sprytnie wymyśliłem wspomniany tutaj program hodowlany.

**NAJWYŻSZY
CZAS**

Will opuścił głowę i po raz ostatni zlustrował swój strój. Kaftan był schludny i niepognieciony. Przy szyi kołnierzyk nieskazitelnie białej jedwabnej koszuli układał się w literę V, a spod niego wзираł srebrny liść dębu, wskazujący na rangę właściciela. Na spodniach nie dostrzegł żadnych plam ani zabrudzeń. Buty miał wyczyszczone i świeżo nasmarowane olejem. Nie błyszczały. Zwiadowca nigdy nie glansował butów. Lśniące obuwie mogło odbijać świetlne rozbłyski, a przez to zdradzić kryjówkę zwiadowcy. Zapiął szeroki skórzany pas. Podobnie jak buty, sprzączka miała barwę matowej czerni, a rękojeści dwóch noży okrzęcono skórą. Tylko klingi odbiłyby światło, gdyby były odsłonięte. Zawsze ostrzył je starannie, noże wykonano bowiem ze stali najwyższej jakości, twardszej niż miecze używane przez rycerzy królestwa.

Żałował, że nie ma lustra. W końcu był to doniosły dzień. Zwierciadła jednak kosztowały majątek. Tylko ktoś bardzo bogaty, jak baron Arald, mógł sobie pozwolić na taki luksus. Wynagrodzenie zwiadowcy nie wystarczało na podobne zbytki.

Ebony leżała przy drzwiach z pyskiem opartym na wyciągniętych łapach i wbijała w niego wzrok. Zerknął na nią i rozpostarł ręce.

- Jak wyglądam? - spytał. Dwa razy uderzyła ogonem o podłogę, ani na chwilę nie odrywając od niego wzroku. - Aż tak dobrze? - zdziwił się. Pac, pac, odpowiedział znowu ogon.

Wyjrzał przez okno. Słońce wisiało nisko, pod wierzchołkami drzew, rosnących wokół chaty.

- Pora iść - stwierdził. Odsunął kotarę, która zasłaniała wieszaki w jego prostej szafie, i wyjął płaszcz.

Tym razem Ebony okazała pewne zainteresowanie. Jej łeb przechylił się w bok i patrzyła na niego z zaciekawieniem. Nie wybrał swojego zwykłego, roboczego płaszcza. Wyciągnął wyjściowy płaszcz mundurowy, ze stylizowanymi srebrnymi wyobrażeniami strzał, naszytymi ukośnie na plecach. Narzucił go sobie na ramiona i posłał jej uśmiech.

- Szczególny dzień - wyjaśnił.

Suka znowu opuściła głowę na łapy. Ruszył do drzwi i gestem nakazał jej, by zeszła mu z drogi. Z westchnieniem wstała i zrobiła kilka kroków, a on otworzył drzwi i wyszedł na ganek.

- Idziesz? - spytał. - W końcu jesteś zaproszona. - Ebony, znowu merdając ogonem, wybiegła przez uchylone drzwi i dołączyła do wyelegantowanego Willa. Podniosła na niego spojrzenie owczarka, nieustannie czekającego na wskazówki od swojego pana.

Dokąd teraz idziemy? - mówiły te oczy. Nie odpowiedział, tylko wydał z siebie cichy

gwizd. Ebony nadstawiła uszu. Po kilku chwilach usłyszeli stukot kopyt i zza chaty wyłonił się Wyrwij. Odpoczywał wcześniej w stajni z tyłu. Ale, ponieważ jego pan nigdy go nie przywiązywał, koń mógł zareagować na wezwanie bez żadnej zwłoki.

W przeciwieństwie do Ebony, Wyrwij najwyraźniej wiedział, dokąd się wybierają. Zerknął na Ebony i stanął w gotowości obok Willa.

Ona też idzie?

- Oczywiście - odparł zwiadowca. - W końcu należy do rodziny. Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

Wierzchowiec wstrząsnął grzywą jak szalony.

W żadnym razie. Ale czasami brak jej wyczucia. Nie chcę, żeby zaczęła się drapać w najmniej stosownym momencie.

Will uśmiechnął się do suki.

- Słyszałaś, Eb? Bez prostackiego drapania się. - Zamachała ogonem na dźwięk swojego imienia.

Wyrwij popatrzył z ukosa na swojego pana.

To samo dotyczy ciebie.

- Cieszę się, że mamy ciebie w roli szefa protokołu - powiedział Will. - Idziemy?

Czekam.

Zwiadowca pokręcił głową. Po tych wszystkich latach, pomyślał, mógłbym się już przyzwycząić, że ten koń zawsze ma ostatnie słowo.

Zawsze.

Popatrzył na zwierzę podejrzliwie. Jeśli można powiedzieć, że koń przybrał wygląd niewiniątka - ten tutaj właśnie to zrobił.

Pstryknął palcami i Ebony zeszła z ganku. Natychmiast zajęła miejsce za jego prawą nogą. Wyrwij szedł z drugiej strony, z łbem przy lewym ramieniu Willa. Cała trójka przeszła przez małą polanę z przodu chaty na ścieżkę, która prowadziła przez las. Tutaj było mniej miejsca, więc Wyrwij został w tyle i zamykał pochód.

Pod drzewami panował półmrok, ale znali drogę. Ścieżka wiła się w dół łagodnego zbocza, aż do strumyka, dopływu rzeki Tarbus. Był tam głęboki staw, w którym przed laty nieraz łowili z Haltem pstrągi. Nad stawem rozciągała się trawiasta polana, gdzie w bliższej przeszłości często urządzali sobie z Alyss pikniki.

Will czuł na twarzy ciepłe powietrze, kilka ptaków buszowało na drzewach i w krzakach, szykując się do snu. Zerknął w ciemność między drzewami i zobaczył maleńkie, śmigające punkciki świetlne, które zostawiały za sobą smugi blasku, ukazujące tor lotu

światlików. Jeden zabłąkał się i wyleciał spomiędzy drzew, a światełko w jego odwłoku zdawało się blaknąć, gdy wokół stawało się coraz jaśniej. Przybliżył się do Ebony i nagle rozległo się kłapaniecie zamykanych szczęk, po czym suka potrząsnęła głową i łapą zaczęła trącać swój język, by usunąć resztki martwego owada.

- Nigdy się nie nauczysz, co? - powiedział do niej czule. Nie potrafiła oprzeć się pokusie chwytania przelatujących owadów. Później nieodmiennie następowały gorączkowe wysiłki, by pozbyć się efektów. Z jakiegoś powodu owady nigdy nie smakowały tak dobrze, jak się spodziewała.

Gdy zbliżyli się do polany nad strumieniem, do uszu zwiadowcy dobiegł szmer rozmów.

- Jesteśmy ostatni - skomentował.

Lecz Wyrwij potrząsnął łbem.

Ona będzie ostatnia. Tradycyjnie.

Wyszli spomiędzy drzew. Polana oświetlona była pochodniami umocowanymi na wbitych w ziemię słupkach, a wśród gałęzi porozwieszano różnokolorowe lampki. Czekał tam też niewielki tłumek. Gdy Will, Wyrwij i Ebony wyszli na polanę, rozległy się niegłośnie owacje i kilka cichych powitalnych okrzyków.

Rozejrzał się i zrobiło mu się cieplej na sercu. Grupa nie była zbyt liczna, ale za to zebrali się tu wszyscy ważni w jego życiu ludzie.

Halt, ma się rozumieć. Z piękną żoną u boku, o pół głowy wyższą od niego. Odkąd Will miał piętnaście lat, Halt był dla niego jak ojciec. A w ostatnich latach zaczął myśleć o lady Pauline jak o zastępczej matce.

Zerknął w bok i twarz rozjaśnił mu uśmiech. Horace. No cóż, tego się spodziewał. A wraz z nim przyszła Evanlyn, jego żona.

Naprawdę zacznę mówić do niej „Cassandra”, pomyślał Will. Był wzruszony, że pokonali długą drogę z Zamku Araluen, żeby dzisiaj być przy nim. Nie pomyślał, że dla nich zrobiliby bez namysłu to samo. Popatrzył uważnie na księżniczkę. Dostał od Horace’a pełen emocji list z informacją, że spodziewają się dziecka. Na razie ciąży nie było widać. Evanlyn - Cassandra, poprawił się w myślach - wyglądała równie szczupło, jak zawsze.

Na podwyższeniu nad strumieniem stał baron Arald i uśmiechał się szeroko do najslawniejszego ze swoich pupili. Will z szacunkiem pozdrowił go skinieniem głowy, a potem omiótł spojrzeniem pozostałych. Zauważył Jenny i Gilana, stojących ręka w rękę. Jenny promieniała z dumy i co jakiś czas podnosiła pełne uwielbienia oczy na wysokiego, przystojnego zwiadowcę obok siebie.

Ty będziesz następny, pomyślał Will. Zdawało się, że Gilan czyta mu w myślach, bo szeroko się uśmiechnął. Wyglądało na to, że ta perspektywa wcale mu nie przeszkadza.

Zatrzymał się w pół kroku, rozpoznawszy dwóch kolejnych gości, stojących w cieniu za Gilanem i Jenny. Dwie zupełnie różne postacie - jedna drobna i lekko budowy, tak lekko, aż miało się wrażenie, że mógłby ją porwać silniejszy wiatr, druga zaś wysoka i barczysta. Olbrzymia, ściśle rzecz biorąc. A między nimi widniał czarnobiały kształt, który podniósł się teraz z ziemi i ruszył ku Ebony, machając długim ogonem.

Kiedy Ebony i jej matka Shadow na nowo się poznawały, opuszczając łby i powoli kołyszając ogonami, Will szybko wystąpił naprzód, by objąć Malcolma, a potem dać się zmiażdżyć w niedźwiedzim uścisku Trobara.

- Dotarliście! - powiedział, szczęśliwy ze spotkania. - Nie byłem pewien, czy pokonacie taki kawał drogi!

- Nigdy w życiu bym nie przegapił takiej okazji! - zwrócił się do niego uzdrowiciel o ptasich rysach z serdecznym uśmiechem.

Potężny głos Trobara zagrzmiał tak cicho, jak tylko wielkolud potrafił.

- Co'gra-lashuns, Will Treaty.

- Dzięki - odrzekł zwiadowca. - Dzień jest lepszy dzięki twojej obecności.

Baron odkaslnął znacząco i Will zorientował się, że pora zaczynać. Oddalił się od uzdrowiciela i jego ogromnego ochroniarza, po czym podszedł do Aralda.

Wyrwij i Ebony ruszyli za nim.

- Cóż - odezwał czule baron - to piękna noc na ślub.

- Nie wyobrażam sobie lepszej, sir - odparł Will.

- Przypomniała mi się pewna dość zabawna historia... - zaczął baron. Lecz jego żona, lady Sandra, wydała z siebie cichy ostrzegawczy dźwięk, subtelny lecz jednoznaczny, i popatrzył na nią ze skruchą. - Hę? A... tak... oczywiście, moja droga. Może później, młody Willu.

- Później będzie chyba lepiej - zgodził się młodzieniec, skrywając uśmiech.

- No dobrze... Cóż, jesteś tu. Wszyscy to widzimy. Masz drużbę?

W odpowiedzi Horace wystąpił naprzód i stanął u boku przyjaciela, kładąc mu rękę na ramieniu. Obaj popatrzyli na siebie i to spojrzenie mówiło więcej, niż da się wyrazić wszelkimi możliwymi słowami.

- Doskonale - ciągnął baron. - Świetny wybór. - Spojrzał na konia ze zmierzwioną sierścią i zgrabnego psa za Willem. - A to są...

Zanim Will zdążył odpowiedzieć, zrobił to za niego Horace.

- Koński družba i psi družba - oznajmił.

- Doskonale - powiedział Arald. - Trochę to niekonwencjonalne, ale doskonale... o ile nie będą musiały nic podpisywać! - Roześmiał się z własnego dowcipu. Wyrwij wysunął łeb naprzód, by przyjrzeć mu się bliżej. Mężczyzna zauważył spojrzenie konia i spuścił oczy, pospiesznie układając papiery.

- Zachowuj się - Will cicho zbeształ konia i ten się cofnął. Zwiadowca był niemal pewien, że drwiąco się przy tym uśmiechał.

Arald po kilku chwilach odzyskał zwykły wigor, po czym zatarł dłonie i potoczył wzrokiem po zgromadzeniu. Obecni podeszli i ustawili się w luźnym półokręgu.

- No dobrze - powiedział rażno. - Zdaje się, że wszyscy już są. Pan młody. Družba. Świadkowie. Celebrant.

- Urwał i popatrzył z ukosa na Wyrwija. - Koński družba i psi družba. Teraz brakuje nam tylko panny młodej.

I nagle, bez żadnego uprzedzenia, Alyss już tam była. Wyszła spomiędzy drzew, by stanąć w plamie światła, rzucanego przez lampę, która wisiała na gałęzi.

Na jej widok Willowi zaparło dech. Była piękna, nie dało się tego określić innym słowem. Włożyła prostą białą suknię, odsłaniającą jedno ramię. Jej długie jasne włosy, przybrane wiankiem z żółtych kwiatów, połyskiwały w blasku lampy i zdawały się rozsiewać własne wewnętrzne światło.

Później, gdy o tym myślał, dotarło do niego, że musiał to być zaaranżowany przez barona spektakl. I to bardzo udany. Czasami Arald miał naprawdę dobre pomysły. Alyss pochwyciła spojrzenie Willa i uśmiechnęła się do niego. Serce zabiło mu mocniej.

Cassandra szybko przekroczyła polanę, by stanąć przy Alyss jako jej druhna. Halt też podeszedł do panny młodej i ujął ją za łokieć. Ponieważ była sierotą, poprosiła go, by wystąpił w roli jej ojca i ją poprowadził. Rozpromienił się. Alyss była jedną z nielicznych osób, zdolnych z taką łatwością wywołać uśmiech na siwobrodej twarzy starego zwiadowcy.

Widząc że wszyscy są gotowi, Baron Arald dał ręką znak i trio muzyków z zamku, ukryte wcześniej wśród drzew z boku, wyszło na polanę i zaczęło grać. Melodię wybrała Alyss i Will uśmiechnął się, rozpoznawszy łagodne akordy „Chaty wśród drzew”. Był to nieoficjalny hymn Korpusu Zwiadowców, śpiewany podczas ważnych wydarzeń. Nie mogła dokonać lepszego wyboru.

Dalej uśmiechał się do Alyss, gdy podeszła z gracją, by stanąć obok niego. To jest dzień uśmiechów, pomyślał radośnie. Halt ujął jej rękę, która spoczywała na jego ramieniu, po czym wsunął ją w dłoń Willa i się wycofał. Cassandra i Horace zrobili krok w tył, by

zostawić młodą parę przed obliczem barona Aralda.

- No cóż - powiedział, z roześmianą twarzą patrząc na tę dwójkę. - Cóż to za dzień! Doprawdy, cóż to za dzień!

Przysięgi, które wygłosili, były proste i konkretne. Nie ma potrzeby ich tu przytaczać, wystarczy powiedzieć, że dotyczyły miłości, wierności i szczerości. Oraz wzajemnych obowiązków i troski. Płynęły prosto z serca, a ich bezpośredniość i prostota trafiły z kolei do serc wszystkich, którzy słuchali. Lady Pauline uśmiechnęła się łagodnie, zauważywszy, że Halt ukradkiem ociera oczy rękawem płaszcza.

Szturchnęła go łokciem.

- Stary oszuście - szepnęła, a on nieśmiało pokiwał głową. Stary zwiadowca całe życie dbał o ponurą, nieprzystępną pozę. Lecz tego dnia po prostu nie mógł jej utrzymać.

Po wymianie przysięg, Arald wygłosił oficjalne, prawne formułki, które przypieczętowały małżeństwo. Zdawało się, że minęło ledwie kilka chwil, a on już zrobił krok w tył, uśmiechając się do młodej pary, i szeroko rozłożył ramiona. Will poczuł się przez chwilę zakłopotany. Podczas ceremonii był jak w transie, oszołomiony obecnością Alyss tuż obok siebie, zdumiony, że ten dzień wreszcie nadszedł.

Teraz gwałtownie do niego dotarło, że dzień naprawdę nadszedł, a ceremonia się zakończyła. Alyss i on byli oficjalnie związani i na tę myśl poczuł w sobie miłe ciepło.

Uświadomił sobie, że baron coś powiedział, a ludzie patrzą na niego wyczekująco.

Arald nachylił się w przód i powtórzył teatralnym szeptem, który wszyscy wyraźnie usłyszeli:

- Powiedziałem: możesz pocałować pannę młodą.

Will usłuchał, nie bez entuzjazmu. Był zachwycony, że Alyss odpowiedziała z nie mniejszym zapalem, a po polanie poniosły się owacje i wiwaty bliskich przyjaciół.

Radosne odgłosy powoli ucichły, a w ciszy, która nastąpiła, rozbrzmiał jakiś głos.

- Najwyższy czas!

Halt chciał, by zabrzmiało to jak żart, lecz zanim się zorientował, ścisnęło go za gardło i musiał zamaskować tę nutkę w swoim głosie, udając atak kaszlu. Przy okazji się odwrócił.

Liczył, że dzięki temu nikt nie zauważy łez, płynących mu po policzkach.

URYWEK

Nadszedł ostatni tydzień lata; ścigali się z czasem, bo łódź miała być gotowa przed rozpoczęciem treningów.

Wiedzieli, że potem nie będą mieć czasu na takie zajęcia, każdą ich chwilę pochłonie ćwiczenie, przeróżnych umiejętności, które musieli opanować, jeśli chcieli w przyszłości dostać się w szeregi skandyjskich wojowników i wilków morskich. Będą harować od rana do nocy, trenować sztuki walki i taktykę wojenną - choć to ostatnie akurat nie było zbyt skomplikowane, w przypadku Skandian zwykle polegało na rąbaniu na oślep po usłyszeniu hasła: „bierzmy ich!

Mieli również studiować sztukę żeglarską, techniki nawigacji, zarówno na podstawie punktów orientacyjnych na lądzie, jak i pisemnych instrukcji - które należało wykuć na pamięć - a także według gwiazd. Wiedzieli, że nie będą narzekać na nadmiar wolnego czasu.

Dlatego właśnie Hal i Stig tak gorączkowo spieszyli się z budową łodzi. Zostały jeszcze żagle i maszt.

MacFarlane delikatnie odłożył kawałek pergaminu na blat biurka. Dziewięć pozostałych historii, znalezionych w skrzyni, pieczołowicie zebrano, skopiowano i zachowano. Teraz zostało tylko to - poszarpany urywek z kilkoma zdaniem, ledwie nieco ponad setką słów. Miejscami atrament tak wyblakł, że ciężko było cokolwiek odcyfrować.

Zostawił to na koniec - po części dlatego, że tekst był niekompletny, a po części dlatego, że po szybkich oględzinach miał wrażenie, że jest fragmentem czegoś zupełnie innego. Przy użyciu długiej pęsety przełożył pergamin pod swoje szkło powiększające. Następnie pochylił się i wbił wzrok w słowa, bezgłośnie poruszając wargami i zatrzymując się, gdy natrafiał na mniej wyraźne fragmenty, szczerze wdzięczny za mocne światło i powiększenie.

W końcu oparł się na krześle i zastukał palcami o blat biurka.

Audrey siedziała naprzeciwko niego w gorączkowym wyczekiwaniu. Ponieważ to ona odkryła skrzynię, uznał, że powinna być obecna podczas transkrypcji tego ostatniego urywka.

- Co to jest, panie profesorze? - spytała. - Coś ważnego?

Pomyślała, że drugi raz nie musi pytać. Jego mina i język ciała mówiły, że tak. Popatrzył na nią.

- Tak, Audrey. To ważne.

Czekała, wiedząc, że na tym nie koniec. Po kilku sekundach zaczął mówić dalej.

- Od jakiegoś czasu ci z nas, którzy badają świat Araluenu i jego bohaterów, wiedzieli o kolejnej legendzie z tamtych czasów. To legenda o młodym chłopaku, półkrwi

Aralueńczyku, półkrwi Skandianinie, który zrewolucjonizował konstrukcję wilczych okrętów. Ale niewiele o nim wiedzieliśmy.

Audrey w skupieniu zmarszczyła brwi.

- Chyba przypominam sobie krótką wzmiankę na jego temat w kronice podróży Willa do Nihon-Ja - powiedziała z namysłem i profesor uśmiechnął się do niej.

- Ale oprócz tej jednej zdawkowej wzmianki, nie wiedzieliśmy o nim nic więcej. Wygląda na to, że odkryliśmy kolejną wskazówkę, dotyczącą jego historii.

- W tym urywku? - spytała, wskazując poszarpaną stronę na biurku między nimi.

- W tym urywku - potwierdził, kiwając głową. - A skoro jest jedna strona, musiały być i inne. Może jeszcze gdzieś istnieją.

Jej oczy otworzyły się szerzej z podniecenia.

- Myśli pan, że możemy znaleźć resztę tej opowieści, panie profesorze?

Uśmiechnął się wyrozumiale, ciesząc się z jej młodości i entuzjazmu.

- Na pewno spróbujemy - odparł.